



**DANIELL STEEL**

**PODRÓŻ**



Przekład Irena Kołodziej

Moim dzieciom, Trevorowi, Toddowi, Beatie, Samowi, Victorii, Vanessie, Maksowi i Żarze, które nadal podróżują wraz ze mną, z wiarą, pogodą i miłością.

I Nickowi,

który jest już bezpieczny w kochających rękach Boga.

Z miłością D.S.

Moja podróż jest długa. Nie żałuję tego. Czasami jest mroczna, najeżona przeszkodami. Kiedy indziej radosna, przesycona słonecznym blaskiem. Częściej bywa trudna niż łatwa.

Od samego początku moja droga pełna była niebezpieczeństw: leśne gęstwiny, górskie szczyty, budzące grozę ciemności. Ale poprzez to wszystko, nawet we mgle, przebijał świetlny punkcik, maleńka gwiazdka, która mnie prowadziła.

Jestem zarazem mądra i głupia. Byłam kochana i zdradzana, i porzucana. I ku mojej rozpaczyci sama mimo woli raniłam innych, i pokornie proszę ich o wybaczenie. Przebaczam tym, którzy mnie zranili, i modłę się, by zostało mi wybaczone, że pozwoliłam im się zranić. Kochałam, oddając się całym sercem i duszą. I nawet boleśnie zraniona, podążałam dalej wytrwale swoją ścieżką, z przekonaniem, nadzieją i niemal ślepą wiarą, ku miłości i wolności. Podróż trwa, teraz łatwiejsza niż dawniej. Jeśli jesteście wciąż jeszcze zagubieni w mroku, oby wasi towarzysze podróży byli dla was dobrzy. Obyście znaleźli przyjazne niebiosy, kiedy za nimi tęsknicie, i prześwit w leśnej gęstwinie. Obyście znaleźli chłodne wody, które ugaszą wasze pragnienie i obmyją wasze rany. I obyście pewnego dnia zostali uzdrowieni.

Kiedy się spotkamy, połączymy nasze dłonie i poznamy się nawzajem. Tam, w oddali, czeka na nas światło. Musimy, każdy własną drogą, iść naprzód, dopóki go nie odnajdziemy. Potrzebna jest do tego determinacja, siła i odwaga, cierpliwość i wdzięczność. A oprócz tego wszystkiego - mądrość. Na końcu podróży odnajdziemy siebie samych, odnajdziemy pokój i miłość, o jakiej dotąd tylko marzyliśmy.

Niech Bóg prowadzi was w podróży.

D. S.

Spokojnie spoglądam przez ramię Na całe moje długie życie. Chciałabym położyć się teraz w tej wysokiej trawie I zamknąć oczy.

Edna St. Vincent Millay Podróż.

## Rozdział pierwszy

Długa czarna limuzyna podjechała wolno i zatrzymała się w kolejce takich samych samochodów. Był ciepły wczesno czerwcowy wieczór. Dwóch marines wystąpiło równym krokiem naprzód, gdy Madeleine Hunter z wdziękiem wyłoniła się z wnętrza samochodu przed wschodnim wejściem do Białego Domu. Jasno oświetlona flaga trzepotała lekko, poruszana letnim wietrzykiem. Madeleine uśmiechnęła się do jednego z salutujących żołnierzy. Była wysoka i wiotka, w białej wieczorowej sukni, opadającej z ramienia w eleganckich fałdach. Ciemne włosy, upięte w staranny francuski kok, uwydatniały smukłość szyi i doskonałą linię nagięgo ramienia.

Jej cera miała kremowy odcień, oczy lśniły błękitem. W srebrzystych sandałkach na wysokich obcasach poruszała się z niezwykłą gracją. Słyszac trzask migawki, uśmiechnęła się i odwróciła głowę: fotograf zrobił zdjęcie, a potem następne, gdy z samochodu wyszedł jej mąż i zajął miejsce u boku żony.

Jack Hunter był potężnie zbudowanym, czterdziestopięcioletnim mężczyzną. Swoje pierwsze duże pieniądze zarobił jako zawodowy futbolista. Zainwestował je umiejętnie i z czasem kupił radiostację, potem kanał telewizyjny... Zanim skończył czterdziestkę, był już właścicielem jednej z największych sieci telewizji kablowej. Jack Hunter miał rękę do interesów. I był znakomitym biznesmenem.

Fotograf pstryknął im jeszcze jedno zdjęcie, po czym państwo Hunter szybko zniknęli w Białym Domu. Tworzyli efektowną parę, i to od siedmiu lat. Trzydziestoczteroletnia Madeleine miała dwadzieścia pięć

lat, gdy przyszedł mąż odkrył ją w Knoxville. Jej przeciągła wymowa dawno już zanikła, tak jak i jego. Jack pochodził z Dallas i mówił w sposób apodyktyczny, który z miejsca przekonywał słuchacza, że dobrze wie, o co mu chodzi. Jego ciemne oczy lustrowały każdy kąt pokoju, a choć sprawiał wrażenie, że skoncentrowany jest wyłącznie na osobie rozmówcy, mógł słuchać równocześnie kilku innych toczących się obok konwersacji. Ludzie mówili, że jego oczy zdawały się czasem przewiercać człowieka na wylot, a kiedy indziej pieścić. Było w nim coś władczego, niemal hipnotycznego. Wystarczyło na niego spojrzeć, w nienagannym wieczorowym smokingu i starannie dobranej koszuli, z

gładko przyczesanymi ciemnymi włosami, by mieć ochotę go poznać i przebywać obok niego.

Tak samo podziałał na Madeleine, kiedy się spotkali. Była wtedy po prostu zwykłą dziewczyną z Knoxville. Mówiła przeciągle, jak wszyscy z Tennessee. Do Knoxville przyjechała z Chattanooga. Pracowała w lokalnej telewizji jako recepcjonistka, dopóki strajk nie zmusił jej do spróbowania sił przed kamerą - najpierw w prognozie pogody, potem w wiadomościach. Była nieobyta i nieśmiała, ale tak piękna, że widzowie, patrząc na nią, siedzieli jak zahipnotyzowani. Bardziej efektowna niż modelka czy gwiazda filmowa, sposobem bycia przypominała zwykłą dziewczynę z sąsiedztwa, i ludzie to uwielbiali. I potrafiła zawsze trafić w sedno sprawy.

Jack był oszołomiony, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Jej oczy i słowa paliły ogniem.

- Co ty tu robisz, moja piękna? Założę się, że łamiesz serca chłopakom - zażartował. Wyglądała najwyżej na dwadzieścia lat.

- Skądże znowu - zaśmiała się.

Jack negocjował wtedy cenę ich stacji i w dwa miesiące później ją kupił. Natychmiast przeniósł Madeleine na stanowisko prezenterki i wysłał do Nowego Jorku, by nauczyła się po pierwsze, wszystkiego, co trzeba o pracy w wiadomościach, a po drugie, malować się i czesać. Kiedy znowu zobaczył ją na ekranie, efekt był zdumiewający. W ciągu kilku miesięcy jej kariera ruszyła z kopyta.

To Jack pomógł jej wydobyć się z koszmaru, w jakim żyła. Mąż znęcał się nad nią na wszelkie możliwe sposoby. Wyszła za niego jako siedemnastolatka. Jej doświadczenia jako żony nie różniły się specjalnie od tego, czego była świadkiem od dziecka w domu rodziców w Chattanooga. Z Bobbym Joe, jej szkolną miłością, byli małżeństwem już od ośmiu lat, gdy Jack Hunter kupił telewizję kablową w Waszyngtonie i zrobił jej propozycję nie do odrzucenia. Chciał ją zatrudnić jako prezenterkę wiadomości nadawanych w czasie największej oglądalności i obiecał, że jeśli się zgodzi, pomoże jej uporządkować życie i pokryje najważniejsze koszty.

Osobiście przyjechał do Knoxville limuzyną. Czekala na niego na dworcu autobusowym Greyhound, zjedna niewielką torbę podróżną w ręce i przerażeniem w oczach. W milczeniu wsiadła do samochodu i

pojechali razem do Waszyngtonu. Dopiero po kilku miesiącach Bobby Joe zdołał ustalić, gdzie jest jego żona. Do tej pory zdążyła wystąpić o rozwód, naturalnie z pomocą Jacka, a po roku pobrali się. Od siedmiu lat była panią Hunter, a Bobby Joe i wszystko, co z nią robił, stało się czymś w rodzaju mglistego wspomnienia złego snu.

Była teraz gwiazdą. Wiodła życie jak z baśni. Znano ją, szanowano i wielbiono w całym kraju, a Jack traktował ją jak księżniczkę. Kiedy wchodzili pod rękę do Białego Domu, wyglądała na odprężoną i szczęśliwą. Madeleine Hunter nie wie, co to kłopoty. Jest żoną ważnego, wpływowego człowieka, który ją kocha, i ona dobrze o tym wie. Wie, że nigdy więcej nic złego się jej nie stanie. Jack na to nie pozwoli. Jest bezpieczna.

W Sali Wschodniej prezydent i Pierwsza Dama uścisnęli im dłonie, a prezydent powiedział ściszym głosem do Jacka, że chciałby później zamienić z nim prywatnie parę słów. Jack skinął głową i uśmiechnął się. Madeleine rozmawiała tymczasem z Pierwszą Damą. Dobrze się znały. Maddy parokrotnie gościła ją przed kamerą, a Hunterowie bywali zapraszani do Białego Domu.

Kiedy wchodzili pod rękę do sali, zwracały się ku nim wszystkie spojrzenia, ludzie uśmiechali się do nich i kłaniali się. Wszyscy rozpoznawali Madeleine. Daleko, daleko za nią zostało Knoxville... Nie wiedziała, gdzie jest Bobby Joe i nie dbała o to. Życie z nim wydawało jej się teraz zupełnie nierealne. To była jej rzeczywistość: ten świat ludzi znanych i wpływowych. A ona była gwiazdą pośród nich.

Wmieszali się w tłum gości. Ambasador Francji zaczął przyjacielską pogawędkę z Madeleine i przedstawił ją swojej żonie, a Jack odszedł, by porozmawiać z jednym z senatorów, przewodniczącym komisji do spraw etyki. Była pewna sprawa, którą chciał z nim omówić. Madeleine widziała ich kątem oka, gdy podszedł do niej ambasador Brazylii w towarzystwie atrakcyjnej pani kongresman ze stanu Missisipi. Wieczór, jak zawsze, był interesujący.

Jej sąsiadami przy stole okazali się senator z Illinois i kongresman z Kalifornii. Obu znała już wcześniej. Przez cały wieczór rywalizowali o jej uwagę. Jack siedział pomiędzy Pierwszą Damą a Barbarą Walters. Dopiero późnym wieczorem udało mu się znowu dołączyć do żony i poszli powoli w kierunku parkietu.

- Jak było? - spytał od niechcienia podczas tańca, obserwując równocześnie grających na keyboardach muzyków. Jack rzadko spuszczał z oczu ludzi wokół siebie i zwykle miał listę tych, których chciałby zobaczyć, poznać i z którymi chciałby pogadać towarzysko czy o interesach. Rzadko, jeśli w ogóle, zdarzało mu się przegapić po temu okazję, a idąc na przyjęcie, zawsze miał w głowie plan tego, co zamierzał robić. Spędził parę minut na cichej rozmowie z prezydentem Armstrongiem i został przez niego zaproszony na najbliższy weekend do Camp David na lunch, gdzie mieli kontynuować temat. Ale teraz Jack zajmował się żoną.

- Jak tam senator Smith? Co miał ciekawego do powiedzenia?

- Jak zwykle. Rozmawialiśmy o projekcie nowego systemu podatkowego - uśmiechnęła się do swego przystojnego męża. Była teraz kobietą światową i dystyngowaną. I była, jak lubił mówić Jack, od początku do końca jego tworem. To, że zaszła tak daleko, że cieszyła się w jego sieci taką pozycją - to wszystko było jego zasługą... Uwielbiał droczyć się z nią o to.

- To brzmi niezwykle seksownie - rzekł, mając na myśli ustawę podatkową. Republikanie walczyli o nią jak lwy, ale Jack był zdania, że demokraci zwyciężą. Zwłaszcza jeśli będą mieli za sobą prezydenta, a tego był pewien. - A kongresman Wooley?

- Och, jest taki miły - uśmiechnęła się znowu do męża. Było coś w jego wyglądzie, jakaś charyzma, aura, i to wciąż na nią działało. - Opowiadał o swoim psie i o prawnukach. Zawsze o nich opowiada... - Lubiała to w Wooleyu. Podobało jej się również, że miał bzika na punkcie kobiety, z którą był żonaty niemal od sześćdziesięciu lat.

- Dziwne, że wciąż jeszcze go wybierają - powiedział Jack, gdy skończono grać.

- Myślę, że wszyscy za nim przepadają...

Maddy się poszczęściło, ale nadal miała dobre serce „dziewczyny z sąsiedztwa” z Chattanooga. Nigdy nie zapomniała, skąd pochodzi, i była w niej pewna naiwność. Za to Jack miał cięty język, a czasami bywał szorstki, wręcz agresywny. Lubiała opowiadać ludziom o ich dzieciach. Wspólnych nie mieli, ale Jack był ojcem dwóch synów. Byli teraz w college’u w Teksasie, więc widywała ich rzadko, ale bardzo ją lubili. Ich matka niewiele dobrego miała do powiedzenia o Maddy czy o ich ojcu,

pomimo sukcesu, jaki odniósł. Byli rozwiedzeni od piętnastu lat. Kiedy o nim mówiła, najczęściej używała określenia „bezwzględny”.

- No to co, mówimy dobranoc? - Jack jeszcze raz omiół spojrzeniem salę. Uznał, że porozmawiał już ze wszystkimi, z którymi należało porozmawiać, a przyjęcie ma się ku końcowi. Prezydent i Pierwsza Dama już wyszli, goście mogli więc zrobić to samo. Nie było powodu zostawać dłużej. Maddy również to odpowiadało: jutro wczesnym rankiem musiała być w studiu.

Dyskretnie opuścili przyjęcie. Kierowca czekał na nich przy wyjściu. Maddy wygodnie rozsiadła się w limuzynie u boku męża. Długą drogę przeszła od starej furgonetki Bobby'ego Joe, imprez w miejscowym barze i odwiedzin u przyjaciół w przyczepach kempingowych... Czasami trudno jej było uwierzyć, że dawna i obecna Maddy to jedna i ta sama osoba. Tyle się zmieniło! Żyła teraz w świecie prezydentów, królów i królowych, polityków, książąt i rekinów biznesu, takich jak jej mąż.

- O czym mówiliście z prezydentem? - spytała, tłumiąc ziewnięcie. Wyglądała równie pięknie i nieskazitelnie, jak na początku wieczoru. Była atutem męża w znacznie większym stopniu, niż zdawała sobie z tego sprawę... Widziano w nim teraz raczej męża Madeleine Hunter, niż człowieka, który ją odkrył. Jeśli o tym wiedział, nigdy się z tym przed nią nie zdradził.

- O czymś bardzo interesującym - odparł Jack mgliście. - Powiem ci, jak tylko będę mógł.

- To znaczy kiedy? - zainteresowanie Maddy gwałtownie wzrosło. Była nie tylko jego żoną, teraz była też profesjonalną dziennikarką telewizyjną. Lubiała swoją robotę, ludzi, z którymi pracowała, studio wiadomości. .. Miała wrażenie, że trzyma rękę na pulsie narodu.

- Jeszcze nie wiem. W sobotę jem z nim lunch w Camp David.

- O, to musi być ważne. - Wszystko, co miało związek z prezydentem, mogło okazać się superważne.

Krótki odcinek, jaki dzielił ich od R Street, przejechali, rozmawiając o przyjęciu. Jack spytał, czy widziała Bilie Alexandra.

- Tylko z daleka. Nie wiedziałam, że już wrócił do Waszyngtonu... Ambasador Alexander od sześciu miesięcy trzymał się na uboczu.

W zeszłym roku jego żona zginęła w Kolumbii. Madeleine pamiętała aż za dobrze tę straszną historię... Kobieta została porwana przez

terrorystów, a jej mąż sam prowadził negocjacje z porwaczami - najwyraźniej nieumiejętnie. Gdy okup został zebrany, terroryści wpadli w panikę i zabili zakładniczkę. Wkrótce potem ambasador zrezygnował ze stanowiska.

- To idiota - powiedział Jack bez cienia współczucia. - Absolutnie nie powinien był negocjować sam. Pierwszy lepszy mógł przewidzieć, co się stanie.

- Nie sądzę, żeby się tego spodziewał - powiedziała cicho Madeleine, patrząc w okno.

Za chwilę byli już w domu, a Jack zdejmował krawat, gdy wchodzili po schodach na górę.

- Jutro muszę być wcześniej w pracy - powiedziała w sypialni. Rozpiął koszulę, a ona wysłiznęła się z sukni. Stała przed nim tylko w rajstopach i srebrzystych sandałkach na wysokich obcasach. Miała piękne ciało i nie zdarzyło się, żeby tego nie docenił - podobnie jak jej pierwszy mąż, chociaż ci dwaj krańcowo się różnili. Pierwszy, brutalny, szorstki, obojętny na jej uczucia i okrzyki bólu, drugi, łagodny i ostrożny... Bobby Joe kiedyś złamał jej rękę, kiedy indziej nogę, spychając ją ze schodów. Był wściekle zazdrosny o Jacka, choć przysięgła mu, że między nią a Jackiem nic nie ma i rzeczywiście, na początku był po prostu jej pracodawcą i znajomym. Cała reszta przyszła potem, gdy przeniosła się z Knoxville do Waszyngtonu, by pracować w jego sieci. Po miesiącu zostali kochankami, ale była już wtedy w trakcie rozwodu.

- Czemu musisz iść tak wcześniej? - rzucił Jack przez ramię, znikając w czarnej marmurowej łazience. Kupili ten dom pięć lat temu od bogatego arabskiego dyplomaty. Na dole była sala gimnastyczna z pełnym wyposażeniem, basen i piękne salony, w których Jack lubił urządzać przyjęcia dla przyjaciół. Wszystkie sześć łazienek wyłożono marmurem. Dom miał też cztery sypialnie, gabinet i trzy pokoje dla gości.

Zamiana któregoś z pokoi gościnnych na dziecinny nie była przewidziana. Jack od samego początku stawiał sprawę bardzo jasno: nie chciał dzieci. Niespecjalnie cieszył się synami w ich niemowlęctwie, i nie chciał przeżywać tego znowu. Prawdę mówiąc, absolutnie sobie tego nie życzył. Po krótkim okresie tęsknoty za dzieckiem, którego nigdy nie miała, na życzenie Jacka, Maddy dała sobie podwiązać jajowody.



Uważała, że w pewnym sensie to nawet lepiej: w czasie pożycia z Bobbym Joe zaliczyła sześć skrobanek i nie miała pewności, czy dziecko byłoby normalne. Łatwiej było podporządkować się życzeniom Jacka i nie wyzywać losu. Tyle jej dał, tyle dla niej jeszcze pragnął! Mogła zaakceptować jego punkt widzenia - dziecko byłoby przeszkodą w jej karierze, zniszczyłoby ją. Zdarzały się jednak chwile, kiedy żałowała swojej nieodwracalnej decyzji. Wiele kobiet w jej wieku rodziło nadal dzieci, a ona miała Jacka - i nikogo więcej. Czy nie będzie żałować jeszcze bardziej, kiedy się zestarzeje bez własnych dzieci i wnuków? Ale mimo wszystko była to niewygórowana cena za życie, jakie wiodła u boku Jacka Huntera. I było to takie ważne dla niego... Obstawiał przy tym bardzo zdecydowanie.

Spotkali się znowu w wielkim, wygodnym łóżku. Jack przyciągnął ją do siebie. Przytuliła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu. Często leżeli tak przez chwilę przed zaśnięciem, rozmawiając o tym, co się zdarzyło w ciągu dnia, o miejscach, w których byli, o ludziach, z którymi się widzieli, przyjęciach, w których uczestniczyli... Tak było i teraz. Maddy próbowała zgadnąć, o co chodziło prezydentowi.

- Powiedziałem ci, dowiesz się, kiedy przyjdzie pora. Przestań zgadywać.

- Te sekrety doprowadzają mnie do szaleństwa - zachichotała.

- Ty doprowadzasz mnie do szaleństwa - szepnął, odwracając ją łagodnie ku sobie. Przez jedwabną nocną koszulę czuł atlas jej ciała. Nigdy nie miał jej dość, w łóżku czy poza nim, i przyjemnie było wiedzieć, że należy do niego ciałem i duszą, nie tylko w pracy, ale i w sypialni. Jego apetyt był nienasycony; czasami miała wrażenie, że chce ją pożreć. Wszystko w niej uwielbiał, znał ją na wylot, lubił wiedzieć, gdzie jest, co robi... Mógłby dużo mówić o tym, ale w tej chwili myślał tylko o jej ciele.

Zagarnął ją gwałtownie ramionami. Jęknęła. Nigdy nie sprzeciwiała się, gdy miał na nią ochotę, bez względu na to, w jaki sposób to robił i jak często. Świadomość, że tak jej pragnie, że wciąż tak go podnieca, była wspaniała. To było tak odmienne od tego z Bobbym Joe... Bobby chciał jej po prostu używać i to wszystko. Jacka ekscytowała uroda i władza. To, że stworzył Maddy, napędliało go poczuciem mocy, posiadanie jej w łóżku doprowadzało go niemal do utraty zmysłów.

## Rozdział drugi

Jak zwykle, Maddy wstała o szóstej i wśliznęła się po cichu do łazienki. Wzięła prysznic i ubrała się; uczesanie i makijaż zrobią jej jak zawsze w studiu. Kiedy o siódmej trzydzieści Jack szedł do kuchni, świeżo ogolony, w ciemnoszarym garniturze i wykrochmalonej białej koszuli, piła kawę, przeglądając poranną prasę. Miała na sobie granatowy żakiet i spodnie.

Podniosła głowę, gdy wszedł, i podzieliła się z nim wiadomością o najnowszym skandalu: jednego z kongresmanów aresztowano poprzedniego wieczoru pod zarzutem, że zadawał się z prostytutką.

- Myślałby kto, że sami są lepsi - podała mu „Post” i sięgnęła po „Wall Street Journal”. Lubiła przejrzeć gazety, zanim znajdzie się w studiu.

Zwykle w drodze do pracy czytała „New York Times”, a jeśli starczyło czasu, to również „Herald Tribune”.

Wyszli razem o ósmej. Jack spytał, czy przygotowuje jakiś temat, skoro idzie do pracy tak wcześnie. Zdarzało się, że nie wychodziła przed dziesiątą. Zwykle opracowywała teksty wiadomości w ciągu dnia, a wywiady nagrywała podczas lunchu. Na wizję wchodziła dopiero o piątej, a potem ponownie o siódmej trzydzieści. O ósmej kończyła pracę i, jeśli gdzieś wychodzili, przebierała się w swojej garderobie.

Mieli przed sobą długi dzień pracy, ale oboje to lubili.

- Greg i ja przygotowujemy serię wywiadów z kobietami politykami. Musimy ustalić, co kto robi i kiedy.

Greg Morris, młody czarnoskóry dziennikarz telewizyjny z Nowego Jorku był jej współprezenterem. Pracowali razem od dwóch lat i bardzo się lubili.

- Nie wydaje ci się, że mogłabyś to zrobić sama? Po co ci Greg do pomocy?

- Męski punkt widzenia, to bywa interesujące - odparła chłodno. Miała swoją własną wizję programu, często oczywiście zupełnie inną niż mąż, i zdarzało się, że nie miała ochoty mówić mu zbyt wiele o tym, co robi. Nie chciała, żeby się wtrącał. Niełatwo czasem być żoną szefa sieci...

- Czy Phyllis Armstrong rozmawiała z tobą wczoraj o twoim udziale w Komisji do spraw Przemocy wobec Kobiet? - spytał Jack.

Maddy pokręciła głową. Słyszała, że Pierwsza Dama tworzy taką komisję.

- Nie.

- Wobec tego niedługo porozmawia. Powiedziałem jej, że na pewno chętnie byś się tego podjęła.

- Jeśli będę miała czas. Zależy, jak bardzo trzeba by się w to zaangażować...

- Powiedziałem jej już, że się zgadzasz - oświadczył Jack zdecydowanie. - To dobrze wpłynie na twój wizerunek.

Przez chwilę w milczeniu wyglądała przez okno samochodu. Prowadził kierowca Jacka. Pracował u niego od lat i oboje mieli do niego całkowite zaufanie.

- Wolalabym sama zdecydować - powiedziała spokojnie. - Dlaczego powiedziałaś, że się zgadzam?

Zupełnie jakby była małym dzieckiem... Choć starszy od niej zaledwie o jedenaście lat, traktował ją czasami, jakby był jej ojcem, nie mężem.

- Powiedziałem ci już, że to będzie dobre dla ciebie. Potraktuj to jako służbową decyzję szefa sieci. - Jak tyle innych. Nie znosiła, kiedy to robił, i dobrze o tym wiedział. - A zresztą powiedziałaś przecież, że to by ci się podobało.

- Pod warunkiem, że będę miała czas. Pozwól mi zdecydować. Tymczasem zdążyli dojechać na miejsce. Charles już otwierał

drzwiczki. Nie było jak ciągnąć tej rozmowy. Nie wyglądało zresztą na to, by Jack chciał ją ciągnąć. Najwyraźniej podjął już decyzję w tej sprawie. Pocałował ją szybko na pożegnanie i zniknął we wnętrzu swojej prywatnej windy.

Maddy przeszła przez urządzenie do wykrywania metalu i windą wjechała do studia wiadomości. Miała tam własne biuro w oszklonym boksie, sekretarkę i asystenta do zbierania materiałów. Tuż obok mieściło się nieco mniejsze biuro Grega Morrisa. Widząc, jak wchodzi szybkim krokiem do siebie, pomachał jej na powitanie ręką. W minutę później wszedł z kubkiem kawy w dłoni.

- Dzień dobry... jeśli dobry? - spojrzał na nią uważnie. Ktoś, kto nie znał jej tak jak on, pewnie nic by nie zauważył, ale najwyraźniej gotowało się w niej. Maddy starała się nie okazywać złości. W jej poprzednim życiu złość oznaczała niebezpieczeństwo i nigdy o tym nie

zapominała.

- Mój mąż podjął właśnie decyzję służbową- spojrzała na Grega z nietajoną irytacją. Był dla niej jak brat.

- Och, och. Czyżbym został wylany? - zażartował. Jego pozycja była niemal tak mocna jak jej, ale z Jackiem człowiek nigdy nie mógł być do końca pewny... Zdarzało się, że podejmował nagle, z pozoru irracjonalne, ale niepodważalne decyzje. No, ale jego chyba lubił.

- Nic tak dramatycznego - Maddy szybko się opanowała. - Powiedział Pierwszej Damie, że zgadzam się być członkiem jej nowej Komisji do spraw Przemocy wobec Kobiet, nawet nie pytając mnie o zdanie.

- Myślałem, że lubisz takie rzeczy. - Greg rozwalił się na krzesło naprzeciw jej biurka. Maddy usiadła sztywno.

- Nie o to chodzi, Greg. Po prostu lubię, kiedy się mnie pytają o zdanie. Jestem dorosła.

- Pewnie pomyślał, że i tak się zgodzisz... Wiesz, jacy są mężczyźni. Nie bawią się w analizowanie szczegółów, tylko od razu przechodzą do rzeczy.

- Ale przecież dobrze wie, jak tego nie lubię...

Oboje wiedzieli jednak, że Jack mnóstwo decyzji podejmuje za nią. Zawsze tak było. Twierdził, że wie, co jej odpowiada.

- Przykro mi, że muszę ci to zakomunikować, ale właśnie dowiedziałem się o innej „decyzji służbowej”. Musiał ją podjąć wczoraj. Wiadomość spłynęła z Olimpu na moment przed twoim przyjściem. - Greg nie wyglądał na uszczęśliwionego.

Był przystojnym i pełnym wdzięku, długonogim Afroamerykaninem, swobodnie się ubierał. Kiedy był mały, chciał zostać tancerzem. Ale trafił do telewizji i spodobało mu się to.

- O czym ty mówisz?

- Zdjął nam kawałek programu. Komentarz polityczny o siódmej trzydzięci.

- Co? Dlaczego? Przecież ludzie to lubią! I my też...

- Chce, żeby o tej porze były gołe wiadomości. Podobno podjął tę decyzję na podstawie wyników oglądalności. Mamy się przymierzyć.

- Ale czemu nie pogadał o tym z nami?

- A czy w ogóle kiedykolwiek pyta nas o zdanie? Oprzytomniej, mała. Przecież znasz go znacznie lepiej niż ja... Jack Hunter zawsze podejmuje

decyzje sam, bez konsultacji z prowadzącym. Czy to coś nowego?

- Cholera. - Nalała sobie kawy do filiżanki. - No, to super. Więc ma teraz nie być żadnych komentarzy? Przecież to idiotyczne!

- Też tak myślę, ale Wielki Tata wie lepiej. Powiedzieli, że mogą dać to z powrotem o piątej, gdyby ludzie się domagali. Ale nie w tej chwili.

- Super. O Boże, żeby mnie chociaż uprzedził...

- Jak zwykle, Pocahontas, tak? Daj spokój... Spójrz prawdzie w oczy. Jesteśmy tu siłą roboczą i to wszystko.

- Nie da się ukryć.

Przez chwilę w milczeniu przeżuwała złość i zabrali się do pracy. Przejrzeli sporządzoną wcześniej listę członkiń Kongresu i ustalili kolejność rozmów, jakie dziś przeprowadzą. Kiedy skończyli, była prawie jedenasta. Maddy wyszła na chwilę, żeby rozprostować kości i coś przegryźć. O pierwszej była z powrotem przy biurku i zabrała się do opracowywania scenariuszy wywiadów. Pracowała całe popołudnie. O czwartej zeszła do charakteryzatorni i zastała tam Grega.

- Zmyłaś już głowę Jackowi za ten komentarz? - wyszczerzył zęby.

- Jeszcze nie, ale zmyję, jak tylko go zobaczę.

W ciągu dnia nigdy nie widywała męża, choć z pracy wychodzili zazwyczaj razem, chyba że miał wieczorem "do załatwienia coś, co wykluczało jej obecność. Wracała wtedy sama i czekała na niego w domu.

Serwis informacyjny o piątej poszedł bez zakłóceń. Maddy i Greg mogli się nieco odprężyć i pogadać. Następny był o siódmej trzydzieści. O ósmej skończyli pracę. Gdy zeszła z wizji, wszedł Jack. Zdjęła mikrofon, rzuciła Gregowi „cześć”, sięgnęła po torebkę i w minutę później wychodzili. Byli dziś umówieni na cocktail w Georgetown.

- Co to za historia z naszym komentarzem, do licha? - spytała, gdy mknęli ku starej kolonialnej dzielnicy.

- Z badań wynika, że ludzie są już zmęczeni komentarzami.

- To bzdura! Przepadają za nimi.

- Moje informacje na ten temat są inne - powiedział twardo.

- Czemu nie wspomniałeś mi o tym dziś rano? - głos Maddy zdradzał irytację.

- Taka wiadomość musi pójść oficjalnymi kanałami.

- Nawet nie spytałeś mnie o zdanie. Byłoby mi miło, gdybym

wiedziała wcześniej... Jestem pewna, że akurat ta decyzja jest błędna.

- Pokażę ci wyniki badań.

Byli już na miejscu i wkrótce stracili siebie z oczu. Zobaczyła męża dopiero w dwie godziny później, gdy odnalazł ją w tłumie gości i spytał, czy ma ochotę wracać. Zgodziła się natychmiast. Oboje mieli za sobą długi dzień pracy, a wczorajsze przyjęcie w Białym Domu też przeciągnęło się do późna.

W drodze powrotnej nie rozmawiali za wiele. Jack przypomniał jej, że nazajutrz jedzie do Camp David na lunch z prezydentem.

- Spotkamy się w samolocie o drugiej trzydzieści - powiedział z roztargnieniem. Każdy weekend spędzali w Wirginii, gdzie Jack miał farmę, kupioną na rok przed poznaniem Maddy. Uwielbiał to miejsce, a ona też z czasem do niego przywykła. Dom był rozległy, komfortowy, otoczony hektarami łąk i lasów. Jack miał tam stajnię z paroma czystej krwi ogierami. Ale choć okolica była pełna uroku, Maddy jakoś się tam nudziła.

- Nie chciałbyś zostać tym razem w mieście? - spytała z nadzieją. Wchodzili już do domu.

- Nie możemy. Zaprosiłem na weekend senatora McCutchinsa z żoną. O tym też jej nie powiedział.

- Czy to również był sekret? - spytała poirytowana. Nie dość, że nie zapytał jej o zdanie, nawet jej nie uprzedził!

- Przepraszam, Maddy, byłem taki zajęty... Strasznie dużo miałem na głowie w tym tygodniu. Co sprawa, to bardziej skomplikowana.

Cóż, z pewnością musiał być zaaferowany czekającym go spotkaniem w Camp David... Ale o weekendzie z McCutchinsami mógł jej powiedzieć.

- Straszna ze mnie gapa. Przepraszam cię, malutka - uśmiechnął się do niej łagodnie. Trudno było się na niego gniewać, kiedy się w ten sposób uśmiechał... Zawsze ją to rozbrajało. Ledwie zaczynała się na niego złościć, zaraz okazywało się, że nie potrafi.

- Nie ma sprawy... Po prostu dobrze by było, gdybyś mnie uprzedził.

Nie musiała mu mówić, że nie cierpi Paula McCutchinsa. Jack o tym wiedział. To był arogancki, apodyktyczny tłuścioch, a jego żona sprawiała wrażenie kompletnie sterroryzowanej. Prawie nie otwierała ust w jego obecności. Wyglądała, jakby bała się własnego cienia. Nawet

dzieci sprawiały wrażenie znerwicowanych. Cała trójka była blada, kapryśna... Maddy na ogół lubiła dzieci, ale nie małych Cutchinsów.

- Zabiorą ze sobą dzieciaki? - spytała.

- Zabroniłem im - Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Wiem, że ich nie znosisz, i nie mam ci tego za złe. A poza tym straszą konie.

- No, to przynajmniej coś - powiedziała z ulgą.

Weszli do domu. Oboje mieli wyczerpujący tydzień za sobą i Maddy czuła się zmęczona. Szybko zasnęła w ramionach Jacka. Rano nawet nie słyszała, jak wstaje. Kiedy zeszła na śniadanie, był już ubrany i zdążył przeczytać gazetę.

Pocałował ją przelotnie i w pięć minut później wyszedł. Wybierał się do Białego Domu, skąd prezydencki helikopter miał go zabrać do Camp David.

- Miłego pobytu - uśmiechnęła się do niego, nalewając sobie kawy do filiżanki. Wyglądał, jakby był na haju... Nic nie podniecało Jacka bardziej niż władza. To było uzależnienie.

Kiedy zobaczyła go po południu na lotnisku, wręcz promieniał. Chyba znakomicie się bawił z Jimem Armstrongiem.

- Co, rozwiązaliście już wszystkie problemy Bliskiego Wschodu? A może planujecie gdzieś jakąś wojenkę? - zażartowała z łobuzerskim błyskiem w oku. Już na sam widok męża w promieniach czerwcowego słońca czuła się w nim zakochana na nowo. Był tak cholernie atrakcyjny, taki przystojny.

- Coś w tym stylu - uśmiechnął się tajemniczo, wchodząc za nią do samolotu, kupionego tej zimy Gulfstreama. Bardzo się nim cieszył. Latali nim oboje na weekendy, a Jackowi służył też do podróży służbowych.

- Powiedz! - prosiła zaintrygowana, on jednak ze śmiechem potrząsnął głową. Uwielbiał się z nią droczyć, kiedy wiedział coś, o czym ona nie wiedziała.

- Nie teraz. Ale niedługo się dowiesz.

W dwadzieścia minut później odlecieli. Pilot wziął kurs na południe, ku Wirginii. Maddy i Jack, rozparci wygodnie w fotelach z tyłu samolotu, gawędzili przez całą drogę o tym i owym. Na miejscu, ku zaskoczeniu Maddy, okazało się, że McCutchinsowie już są na farmie. Z Waszyngtonu przyjechali rano.

Jak było do przewidzenia, Paul na powitanie walnął Jacka w plecy, aż

zadźwięczało, z Maddy zaś o mało nie wycisnął wszystkich soków. Brrr... Janet, jak zwykle, nie powiedziała nic. Jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem Maddy jedynie na moment, jakby się obawiała, że jeśli będzie patrzeć choćby odrobinę dłużej, dostrzeże ona w jej oczach jakąś ponurą tajemnicę. W Janet zawsze było coś, co sprawiało, że Maddy czuła się w jej towarzystwie niezręcznie, choć nie wiedziała dlaczego. Nie zadawała sobie zresztą trudu, by się nad tym zastanawiać.

Jack chciał pogadać z Paulem sam na sam o projekcie nowej ustawy o kontroli broni, którą podpisał senator. Ta niezwykle podniecająca sprawa nieustannie absorbowała media. Mężczyźni poszli ku stajni, a Maddy została skazana na towarzystwo Janet.

Zaprosiła ją do salonu, i poczęstowała świeżą lemoniadą i ciasteczkami; które upiekła znakomita kucharka, Włoszka, zatrudniona przez Jacka jeszcze zanim poznał Maddy. Farma zawsze była raczej jego niż ich wspólna, i cieszył się nią dużo bardziej niż żona. Była taka odosobniona, izolowana od świata... No i Maddy nigdy nie przepadała specjalnie za końmi. Dla Jacka było to znakomite miejsce spotkań z partnerami w interesach, takimi jak Paul McCutchins.

Usiadły w salonie. Maddy zadała Janet parę pytań o dzieci, a kiedy skończyły lemoniadę, zaproponowała przechadzkę po ogrodzie. Oczekiwanie na powrót Jacka i Paula ze stajni wydawało się wiecznością. Maddy starała się podtrzymywać rozmowę, paplała o pogodzie, o farmie i jej historii, o nowych krzakach róż, które zasadził ogrodnik... W pewnym momencie rzuciła okiem na gościa i ze zdumieniem spostrzegła, że Janet płacze.

Janet nie była zbyt atrakcyjna. Błada, z nadwagą, był w niej zawsze jakiś smutek, dziś wyczuwalny wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem. Łzy spływały niepowstrzymanie po jej policzkach... Wyglądała jak kupka nieszczęścia.

- Dobrze się pani czuje? - spytała Maddy niezręcznie. Było przecież jasne, że o dobrym samopoczuciu Janet nie ma mowy. - Czy mogę pani jakoś pomóc?

Janet McCutchins pokręciła tylko głową i zaszlochała.

- Przepraszam - zdołała w końcu wykrztusić.

- Nic się nie stało - powiedziała uspokajająco Maddy i zatrzymała się przy ogrodowym krześle, żeby Janet mogła usiąść i jakoś się pozbierać. -



Przynieść pani wody?

Kobieta znowu potrząsnęła głową, a Maddy starała się na nią nie patrzeć. W końcu wysiąkała nos i spojrzała Maddy prosto w oczy.

- Nie wiem, co robić - głos jej się łamał.

- Może mogłabym pani jakoś pomóc? - spytała Maddy, poruszona. Czyżby pani McCutchins była chora? A może któremuś z dzieci coś się stało?

- Nikt mi nie może pomóc - powiedziała Janet z rozpaczą. - Nie wiem, co robić - powtórzyła. - Chodzi o Paula... On mnie nienawidzi.

- To niemożliwe - zaprzeczyła odruchowo Maddy, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Z tego, co widziała, mogła to być prawda... - Dlaczego miałby panią nienawidzić?

- Nienawidzi mnie od lat. Znęca się nade mną. Ożenił się ze mną, bo byłam w ciąży.

- W tych czasach? Na pewno nie byłby z panią do tej pory, gdyby tego nie chciał...

Ich najstarsze dziecko miało dwanaście lat, i mieli jeszcze dwoje młodszych. Chociaż... Maddy musiała przyznać, że nigdy nie widziała, by Paul był miły dla żony. Między innymi dlatego go nie lubiła.

- Nie możemy pozwolić sobie na rozwód. Paul twierdzi, że to by złamało jego karierę polityczną.

Istniała taka groźba, istotnie. Inni politycy przeżyli jednak rozwody... Janet wzięła tymczasem głęboki oddech i zaskoczyła Maddy kolejnym wyznaniem:

- On mnie bije.

Maddy ścięło krew w żyłach. Usłyszeć podobne słowa z ust innej kobiety... Janet gwałtownie podciągnęła rękaw. Na jej ręce widniały rozległe siniaki.

- Och, Janet, tak mi przykro...

Nie wiedziała, co powiedzieć. Najchętniej by ją objęła. Tak strasznie było jej żal tej kobiety... Słyszała, że Paul łatwo wpada w gniew, a teraz miała dowody, że to prawda.

- Porzuć go - szepnęła. - Nie pozwalaj mu na to dłużej... Ja też byłam przez dziewięć lat żoną mężczyzny, który mnie bił. - Dobrze wiedziała, jak to jest, choć od ośmiu lat robiła, co mogła, by zapomnieć.

- Jak ci się udało uciec? - Nagle stały się jak gdyby jeńcami wziętymi

w tej samej bitwie, spiskującymi w kącie ogrodu.

- Uciekłam - Maddy poczuła, że zabrzmiało to tak, jakby była wówczas znacznie dzielniejsza, niż była w rzeczywistości, a chciała być uczciwa wobec tej kobiety. - Byłam sterroryzowana. Jack mi pomógł.

Ale Janet nie miała żadnego Jacka Huntera. Nie była ani młoda, ani ładna, nie miała pracy, nie miała nadziei, nie miała wyjścia. Miała za to troje dzieci. To była wielka różnica.

- Powiedział, że jeśli odejdę i zabiorę dzieci, zabije mnie. A jak ośmielę się komuś powiedzieć, wsadzi mnie do wariatkowa. Raz już to zrobił, po urodzeniu naszej córeczki. Lecyli mnie elektrowstrząsami.

Jemu powinni byli dać parę elektrowstrząsów. I to najlepiej w tych miejscach, które są dla niego najważniejsze... Już na samą myśl o tym, co przeszła ta kobieta, i na widok jej posiniaczonych ramion Maddie bolało serce.

- Musi być jakieś wyjście. Dlaczego nie uciekniesz do jakiegoś schroniska? - podsunęła.

- I tak by mnie znalazł. Zabiłby mnie - zaszlochła Janet.

- Pomogę ci - powiedziała Maddy bez wahania. Musiała coś zrobić dla tej kobiety... Czowała się strasznie winna, że dotychczas jej nie lubiła. Przeszła przez takie samo piekło, została uratowana, miała więc dług do spłacenia wobec towarzyszki niedoli. - Postaram się znaleźć miejsce, gdzie mogłabyś się schronić z dziećmi.

- Będą o tym pisać gazety - załkała bezradnie Janet. - Będzie skandal.

- Jak cię zabije, to dopiero będzie skandal - powiedziała zdecydowanie Maddy. - Obiecuj mi, że coś zrobisz. Dzieci też bije?

Janet potrząsnęła głową. Maddy wiedziała jednak, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Nawet jeśli nie tyka ich palcem, wyrastają na ludzi o spaczonych umysłach. Któregoś dnia córki poślubią takich mężczyzn jaki jest ich ojciec, a syn będzie najprawdopodobniej uważał, że bicie kobiet jest rzeczą zwyczajną. Nikt nie wychodzi bez szwanku z domu, gdzie ojciec maltretuje matkę... Właśnie to pchnęło Maddy w ramiona Bobby'ego Joe, była przekonana, że mąż ma prawo ją bić.

Wzięła Janet za rękę. W tym momencie dobiegły do nich głosy powracających mężczyzn. Janet gwałtownie cofnęła dłoń i w jednej chwili jej twarz skamieniała. Kiedy panowie podeszli, można było pomyśleć, że tej rozmowy w ogóle nie było.

W nocy, gdy zostali sami, Maddy podzieliła się z Jackiem nowiną.

- On ją bije - powiedziała, nadal zgnębiona tym, co zaszło.

- Paul? - w głosie Jacka było niedowierzanie. - To niemożliwe. Facet jest trochę gburowaty, ale nie sądzę, żeby był zdolny do czegoś takiego. Skąd wiesz?

- Janet mi powiedziała - Maddy była teraz jej zagorzałą stronnniczką. Ostatecznie miały z sobą wiele wspólnego.

- Nie brałbym tego zbyt poważnie - powiedział spokojnie Jack. - Paul mówił mi już parę lat temu, że Janet ma zaburzenia psychiczne.

- Ale ja widziałam siniaki - w głosie Maddy był gniew. - Wierzę jej, Jack. Sama przez to przesłam.

- Wiem... Ale nie wiadomo, skąd się wzięły siniaki Janet. Mogła sama je sobie zrobić, żeby mu zepsuć opinię. Był czas, kiedy Paul się z kimś spotykał. Może Janet próbuje teraz wyrównać rachunki?

Coraz mniej jej się to podobało. Co do niej, to ani przez chwilę nie wątpiła w prawdziwość słów Janet. Nienawidziła Paula, gdy o tym myślała.

- Dlaczego jej nie wierzysz? - spytała ze złością. - Nie rozumiem cię.

- Znam Paula. Po prostu nie byłby do tego zdolny.

Chciało jej się krzyczeć. Klócili się dłuższy czas. Skłócenie poszli do łóżka i nie kochali się tej nocy. Maddy była na Jacka taka zła, że przyjęła to z ulgą. Janet McCutchins była jej dużo bliższa niż własny mąż... I nic nie wskazywało na to, że zauważył, jak bardzo wstrząśnięta jest żona.

Nazajutrz przed wyjazdem McCutchinsów Maddy szepnęła Janet, że się z nią na pewno skontaktuje. Janet jednak prawie nie zareagowała. Zanadto się bała, że Paul może je usłyszeć... Skinęła tylko głową i wsiadła do samochodu. W parę minut później odjechali.

Wieczorem wracali do domu i Hunterowie. Maddy w milczeniu patrzyła przez okno na rozciągający się w dole pejzaż. Mogła myśleć tylko o Bobbym Joe i rozpaczy, w jakiej żyła przez te wszystkie lata w Knoxville. Później przed oczami stanęła jej Janet i sine wylewy na ramieniu nieszczęsnej kobiety. To było tak, jakby Janet była więźniem i brakowało jej sił lub odwagi, żeby uciec z więzienia... Rzeczywiście była przekonana, że nie potrafi. Kiedy samolot dotknął ziemi, Maddy przysięgła sobie w milczeniu, że zrobi, co w jej mocy, żeby pomóc Janet.

## Rozdział trzeci

Kiedy w poniedziałkowy rano pojawiła się praca, pobiegła do Grega. Weszła za nim do jego boksu i naląła sobie kawy. - Jak tam minął weekend najsłynniejszej prezenterce telewizyjnej Waszyngtonu? - Greg lubił pokpiwać ze stylu życia, jaki prowadzili z Jackiem, i z tego, że często bywali w Białym Domu. - Spędziłaś weekend w towarzystwie prezydenta czy po prostu pojechałaś na zakupy z Pierwszą Damą?

- Bardzo śmieszne, ty czubku - Maddy pociągnęła łyk kawy. Wciąż była pod wrażeniem wyznań Janet McCutchins. - Jack rzeczywiście był na lunchu z prezydentem w Camp David.

- Bogu dzięki, nigdy mnie nie zawiedziesz. Strzeliłbym sobie w łeb, gdybym się dowiedział, że stałaś w kolejce do myjni samochodowej, jak my wszyscy. Dzięki tobie mogę poznać smak luksusu... Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Przyjmij do wiadomości, że ten luksus nie jest taki znów ekscytujący. - W gruncie rzeczy nigdy nie miała poczucia, że życie, które prowadzi, jest jej własnym życiem. Nieraz wydawało jej się, że pożyczyła je od męża. -Byliśmy z McCutchinsami w Wirginii. Boże, to było okropne...

- Jak to? Przecież senator to przystojny facet. A jaki dystygowany - wyszczerzył zęby Greg.

Po chwili milczenia Maddy zdecydowała się wtajemniczyć go w całą sprawę. Pracując razem, stali się sobie bliscy niczym brat i siostra. Nie miała w Waszyngtonie zbyt wielu przyjaciół... Nie starczało jej na to czasu, a jeśli już się do kogoś zbliżyła, zwykle nie podobało się to Jackowi i pod jego naciskiem uciniała znajomość. Nie protestowała, bo nakładał na nią w pracy tyle obowiązków, że i tak praktycznie cały czas była zajęta. W pierwszym okresie ich wspólnego życia zdarzało się, że ta czy owa kobieta wydawała się jej sympatyczna, zdaniem Jacka jednak była za gruba, za brzydka, zachowywała się niewłaściwie, nie grzeszyła dyskrecją, zazdrościła Maddy... Strzegł jej starannie i mimo woli doprowadził do tego, że była izolowana. Jedynymi ludźmi, z którymi miała szansę się zbliżyć, byli współpracownicy. Wiedziała, że Jack chciał dla niej dobrze, ale w rezultacie jedynym naprawdę bliskim jej człowiekiem był on sam, a w ostatnich latach Greg Morris.

- W ten weekend zdarzyło się coś okropnego - zaczęła ostrożnie. Niezręcznie jej było zdradzać sekret Janet... Pani McCutchins z pewnością by nie chciała, żeby ludzie o niej mówili.

- A co, złamałaś paznokcie? - zadrwił. Zwykle śmiała się z jego konceptów, tym razem jednak pozostała poważna.

- Chodzi o Janet.

- Wygląda na kompletnie bezbarwną. Widziałem japaręrazy na przyjęciach w Senacie.

Maddy westchnęła. Trudno, trzeba iść na całego. Ufała Gregowi bez zastrzeżeń.

- On ją bije.

- Kto? Senator? Jesteś pewna? No, to nieźle...

- Wierzę jej. Na własne oczy widziałam siniaki. Pokazywała mi.

- A może ona ma coś z głową? - spytał sceptycznie Greg. Zupełnie jak Jack. Zirytowało ją to.

- Dlaczego wszyscy mężczyźni reagują właśnie tak na wiadomość, że jakaś kobieta jest maltretowana? A jakbym ci powiedziała, że to ona go wali kijem golfowym, to co byś zrobił? Uwierzyłybyś mi, czy powiedziałbyś, że ten tłusty skurwysyn zmyśla?

- Przykro mi, ale prawdopodobnie bym mu uwierzył. A to dlatego, że faceci nie zmyślają w tych sprawach. I niezwykle rzadko się zdarza, żeby to kobieta biła mężczyznę.

- Kobiety też nie zmyślają. Ale dzięki takim ludziom jak ty i mój mąż są przekonane, że to ich wina i że muszą milczeć. A co do Janet, to owszem, umieścił ją w psychiatryku, ale nie wydaje mi się, żeby była nienormalna. Siniaki też nie są wytworem jej wyobraźni. Ona jest przez niego sterroryzowana. Słyszałam od dawna, że ten typ traktuje po chamsku swoich pracowników, ale do głowy by mi nie przyszło, że jest też damskim bokserem...

Nigdy dotąd nie mówiła z Gregiem o swojej przeszłości. Tak jak inne kobiety w tej sytuacji, uważała, że to jej wina, i chowała swój mroczny sekret w sobie.

- Obiecałam, że pomogę jej znaleźć jakieś schronisko - ciągnęła. - Nic ci nie przychodzi do głowy?

- A jakby tak Koalicja na rzecz Kobiet? Prowadzi ją moja znajoma. I przepraszam za to, co powiedziałem... Powinienem był sam wiedzieć -

Greg sprawiał wrażenie skruszonego.

- To prawda, powinieneś... Ale dziękuję ci. Zadzwoń do tej znajomej - rzuciła okiem na nazwisko, które napisał jej na kartce. Fernanda Lopez... Przypomniała sobie, że w początkach swojej pracy robiła o niej reportaż. Było to dobre pięć czy sześć lat temu, ale nadal pamiętała, jakie wrażenie wywarła na niej ta kobieta.

Kiedy jednak po powrocie do siebie zadzwoniła do niej, usłyszała, że pani Lopez ma urlop naukowy, a jej zastępczyni właśnie poszła na macierzyński. Nowa pracownica zostanie przyjęta dopiero za dwa tygodnie, tak że oddzwonią natychmiast, jak tylko się pojawi. Maddy powiedziała, o co jej chodzi, i w rezultacie otrzymała kilka innych telefonów. Niestety, wszędzie odpowiadała automatyczna sekretarka, a gorąca linia dla ofiar przemocy była zajęta. Nie pozostawało nic innego, jak zadzwonić później.

Później jednak mieli z Gregiem masę pracy, tak że przypomniała sobie o całej sprawie dopiero o piątej, kiedy wchodziła na wizję. Postanowiła spróbować jutro rano. Trudno... Skoro Janet żyła z tym tyle lat, to wytrzyma jeszcze te parę godzin. Ale trzeba koniecznie coś zrobić. Janet jest najwyraźniej sparaliżowana strachem i nie zdoła poradzić sobie sama. W jej sytuacji zresztą to nic wyjątkowego.

Wiadomości o piątej obejmowały zwykły zestaw nowin lokalnych, ogólnokrajowych i zagranicznych. O dziewiętnastej trzydzieści większość czasu zajęła relacja z katastrofy samolotu na lotnisku JFK.

Tego wieczoru Maddy wracała z pracy sama. Jack miał kolejne spotkanie z prezydentem. Dziwne, że wciąż są tacy zajęci... Ciekawe dlaczego? Kiedy jednak znalazła się w domu, znowu przyszła jej na myśl Janet. Może powinna do niej zadzwonić? Obawiała się jednak, że Paul może podsłuchiwać rozmowy Janet, i zrezygnowała.

Przekopła się przez stos artykułów, które należało przeczytać, i przerzuciła dopiero co wydaną książkę o najnowszych technikach operowania raka piersi, żeby się zorientować, czy warto zaprosić autora przed kamerę. Zrobiła sobie manikiur i wcześniej poszła do łóżka. Słyszała, jak koło północy wraca Jack, ale była za bardzo rozespana, by z nim rozmawiać. Zanim do niej przyszedł, znowu zapadła w sen.

Rano obudził ją cichy odgłos kroków męża idącego do łazienki i szmer strumienia wody z kranu. Gdy zeszła do kuchni, zastała go przy

stole czytającego „Wall Street Journal”. Uniósł głowę znad lektury i spojrzał na nią z uśmiechem. Miał na sobie džinsy, czerwony sweter i czerwone mokasyny od Gucciego. Wyglądał świeżo, młodo i seksownie.

- Żałuję, że nie obudziłem cię dziś w nocy... Zaśmiała się. Nalała sobie kawy i wzięła do ręki gazetę.

- Chyba szykujecie z prezydentem jakiś niezły numerek. Spotkanie za spotkaniem... Kto wie, czy się nie okaże, że to coś dużo bardziej interesującego niż zwykła zmiana gabinetu.

- Kto wie - powiedział nieobowiązująco i oboje zagłębili się w lekturze. Nagle Jack usłyszał, jak Maddy gwałtownie chwyta powietrze. Podniósł wzrok.

- Co się stało?

Przez chwilę nie mogła mówić. Jej oczy wypełniły się łzami. Próbowwała czytać dalej, ale litery rozmywały jej się przed oczami.

- Janet McCutchins popełniła samobójstwo wczoraj wieczorem. W domu, w Georgetown. Podcięła sobie żyły. Znalazło ją jedno z dzieci i zadzwoniło na pogotowie, ale kiedy przyjechali, już nie żyła. Piszą, że miała siniaki na nogach i rękach i początkowo podejrzewali morderstwo, ale jej mąż wyjaśnił, że poprzedniego wieczoru potknęła się o deskorolkę syna i spadła ze schodów. Co za skurwysyn... to on ją zabił... - głos jej uwiązał w gardle.

- To nie on ją zabił, Maddy - powiedział spokojnie Jack. - Popełniła samobójstwo. Sama powiedziałaś.

- Bo była przekonana, że nie ma innego wyjścia. - Maddy mówiła z trudem. - Ja bym zrobiła to samo, gdybyś nie zabrał mnie wtedy z Knoxville.

- To bzdura i dobrze o tym wiesz. Prędzej zabiłabyś jego... Janet była nie zrównoważona, leczyla się psychiatrycznie. Prawdopodobnie miała tysiąc innych powodów, żeby to zrobić.

- Jak możesz tak mówić, do diabła? Dlaczego nie wierzysz, że ten tłusty skurwiel ją maltretował? Czy to aż tak nieprawdopodobne twoim zdaniem? Uważasz, że wygląda na niewiniątko? Dlaczego z góry wykluczasz, że mogła mówić prawdę? Bo to kobieta?

Była wściekła. Nawet Greg podawał najpierw w wątpliwość to, co mówiła...

- Dlaczego to kobieta zawsze jest tą, która kłamie? - krzyknęła.

- Może i nie kłamała. Ale fakt, że popełniła samobójstwo, potwierdza hipotezę o jej psychicznym niezrównoważeniu.

- Fakt, że popełniła samobójstwo, potwierdza hipotezę, że była zrozpaczona i nie widziała innego wyjścia. Zrozpaczona do tego stopnia, że zdecydowała się osierocić dzieci, ryzykując nawet, że któreś ją znajdzie...

Teraz już otwarcie płakała, spazmatycznie chwytając powietrze. Dobrze znała to uczucie totalnego przerażenia, beznadziejności, poczucie, że człowiek jest przyparty do muru i nie ma żadnych szans ucieczki. Gdyby nie była wówczas młoda i ładna i gdyby Jack nie zapragnął jej zatrudnić u siebie, kto wie, czy nie skończyłaby tak jak Janet McCutchins... Wcale nie była taka pewna, czy rzeczywiście zabiłaby raczej

Bobby'ego Joe, jak twierdził Jack. Niejeden raz myślała o samobójstwie w tamte mroczne noce, kiedy leżała z popodbijanymi oczami i opuchniętymi wargami obok pijanego męża...

- Dzwoniłam wczoraj do Koalicji na rzecz Kobiet i na gorącą linię. Cholera, miałam też ochotę zadzwonić wieczorem do Janet, ale bałam się, że Paul może podsłuchać rozmowę i będzie miała kłopoty...

- Mad. Przestań się biczować. Nie byłeś w stanie jej pomóc. Jej samobójstwo to potwierdza.

- Niczego nie potwierdza, do cholery. Ona nie była wariatką! Była sterroryzowana. Skąd możesz wiedzieć, co jej zrobił, zanim targnęła się na swoje życie?

- Paul to dupek, ale nie morderca. Daję za to głowę - powiedział spokojnie, ale to tylko bardziej rozogniło Maddy.

- Odkąd to jesteście z nim takimi świetnymi kumplami? Skąd, do diabła, możesz wiedzieć, co jej zrobił? Ty w ogóle nie masz pojęcia, jak to jest... - rozsłochała się na nowo. Siedziała przy kuchennym stole i płakała nad kobietą, której prawie nie знаła, a która przeszła przez takie samo piekło jak ona. I z nich dwu to jej udało się przeżyć. Janet nie miała tyle szczęścia.

- Wiem, jak to jest - powiedział cicho. - Kiedy się pobraliśmy, miałas potworne koszmary i spałas skulona w pozycji płodowej, z rękami wokół głowy. Wiem, malutka, wiem... To ja cię uratowałem.

- Wiem, że mnie uratowałeś. - Maddy wysiąkała nos i spojrzała na



męża ze smutkiem. - Nigdy ci tego nie zapomnę. Tylko tak mi przykro z powodu tej kobiety... Pomyśl tylko, jak ona musiała się czuć. To musiało być piekło, nie życie.

- Możliwe - przyświadczył chłodno. - Ale bardziej współczuję Paulowi i dzieciom. Nie będzie im łatwo... Mam nadzieję, że media nie zrobią skandalu wokół tej sprawy.

- A ja mam nadzieję, że jakiś młody dziennikarz dotrze do prawdy i napisze o tym, co on z nią robił. Jej to życia nie przywróci, ale może pomóc innym kobietom w tej sytuacji.

- Nie rozumiem, dlaczego od niego nie odeszła, skoro było jej tak źle? Przecież mogła. Wcale nie musiała się zabijać.

- Być może myślała, że musi - powiedziała Maddy ze współczuciem, Jacka jednak to nie wzruszyło.

- Ty odeszłaś, Maddy. Ona też mogła.

- Osiem lat to trwało, zanim odeszłam, a poza tym ty mi pomogłeś. Nie każda ma takie szczęście... Mnie się po prostu udało. Niewykluczone, że inaczej za rok czy dwa byłby mnie zabił.

- Na pewno byś mu na to nie pozwoliła - powiedział Jack z przekonaniem.

- Przecież pozwoliłam się dręczyć długie lata, zanim się pojawiłeś! I moja matka też pozwoliła, dopóki ojciec nie umarł. W dodatku przysięgłabym, że po jego śmierci tęskniła za tym, i za nim też, dopóki sama nie umarła. W takim związku obie strony są chore. I ofiara, i sprawca, i to o wiele ciężiej, niż ludzie przypuszczają.

- Interesujący punkt widzenia - powiedział sceptycznie. - Ja myślę, że niektórzy ludzie po prostu sami się o to proszą albo pozwalają na to, bo są za słabi i nie stać ich na nic innego.

- Nie masz o tym zielonego pojęcia, Jack - powiedziała wzburzona i poszła na górę po torbę i żakiet. Kiedy wróciła, miała na sobie doskonale skrojoną granatową marynarkę, a w uszach niewielkie kolczyki z diamentów. Zawsze, zarówno w domu, jak i w pracy, była zadbana i starannie ubrana. Nigdy przecież nie wiedziała, z kim trzeba będzie się spotkać, a ludzie rozpoznawali ją, gdziekolwiek się pojawiła.

Tego ranka jechali do pracy w milczeniu. Maddy wciąż była poirytowana tym, co mówił Jack, ale nie miała ochoty się z nim kłócić. W pracy czekał na nią Greg. Widział już wzmiankę w gazecie.

- Tak mi przykro, Maddy... Musisz się czuć okropnie. Wiem, że chciałaś jej pomóc, ale to chyba było niemożliwe.

Usiłował ją pocieszyć, ale rzuciła się na niego.

- Dlaczego? Dlatego, że była wariatką, tak jak każda maltretowana kobieta, i po prostu miała ochotę pochlastać sobie nadgarstki? To chciałaś powiedzieć?

- Chciałem powiedzieć tylko tyle, że bez względu na wszystkie twoje starania mogła być za bardzo zastraszona, żeby się z tego wyrwać. Tak samo bywa na przykład z ludźmi w szoku w czasie wojny. - Nie mógł jednak powstrzymać się od pytania: - Jak myślisz, dlaczego to zrobiła? Bo się nad nią znęcał czy może jednak miała jakieś zaburzenia psychiczne?

Maddy wpadła w furję.

- Właśnie tak myśli Jack! W ogóle większość ludzi... Myślą, że kobieta w takiej sytuacji musi być nienormalna, niezależnie od tego, co z nią wyprawia mąż. Nikt nie rozumie, dlaczego od niego nie odchodzi. No więc, czasami po prostu nie może... po prostu nie może... - i rozszlochała się. Greg otoczył ją ramionami.

- Wiem, mała, wiem. Przepraszam... Może po prostu akurat jej nie byłaś w stanie pomóc - przemawiał uspokajająco. Była mu wdzięczna za ten uścisk.

- Ale ja chciałam... jej... jej pomóc - wykrztusiła wśród szlochów. Jak strasznie musiała cierpieć Janet, skoro była zdolna do czegoś takiego, i jak rozpaczają jej dzieci, które zostały bez matki...

- Jak to przeżycie w wiadomościach? - spytał Greg, kiedy już odzyskała panowanie nad sobą.

- Chciałabym dać komentarz na temat przemocy wobec kobiet - powiedziała w zamyśleniu, kiedy Greg podawał jej filiżankę kawy.

- Przecież wszelkie komentarze nam wycięli. Nie pamiętasz?

- Powiem Jackowi, że mimo wszystko tym razem komentarz jest potrzebny - oświadczyła zdecydowanie. - Chciałabym dołożyć temu skurwysynowi McCutchinsowi.

Greg potrząsnął głową.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu. A zresztą Jack i tak ci nie pozwoli... Nieważne, że z nim śpiesz, otrzymaliśmy polecenie z góry i już. Żadnych komentarzy ani opinii na tematy społeczne czy polityczne,

wyłącznie gołe wiadomości. Powiemy po prostu, co się stało, bez oceny.

- Co on mi może zrobić? Wyrzuci mnie z pracy? A zresztą, można podać i zwykłą wiadomość. Żona senatora popełniła samobójstwo w rezultacie długotrwałego znęcania się męża nad nią.

- Jak znam Jacka, to nie pozwoli ci ani na to, ani na komentarz, chyba że sterroryzujesz całą stację, używając spluwy. Ale wątpię, żeby mu się to podobało, Maddy...

- Nie żartuj. Tak czy owak zamierzam to zrobić. Nadajemy na żywo, na litość boską, nie mogą mnie odciąć bez wywołania skandalu. Dajemy komentarz, a usprawiedliwiać się będziemy po fakcie. Jak Jack się wścieknie, trudno, przeżyję to.

- Dzielna z ciebie dziewczyna. - Greg pokazał w szerokim uśmiechu oślepiająco białe zęby. Na wszystkie kobiety, z którymi się spotykał, uśmiech ten działał obezwładniająco. Greg był uważany za jedną z najlepszych partii w Waszyngtonie, i nie bez powodu. Niegłupi, przystojny, sympatyczny, z pozycją... Niezwykle atrakcyjna i rzadka kombinacja. Maddy również miała fioła na jego punkcie, to znaczy uwielbiała z nim pracować. - Nie jestem pewien, czy stać by mnie było na przeciwstawienie się Jackowi Hunterowi i zignorowanie jego zarządzenia.

- Ja mam chody - Maddy uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd dowiedziała się o śmierci Janet McCutchins.

- O tak, i najlepsze nogi w całej sieci. To też coś znaczy - zakpił. O piątej jednak, kiedy po raz pierwszy tego dnia mieli wejść z Gre-

giem na wizję, Maddy była zdenerwowana. Wyglądała jak zwykle nieskazitelnie: w czerwonym sweterku, starannie uczesana, niewielkie kolczyki z diamentami w uszach, opanowana. Greg jednak znał ją wystarczająco, by dostrzec, że pod tą nienaganną powłoką buzuje niepokój.

- Idziesz na to? - szepnął, gdy ich czas antenowy był tuż-tuż. Skinęła głową. W następnej chwili uśmiechnęła się do skierowanej

na nią kamery i przedstawiła siebie i Grega. Jak zwykle odczytali wiadomości, na przemian to ona, to on, w idealnej harmonii, po czym Greg, wiedząc, co nastąpi, odjechał z krzesłem na bok. Maddy, już sama przed kamerą, spoważniała.

- Wśród dzisiejszych wiadomości jest jedna, która dotyczy nas

wszystkich, a niektórych w szczególny sposób. Chodzi o samobójstwo Janet McCutchins. Osierociła troje dzieci. To wielka tragedia. Nikt nie wie, co popchnęło panią McCutchins do tego kroku. Pewnych pytań nie można jednak zignorować, choć być może nigdy nie znajdziemy na nie odpowiedzi. Dlaczego to zrobiła? Jaki ból dręczył ją w tym momencie i przedtem? I dlaczego nikt nie dostrzegał jej desperacji? W niedawnej rozmowie Janet McCutchins powiedziała mi, że w przeszłości była krótko hospitalizowana z powodu depresji. Jednakże osoba bliska pani McCutchins twierdzi, że jest niewykluczone, iż w jej rodzinie występował problem przemocy i że właśnie to mogło popchnąć ją do targnięcia się na swoje życie. Jeśli to istotnie prawda, to Janet McCutchins nie byłaby pierwszą kobietą, która w samobójstwie widziała jedyną możliwość ucieczki z sytuacji przemocy. Podobne tragedie zdarzają się o wiele za często. Być może jej bliscy wiedzą, dlaczego to zrobiła, mąż, dzieci, przyjaciele... Nie wiem i nie do mnie należy zgadywanie. Powiedziano nam, że zostawiła list do dzieci, jestem jednak pewna, że nigdy go nie zobaczymy.

Wszystko to niezwykle wyraziście stawia nam wszystkim przed oczyma problem bólu, lęku i rozpacz, w jakich żyje na co dzień tak wiele kobiet. Nie możemy nie zadawać sobie pytania, dlaczego świat zatyka uszy, gdy kobieta woła o pomoc, dlaczego tak wielu spośród nas mówi w takiej sytuacji: „Coś z nią musi być nie tak. Kto wie, może jest chora psychicznie...”. A jeśli nie jest? Codziennie kobiety zadają sobie śmierć, niezdolne uciec z rąk swoich oprawców. A my często nie wierzymy im, kiedy mówią o swoim cierpieniu, albo po prostu nie chcemy słuchać. Być może samo słuchanie jest zbyt bolesne.

Kobiety, które to robią, na ogół nie są szalone, nie są również za leniwe czy za głupie, żeby uciec. One się boją. Nie są w stanie uciec. Czasami uciekają w śmierć albo tkwią w sytuacji przemocy tak długo, że giną z ręki swojego oprawcy. To się zdarza. Taka jest prawda. Nie możemy odwracać się plecami do nich. Musimy pomóc im znaleźć drogę wyjścia.

Proszę, niech państwo pamiętać o Janet McCutchins. A następnym razem, gdy usłyszymy znowu o tego rodzaju wypadku, zadajmy sobie pytanie: dlaczego? I uważnie nasłuchujmy odpowiedzi, bez względu na to, jak może być przykra i groźna.

Dobranoc. Żegna się z państwem Maddy Hunter.

Szybko dano reklamy. Wszyscy w studiu oszaleli. Nikt nie ośmielił się jej przerwać, wszyscy byli jak zahipnotyzowani tym, co mówi. Greg uśmiechnął się do niej szeroko i uniósł pięść w geście zwycięstwa.

- Jak było? - szepnęła.

- Bomba. Oceniam, że możemy spodziewać się wizyty twojego męża za jakieś cztery sekundy.

Już po dwóch wpadł do studia niczym tornado. Trząśnięcie z wściekłości.

- Postradałaś rozum, do cholery? - wrzasnął, zatrzymując się od niej dosłownie o centymetry. - Przecież Paul McCutchins wyrzuci mnie z interesu!

Maddy zbladła, ale nie ruszyła się z miejsca. Stała twardo, choć również drżała. Cudzy gniew zawsze ją przerażał, tym razem jednak pomyślała, że było warto.

- Powiedziałam, że osoba bliska pani McCutchins twierdzi, że w tej rodzinie mógł występować problem przemocy. Do licha, Jack, ja na własne oczy widziałam siniaki. I na własne uszy słyszałam, jak Janet mówiła, że on ją bije. Jaki stąd wniosek, skoro następnego dnia popełniła samobójstwo? Wszystko, co zrobiłam, to zasugerowałam, żeby ludzie zastanowili się, dlaczego kobiety popełniają samobójstwa. Z prawnego punktu widzenia jesteśmy nietykalni. A ja mogę zeznać, co mi powiedziała, jeśli okaże się to konieczne.

- I jest bardzo prawdopodobne, że będziesz musiała, cholera jasna. Głucha jesteś, nie umiesz czytać? Jak powiedziałem: żadnych komentarzy, to żadnych komentarzy, do cholery!

- Przepraszam, Jack. Musiałam. Byłam jej to winna. I innym kobietom w tej sytuacji.

- Rany boskie... - z wściekłością zanurzył dłoń we włosach. Nie mógł pojąć, że była w stanie zrobić mu coś takiego... A technicy jej na to pozwolili! Przecież powinni byli ją odciąć, a nie odcięli. Podobało im się to, co mówiła... Paul McCutchins znany był z tego, że obraża ludzi słowami zarówno w pracy, jak i prywatnie, a jako młody człowiek wielokrotnie wdawał się w bójkę przy barowym stołku. Łatwo wpadał w gniew i należał do najbardziej nie lubianych senatorów w Waszyngtonie. Nikt się nie kwapił, żeby go bronić... Najwyraźniej to, co mówiła Maddy,

wydawało im się w pełni wiarygodne, chociaż nie powiedziała wprost, że znęcał się nad żoną.

Jack miotał się po studiu, wrzeszcząc na każdego, kto się nawinął, gdy wszedł Rafe Thompson, kierownik produkcji, z wiadomością, że dzwoni senator McCutchins.

- Cholera! - zaklął. - O ile chcesz się założyć, że wnosi oskarżenie przeciwko mnie? - zwrócił się do żony.

- Przepraszam, Jack - powtórzyła, ale nie było w tym skruchy. Jednocześnie wpadła asystentka producenta z wiadomością, że dzwoni Pierwsza Dama. Rozeszli się, każde do swojego telefonu.

Maddy, drżąca z wrażenia, od razu poznała głos Phyllis Armstrong.

- Dumna jestem z pani, Madeleine - mówiła ciepło Pierwsza Dama. - Zrobiła pani rzecz trudną, ale niesłychanie ważną i potrzebną. To było wspaniałe wystąpienie, Maddy.

- Dziękuję - głos Maddy był opanowany, chociaż dygotała ze wzburzenia. Nie chciała zdradzać przed Pierwszą Damą, że Jack się na nią wściekł.

- Już wcześniej chciałam panią zaprosić do uczestnictwa w Komisji do spraw Przemocy wobec Kobiet. Prosiłam Jacka, żeby pani o tym powiedział.

- Tak, mówił mi. Bardzo mnie to interesuje.

- Jack od razu mówił, że będzie pani zachwycona, ale wolałam usłyszeć to od pani osobiście. Mężowie lubią wrabiać nas w zajęcia, które najmniej lubimy. Mój nie jest wyjątkiem.

Maddy uśmiechnęła się. Od razu poczuła się lepiej. Jack przecież rozporządził nią i jej czasem z taką swobodą... Bardzo często tak właśnie apodyktycznie wygłaszał za nią opinie i podejmował decyzje. Czasami zakrawało to wręcz na brak szacunku.

- W tym wypadku miał rację. Z przyjemnością włączę się w działalność komisji.

- Bardzo się cieszę. Po raz pierwszy spotykamy się w najbliższy piątek. Tym razem w Białym Domu, w moim prywatnym biurze. Później znajdziemy jakiś bardziej odpowiedni lokal. Na razie jest nas niewiele, zaledwie dwanaście osób. Próbujemy wymyślić skuteczny sposób na dotarcie z tą sprawą do ludzi, na poruszenie opinii. Myślę, że wykonała pani pierwszy ruch. Moje gratulacje!

- Dziękuję jeszcze raz, pani Armstrong - powiedziała Maddy niemal bez tchu. Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się radośnie do Grega.

- Wygląda na to, że u pani Armstrong masz najwyższe notowania - powiedział z dumą. Bardzo mu się podobało to, co zrobiła. Wymagało to mnóstwa odwagi, nawet jeśli szefem telewizji był jej własny mąż. Teraz będzie musiała wrócić do domu i stawić czoło skutkom własnego czynu, a Jack Hunter, jak wszystkim było wiadomo, nie zawsze był słodki... Zwłaszcza gdy ktoś wszedł mu w drogę. A że tym kimś jest tym razem jego własna żona - co za różnica?

Maddy zaczęła przekazywać Gregowi, co powiedziała pani Armstrong, gdy wpadł Jack. Jego oczy miały iskry.

- Wiedział pan o tym? - rzucił się na Grega. Najwyraźniej za wszelką cenę musiał kogoś zwymyślać, kogokolwiek... Wyglądał, jakby miał ochotę udusić Maddy.

- Niezupełnie, ale prawie. Wiedziałem, że ma zamiar coś powiedzieć - odparł uczciwie Greg. Nie bał się Jacka i w głębi duszy, choć za nic w świecie nie powiedziałby o tym Maddy, nie lubił go. Uważał, że jest arogancki, nie podobał mu się sposób, w jaki zwracał się do żony. Nigdy jednak tego nie komentował. Dosyć miała spraw na głowie i bez konieczności stawania w obronie własnego męża.

- Mógł pan do tego nie dopuścić! - oskarżył go Jack. - Mógł pan ją przekonać i zakończyć całą aferę, zanim się zaczęła!

- Zanadto szanuję pańską żonę, panie Hunter, żebym ośmielił się zrobić coś takiego. A poza tym zgadzam się z tym, co mówiła. Nie wierzyłem jej, kiedy powiedziała mi w poniedziałek o Janet McCutchins... To było jak zimny prysznic dla tych z nas, którzy dotąd nie chcieli wiedzieć, w jakiej rozpacz żyją maltretowane kobiety. Przecież podobne sytuacje zdarzają się codziennie, tyle że nie chcemy ich widzieć ani słyszeć. Będąc żoną człowieka na takim stanowisku, Janet McCutchins sprawiła, że usłyszeliśmy. Być może, jeśli tylko słyszało dziś Maddy wystarczająco dużo ludzi, ta śmierć nie pójdzie na marne. Może komuś pomoże... Z całym szacunkiem, panie Hunter, ale sądzę, że Maddy postąpiła słusznie - głos zadrżał mu nieco, gdy wypowiadał ostatnie słowa.

Jack Hunter spojrział na niego z wściekłością.

- Jestem pewien, że sponsorzy będą nas kochać, jak zostanie nam

wytoczony proces o zniesławienie, co?

- Czy właśnie to powiedział McCutchins przez telefon? - spytała Maddy, zaniepokojona. Nie czuła się winna, ale i nie chciała przysparzać Jackowi kłopotów... Trudno, musiała tak postąpić. Na własne oczy widziała, co McCutchins zdążył zrobić swojej żonie, i była gotowa zeznawać, jeśli tylko będzie trzeba. Wzięła sprawę w swoje ręce, bez względu na koszty, jakie miałyby zapłacić ona sama czy cała firma. Warto było.

- To były niby tylko zawołowane pogrożki, ale niestety, dość przejrzyste. Powiedział, że zaraz dzwoni do swojego prawnika - wyrzucił z siebie Jack ochryplym głosem.

- Nie sądzę, żeby wiele wskórał - powiedział z namysłem Greg. - Dowody były podobno raczej trudne do zakwestionowania, a Janet McCutchins osobiście mówiła o wszystkim Maddy. Może się nam uda uratować tyłki...

- „Nam"... Jakież to szlachetne z pańskiej strony, Greg - zadrwił ponuro Jack. - O ile wiem, zagrożony jest jedynie mój tyłek. Przekłeta głupota i nieodpowiedzialność. - Z tymi słowy opuścił studio i ciężkim krokiem poszedł z powrotem do siebie.

- Jak się czujesz? - Greg spojrzał z wielką troską na Maddy. Pokiwała głową.

- Wiedziałam, że to go wyprowadzi z równowagi... Mam nadzieję, że nie dojdzie do procesu - powiedziała przygnębiona. - Chyba McCutchins się nie ośmieli... Rzykowałby większe nagłośniecie sprawy.

- Powiedziałaś mu o telefonie Phyllis Armstrong?

- Nie zdążyłam... Powiem, jak będziemy wracać do domu.

Tego wieczoru wracała jednak sama. Jack wezwał prawników, by wraz z nimi obejrzeć jeszcze raz taśmę z wystąpieniem Maddy i przedyskutować je. Była już pierwsza w nocy, kiedy wreszcie pojawił się w domu. Maddy jeszcze nie spała, ale nie odezwał się do niej ani słowem. W milczeniu, stanowczym krokiem przeszedł przez sypialnię do łazienki.

- Jak poszło? - spytała ostrożnie. Odwrócił głowę i spojrzał na nią wrogo.

- Nie mogę uwierzyć, że mi to zrobiłaś. Co za cholerna głupota... Równie dobrze mógł dać jej w twarz. On jednak wolał ją uderzyć



słowami i spojrzeniem. Było jasne, że czuje się przez nią zdradzony.

- Dzwoniła Pierwsza Dama. Zaraz jak tylko zeszedłszy z wizji. Bardzo jej się podobało moje wystąpienie... Powiedziała, że byłam dzielna. Idę w przyszłym tygodniu na zebranie jej komisji - powiedziała tonem usprawiedliwienia. Nie wiedziała, jak go przebłagać, ale musiała próbować. Nie chciała, żeby jej nienawidził z powodu tego, co zaszło w pracy.

- I tak już zdecydowałem o tym za ciebie - powiedział, rzucając jej mordercze spojrzenie.

- Nie, to ja zdecydowałam za siebie - powiedziała spokojnie. - Mam do tego prawo, Jack.

- Zaczynasz walczyć nie tylko przeciwko przemocy, lecz i o prawa kobiet, tak? Czy mam spodziewać się jutro komentarza na ten temat? Czemu, do diabła, nie robisz po prostu tego, co do ciebie należy? Możesz przecież trzaskać dziobem cały dzień, nie musisz używać sobie w wiadomościach!

- Skoro moje wystąpienie spodobało się Pierwszej Damie, co w nim może być złego?

- Może, jeśli prawnicy McCutchinsa orzekną, że jest!

- Może za parę dni sprawa ućichnie - powiedziała z nadzieją. Jack szedł powoli w kierunku łóżka, ale nagle zatrzymał się i spojrzał na nią z ledwie powstrzymaną furią.

- Jeśli ośmielisz się zrobić coś podobnego jeszcze raz, nie będę dbał o to, że jesteś moją żoną. Z punktu wyrzucę cię na zbity pysk. Czy to jasne?

W milczeniu skinęła głową. Nagle wydało jej się, że nie zrobiła nic dobrego, że przeciwnie, zdradziła go. Nigdy w ciągu dziewięciu lat małżeństwa nie był na nią taki wściekły. Czy w ogóle kiedykolwiek jej wybaczy? Zwłaszcza jeśli McCutchins pozwie ich telewizję...

- Myślałam, że to ważne...

- W nosie mam, co myślałaś i co myślisz. Nie płacę ci za myślenie. Płacę ci za to, żebyś ładnie wyglądała i odczytywała wiadomości. To wszystko, czego od ciebie oczekuję. - Wszedł do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi.

Maddy wybuchnęła płaczem. Boże, jakie to okropne... W głębi duszy nadal uważała, że postąpiła słusznie, niezależnie od tego, ile by to ją

miało kosztować. Wyglądało jednak na to, że może kosztować ją drogo.

Jack wrócił z łazienki i bez słowa wszedł do łóżka. Zgasił lampkę i odwrócił się do niej plecami. Po jakimś czasie usłyszała, że zachrapał.

Po raz pierwszy od wielu lat poczuła lęk. Jego gniew, chociaż kontrolowany, ożywił w pamięci dawne mroczne wspomnienia. Bała się. I po raz pierwszy od lat miała tej nocy koszmary.

Przy śniadaniu Jack również nie odezwał się ani słowem. Do pracy pojechał z kierowcą sam.

- A co ja mam zrobić? - spytała bezradnie, gdy pozostawił ją na chodniku.

Spojrzał jej prosto w oczy, zatrzasnął drzwi i powiedział jak obcy:

- Zamów sobie taksówkę.

RS

## Rozdział czwarty

Pogrzeb Janet McCutchins miał się odbyć w piątek rano. Jack przez sekretarkę przysłał Maddy wiadomość, że zamierza iść razem z nią. Wyjechali z biura jego samochodem. On miał na sobie ciemny garnitur i czarny krawat w paski, ona - czarny lniany kostium od Chanel i ciemne okulary. Przecięli park Lafayette i podjechali pod kościół św. Jana.

Nabożeństwo było długie i męczące. Kościół wypełniał zbity tłum ludzi. Zdawało się, że nie brak ani jednego liczącego się polityka... Całą pierwszą ławkę zajmowały siostrzenice, bratankowie i dzieci Janet. Serce Maddy rwało się ku sierotom. Kiedy chór zaśpiewał Ave Maria, ze zdumieniem spostrzegła, że senator płacze.

Pod koniec uroczystości, gdy zbierano się do wyjścia, odruchowo wsunęła rękę pod ramię Jacka, on zaś równie odruchowo się odsunął. Nadal był na nią wściekły... Od wtorkowego wieczoru prawie z nią nie rozmawiał.

Umę z prochami Janet przeniesiono do karawanu. Rodzina zajęła miejsca w samochodach, i pojechała na cmentarz. Hunterowie wiedzieli, że po pogrzebie u McCutchinsów ma się odbyć stypa, żadne jednak nie miało ochoty tam iść. W kamiennej ciszy wracali z powrotem do biura.

- Jak długo to będzie trwało, Jack? - spytała w końcu. Nie mogła znieść tego dłużej.

- Dopóki będę się czuł tak jak teraz - powiedział bez ogródek. - Zawiodłaś mnie, Maddy, albo raczej załatwiłaś mnie. Zrobiłaś mnie na szaro.

- Ale tu chodzi o coś ważniejszego, Jack. Maltretowana kobieta, która odebrała sobie życie, pozostałaby w ludzkiej pamięci jako wariatka. Trzeba właściwie potraktować ją i jej dzieci. I skierować światło na prześladowcę, choćby na minutę.

- Tak, a przy okazji wpięprzyć mnie w proces. Choćbyś robiła nie wiem co, ona i tak pozostanie w ludzkiej pamięci jako wariatka. Takie są fakty. Przez sześć miesięcy była w psychiatryku, leczyli ją elektrowstrząsami. Uważasz, że była normalna? I warta tego, żebym ja był teraz obiektem ataku prawników?

- Przykro mi, Jack. Musiałam to zrobić. - Była przekonana, że racja jest po jej stronie.

- Jesteś tak samo stuknięta jak ona - powiedział z niesmakiem, wyglądając przez okno. Obrażliwe słowa, ton... To trwało już czwarty dzień.

- Nie moglibyśmy ogłosić zawieszenia broni na weekend? - Jeśli tak ma być między nimi w Wirginii, to może lepiej nie jechać, pomyślała.

- Nie sędzę - odparł chłodno. - A poza tym mam coś do załatwienia tu, na miejscu. Ty możesz robić, co ci się podoba. Nie będę miał czasu dla ciebie.

- To śmieszne, Jack. Tamta sprawa to praca, a to jest nasze życie.

- W naszym przypadku te dwie rzeczy ściśle się łączą. Trzeba było o tym pomyśleć, zanim otworzyłeś usta.

- W porządku. Wobec tego ukarż mnie. Ale to, co robisz, to dziecinada.

- Jeżeli McCutchins wytoczy mi proces, to nie będzie to dziecinada, możesz mi wierzyć.

- Wcale nie jestem taka pewna, że to zrobi, zwłaszcza że Pierwszej Damie spodobał się komentarz. A poza tym on sam nie jest w stanie się obronić. Jeśli zostanie wszczęte śledztwo, to w raporcie koronera musi się znaleźć wzmianka o siniakach.

- Stanowisko Pierwszej Damy wcale nie musi zrobić na nim takiego wrażenia jak na tobie.

- Jack, proszę... Odłóżmy to ad acta. Nie mogę odkręcić tej sprawy, a zresztą chyba nie chciałabym. Czy nie możemy po prostu zostawić tego za sobą?

Zwrócił ku niej głowę. Zobaczyła przed sobą zmrużone lodowate oczy.

- Może byś tak odświeżyła nieco swoją pamięć, Joanno d'Arc? Szkoda, że zanim podjęłaś swoją krucjatę w obronie przegranych, nie pomyślałaś o tym, kim byłaś, kiedy znalazłem cię w Knoxville. Byłaś niczym, Mad. Zerem. Byłaś prowincjonalną gęsią, której życie upłynęłoby w przyczepie, wśród puszek po piwie, u boku chama i brutala. Wydaje ci się, że jesteś w tej chwili Bóg wie kim, ale pamiętaj, jeśli łaska, że to ja cię stworzyłem. I że jesteś mi coś winna. Mam po uszy tego idealistycznego pieprzenia i tych jęków nad jakimiś tłustymi, nieciekawymi babami w rodzaju tej całej Janet McCutchins. Ona nie jest warta tego, żeby narażać mój tyłek albo twój, albo sieci.

Patrzyła na męża i miała wrażenie, że siedzi obok niej ktoś obcy. A może zawsze był obcy, tylko ona tego nie zauważyła?

- Mdl mi od tego, co mówisz - powiedziała. Nachyliła się i dotknęła ramienia kierowcy. - Proszę się zatrzymać. Wysiadam.

Jack wyglądał na zaskoczonego.

- Zdawało mi się, że wracasz do pracy.

- Wracam, ale nie z tobą. Wolę iść piechotą, niż słuchać tego, co mówisz. Dostałam od ciebie wiadomość, Jack. Stworzyłeś mi i jestem ci coś winna. Ile? Moje życie? Moje zasady? Moją godność? Jaka jest cena uratowania kogoś od bycia do końca życia białym śmieciem? Daj mi znać, kiedy już będziesz wiedział. Chcę mieć pewność, że traktuję cię właściwie. - Wysiadła i szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Jack w milczeniu podciągnął szybę i odjechał. Nie zadzwonił do niej, gdy dotarła na miejsce. Była zaledwie pięć pięter niżej i jadła kanapkę w towarzystwie Grega.

- Jak tam pogrzeb? - spytał z troską. Wyglądała na wyczerpaną i napiętą.

- Przygnębiający. Ten sukinsyn płakał przez całe nabożeństwo.

- Senator?

Pokiwała głową z pełnymi ustami.

- Może czuje się winny - zasugerował.

- I powinien. To przecież zupełnie tak, jakby ją zabił. A Jack nadal uważa, że to ona miała nie po kolei w głowie.

- Dalej się wścieka? - spytał ostrożnie, podsuwając jej pikle. Wiedział, że za nimi przepada.

- Szkoda gadać... Jest przekonany, że zrobiłam to specjalnie jemu na złość.

- Przejdzie mu - Greg odchylił się na oparcie krzesła i popatrzył na Maddy. Niegłupia, uczciwa... A przy tym co za prezencja! Podobało mu się to, że jest gotowa walczyć o swoje przekonania, ale wyglądała na zgnębianą i nieszczęśliwą. Złe znosiła gniew Jacka. Nigdy dotąd, w ciągu siedmiu lat małżeństwa, nie był na nią taki zły.

- Dlaczego uważasz, że mu przejdzie? - spytała. Nie była już tego taka pewna. Po raz pierwszy poczuła, że jej małżeństwo może być zagrożone, i prawdę mówiąc, przerażała ją to.

- Bo cię kocha - powiedział z przekonaniem Greg. - I potrzebuje cię.

Jesteś jedną z najlepszych prezenterek w kraju, jeśli nie najlepszą. Jack nie jest idiotą.

- Nie jestem pewna, czy to wystarczająca przyczyna, żeby mnie kochać... Mogę wyobrazić sobie inne, ważniejsze dla mnie.

- Ciesz się z tego, co masz, malutka. Przejdź mu, zobaczysz. Najprawdopodobniej w czasie weekendu.

- W czasie weekendu ma spotkania w Pentagonie.

- O, to chyba coś się szykuje - zainteresował się Greg.

- Chyba tak... Od niedawna. Nic mi nie chciał powiedzieć, ale już parę razy spotkał się z prezydentem.

- Może mają zamiar spuścić bombę na Rosję? - podsunął z uśmiechem Greg. Żadne z nich nie potraktowało tego poważnie.

- Chyba już trochę nie te czasy, prawda? - odwzajemniła uśmiech. - Myślę, że prędzej czy później nam powiedzą. - Spojrzała na zegarek i wstała. - Idę na komisję Pierwszej Damy. Mamy spotkanie o drugiej. Wróć kiedy trzeba, tak żeby zdążyć na piątą z makijażem.

- I bez makijażu wypadłabyś super - zapewnił ją gładko. - Miłej zabawy. I przekaz ode mnie pozdrowienia Pierwszej Damie!

Maddy z uśmiechem pomachała mu na pożegnanie i wyszła. Na dole złapała taksówkę. Jazda do Białego Domu trwała pięć minut. Właśnie nadjechał sznur samochodów, pani Armstrong wróciła z domu McCutchinsów. Otoczone przez agentów Secret Service weszły razem do środka.

Pani Armstrong spytała Maddy, czy była na pogrzebie i powiedziała, że ciężko jej było patrzeć na dzieci McCutchinsów.

- Paul też wyglądał na przygnębionego - dodała ze współczuciem. Kiedy zaś znalazły się w windzie prowadzącej do jej prywatnych apartamentów, spytała cicho: - Sądzi pani, że on naprawdę się nad nią znęcał? - Nie wspomniała ani słowem o źródłach informacji Maddy.

Maddy zawahała się, ale z dotychczasowych kontaktów wynikało, że może zaufać dyskrecji Pierwszej Damy.

- Tak. Słyszałam z własnych ust Janet, że ją bije, i widziałam, jak się go boi. A w ostatni weekend pokazywała mi siniaki na ramionach. Jestem przekonana, że mówiła prawdę, i myślę, że McCutchins dobrze o tym wie. Na pewno by chciał, żeby wszyscy jak najszybciej zapomnieli o tym, co powiedziałam...

Zdaniem Maddy właśnie dlatego pozwanie przez niego ich telewizji było mało prawdopodobne. Pani Armstrong, skonsternowana, z westchnieniem pokręciła głową.

- Jakież to przykre...

Przed drzwiami windy czekała już sekretarka Pierwszej Damy i następni agenci. Pani Armstrong - nie tak jak Greg i Jack - ani na chwilę nie wątpiła w to, co mówi Maddy. Wierzyła jej jako kobieta. Poza tym nigdy nie lubiła Paula McCutchinsa; kojarzył jej się z bykiem.

- Myślę, że właśnie po to tu dzisiaj jesteśmy, prawda? Cóż to za podręcznikowy przykład bezkarnego aktu przemocy wobec kobiety... Tak się cieszę, że wygłosiła pani ten komentarz, Maddy. Duży był oddźwięk?

Maddy uśmiechnęła się.

- Dostaliśmy tysiące listów od kobiet. Wszystkie się ze mną solidaryzują. Od mężczyzn prawie wcale. A mój mąż jest prawie gotów rozwieść się ze mną z powodu tego wystąpienia.

- Jack? Nie do wiary - Phyllis Armstrong wyglądała na autentycznie zdumioną. Podobnie jak jej mąż, zawsze bardzo lubiła Jacka Huntera.

- Obawia się, że senator wystąpi przeciwko niemu z pozwem o zniesławienie - wyjaśniła Maddy.

- Jeśli domysły o znęcaniu się są prawdziwe, to wątpię, żeby się odważył - zauważyła praktycznie pani Armstrong. Wchodziły już do pokoju, gdzie czekali na nie inni członkowie świeżo powołanej komisji. - Nie będzie chciał ryzykować, że pani udowodni jego winę. Ale, ale, czy Janet nie zostawiła jakiejś notatki?

- Prawdopodobnie był list do dzieci, ale nie wiem, czy ktoś go czytał. Znalazła go policja i dała Paulowi.

- Idę o zakład, że nikt więcej nie zobaczy go na oczy. Proszę powiedzieć Jackowi, żeby się rozluźnił. Została zrobiona rzecz słuszna. To promień światła w ciemnościach, jakie otaczają ponurą sprawę przemocy wobec kobiet.

- Przekażę mu pani opinię - uśmiechnęła się Maddy, omiatając wzrokiem pokój. Znajdowało się tu czterech mężczyzn i siedem kobiet; ona była ósma. Wśród mężczyzn rozpoznała dwóch sędziów federalnych, a wśród kobiet sędzię sądu apelacyjnego i znaną dziennikarkę. Pierwsza Dama przedstawiła pozostałe kobiety: dwie nauczycielki, adwokatkę,

psychiatrę i lekarkę internistę. Trzeci mężczyzna również był lekarzem internistą, czwartym zaś okazał się Bill Alexander, były ambasador Kolumbii, który stracił żonę w zamachu terrorystycznym. Pani Armstrong powiedziała, że po odejściu z Departamentu Stanu zrobił sobie wolne i zajmuje się pisaniem książki. Była to interesująca, zróżnicowana grupa: Azjaci, Afroamerykanie, biali, młodzi i starzy, wszyscy profesjonalści, niektórzy dość znani, przy czym Maddy, najmłodsza z nich, od sześciu lat najbardziej, jeśli nie liczyć Pierwszej Damy.

Phyllis Armstrong wezwała obecnych, by działali szybko i sprawnie. Weszła sekretarka, która miała robić notatki; agenci Secret Service zostali za drzwiami. W salonie na zabytkowym angielskim stole królowała ogromna srebrna taca z ciasteczkami i świeżo zaparzona kawa i herbata.

Pani Armstrong macierzyńskim wzrokiem ogarnęła pokój. Znała każdego z uczestników i zwracała się do nich po imieniu. Zdążyła już opowiedzieć im o śmiałym wystąpieniu Maddy we wtorek wieczorem i o Janet McCutchins. Kilka osób zresztą słyszało telewizyjny komentarz i solidaryzowało się z nim całym sercem.

- Czy ona naprawdę była maltretowana? - spytała jedna z kobiet. Maddy zawahała się.

- Nie jestem pewna, jak należy odpowiedzieć na to pytanie. Jestem przekonana, że była, choć nie potrafiłabym udowodnić tego przed sądem. W każdym razie ona sama mi o tym mówiła. - Maddy zwróciła pytające spojrzenie na panią Armstrong. - Zakładam, że to, co tu mówimy, ma charakter poufny.

- Oczywiście -zapewniła ją Pierwsza Dama.

- Wierzę jej, chociaż dwie pierwsze osoby, którym o tym powiedziałam, nie uwierzyły mi. To byli mężczyźni, mój kolega z ekranu i mój mąż. A przecież powinni wiedzieć, że to wcale niewykluczone.

- Zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby się zastanowić, w jaki sposób można skutecznie przeciwdziałać zbrodniom przeciwko kobietom - powiedziała głośno pani Armstrong, otwierając zebranie. - Czy to sprawa legislacji, czy społecznego postrzegania kwestii przemocy. I co jako komisja możemy zrobić w tej sprawie. Jestem przekonana, że możemy, i to niemało.



Wszyscy obecni skinęli głowami.

- Proponuję, żeby zacząć dzisiaj od czegoś trochę niekonwencjonalnego. Chciałabym, o ile nie mają państwo nic przeciw temu, żeby każdy po kolei opowiedział, dlaczego się tu znalazł, bez względu na to, czy przyczyny mają charakter osobisty, czy zawodowy. Moja sekretarka nie będzie notowała tych wypowiedzi. Kto nie chce mówić, nie musi, ale myślę, że byłoby to interesujące dla wszystkich. - Pierwsza Dama wiedziała również, choć tego nie powiedziała, że wytworzy to między nimi natychmiastową więź. - Chciałabym mówić pierwsza, jeśli państwo pozwolą.

Zgromadzeni czekali przez chwilę w pełnym szacunku milczeniu. To, co powiedziała, było dla nich całkowitym zaskoczeniem.

- Mój ojciec był alkoholikiem i bił matkę regularnie co weekend, po piątkowej wypłacie. Byli małżeństwem przez czterdzieści dziewięć lat, zanim w końcu mama zmarła na raka. To bicie było dla mnie i trojga mojego rodzeństwa czymś w rodzaju rytuału. Nienawidziliśmy tego, ale akceptowaliśmy jako coś nieuniknionego, tak samo jak na przykład pójście do kościoła w niedzielę. Zazwyczaj uciekałam do mojego pokoju, żeby nie słyszeć, ale słyszałam i tak. A potem słyszałam, jak matka płacze w sypialni. Mimo to nigdy od niego nie odeszła, nigdy nie zrobiła nic, żeby go powstrzymać i nigdy mu nie oddała. Kiedy dorośliśmy, moi bracia też zaczęli pić. Jeden, najstarszy, maltretował swoją żonę, drugi I z kolei został abstynentem i doszedł do stanowiska ministra, a najmłodszy zmarł jako alkoholik w wieku lat trzydziestu. Co do mnie, to nie, nie miałam problemów z alkoholem, jeśli to państwa interesuje. Nie lubiłam go specjalnie, piłam rzadko. Przez całe życie miałam natomiast inny problem: że kobiety powszechnie są bite najczęściej przez ich własnych mężów, i że nikt nic nie robi w tej sprawie. Zawsze sobie obiecywałam, że pewnego dnia wreszcie się do tego wezmę. Codziennie kobiety stają się ofiarami napaści, seksualnych nadużyć, gwałtów, codziennie są bite, a nawet zabijane przez swoich mężów i partnerów, a my z jakiegoś powodu godzimy się z tym. Nie podoba nam się to, nie akceptujemy tego, płaczemy, kiedy słyszymy o podobnych przypadkach, zwłaszcza jeśli znaleźmy ofiarę... A pomimo to nie robimy nic, żeby skończyć z tym j procederem. Nie wyciągamy pistoletu, noża czy choćby ręki, całkiem tak jak ja. Nigdy nie zrobiłam nic, żeby powstrzymać ojca. Może nie

wiemy, jak się do tego zabrać, a może po prostu za mało się przejmujemy? Myślę jednak, że się przejmujemy, tylko po prostu nie lubimy o tym j myśleć. Chcę doprowadzić do tego, żeby ludzie zaczęli myśleć i działać. Najwyższy czas. Liczę na to, że pomogą mi państwo powstrzymać przemoc wobec kobiet. Dla dobra nas wszystkich, ze względu na pamięć mojej matki, dla naszych córek, sióstr, przyjaciółek... Bardzo dziękuję, że przyszliście tutaj i że sprawa jest dla was tak ważna i chcecie mi pomóc.

Kiedy skończyła, miała łzy w oczach. Wszyscy wpatrywali się w nią przez chwilę. Cóż za nieoczekiwana historia... Ale Phyllis Armstrong stała się dla nich o wiele bardziej realna.

Lekarka psychiatra, która wychowała się w Detroit, opowiedziała swoją historię: ojciec zabił matkę i siedział za to w więzieniu. Ona sama została lesbijką po tym, jak w wieku piętnastu lat została zgwałcona i pobita przez starszego chłopca z tego samego podwórka, z którym wspólnie się bawili jako dzieci. Obecnie żyła od czternastu lat z tą samą kobietą i czuła, że wyleczyła się już z ran dzieciństwa, ale niepokoiła ją rosnąca liczba przypadków przemocy wobec kobiet, nawet w środowisku gejów, i powszechna skłonność do odwracania wzroku, gdy zdarzało się coś takiego.

Niektórzy z obecnych nie mieli bezpośredniego kontaktu z przemocą. Obaj sędziowie federalni powiedzieli jednak, że ich ojcowie stale bili matki, a oni sami, dopóki nie dorośli, byli przekonani, że to normalne. Po nich przyszła kolej Maddy.

Przez chwilę się wahała. Nigdy dotąd nie opowiadała publicznie o swoich przeżyciach i na samą myśl, że ma to zrobić, czuła się obnażona.

- Myślę, że moja historia nie różni się specjalnie od pozostałych - zaczęła. - Wychowałam się w Chattanooga, w Tennessee. Odkąd pamiętam, ojciec zawsze bił matkę. Czasem mu oddawała, ale najczęściej nie. Czasem bił japo pijanemu, a czasem po prostu dlatego, że był na nią zły albo że rozzłościła go inna osoba czy zdarzenie. Byliśmy bardzo biedni, bo ojciec nigdy nie potrafił utrzymać pracy, więc bił matkę również i za to. Cokolwiek przykrego go spotkało, zawsze była to jej wina. A kiedy nie miał jej pod ręką, bił mnie, choć nie zdarzało się to często. Te bijatyki to był jakby stały muzyczny motyw mojego dzieciństwa.

Musiła przerwać na chwilę, bo zabrakło jej tchu. Kiedy podjęła na nowo, po raz pierwszy od lat znów wychyciła u siebie resztki południowego akcentu.

- Jedyne, czego pragnęłam, to uciec z tego domu. Nienawidziłam go, nienawidziłam rodziców i tego, jak się nawzajem traktują. W wieku siedemnastu lat wyszłam więc za mąż za sympatię z liceum. Nazywał się Bobby Joe. Zaczął mnie bić, jak tylko się pobraliśmy. Pił i niespecjalnie lubił pracować. Mówił, że to wszystko przeze mnie, a ja mu wierzyłam. Mówił, że przecież jakbym nie była taką jędzą, taką złą, głupią, niedbałą żoną, w ogóle taką kretynką, to by mnie nie musiał bić... A tak to musi. Kiedyś złamał mi obie ręce, raz kopnął mnie tak, że spadłam ze schodów i złamałam nogę. Pracowałam wtedy w lokalnej telewizji w Knoxville. Została sprzedana człowiekowi z Texasu, który kupił później sieć telewizji kablowej w Waszyngtonie i zabrał mnie ze sobą. Myślę, że większość z państwa wie, o kim mówię. To Jack Hunter. Zostawiłam na kuchennym stole obrączkę i krótki liścik i spotkałam się z Jackiem na dworcu autobusowym. Miałam ze sobą jedną niewielką torbę, a w niej dwie sukienki. Uciekłam do Waszyngtonu jak stałam, żeby pracować u Jacka, a kiedy po roku dostałam rozwód, wyszłam za niego. Od tej pory nikt nie dotknął mnie palcem. Nie pozwoliłabym. Kiedy ktoś chociażby krzywo na mnie spojrzy, od razu uciekam gdzie pieprz rośnie. Nie wiem, dlaczego właśnie ja miałam szczęście, ale je miałam. Jack uratował mi życie. Jestem tym, kim jestem, wyłącznie dzięki niemu. Gdyby nie on, pewnie bym już nie żyła. Którejś nocy Bobby Joe pewnie by mnie zabił. Zepchnąłby mnie ze schodów i skrzyłabym kark. Albo kopnąłby mnie w brzuch... A może po prostu sama zapragnęłabym umrzeć? Nigdy dotąd nikomu o tym nie mówiłam. Wstydziłam się. Teraz jednak chcę pomóc kobietom takim jak ja, które nie miały mojego szczęścia, które czują, że są w pułapce i nie mają żadnego Jacka, który czekałby na nie w limuzynie, żeby zabrać je do innego miasta. Te kobiety nas potrzebują. - Oczy Maddy wypełniły się łzami. - Pomóc im to nasz obowiązek.

- Dziękuję, Maddy - powiedziała miękko Phyllis Armstrong. Wszyscy tu mieli na koncie podobne przeżycia. Albo większość z nich: adwokaci, sędziowie, lekarze, nawet Pierwsza Dama... Wszyscy wiedzieli, co to przemoc i gwałt. Tylko dzięki łutowi szczęścia i być może większej odporności udało im się przeżyć, ale doskonale zdawali sobie sprawę, że

są tysiące innych kobiet, które nie miały tyle szczęścia i które potrzebują ich wsparcia. Obradująca w prywatnych pomieszczeniach Pierwszej Damy grupa pragnęła im przyjść z pomocą.

Bill Aleksander mówił ostatni i - jak podejrzewała Maddy - jego historia była najbardziej niekonwencjonalna. Pochodził z dobrego domu w Nowej Anglii; rodzice kochali go i kochali się nawzajem. Swoją żonę poznał i ożenił się z nią, kiedy studiowali. Ona w Wellesley, on w Harvardzie. Zrobił doktorat z polityki zagranicznej i nauk politycznych, parę lat wykładał w Dartmouth, potem w Princeton, a potem przeniósł się do Harvardu. I wtedy, w wieku lat pięćdziesięciu, został mianowany ambasadorem w Kenii. Następny był Madryt, stamtąd zaś wysłano go do Kolumbii. Miał troje dorosłych dzieci: lekarza, prawnika i bankowca. Wszystkie cieszyły się szacunkiem. Prowadził życie spokojne, „normalne”, jak powiedział z uśmiechem, niemal nudne, ale satysfakcjonujące.

Kolumbia była dla niego interesującym wyzwaniem. Sytuacja polityczna delikatna, handel narkotykami przenikał wszystkie dziedziny życia i gospodarki, szerzyła się korupcja. To, co miał tam do zrobienia, fascynowało go i bynajmniej nie przerastało - do czasu, gdy porwano mu żonę. Była przetrzymywana przez siedem miesięcy...

Głos mu zadrżał. Przerwał. Było jasne, że usiłuje powstrzymać łzy. Siedząca obok lekarka wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego ramienia. Uśmiechnął się do niej przez łzy. Wszyscy byli teraz przyjaciółmi, znali nawzajem swoje najintymniejsze, najgłębiej skrywane sekrety.

- Próbowaliśmy wszystkiego, żeby ją uwolnić - ciągnął niskim, łamiącym się głosem. Maddy obliczyła w myśli, że skoro trzykrotnie był mianowany ambasadorem, musi mieć obecnie sześćdziesiątkę. Miał białe włosy, niebieskie oczy, młodzieńczą twarz i atletyczną, wysportowaną sylwetkę. - Departament Stanu wysłał specjalnych negocjatorów, którzy prowadzili rozmowy z porywaczami. Tamci zażądali wymiany jeńców. Chcieli w zamian za żonę uwolnienia stu więźniów politycznych, a Departament Stanu nie chciał się na to zgodzić. Rozumiałem przyczyny odmowy, ale nie chciałem jej stracić... CIA próbowało ją odbić, ale bez powodzenia. W rezultacie przewieziono ją w góry i nie byliśmy w stanie zlokalizować miejsca jej pobytu. W końcu ja osobiście zapłaciłem okup,

jakiego żądali, i to było bardzo głupie posunięcie - głos znowu mu się załamał. - Próbowałem sam z nimi negocjować. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Mało nie oszalałem, usiłując ją odzyskać. Tamci jednak byli za sprytni, za szybcy... Byli źli. Zapłaciłem okup, a oni w trzy dni później ją zabili. Ciało podrzucili na schodach ambasady... - Teraz już nie hamował łez. - Miała obcięte ręce.

Przez chwilę siedział, szlochając. Phyllis Armstrong wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Odetchnął głęboko. Wszyscy siedzieli jak skamieniali. Co za straszliwa historia... Musiało się to odbić na całym jego życiu.

- Czuję, że to ja odpowiadam za tę fuszerkę. Nie powinienem był sam próbować negocjacji z nimi. To ich tylko dodatkowo rozwścieczyło. Myślałem, że zdołam jej pomóc, ale prawdopodobnie gdybym pozostawił sprawę ekspertom, tamci potrzyimaliby ją rok czy dwa, tak jak to zdarza się z innymi porwanymi, i w końcu by ją wypuścili... W pewnym sensie sam ją zabiłem.

- Nonsens, Bill - powiedziała z przekonaniem Phyllis. - Mam nadzieję, że w gruncie rzeczy sam o tym wiesz. Nie sposób przewidzieć, co by się stało. To ludzie niemoralni, pozbawieni jakichkolwiek zasad, życie ludzkie znaczy dla nich tyle co nic. Mogli ją zabić bez względu na wszystko. Jestem przekonana, że to było możliwe.

- Chyba już zawsze będę się czuł tak, jakbym to zrobił sam - powiedział ponuro Bill. - Prasa to właśnie sugerowała.

Maddy nagle przypomniała sobie, jak Jack opowiadał, że ten Bill Alexander to idiota. Teraz i ona знаła całą historię... Jak Jack mógł być taki bezwzględny?

- Prasa uwielbia sensację, ale najczęściej dziennikarze nie mają pojęcia, o czym mówią - ze współczuciem spojrzała mu w oczy. Nigdy w życiu nie widziała w czyimś spojrzeniu takiego bólu... Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale siedziała za daleko. - Chodzi im wyłącznie o to, żeby historia dobrze się sprzedała. Wiem o tym z doświadczenia, panie ambasadorze. Tak mi przykro, że musiał pan przez to przejść...

- Mnie też - wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę i wytarł nos. - Dziękuję, pani Hunter.

- Wszyscy mamy za sobą trudne przeżycia. Właśnie dlatego tu

jesteśmy. Ale nie dlatego państwa tu wezwałam - Phyllis Armstrong powoli przechodziła do sedna sprawy. - Większości tych historii nie znałam, kiedy proponowałam państwu udział w komisji. Zaprosiłam was, bo jesteście inteligentnymi, wrażliwymi ludźmi. Właśnie dlatego tu przyszliście. Wszyscy poznaliśmy problem przemocy z własnego doświadczenia, przynajmniej większość z nas. To twarda szkoła. Wiemy, o czym mowa i jak się czuje człowiek w takiej sytuacji. To, co musimy zrobić obecnie, to zastanowić się, jak pomóc ludziom, którzy są w nią uwikłani. Jesteśmy tymi, którzy przeżyli, ale im może się nie udać. Musimy szybko do nich dotrzeć. Do mediów, do ludzkiej świadomości. Zegar tyka. Musimy do nich dotrzeć, zanim zginą. Kobiety umierają codziennie, atakowane na ulicach, porywane i torturowane przez obcych ludzi, ale najwięcej kobiet ginie z rąk mężczyzn, których dobrze znają: mężów, partnerów, chłopaków. Musimy zmienić myślenie ludzi o tej sprawie, a maltretowanym kobietom wskazać, gdzie mogą szukać pomocy, dopóki nie jest za późno. Musimy doprowadzić do zmiany przepisów prawnych, tak by działały na korzyść kobiet. Musimy doprowadzić do tego, żeby zbrodnia znęcania się nieuchronnie pociągała za sobą karę więzienia, żeby sprawca płacił wysoką cenę za przemoc. To jakby wojna. .. Wojna, którą musimy wygrać. Proszę, byście wszyscy państwo poszli teraz do domu i zastanowili się, co możemy zrobić, żeby zmienić stan rzeczy. Proponuję, żebyśmy się spotkali znowu za dwa tygodnie, zanim większość z państwa wyjedzie na urlop. Spróbujemy wtedy zaproponować pewne rozwiązania. Dziś zależało mi przede wszystkim na tym, żebyście się państwo nawzajem poznali. Ja znam was wszystkich, większość nawet znam dobrze, teraz jednak również państwo wiecie, z kim będziecie pracować i dlaczego wasi towarzysze się tu znaleźli. W zasadzie wszyscy tu jesteśmy z tych samych powodów. Niektórzy ucierpieli bardziej niż inni, wszyscy jednak chcemy doprowadzić do zmian i na pewno jesteśmy w stanie to zrobić. Nawet każde z osobna może coś zmienić, ale razem stanowimy siłę, której nic się nie oprze. Mam do państwa pełne zaufanie. Sama również przemyśle wszystko do następnego spotkania.

Wstała i ogarnęła wszystkich ciepłym spojrzeniem.

- Dziękuję państwu. Jeśli ktoś chciałby zatrzymać się jeszcze przez chwilę i porozmawiać, bardzo proszę. Ja, niestety, muszę już iść.

Jestem umówiona na kolejne spotkanie.

Była już prawie czwarta. Maddy nie mogła uwierzyć, że w ciągu dwóch godzin można się tyle dowiedzieć o ludziach... Miała wrażenie, że spędziła z nimi wiele dni. Co za emocje! Pomyślała, że przed wyjściem warto podejść do Billa Alexandra i porozmawiać z nim chwilę. Wyglądał na sympatycznego człowieka, a jego historia była taka tragiczna...

Wyglądało na to, że dotąd nie odzyskał równowagi, i nic dziwnego. Po tym, co przeżył... W dodatku zdarzyło się to zaledwie siedem miesięcy temu. Dziwne, że w ogóle jakoś się trzyma.

- Tak mi przykro, panie ambasadorze - rzekła łagodnie. - Słyszałam już wcześniej o pańskich przejściach, ale to zupełnie co innego usłyszeć to bezpośrednio od pana. Co za koszmar...

- Nie wiem, czy kiedykolwiek się z niego otrząsnę - powiedział szczerze. - Wciąż mi się śni to wszystko... - Opowiedział jej o swoich powracających koszmarach. Lekarka psychiatra spytała, czy chodził na terapię; odparł, że owszem, leczyl się przez parę miesięcy, ale przestał. Istotnie, wyglądał na człowieka zrównoważonego i był niewątpliwie niezwykle inteligentny, ale Maddy nie mogła się nadziwić, jak zdołał przeżyć coś takiego i funkcjonować normalnie. Musiał być niezwykłą osobowością.

- Cieszę się, że będziemy razem pracować - powiedziała z uśmiechem.

- Dziękuję, pani Hunter - uśmiechnął się do niej również.

- Jestem Maddy.

- A ja Bill. Widziałem twoje wystąpienie sprzed paru dni, w związku z Janet McCutchins. Było wstrząsające, tak jak powinno.

Uśmiechnęła się niewesoło.

- Mój mąż dotąd nie może mi go wybaczyć. Martwi się, że telewizja może przez nie ucierpieć.

- Człowiek powinien być dzielny i robić od czasu do czasu rzeczy słuszne bez względu na konsekwencje. Wie pani o tym tak samo jak ja. Trzeba słuchać nie tylko doradców, ale i własnego serca. Jestem pewien, że pani mąż to rozumie. Należało to zrobić, a więc zrobiła to pani.

- Nie sądzę, żeby mąż zgodził się z tą opinią... Ale jestem zadowolona, że to zrobiłam.

- Ludzie powinni byli to usłyszeć - powiedział z przekonaniem. W jego głosie znów była siła, wyglądał też młodziej niż dotychczas. Na

Maddy wywarł wrażenie i jego wygląd, i zachowanie na spotkaniu.

- Ja też tak sędzę - powiedziała i spojrzała na zegarek. Było już po czwartej i musiała wracać do studia, żeby zdążyć poprawić fryzurę i makijaż. - Niestety, o piątej wchodzę na wizję. Do zobaczenia na następnym spotkaniu!

Wymieniła z paroma osobami uścisk dłoni i wyszła pospiesznie. Na dole złapała taksówkę. Kiedy dotarła do studia, Greg siedział już na krześle, poddając się zabiegom charakteryzatorki.

- Jak było?

- Bardzo interesująco. Jestem pod wrażeniem. Poznałam Billa Alexandra, eksambasadora Kolumbii, którego żonę zabili terroryści w zeszłym roku. Co za okropna historia...

- Tak, przypominam sobie... Widziałem materiał na ten temat. Facet był w zupełnym proszku, kiedy podrzucili mu ciało żony pod ambasadę. I trudno mu się dziwić... Szkoda chłopca. Jak on teraz?

- Wygląda nieźle, ale myślę, że nie wrócił jeszcze do równowagi. Píše książkę na ten temat.

- To chyba dobry pomysł... Kto jeszcze był?

Rzuciła parę nazwisk, nie wspominając jednak ani słowem o osobistych przeżyciach uczestników. Była zobowiązana do milczenia. Kiedy makijaż był gotów, poszła do studia i przejrzała wiadomości, które miała dziś odczytać. Nie było nic szczególnie zaskakującego ani przerażającego, codzienna papka. Weszła na wizję, rozprawiła się z nią gładko i wróciła do swojego boksu. Było parę spraw, o których chciała poczytać, zanim przyjdzie pora kolejnych wiadomości... O ósmej skończyła pracę. Cóż za długi dzień... Gotowa do wyjścia zadzwoniła do męża. Był jeszcze na górze, kończąc właśnie jakieś spotkanie.

- Zawieszysz mnie czy mam wracać do domu piechotą? - spytała, uśmiechając się mimo woli. Wciąż był na nią zły, ale przecież musiał wiedzieć, że to nie może trwać bez końca.

- Jeszcze przez pół roku będziesz biec za samochodem, żeby odpokutować za grzechy. I za to, co mnie będzie kosztować twój wygląd.

- Phyllis Armstrong uważa, że Paul nie odważy się nas podać do sądu.

- Mam nadzieję, że się nie myli. Bo jeśli tak, to co? Prezydent zapłaci rachunek? A będzie niemały, możesz być pewna.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedziała spokojnie.



- A posiedzenie komisji było rewelacyjne, nawiasem mówiąc. Było paru świetnych ludzi... - Po raz pierwszy od wtorku rozmawiali mniej więcej normalnie i Maddy ucieszyła się, że mąż trochę się rozluźnił.

- Będę na dole za dziesięć minut - powiedział szybko. - Muszę tu jeszcze doprowadzić do końca parę spraw.

Kiedy się pojawił, nie wyglądał na uszczęśliwionego jej widokiem, ale też nie był tak okrutny jak przez te trzy dni, które upłynęły od jej „wykroczenia”. W drodze oboje bardzo się starali, by przypadkiem nie wspomnieć o tej sprawie. Wstąpili na pizzę, a ona opowiedziała mu o popołudniowym spotkaniu. Jemu również nie zdradziła szczegółów z życia osobistego uczestników, mówiła tylko ogólnie, co mają zamiar robić. Czuła się odpowiedzialna za towarzyszy niedoli.

- Macie ze sobą coś wspólnego czy po prostu jesteście grupą bystrych i zainteresowanych tematem ludzi?

- I jedno, i drugie... Bardzo się zdziwiłam, że wszyscy w jakiś sposób mieli do czynienia z przemocą. Wszyscy mówili o tym bardzo otwarcie. - To było wszystko, co mogła i zamierzała mu powiedzieć.

- Chyba nie opowiadałaś im o swoich przeżyciach? - spytał zaniepokojony.

- Cóż, opowiadałam. Wszyscy nieźle dostaliśmy w kość, nie ja jedna...

- Postąpiłaś głupio, Mad - powiedział bez ogródek. Wciąż był na nią zły. - A jeśli ktoś poda to do prasy? Chcesz mieć taki image! Bobby Joe w Knoxville kopie cię w tyłek, aż spadasz ze schodów?

Nie podobał jej się ten ton, ale nie odezwała się.

- Może warto zaryzykować własny image, jeśli dzięki temu ludzie się dowiedzą, że przemoc zdarza się również takim jak ja osobom. Może uratuje to komuś życie albo przekona, że ucieczka jest możliwa?

- Ale tobie może to przynieść tylko ból głowy, plus publiczny wizerunek nędzarki z przyczepy. A ja zainwestowałem fortunę, żeby stworzyć całkiem inny... Nie pojmuję, jak mogłaś być taka głupia.

- Byłam uczciwa, jak wszyscy inni. Niektórzy mają jeszcze gorszy życiorys niż ja. - Pani Armstrong też niespecjalnie ma się czym chwalić, a przecież tego nie ukrywała... Wszyscy byli szczerzy i właśnie to było wspaniałe. - Bill Aleksander też jest w komisji. Opowiadał nam o porwaniu swojej żony. - Ta sprawa była ogólnie znana, więc mogła powiedzieć o niej Jackowi. Ale on tylko wzruszył ramionami.

Najwyraźniej daleki był od współczucia.

- Równie dobrze mógł ją zabić własnoręcznie. Próbować negocjować samemu... Co za głupota! Cały Departament Stanu mu to mówił, cholera, a on nie słuchał.

- Był zrozpaczony i prawdopodobnie nie myślał racjonalnie. Przetrzymano ją siedem miesięcy, zanim została zamordowana. Z samej niepewności można oszaleć... - broniła ambasadora, ale Jack był niewzruszony. Irytowało ją to. Czy nie jest w stanie zrozumieć uczuć człowieka postawionego w podobnej sytuacji? - Co masz przeciwko niemu? Mam wrażenie, że go nie lubisz.

- Zanim zaczął wyklądać w Harvardzie, był krótko jednym z doradców prezydenta. Miał pomysły rodem ze średniowiecza, a na punkcie etyki fiola. Istny krzyżowiec...

Co za nieżyczliwa charakterystyka... Maddy słuchała tego z niesmakiem.

- Myślę, że jest w nim coś więcej. To człowiek wrażliwy, inteligentny, w ogóle przyzwoity facet.

- Być może po prostu go nie lubię. Czegoś mu brak... życia, sex appeal, bo ja wiem?

Że też można powiedzieć coś podobnego o Billu! To przecież taki przystojny mężczyzna... A równocześnie była w nim jakaś prostota i bezpośredniość. Naturalnie, bardzo różnił się od całego tego efektownego tłumu, w jakim lubił obracać się Jack. Maddy nie była pewna, czy miałaby za złe Billowi jego pomysły i sposób bycia, choć najwyraźniej nie był on dostatecznie olśniewający jak na gust jej męża.

Dotarli do domu o dziesiątej. Maddy, choć zazwyczaj tego nie robiła, włączyła telewizor i zamarła. Oddziały amerykańskich żołnierzy dokonywały kolejnej inwazji na Irak. Odwróciła się i zobaczyła coś dziwnego w oczach męża, śledzącego wydarzenia na ekranie.

- Wiedziałeś o tym, prawda? - spytała wprost.

- Ja nie doradzałem prezydentowi tej wojny, Mad. Rozmawialiśmy o sprawach mediów.

- Bzdura. Wiedziałeś o tym. To po to jeździłeś do Camp David w zeszłym tygodniu, prawda? A ostatnio do Pentagonu... Czemu mi nic nie powiedziałeś?

W przeszłości zdarzało się, że dzielił się z nią supertajnymi

informacjami. Po raz pierwszy poczuła się tak, jakby nie miał do niej zaufania. To bolało.

- To była zbyt delikatna sprawa... I zbyt ważna.

- Ilu chłopców tam zginie, Jack... - powiedziała przygnębiona. W głowie miała zamęt. Dla niej też będzie to ważna wiadomość. W poniedziałek.

- Czasami ofiary są nieuniknione - głos męża brzmiał chłodno. Był przekonany, że prezydent podjął słuszną decyzję.

Jack i Maddy już wcześniej mieli odmienne opinie na ten temat.

Obejrzelili wiadomości do końca. Dziewiętnastu żołnierzy zostało zabitych tego ranka podczas wymiany ognia z siłami irackimi - brzmiała ostatnia wiadomość. Jack wyłączył telewizor.

- To ciekawe, że prezydent wprowadził cię w tę sprawę, Jack. Dlaczego?

- A dlaczego nie? Ma do mnie zaufanie.

- Ma do ciebie zaufanie czy wykorzystał cię do pokazania inwazji w mediach w taki sposób, żeby nie popsulo to jego wizerunku w oczach opinii publicznej?

- Ma prawo zasięgać rady, jak pokazać sprawę w mediach. To nie zbrodnia.

- Zbrodnia nie, ale być może wciskanie ludziom czegoś, co na dłuższą metę może się okazać szkodliwe i niesłuszne, nie jest całkiem uczciwe.

- Oszczędź mi prezentowania swoich politycznych poglądów, Mad. Prezydent wie, co robi.

Zła była na niego za tę zdecydowaną odprawę, a równocześnie zaintrygowana. Jack najwyraźniej zdobywał coraz bardziej liczącą się pozycję w oczach obecnego rządu. Może również i stąd brała się jego wściekłość wobec sprawy Janet McCutchins? Może bał się, że jej wystąpienie naruszy delikatną równowagę wpływów, która obecnie jest dla niego korzystna? Jack zawsze miał wszystko na uwadze i potrafił błyskawicznie ocenić zyski i straty jakiegoś posunięcia. Kalkulował każde swoje posunięcie, a tym bardziej cudze, które mogło go dotyczyć.

Kiedy jednak znaleźli się razem w łóżku, był dla niej cieplejszy niż w ciągu ostatnich paru dni. Objął ją i przyciągnął do siebie. Czują, jak bardzo jest jej spragniony.

- Przykro mi, że ten tydzień był dla nas taki zły - szepnęła.

- Nie rób tego więcej, Mad. Następnym razem ci nie wybaczę, a wiesz, co by się stało, gdybym cię kiedyś wyrzucił. - Jego głos brzmiał twardo i bezwzględnie. - Byłabyś skończona, Mad. Ugotowana. Twoja kariera zależy ode mnie i nigdy o tym nie zapominaj. Nie igraj ze mną Maddy. Mogę zdmuchnąć twoją karierę jak świeczkę. Nie jesteś aż taką gwiazdą, jak ci się wydaje. Jesteś nią wyłącznie jako moja żona.

Poczuła się chora. Nie z powodu tego, co mogłaby stracić, gdyby ją rzucił, a z powodu sposobu, w jaki to powiedział. Nie odrzekła ani słowa, on zaś ścisnął jej piersi, mocno, o wiele za mocno, po czym, również bez słowa, zwałił się na nią i pokazał jej, kto tu rządzi. Tylko i wyłącznie Jack, nigdy Maddy. Zaczynała myśleć, że władza i siła to jedyne rzeczy, jakie mają dla niego znaczenie.

RS

## Rozdział piąty

W sobotę, kiedy się obudziła, Jack był już ubrany i zbierał się do wyjścia. Powiedział, że cały dzień spędzi w Pentagonie i może się go spodziewać dopiero na kolacji.

- Po co tam idziesz? - spytała, spoglądając na niego z łóżka. W garniturze i szarym golfie wyglądał niezwykle przystojnie. Na dworze było ciepło, on jednak miał spędzić cały dzień w pomieszczeniu klimatyzowanym i stąd ten strój.

- Mam wziąć udział w paru ich odprawach. Dzięki temu będziemy lepiej wiedzieli, co się tam dzieje. To, co usłyszę, nie będzie, oczywiście przeznaczone do rozpowszechniania, ale pomoże nam widzieć sprawy we właściwej perspektywie. Prezydent potrzebuje też rady, jak przełożyć to na język mediów. Myślę, że mogę mu w tym pomóc.

To było dokładnie to, co podejrzewała wczoraj wieczorem... Jack staje się tubą prezydenta.

- Powiedzenie Amerykanom całej prawdy mogłoby się okazać interesującym posunięciem. Na pewno byłoby to nowe i odświeżające - powiedziała, spoglądając na męża. Czasami nie podobała jej się jego gotowość do wygładzania prawdy, tak by nadać sprawom „właściwy” bieg. Niepokoiła ją ta postawa. Sama skłonna była raczej postrzegać świat jako czarno-biały. Albo coś było prawdą, albo nie. Jack dostrzegał w każdej sprawie tysiąc odcieni i możliwości interpretacji.

- Są różne wersje prawdy, Mad. Chcemy po prostu znaleźć taką, która będzie dla ludzi najłatwiej strawna.

- To bzdura i dobrze o tym wiesz. To nie jest sprawa stosunków z odbiorcą! Tu chodzi o prawdę.

- Myślę, że właśnie dlatego ja tam dziś idę, a nie ty. Ale, ale, a co zamierzasz dziś robić? - zmienił gładko temat.

- Nie wiem... Chyba zostanę w domu. Odpoczynek. A może pójdę na zakupy? - Chętnie wybrałaby się na nie z przyjaciółką. Cóż, kiedy nie miała ani jednej. Jack zmonopolizował cały jej czas, zarówno roboczy, jak wolny. Wszyscy ludzie, z jakimi widywali się towarzysko, byli tak czy inaczej związani ze sprawami zawodowymi, jak choćby McCutchinsowie.

- A czemu nie miałabyś się przelecieć do Nowego Jorku?

I zakupy byś sobie tam zrobiła... Na pewno by ci się podobało.

Skinęła głową, zastanawiając się.

- To by mogło być niezłe... A w Whitney jest wystawa, którą chciałam zobaczyć. Może mi się uda zdążyć? Naprawdę nie miałbyś nic przeciw temu, żebym wzięła samolot?

To jednak było życie jak z baśni... Nigdy o tym nie zapomniała. O takim luksusie i takich możliwościach nawet nie śniła, mieszkając w Knoxville, nie sądziła, że to w ogóle jest możliwe. Przypomniało jej się, co powiedział Jack w nocy: że bez niego byłaby nikim. Przykro było to usłyszeć, ale zaprzeczyć nie mogła. Cokolwiek dobrego zdarzyło się w jej życiu, zawdzięczała to Jackowi.

Zanim wyszedł, zadzwonił do pilota i powiedział mu, żeby czekał na Madeleine o dziesiątej i żeby się postarał o korytarz powietrzny na lot do La Guardia i z powrotem do Waszyngtonu tego samego wieczoru.

- Miłej zabawy - rzucił z uśmiechem na odchodnym. Podziękowała mu. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że nawet jeśli poświęca coś dla męża, otrzymuje w zamian o wiele więcej. Trudno było usprawiedliwić nawet zwykłe zdenerwowanie na niego.

O dziesiątej piętnaście stawiała się na lotnisku, starannie uczesana w kok, w białym lnianym garniturze. Pilot czekał już na nią i w pół godziny później wystartowali. W Nowym Jorku wylądowali o jedenastej trzydziści, tak że w południe była już w mieście. Poszła do Bergdorfa Goodmana i Saksa, a potem przespacerowała się po Madison Avenue, wstępując do ulubionych sklepów. Zjadła szybki lunch, a o wpół do czwartej wchodziła do Whitney Muzeum. Słodkie życie... Uwielbiała to. Jack zabierał ją do Los Angeles, Nowego Orleanu, San Francisco, Miami, a od czasu do czasu na weekend do Las Vegas. Wiedziała, że ją psuje, ale wdzięczna mu była za to. Nigdy nie traciła z oczu licznych przyjemności, jakie dawało jej życie z Jackiem, ani kariery, którą jej zapewniał. Powiedział prawdę: wszystko, co miała, zawdzięczała wyłącznie temu, że jest panią Hunter. Miała całkowitą pewność, że bez niego byłaby nikim. To przekonanie rodziło w niej szczególny rodzaj pokory, którą ludzie z zewnątrz odbierali jako naiwną i niepokojącą równocześnie. Niczego nie przyjmowała w sposób naturalny, z przekonaniem, że jej się to należy, i nie czuła, że jest coś warta jako Madeleine. Poczucie własnej wartości czerpała wyłącznie z Jacka. Zdołał

ją przekonać, że nawet nagrody, które otrzymywała, to była jego robota.

O piątej znalazła się z powrotem na La Guardia. Pozwolenie startu dostali na szóstą, a o siódmej trzydzieści wchodziła już do domu przy R Street. To był wspaniały dzień... I znakomita rozrywka. Kupiła dwa garnitury, parę kostiumów kąpielowych i kapelusz z wielkim rondem. W doskonałym nastroju wniosła swoje trofea do salonu. Jack siedział na kanapie z kieliszkiem wina w dłoni i oglądał wieczorne wiadomości. Znowu była mowa o Iraku. Jack sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego tym, co działo się na ekranie.

- Cześć, kochanie - powiedziała swobodnie. Animozje ubiegłego tygodnia rozwiały się; cieszyła się, że znowu widzi męża. W przerwie w wiadomościach odwrócił się ku niej z uśmiechem.

- Jak ci minął dzień, Mad? - spytał, napełniając znowu kieliszek.

- Fajnie. Kupiłam mnóstwo rzeczy, byłam też w Whitney... A tobie? - Wiedziała, że rola doradcy i tuby prezydenta to coś, co tygrysy lubią najbardziej.

- Super. Myślę, że załatwiliśmy parę spraw. - Biło od niego zadowolenie i coś, co wyglądało na poczucie własnej ważności. Istotnie, czuł się ważny. Dla nikogo spośród osób, które go znały, nie była to tajemnica, a tym bardziej dla Maddy.

- Możesz mi coś niecoś powiedzieć, czy wszystko jest ściśle tajne?

- Większość.

No cóż, dowie się z materiału, który dostanie w poniedziałek do odczytania w wiadomościach... Jednak ani ona, ani nikt inny nie pozna prawdy: oryginalnej, nie podredagowanej wersji wydarzeń.

- Co z kolacją? - spytał, wyłączając telewizor.

- Mogę coś przyrządzić, jeśli masz ochotę - postawiła pakunki na podłodze. Po całym dniu spędzonym na zakupach wciąż wyglądała świeżo i nieskazitelnie. - Albo możemy coś zamówić...

- A nie lepiej, żebyśmy gdzieś wyszli? Cały dzień przesiedziałem w pokoju z paroma facetami. Nieźle by było popatrzeć na prawdziwych ludzi. - Podniósł słuchawkę i zarezerwował na dziewiątą miejsca w Citronelle, najmodniejszej restauracji w Waszyngtonie. - Włóż coś ładnego.

- Tak jest - uśmiechnęła się do niego i znikła na schodach prowadzących do jej pokoju, zabierając ze sobą torby z zakupami. Po

godzinie była z powrotem, wykapana, uczesana, uperfumowana, w prostej czarnej koktajlowej sukience i sandałkach na wysokich obcasach. W uszach miała diamentowe kolczyki, a jej dekolt zdobił naszyjnik z pereł. Jack kupował jej od czasu do czasu piękne rzeczy i wyglądała w nich fantastycznie. Kolczyki z diamentami i ośmiokaratowy pierścionek zaręczynowy były jej najcenniejszymi trofeami. Nieźle, jak na dziecko z przyczepy w Chattanooga... Mówiła mu to nieraz, a on, kiedy chciał się z nią podrażnić, nazywał ją biednym białym śmieciem. Nie lubiła tego, ale to była prawda... nawet jeśli przeszłość została daleko. Było oczywiste, że Jack mówi żartem, chociaż zawsze krzywiła się na ten żart. Zbyt przykre obrazy ożywiał w jej pamięci.

- Ale się wysztafirowałaś - powiedział tytułem komplementu. Uśmiechnęła się.

Uwielbiała z nim wychodzić, pokazywać się światu jako jego kobieta. To, że jest żoną Jacka Huntera, wciąż było dla niej źródłem niesłabnącej satysfakcji, choć sama była teraz gwiazdą. Więcej ludzi znało dziś ją niż jego. Był rekinem mediów, człowiekiem, którego rady zasięga sam prezydent, ale ona była kobietą, która stanowiła wzorzec dla innych kobiet i obiekt marzeń wielu mężczyzn, codziennie obecna w ich salonach. Jej głosowi ufali, gdy mówiła im w oczy twardą prawdę, na przykład o Janet McCutchins i tylu innych bezimiennych ofiarach męskiej agresji... Maddy miała w sobie jakąś prawość i to się czuło. Greg stale jej powtarzał, że jest rewelacyjna i piekielnie atrakcyjna. Tak też wyglądała, gdy wychodzili na kolację.

Jack, co rzadko się zdarzało, prowadził sam. Po drodze pogadali o Nowym Jorku. Było jasne, że nie może nic powiedzieć o spotkaniu w Pentagonie. Ledwie weszli do Citronelle, pojawił się kelner i poprowadził ich do stolika. Wszystkie głowy zwróciły się ku nim. Komentowano urodę Maddy... Kobiety zerkały również na Jacka. Był taki przystojny z tym pełnym męskiego powabu uśmiechem i oczami, które jednym spojrzeniem ogarniały wszystko! Emanowała z niego aura władzy i sukcesu, a w Waszyngtonie to się liczyło. Ludzie zatrzymywali się przy ich stoliku, żeby zamienić parę słów, przeważnie politycy, jeden z doradców prezydenta. Co parę minut ktoś z wahaniem zwracał się do Maddy z prośbą o autograf. Chętnie składała swój podpis w podsunętym notesie czy na kartce i uprzejmie rozmawiała z wielbicielem czy



wielbicielką.

- Nie masz już tego po uszy, Maddy? - spytał Jack, nalewając jej następny kieliszek wina chłodzącego się w wiaderku obok stolika. Château Cheval Blanc rocznik 1959. Jack był ekspertem w sprawach win...

- Skądże... To strasznie miłe, że wiedzą kim jestem i że tak im zależy na moim podpisie.

Wielbiciele, odchodząc od jej stolika, mieli wrażenie, że zyskali nowego przyjaciela i że na żywo jest jeszcze sympatyczniejsza niż na ekranie. Kontakt z Jackiem nie był równie zachęcający. Nie miał w sobie jej bezpośredniości.

Była prawie północ, kiedy opuszczali restaurację. W niedzielę polecili na cały dzień do Wirginii. Jack nie lubił tracić choćby minuty, którą mógł spędzić na farmie... Pojeździł trochę na koniu, a potem zjedli lunch pod gołym niebem.

Było gorąco. Jack zauważył, że zapowiada się wspaniałe lato.

- Pojedziemy gdzieś na wakacje? - spytała Maddy, gdy wracali. Wiedziała, że Jack nie cierpi planować urlopu. Wolał decydować w ostatniej chwili i zaskakiwać ją wiadomością o wyjeździe. Załatwiał jej zastępstwo w pracy i porywał... Co prawda, wolałaby wiedzieć o tym trochę wcześniej. Zdarzało się, że informował ją dopiero w przeddzień albo nawet rano w dniu wyjazdu. A ona nigdy nie mówiła, że potrzebuje więcej czasu. Nie mieli dzieci, on był jej szefem, więc jeśli postanowił, że ma z nim wyjechać, kto by stawał okoniem.

- Jeszcze nie zdecydowałem - odparł mgliście. Nigdy nie pytał jej, gdzie chciałaby pojechać, zawsze jednak wybierał miejsca, w których ostatecznie bardzo jej się podobało. Życie z Jackiem było pełne niespodzianek... Kim była, żeby narzekać? Bez niego nigdy nie zobaczyłaby wszystkich tych miejsc. - Może wyskoczmy do Europy. - Wiedziała, że to jedyna informacja, jaką otrzyma, a może i jedyna, jakiej potrzebuje.

- Daj mi znać, kiedy mam się pakować - zakpiła, tak jakby nie miała nic do roboty i mogła z miejsca rzucić wszystko. Ale czasem właśnie tego od niej oczekiwał.

- W porządku - zgodził się i wyjął z teczki jakieś papiery. Był to sygnał, że na razie nie ma jej nic więcej do powiedzenia.

Maddy również wyjęła książkę - jedną z tych, które poleciła jej pani Armstrong - o przestępstwach wobec kobiet. Statystyki były przygnębiające, ale ciekawe.

- Co to jest? - spytał Jack, wskazując na książkę, kiedy samolot schodził do lądowania.

- Phyllis mi dała. O przestępstwach wobec kobiet.

- Przestępstwach? Takich jak pocięcie karty kredytowej? - zażartował.

Maddy zmarszczyła brwi. Nie znosiła, kiedy lekceważył coś, co było dla niej ważne.

- Nie przejmuj się aż tak bardzo tą komisją, Mad. To świetny sposób, żeby stworzyć twój image, i dlatego ci ją poleciłem, ale nie wariuj. Nie musisz przewodzić jakimś uciemionym bidulkom.

- Podoba mi się to, co robią i jak to robią - powiedziała spokojnie, ale z naciskiem. - To mnie naprawdę obchodzi i dobrze o tym wiesz.

Samolot dotknął kołami ziemi i potoczył się po pasie startowym.

- I wiem, jaka jesteś, Mad. Możesz wziąć na siebie zbyt dużo. Chodzi o twój wizerunek, Maddy, a nie o to, żebyś została Joanną d'Arc. Patrz na to z dystansem... Sporo z tego, co się mówi o maltretowaniu kobiet, to zwykły pic na wodę.

- Na przykład? - spytała, czując chłodny dreszcz na plecach. Co on wygaduje?

- Wszystkie te gadki o gwałtach na randce i wykorzystywaniu. A co najmniej połowa kobiet, nad którymi mężowie rzekomo się znęcają czy nawet je mordują, zwyczajnie na to zasługuje.

Powiedział to z takim przekonaniem, że wlepiła w niego oczy.

- Mówisz serio? Nie mogę w to uwierzyć. A ja? To znaczy, że ja też zasługiwałam na to, żeby Bobby Joe mnie bił?

- To był gnojek i pijaczyna. Bóg jeden wie, czy nie mówiłaś czegoś, co go prowokowało... Większości par zdarza się poprztykać, Maddy, czasem się poszturchają nawzajem, czasem któreś oberwie mocniej, ale to nie powód, żeby zaczynać narodową krucjatę. Wierz mi, gdybyś spytała Phyllis prywatnie, okazałoby się, że robi to z takich samych powodów, z jakich ja chcę, żebyś ty to robiła. To dobrze wygląda.

- Nie wierzę własnym uszom - szepnęła. - Jej ojciec przez cały czas znęcał się nad matką. Phyllis z tym dorastała. Tak samo było ze mną. Tak samo bywa z mnóstwem innych ludzi, Jack. A czasem facetowi nie

wystarczy samo bicie, musi zabić kobietę, żeby udowodnić, że jest silny i że ona jest nic niewarta. To też nazywasz zwykłym poprzytykaniem się? Kiedy ostatni raz zrzuciłeś kobietę kopniakiem ze schodów albo wytargałeś za włosy, albo cisnąłeś w nią gorącym żelazkiem, chlusnąłeś w oczy bielinką, przypalałeś papierosem? Masz pojęcie, przez co muszą przejść tacy ludzie?

- To są wyjątki, Mad, a nie reguła. Jasne, jest trochę pomyleńców, ale zabijają też innych ludzi. Nikt nigdy nie twierdził, że nie ma na świecie wariatów.

- Problem w tym, że niektóre kobiety żyją na co dzień ze swoimi prześladowcami czy nawet potencjalnymi mordercami. Przez dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt lat pozwalają się maltretować, bywa nawet, że zabić.

- Wobec tego to one są chore, nie uważasz? Przecież mogą odejść, a nie odchodzą. Kurczę, może po prostu to lubią?

Nigdy nie była tak wytracona z równowagi jak teraz, gdy słuchała słów męża. Ignorant! Ale wiedziała, że tak myśli większość ludzi. Czy zdoła do niego dotrzeć? Poczula się bezradna.

- Najczęściej są zbyt wystraszone, żeby odejść. Mężczyźni, którzy grożą żonom, że je zabiją przeważnie w końcu to robią... Takie są statystyki, i kobiety instynktownie o tym wiedzą. Za bardzo się boją żeby cokolwiek zrobić. Mają dzieci, nie mają dokąd się wyprowadzić, zazwyczaj są bez pracy, często bez pieniędzy... Taka kobieta jest w ślepym zaułku, a facet mówi jej, że jak się ośmieli ruszyć, zabije ją albo dzieci, albo i ją i dzieci. Co byś zrobił na jej miejscu? Zadzwoiłbyś do swojego prawnika?

- Nie. Spieprzałbym od chama najszybciej jak się da. Tak jak ty to zrobiłaś.

Spróbowała inaczej.

- Wyobraź sobie, że znęcanie się jest dla ciebie czymś dobrze znanym. Zwyczajnym. Normalnym. Wychowałeś się w takim domu, ciągle widziałeś przemoc. Stale mówili ci, że zasługujesz na bicie, i uwierzyłeś w to. Jesteś jak zahipnotyzowany, sparaliżowany. Jesteś sam, przerażony, nie masz do kogo pójść, nie masz dokąd uciec. Chcesz umrzeć, bo wydaje ci się, że to jedyna droga ucieczki. - W oczach Maddy pojawiły się łzy. - Jak sądzisz, dlaczego pozwalałam Bobby'emu Joe się

maltretować? Bo go kochałam? Nie, bo myślałam, że nie mam innego wyjścia i byłam przekonana, że mi się to należy. Rodzice mi mówili, że jestem do niczego, Bobby Joe powtarzał, że to wszystko moja wina... Nie znałam innego życia, dopóki nie poznałam ciebie, Jack.

Nigdy nie podniósł na nią ręki, a jej się wydawało, że to wystarcza, żeby być dobrym mężem.

- Więc pamiętaj o tym następnym razem, kiedy przyjdzie ci do głowy mnie zdenerwować, Mad. Nigdy nie podniosłem na ciebie ręki i nigdy tego nie zrobię. Jest pani szczęściarą pani Hunter - uśmiechnął się i wstał. Kołowali do terminalu i stracił już zainteresowanie sprawą która była dla niej tak ważna.

- Może właśnie dlatego czuję, że mam dług wobec innych, które nie miały tyle szczęścia, i chcę im pomóc - powiedziała, zastanawiając się równocześnie, dlaczego to, co powiedział, tak bardzo ją uwiera. Jack jednak był już wyraźnie zmęczony tematem. Wyszli z samolotu i ruszyli w kierunku domu. Żadne z nich nie powiedziało już więcej o tym ani słowa.

Wieczór minął spokojnie. Maddy przyrządziła spaghetti, potem oboje czytali, a potem poszli do łóżka i kochali się. Ale Maddy czuła się jakby nieobecna, obca - i smutna, choć nie wiedziała dlaczego. Później leżała obok męża, myśląc o tym, co powiedział i jak to powiedział. A kiedy zasnęła, śnił jej się Bobby Joe. W środku nocy obudziła się z krzykiem. Widziała go jak żywego... Stał przed nią z nienawiścią w oczach i okładał ją pięściami, a Jack z boku przyglądał się temu, kręcąc głową. Wiedziała, że to wszystko jej wina. Próbowwała się wyrwać, ale Bobby Joe dogonił ją i uderzył jeszcze raz.

## Rozdział szósty

Nazajutrz w pracy było jak w młynie. Na odczytanie czekały stosy wiadomości o walkach w Iraku i stratach, jakie poniosły podczas weekendu wojska USA. Zginęło pięciu kolejnych marines, został zestrzelony samolot z dwoma pilotami. Bez względu na to, co zrobił Jack, by pomóc prezydentowi w pozytywnym naświetleniu sprawy, fakty były nieubłagane: po obu stronach ginęli ludzie i mieli ginąć nadal.

O ósmej Maddy zeszła z wizji. Wybierali się z Jackiem na uroczystą kolację u ambasadora Brazylii, zabrała więc ze sobą wieczorową suknię, żeby przebrać się po pracy. Ledwie jednak zaczęła się przebierać, odezwał się telefon. Dzwonił Jack.

- Będę gotowa za pięć minut - powiedziała.

- Musisz iść beze mnie. Mam spotkanie, właśnie zostało zwołane. - Tym razem wiedziała, o co chodzi. Była pewna, że prezydent chce się dowiedzieć, jaka jest reakcja na Irak i poniesione tam straty.

- Rozumiem, że to spotkanie w Białym Domu.

- Coś w tym stylu.

- Może przyjdiesz później? - podsunęła. Przywykła, że czasem idzie na przyjęcie sama, ale wołała mieć u boku Jacka.

- Wątpię. Będziemy musieli trochę popracować. Jeśli uda nam się skończyć wcześniej, wpadnę, ale już dzwoniłem, żeby im powiedzieć, że to mało prawdopodobne. Zobaczmy się w domu. Przepraszam, Maddy.

- Nie ma sprawy. Niezbyt dobrze to wygląda w Iraku, prawda?

- Będzie lepiej. Musimy po prostu nauczyć się z tym żyć. - A jeżeli dobrze wykona swoją robotę, to i telewizowie się o tym przekonają. Maddy i Greg byli, co prawda, innego zdania, ale ich opinie były ich prywatną sprawą. Wiadomości przekazywali bez komentarza. - Do zobaczenia.

Skończyła się ubierać. Bładoróżowa suknia wyglądała bardzo efektownie przy jej kremowej cerze i ciemnych włosach. Wpięła w uszy kolczyki z bładoróżowymi topazami, na ramiona zarzuciła różowy atłasowy szal i wyszła. Jack zostawił jej samochód; do Białego Domu miał pojechać wozem służbowym.

Ambasada znajdowała się przy Massachusetts Avenue. Wyglądało na to, że zebrała się tu z setka ludzi. Rozmawiano po hiszpańsku,

portugalsku i francusku; słysząc było dźwięki samby. Maddy zauważyła wśród gości Billa Alexandra. Ucieszyła się.

- Witaj, Maddy - uśmiechnął się ciepło. - Jak się masz?

- Świetnie. Jak ci minął weekend? - Po wszystkim, czego się o nim dowiedziała, miała wrażenie, że są starymi przyjaciółmi.

- Dość zwyczajnie. Byłem w Vermont, żeby się zobaczyć z dziećmi. Mój syn ma tam dom. Ciekawe było tamto nasze spotkanie, prawda? Nie do wiary, ilu z nas miało do czynienia z przemocą w rodzinie... I każdy myśli, że dotyczy to tylko jego, a cała reszta żyje normalnie.

Jego oczy miały odcień głębokiego błękitu, niemal taki sam jak jej oczy, tylko ciemniejszy. Bujne białe włosy były starannie uczesane. W smokingu prezentował się bardzo przystojnie... Miał chyba z metr dziewięćdziesiąt wzrostu; Maddy wyglądała przy nim jak laleczka.

- Już bardzo dawno to zauważyłam - odparła. Nawet Pierwsza Dama nie była pod tym względem wyjątkiem... - Dawniej czułam się winna z powodu mojego dzieciństwa i młodości i wciąż mi się to zdarza, ale w końcu zdaję sobie sprawę, że taki zyciorys ma mnóstwo ludzi. Ale wiesz, człowiek mimo wszystko zawsze czuje się tak, jakby to była jego wina...

- Chyba sztuka polega na tym, żeby uwierzyć, że to nieprawda. Przynajmniej w twoim wypadku... Kiedy przyjechałem do Waszyngtonu, przez dłuższy czas wydawało mi się, że każdy, kto na mnie patrzy, myśli, że to ja zabiłem Margaret.

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Dlaczego tak sądziłeś?

- Bo sam tak myślałem. Do dziś uważam, że to, co zrobiłem, było głupie.

- Rezultat mógł być taki sam, tak czy owak. Terrorysty nie grają fair, Bill. Sam o tym dobrze wiesz.

- Trochę trudno przyjąć to do wiadomości, kiedy ceną jest życie kogoś, kogo kochasz... Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się to zrozumieć czy zaakceptować.

Był taki szczery, bezpośredni... Czują, że lubi go za to jeszcze bardziej. Wszystko w nim świadczyło, że jest subtelny i wrażliwy.

- Czy w ogóle można zrozumieć przemoc? - westchnęła. - To, z czym ja miałam do czynienia, jest o wiele prostsze, a i tak wątpię, czy to kiedyś naprawdę zrozumieć. Jak to możliwe, że ktoś ma ochotę zrobić coś

podobnego drugiemu człowiekowi? I dlaczego ja mu na to pozwalałam?

- Bo nie miałaś wyboru, nie miałaś wyjścia, nie było nikogo, kto by ci pomógł, nie wiedziałaś, dokąd się zwrócić. Czy dobrze to rozumiem? - spytał.

Skinęła głową. Wyglądało na to, że znakomicie wie, o co chodzi.

O wiele lepiej niż jej mąż czy tylu innych ludzi.

- Chyba trafiłeś w sedno - uśmiechnęła się. - A co myślisz o Iraku? - spytała, zmieniając temat.

- Cholerny wstyd, że musieliśmy tam wrócić. To sytuacja bez wyjścia.

.. Ludzie zaczną niedługo zadawać trudne pytania, zwłaszcza jeśli chłopcy będą ginąć w takim tempie, jak w ten weekend.

Zgadzała się z nim w zupełności, chociaż Jack był większym optymistą. Był przekonany, iż potrafi tak sprzedać sprawę, że ludzie ją kupią i nadal będą popierać działania prezydenta.

- Przykro patrzeć na to, co tam robimy - ciągnął Bill. - Obawiam się, że w opinii ludzi zyski z tej operacji nie są tak wysokie, żeby zrównoważyć straty.

Miała ochotę powiedzieć, że może podziękować za to Jackowi, ale nie powiedziała. Cieszyła się jednak, że Bill myśli tak samo jak ona. Porozmawiali jeszcze chwilę, a Bill spytał ją o plany wakacyjne.

- Jeszcze nie wiem na pewno. Mam reportaż do skończenia, a poza tym mój mąż nie cierpi planować urlopu. Po prostu mówi mi, kiedy mam się pakować, zwykle w dniu wyjazdu.

- Cóż, takie życie musi być interesujące - zauważył z uśmiechem, zastanawiając się, czy ona to wytrzyma. Zazwyczaj ludzie wolą być uprzedzani... A co na to dzieci? - Masz dzieci? - spytał.

Zawahała się przez ułamek sekundy.

- Nie, nie mam.

Właściwie go to nie zaskoczyło. Była młoda, miała absorbującą pracę... I wciąż jeszcze mnóstwo czasu na macierzyństwo. Maddy uznała, że przyjęcie nie jest dobrym miejscem, by wtajemniczać Billa w to, że nie może mieć dzieci, że podwiązała sobie jajowody, bo Jack zażądał tego, zanim się z nią ożenił.

- Masz jeszcze czas na myślenie o dzieciach - zauważył Bill. Wiedząc jednak o niej to, co wiedział, nie mógł się nie zastanawiać, czy to nie urazy dzieciństwa są przyczyną jej niechęci do rodzicielstwa.

Cóż, to byłoby zrozumiałe.

- A ty co robisz latem, Bill? - spytała, zmieniając temat.

- Zazwyczaj wyjeżdżam do Martha's Vineyard, ale tym razem mogłoby to być trudne. Oddałem dom córce na całe lato. Ma troje dzieciaków, uwielbiają to miejsce... A ja, jeśli będę chciał wpaść, zawsze mogę zatrzymać się w pokoju gościnnym. - Widać było, że jest blisko ze swoimi dziećmi.

Dołączyła do nich interesująca para. Młodzi Francuzi, dyplomaci. Parę minut później ambasador Argentyny zatrzymał się, żeby przywitać się z Billem, i zaczęli gawędzić po hiszpańsku. Kiedy przyszła pora kolacji, zaskoczona Maddy stwierdziła, że to Bill ma być jej sąsiadem przy stole. Przeprosiła, że zaanektowała go dla siebie wcześniej.

- Nie miałam pojęcia, że będziemy siedzieć razem...

- Chciałbym móc powiedzieć, że sam to zaaranżowałem, ale nie mam aż takich wpływów. Chyba po prostu jestem szczęściarzem.

- Ja też - powiedziała swobodnie, wsuwając mu rękę pod ramię i idąc do stołu.

To był uroczy wieczór. Jej drugim sąsiadem okazał się starszy senator, demokracja z Nebraski, którego nigdy nie miała okazji poznać, choć zawsze go podziwiała. Bill bawił ją opowieściami z czasów, gdy wykładał w Princeton i w Harvardzie. Najwyraźniej bardzo lubił uczyć... Krótkotrwała kariera dyplomaty też była ciekawa, dopóki nie skończyła się tragicznie.

- A co zamierzasz robić teraz? - spytała Maddy przy deserze. Wiedziała, że pisze książkę. Powiedział, że już ją prawie skończył.

- Szczerze mówiąc, Maddy, nie jestem pewien. Myślałem o tym, żeby wrócić do uczenia... Pisanie książki, owszem, było ciekawe, ale teraz nie wiem, co dalej. Miałem parę ofert z różnych uczelni, w tym z Harvardu, rzecz jasna. Kusi mnie, żeby ruszyć się na zachód, może do Stanford... A może pojechać na rok do Europy? Lubiliśmy z Margaret Florencję. I Sienę... Proponowano mi też roczny cykl wykładów w Oksfordzie, o amerykańskiej polityce zagranicznej, ale nie jestem pewien, czy mnie to interesuje. No i zimy w Anglii są trochę za ostre. Kolumbia mnie zepsuła, przynajmniej jeśli chodzi o pogodę.

- Masz tyle możliwości - powiedziała z podziwem. Nietrudno się było domyślić, dlaczego jest rozrywany. Był inteligentny, ciepły, otwarty na



nowe idee, niekonwencjonalne pomysły... - No a Madryt? Znakomicie mówisz po hiszpańsku...

- Tego w ogóle nie brałem pod uwagę. Jeszcze by mi kazali występować w walkach byków. - Oboje się roześmieli.

Kiedy zaczęto wstawać od stołu, Maddy było niemal przykro, że będzie musiała się już rozstać z Billem. Wspaniały towarzysz! Zaproponował, że odwiezie ją do domu, ale powiedziała, że przyjechała z kierowcą.

- Mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się na komisji. To ciekawa grupa, prawda? Chociaż nie sądzę, żebym miał wiele do zaoferowania. Nie bardzo znam się na przemocy w rodzinie... Obawiam się, że moje doświadczenie związane z przemocą jest raczej nietypowe, ale pochlebia mi, że Phyllis mnie zaprosiła.

- Wiedziała, co robi... Myślę, że będziemy stanowili zgrany zespół. Mam nadzieję, że uda nam zainteresować media... Ludzie powinni się dowiedzieć o maltretowanych kobietach.

- Będiesz doskonałym rzecznikiem naszej grupy - zapewnił ją z uśmiechem.

Porozmawiali jeszcze parę minut i Maddy wróciła do domu. Zastała Jacka w łóżku. Czytał. Wyglądał na zrelaksowanego i odprężonego.

- Straciłeś bardzo miłe przyjęcie - powiedziała. Zdjęła kolczyki, rzuciła pantofle i podeszła, by go pocałować.

- Myślałem, że wrócisz przede mną. Byli jacyś ciekawi ludzie?

- Mnóstwo. Od razu wpadłam na Billa Alexandra. Sympatyczny gość...

- Zawsze mi się wydawało, że jest okropnie nudny - Jack zamknął książkę i obrzucił żonę pełnym aprobaty spojrzeniem. Nawet bez kolczyków i pantofli wyglądała olśniewająco.

- Pięknie wyglądasz, Mad - powiedział. Pochyliła się, by pocałować go jeszcze raz.

- Dziękuję.

- Chodź do łóżka.

Natychmiast rozpoznała w jego oku ten szczególny, znajomy błysk. W parę minut później była obok niego. Bezdzielną miała swoje dobre strony... Każdą wolną od pracy chwilę mogli poświęcać tylko sobie.

Potem leżała w jego ramionach, syta i rozluźniona.

- A jak tam w Białym Domu? - spytała sennie i ziewnęła.

- Doskonale. Podjęliśmy parę rozsądnych decyzji, właściwie prezydent je podjął. Ja po prostu mówię, co myślę, tak jak reszta, a on sam decyduje, co chce z tym zrobić. Ale to niegłupi facet i zazwyczaj robi to, co trzeba. Niełatwe zajęcie, swoją drogą.

- Najgorsze na świecie, jakby mnie kto pytał. Za żadne pieniądze nie chciałabym siedzieć na tym stołku...

- Byłabyś świetna w tej roli - zadrwił. - Wszyscy byliby ładni i znakomicie ubrani, Biały Dom wyglądałby jak spod igły i wszyscy w nim byliby grzeczni i uprzejmi, uważaliby na to, co mówią a rząd składałby się wyłącznie z ludzi o złotych sercach. Idealny świat, Mad.

Brzmiało to jak komplement, ale wyczuła w jego słowach lekceważenie. Milczała. Wkrótce odpłynęła w sen i zapomniała o tej rozmowie. Kiedy się obudziła, był ranek i oboje śpieszyli się do pracy.

Dotarli na miejsce jak zwykle o ósmej. Maddy od razu zabrała się razem z Gregiem do wykańczania jego materiału o amerykańskich tancerzach.

Obiecała, że mu pomoże, i jeszcze o dwunastej była w jego boksie. Nagle zauważyli jakąś krzątanicę w hallu.

- A to co znowu? - uniósł głowę Greg.

- Cholera... Może coś się dzieje w Iraku. Jack spotkał się wczoraj wieczorem z prezydentem. Pewnie coś razem wysmażyli.

Wyszli na korytarz. Maddy złapała za ramię jednego z producentów.

- Coś ważnego?

- Samolot do Paryża rozleciał się na kawałki, dwadzieścia minut po starcie z lotniska Kennedy'ego. Podobno eksplozję było słyszać na całym Long Island. Nikt nie przeżył.

To była skrócona wersja wydarzeń. Maddy i Greg sprawdzili serwisy agencyjne i znaleźli więcej informacji. Nikt nie przyznawał się do odpowiedzialności za eksplozję, ale Maddy była pewna, że coś się za tym kryje, nawet jeśli nie znali jeszcze szczegółów.

- Mieliśmy anonimowy telefon od kogoś, kto sprawiał wrażenie dobrze poinformowanego - powiedział kierownik produkcji. - Według niego linie lotnicze wiedziały wcześniej o zagrożeniu. Możliwe, że już wczoraj w południe, a mimo to lot nie został odwołany.

Greg i Maddy wymienili spojrzenia. Szaleństwo!

To przecież linie amerykańskie! Kto mógł zrobić coś takiego?

- Wiecie, kto dzwonił? - Greg zmarszczył brwi.

- Nie. Ale wyglądało na to, że wie, o czym mówi. Podał sporo szczegółów, które można sprawdzić. Na razie wiemy tyle, że FAA otrzymały wczoraj ostrzeżenie i wygląda na to, że nic z tym nie zrobiły.

- Kto ma ustalić te szczegóły?

- Sam możesz, jeśli chcesz. Ktoś ma listę osób, do których można dzwonić. Nazwiska są dość interesujące.

Greg spojrział na Maddy, unosząc brwi.

- Możesz na mnie liczyć - powiedziała. Poszli do asystentki producenta, która podobno miała listę. - Nie wierzę - mówiła po drodze. - Przecież nie wpuszcza się ludzi na pokład samolotu, jeśli istnieje groźba zamachu bombowego.

- Może się i wpuszcza, tyle że o tym nie wiemy - mruknął Greg.

Dostali listę nazwisk i zaczęli dzwonić. W dwie godziny później siedzieli po obu stronach biurka Maddy, wpatrując się w siebie z niedowierzaniem. Wszystkie informacje brzmiały podobnie. Owszem, FAA otrzymały ostrzeżenie, ale dość ogólnikowe. Powiedziano, że któryś z samolotów wylatujących z lotniska Kennedy'ego w ciągu najbliższych trzech dni może mieć na pokładzie bombę. To było wszystko. Na najwyższym szczeblu podjęto decyzję, by wzmóc ostrożność, ale lotów nie odwoływać, o ile nie wykryje się bomby na pokładzie albo nie nadejdą dalsze informacje. Ale dalszych informacji nie było.

- Trochę niejasne - orzekła Maddy. - Może myśleli, że to tylko pogrożki...

Istniało jednak również podejrzenie, że autorem ostrzeżenia jest jedna z dwu grup terrorystycznych. Obie miały już na koncie podobne zbrodnie. Były więc powody, by traktować je poważnie.

- W tym się kryje coś więcej, niż widać gołym okiem - powiedział Greg podejrzliwie. - Coś tu śmierdzi. Gdzie by tu, do licha, jeszcze zadzwonić?

Wyczerpali już wszystkie źródła informacji. Siedzieli i zastanawiali się, co dalej, gdy Maddy coś tknęło. Wstała z krzesła z wyrazem zdecydowania na twarzy.

- Co się urodziło? - spytał Greg.

- Być może nic. Będę za pięć minut. - I nic nie mówiąc Gregowi, pojechała prywatną windą na górę, do męża. Był przecież przedwczoraj w Białym Domu! Mógł słyszeć coś o pogroźkach. Musi go spytać.

Jack miał jakąś naradę. Poprosiła sekretarkę, żeby go spytała, czy może wyjść na minutę. To ważne. Po chwili wyszedł za sekretarką z sali konferencyjnej. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Co się stało?

- Wszystko w porządku. Pracujemy nad tą katastrofą samolotu. Wiemy, że było ogólne ostrzeżenie o bombie na pokładzie, a mimo to lotu nie odwołano. Ani tego, ani innych. Przypuszczam, że nikt nie wiedział, o który samolot może chodzić - streściła szybko to, co wiedziała.

Jack nie wyglądał na szczególnie zaskoczonego czy zmartwionego.

- Czasem tak bywa, Mad. Niewiele można było zrobić... To ostrzeżenie brzmiało dość niejasno i można było je zlekceważyć.

- Chyba możemy powiedzieć prawdę, w każdym razie, jeśli dajemy wiadomość. Słyszałaś coś o tym w piątek? - spojrzała na niego uważnie. Coś w twarzy Tacka powiedziało jej, że sprawa nie jest mu całkiem obca.

- Nic szczególnego.

- To nie jest odpowiedź, Jack. To ważne... Skoro było ostrzeżenie, powinni byli wstrzymać loty. Kto podjął decyzję?

- Nie powiedziałem, że coś wiem. Ale skoro ostrzeżenie miało charakter ogólny, co można było zrobić, jak myślisz? Odwołać na trzy dni wszystkie starty z lotniska Kennedy'ego? Chryste, równie dobrze można by w ogóle zlikwidować całe lotnictwo USA. Nie mogli tego zrobić.

- Skąd wiesz, że chodziło o loty w tamtą stronę? I że była mowa o trzech dniach? Wiedziałaś, prawda?

Nagle przyszło jej do głowy, że dlatego został wezwany do Białego Domu tak nagle: żeby doradzić, jak powiedzieć o tym amerykańskiej opinii publicznej i czy w ogóle mówić. Albo co robić lub czego nie robić z tym fantem. I jak ratować własne tyłki, jeśli samolot spadnie. Nawet jeśli decyzja nie należała do niego, jego głos mógł mieć znaczenie dla innej decyzji: ostrzec potencjalnych pasażerów czy nie.

- Maddy, nie można odwołać na trzy dni wszystkich startów z lotniska Kennedy'ego. Wiesz, co by to znaczyło? Wszystkie przyloty też trzeba

by wstrzymać. Te maszyny mogłyby być narażone na skutki wybuchu. To by zdezorganizowało całą gospodarkę.

Maddy poczuła, że ogarniają wściekłość.

- Nie wierzę własnym uszom. Więc ktoś zdecydował, że dla dobra gospodarki należy zachowywać się jak gdyby nigdy nic i słówkiem nie wspominać o zagrożeniu? Powiedz mi, bo może czegoś nie rozumiem! Powiedz, że to nieprawda, że czterysta dwanaście osób zginęło, żeby nie zmącić rozkładu lotów! Więc to była decyzja gospodarcza? Kto ją podjął, do diabła?

- Prezydent, ty idiotko. A co myślałaś? Że to ja podejmuję takie decyzje? Chodziło o sprawę poważną, a pogrożki były ogólnikowe. Nic nie mogli zrobić, poza przeczesaniem każdego samolotu. A jeśli powtórzysz to, co mówię, Mad, zabiję cię, do jasnej cholery.

- Mam to gdzieś. Chodzi o ludzi, o ich życie! O niewinnych ludzi, dzieci, niemowlęta, które znalazły się na pokładzie, bo nikt nie miał jaj, żeby zamknąć lotnisko na trzy dni... Cholera jasna, Jack, powinni byli to zrobić!

- Nie wiesz, o czym mówisz. Nie można zamknąć na trzy dni głównego międzynarodowego portu lotniczego z powodu groźby zamachu bombowego i zostać w tym biznesie!

- Przecież zamyka się go z powodu opadów śniegu, na Boga, a gospodarka się nie wali! Dlaczego nie można z powodu bomby?

- Bo wyszliby na głupków, a w kraju wybuchłaby panika.

- Ach tak. To znaczy, że życie czterystu ludzi to niewielka cena za to, że uniknęło się paniki. Boże święty, nie mogę po prostu uwierzyć... Nie mogę uwierzyć, że wiedziałeś i nic nie zrobiłeś, do jasnej cholery!

- A co miałem zrobić twoim zdaniem? Pójść na JFK i rozrzucić ulotki?

- Nie, ty dupku. Jesteś właścicielem telewizji. Mogłeś dmuchnąć w gwizdek, nawet anonimowo, i zmusić ich do zamknięcia portu!

- Tak, i miałbym raz na zawsze zatrzaśnięte drzwi do Białego Domu. Uważasz, że nie wiedzieliby, gdzie był przeciek? Nie bądź śmieszna. I nigdy - złapał ją za ramię i szarpnął ku sobie - nigdy nie nazywaj mnie dupkiem. Wiedziałem, co robię.

- Zabawiliście się z chłopakami w zamordowanie czterystu dwunastu ludzi - niemal wypluwała słowa. Głos jej drżał. - Czemu nie kupiłeś po

prostu spluwy i nie zaczęłaś strzelać na ulicy? Tak by było uczciwiej i czyściej. Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że biznes jest dla ciebie ważniejszy niż ludzie. To znaczy, że za każdym razem, kiedy jakaś kobieta wchodzi z dziećmi na pokład samolotu, może się spodziewać, że jest na nim bomba, ale dla dobra wielkiego biznesu ona i dzieci mają się stać ofiarami, bo nikt nie uważa ich za dostatecznie ważnych, żeby z ich powodu ryzykować przerwę w lotach!

- I w szerszej skali rzeczywiście nie są dostatecznie ważni. Jesteś naiwna. Nic nie rozumiesz. Czasami trzeba poświęcić ludzi dla jakiejś większej sprawy.

Miała ochotę rzucić się na niego.

- Coś ci powiem - ciągnął. - Jeśli piśniesz choć słówko, własnoręcznie zawlokę cię z powrotem do Knoxville i zostawię pod drzwiami Bobby'ego Joe. Jeśli powiesz choć jedno słowo, będziesz odpowiadać przed prezydentem Stanów Zjednoczonych za zdradę i zgnijesz w więzieniu. To sprawa wagi państwowej, zajmują się nią ludzie, którzy wiedzą co robią i mają najwyższe możliwe prerogatywy. Tu nie chodzi o jakąś stukniętą kobiecinę czy tłustego, zaślinionego senatora. Jak wypuścisz tego dzina z butelki, będziesz miała na karku prezydenta, FBI, FAA i każdy inny poważny urząd w tym kraju... Tego ci nie wolno tykać. Nie znasz się na tym za cholerę. W razie czego rzucają się na ciebie i załatwią w pięć minut. W tej sprawie nie uda ci się wygrać.

Wiedziała, że jest w tym trochę prawdy. Szykowało się największe oszustwo od czasu Watergate. Wszyscy jak jeden mąż będą kłamać. Ludzie i tak jej nie uwierzą. Co znaczy jej głos w oceanie o wiele ważniejszych? Nie tylko by ją przekrzyczeli, ale postaraliby się, żeby została raz na zawsze zdyskredytowana w ludzkich oczach. Mogliby ją nawet zabić... To budziło lęk, ale na myśl, że miałyby nie powiedzieć ludziom prawdy czuła się jak zdrajca. Mieli prawo wiedzieć, że pasażerowie rejsu 263 zostali poświęceni dla celów ekonomicznych. Kto podjął tę decyzję, nie miało dla nich znaczenia.

- Słyszysz, co mówię? - Jack spojrzał na nią groźnie. Zaczynała się go bać. Jeśli narazi na niebezpieczeństwo jego sieć, dopadnie ją, jeszcze zanim zrobią to inni.

- Słyszę - odparła. - I nienawidzę cię za to.

- Mam gdzieś, co myślisz czy czujesz. Obchodzi mnie tylko to, co

robisz. Lepiej, żebyś tym razem zrobiła to, co trzeba, inaczej możesz się pożegnać. I ze mną, i z pracą. Czy to jasne, Mad?

Patrzyła na niego przez długą chwilę. Wreszcie obróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem ku schodom, nie czekając na windę. Kiedy pojawiła się z powrotem w swoim biurze, była bardzo blada i trzęsły się jej ręce.

- Co się stało? Czy on coś wie? - Greg od razu domyślił się, gdzie była. Nigdy nie widział jej w takim stanie... Wyglądała jakby była chora.

- Nie, nie wie - powiedziała po chwili milczenia. Wzięła trzy aspiryny i popiła je kawą.

W dziesięć minut później do pokoju wszedł kierownik produkcji z marsem na czole. To, co powiedział, nie zaskoczyło ich.

- Muszę zaakceptować wasze teksty, zanim wejdziecie dziś na wizję. Coś zmienicie, to zdejmujemy was i przechodzimy do reklam. Jasne?

- Jasne - powiedział spokojnie Greg. Wiedział równie dobrze jak Maddy, skąd przyszło polecenie... Nie znał wprawdzie szczegółów rozmowy, jaka miała miejsce na gorze, ale był pewien, że nie należała do przyjemnych. Wystarczyło spojrzeć na Maddy. Począł, aż kierownik wyjdzie.

- Wiem, że on wie - powiedział cicho. - Ale nie musisz mi nic mówić, jeśli nie chcesz.

Popatrzyła na niego długo, twardo. Skinęła głową.

- Nie jestem w stanie tego udowodnić. I nie możemy o tym powiedzieć. Każdy, kto maczał palce w tej aferze, zaprzeczy.

- Lepiej tego nie ruszajmy, Mad. To wielki gorący kartofel. Chyba za wielki dla nas... Jeśli oni wiedzą, wszyscy, którzy maczali w tym palce, są kryci. To jasne jak słońce. To robota dużych chłopców.

Uderzyła go myśl, że teraz można uważać Jacka Huntera za jednego z nich. Słyszał, że Jack został doradcą prezydenta. Najwyraźniej facet gra w wielkiej lidze.

- Powiedział, że mnie wyrzuci, jak się za to wezmę - Maddy nie wyglądała na bardzo przejętą groźbą. - Mam to w nosie. Nie cierpię kłamać ludziom w żywe oczy.

- Czasem musimy - powiedział ostrożnie Greg. - Chociaż ja też tego nie lubię. Ale tym razem duzi chłopcy powiesiliby nas na suchej gałęzi.

- Jack powiedział, że zginię w więzieniu czy coś równie miłego.

- Nie robi się przypadkiem trochę kapryśny? - Greg uśmiechnął się krzywo. Maddy mimo woli wybuchnęła śmiechem, ale po chwili przypomniała sobie, jak Jack chwycił ją za ramię i potrząsnął nią. Nigdy dotąd nie widziała, żeby był tak wściekły. Albo tak przestraszony... Ale stawka była duża.

Przygotowali szkic ich dzisiejszego wystąpienia, a kierownik produkcji sprawdził go starannie. W pół godziny tekst wrócił do nich z poprawkami. Fragment o katastrofie samolotu był teraz zredagowany tak łagodnie, jak tylko było to możliwe. A góra życzyła sobie, żeby opierać się przede wszystkim na materiale zdjęciowym.

- Uważaj, Mad - szepnął Greg, gdy siedzieli w studiu przy swoich biurkach, czekając na wejście na wizję. Kiwnęła głową. Wiedział, jaki z niej krzyżowiec... To dokładnie w jej stylu: zanurkować jak kamikaze w sam środek sił nieprzyjaciela, mówiąc prawdę i tylko prawdę. Tym razem jednak był pewny, że nie może tego zrobić.

Przeczytała wiadomość o katastrofie samolotu rejsowego numer 263. Przez chwilę jej głos był bliski załamania. Ze smutkiem i powagą mówiła o ludziach, którzy byli na pokładzie, o liczbie dzieci. Zdjęcia jeszcze bardziej przekonująco pokazywały rozmiary tragedii. Puścili nagranie wideo, nakręcone przypadkiem przez kogoś na Long Island. Maddy miała już kończyć, gdy nagle Greg zobaczył, że odwraca wzrok od telepromptera i zaciska dłonie na pulpicie.

- Maddy, nie... - szepnął bezgłośnie. Widział na monitorze, że kamera go nie pokazuje. Ale Maddy też go nie widziała. Patrzyła prosto w oko kamery, prosto w twarze i serca Amerykanów.

- Krąży wiele pogłosek na temat dzisiejszej katastrofy - zaczęła ostrożnie. - Niektóre z nich są bulwersujące...

Greg widział, jak kierownik produkcji wstaje z miejsca z paniką w oczach. Nie dał jednak hasła, by ich zdjąć.

- FAA ostrzegała rzekomo wcześniej, że na pokładzie któregoś z samolotów odlatujących z lotniska Kennedy'ego może być bomba i że może się to zdarzyć któregoś dnia w tym tygodniu. Nie ma jednak dowodów potwierdzających te pogłoski. W tej chwili wiemy tylko tyle, że czterysta dwanaście osób straciło życie. Możemy zakładać, że jeśli FAA istotnie wystosowała ostrzeżenie, podzieli się tą wiadomością z opinią publiczną.



Była blisko linii bezpieczeństwa, ale jej nie przekroczyła... Greg patrzył, wstrzymując oddech.

- Zespół telewizji WTB pragnie przekazać najszczerze kondolencje rodzinom, przyjaciółom i bliskim tych, którzy zginęli. To niewyobrażalna tragedia. Dobranoc. Żegna się z państwem Maddy Hunter.

Puszczono reklamy. Greg siedział blady jak ściana. Maddy z ponurą miną wyłączyła mikrofon.

- Kurczę, ale mnie przestraszyłaś... Już myślałam, że rzucisz bombę. I prawie to zrobiłaś, może nie?

Postawiła pytania, ale nie ujawniła złowrogiej odpowiedzi. A mogła...

- Powiedziałam, co mogłam. - Nie było tego dużo, wiedzieli o tym oboje.

Kiedy Maddy wstała, już poza wizją, zobaczyła w drzwiach kierownika produkcji. Rozmawiał z jej mężem. Jack podszedł do niej zdecydowanym krokiem.

- Chodziłaś po linii, Maddy. Byliśmy gotowi zdjąć cię w każdej chwili.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale nie było już w nim złości. Nie zdradziła go, chociaż mogła... A w każdym razie mogła próbować, choć nie pozwoliliby jej posunąć się za daleko.

- Wiem - powiedziała chłodno. Jej oczy, gdy napotkały jego spojrzenie, były jak błękitne kamienie. Coś strasznego wydarzyło się między nimi tego popołudnia, i nigdy tego nie zapomni. - Jesteś zadowolony? - spytała tonem tak lodowatym jak jej wzrok.

- Uratowałaś swój tyłek, a nie mój - powiedział cicho. Nikt poza nianie mógł tego słyszeć. Kierownik produkcji już poszedł, Greg wrócił do siebie. - To ty tu jesteś pod lupą.

- Ludzie zostali oszukani.

- Dostaliby szau, gdyby na trzy dni odwołać wszystkie przyloty i odloty z portu Kennedy'ego.

- No tak, bardzo się cieszę, że ich nie zdenerwowaliśmy. A ty? Założę się, że ludzie z rejsu dwieście sześćdziesiąt trzy też. O wiele lepiej jest zabić człowieka, niż go rozżłościć - powiedziała ponuro.

- Nie igraj z ogniem, Maddy - powiedział złowieszczo i wiedziała, że mówi poważnie. W milczeniu wróciła do biura. Greg już wychodził.

- Wszystko w porządku? - spytał szeptem. Nie był pewny, czy nie usłyszy go Jack, który został w studiu, by porozmawiać z szefem produkcji.

- Niezupelnie - przyznała. - Sama nie wiem... Fatalnie się czuję. Sprzedałam się, Greg.

Ledwie powstrzymywała łzy. Nienawidziła siebie samej.

- Nie miałaś wyboru. Zapomnij o tym. To za duża sprawa, żeby się do tego zabierać. A jak on? - spytał. - Wściekły? Chyba nie powinien... Owinęłaś to dla niego w bibułkę. No i pomogłaś FAA znaleźć wyjście z sytuacji, i całe reszcie przy okazji.

- Chyba go nastraszyłam - uśmiechnęła się przez łzy.

- Jego jak jego, ale mnie! Myślałem, że rzucę ci marynarkę na głowę, żebyś się zamknęła, zanim cię zamordują. A mogliby, wiesz o tym. Powiedzieliby, że jesteś niezrównowazona, że już od paru miesięcy cierpisz na zaburzenia, że leczysz się psychiatrycznie... Zrobiliby wszystko, co trzeba. Cieszę się, że nie zrobiłaś czegoś naprawdę głupiego. - Chciał powiedzieć coś więcej, ale do boksu wszedł Jack.

- Zbieraj się. Wychodzimy.

Nie pofatygował się, żeby choć skinąć głową Gregowi. Był zadowolony z jego pracy, ale nigdy go nie lubił i nigdy nie usiłował udawać, że jest inaczej. Do Maddy zwracał się teraz jak do służącej. Jak do kogoś, kto ma słuchać i wykonywać polecenia... Wzięła torebkę i bez słowa wyszła. W jakiś sposób wiedziała, że od dziś między nimi będzie całkiem inaczej. Każde z nich czuło się zdradzone przez drugie.

Jack wszedł za nią do windy. W milczeniu zjechali na dół. Odezwwał się dopiero w samochodzie.

- Byłaś dziś o włos od zakończenia swojej kariery. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Ty i twoi koledzy zabiliście czterystu dwunastu ludzi. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak muszą się czuć ich bliscy... W porównaniu z tym moja kariera niewiele znaczy.

- Cieszę się, że tak myślisz. Igrasz z ogniem. Było powiedziane, że masz czytać wyłącznie zaakceptowany tekst.

- Pomyślałam, że śmierć czterystu dwunastu osób usprawiedliwia niewielki komentarz. Nie powiedziałam nic, co mógłbyś zakwestionować.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. W domu spojrzął na nią pogardliwie, jak gdyby przypominając jej, że ona się tu nie liczy.

- Pakuj bagaże, Mad. Jutro wyjeżdżamy.
- Dokąd? - spytała bez zainteresowania.
- Do Europy.

Jak zwykle nie powiedział nic konkretniejszego. I jak zwykle nie zapytał jej o zdanie.

- Nie mam zamiaru - powiedziała twardo, zdecydowana tym razem walczyć.

- Nie pytam cię o zamiary. Każę ci. Masz od jutra dwa tygodnie urlopu. Chcę, żebyś się odprężyła i przypomniała sobie podstawowe zasady, zanim wrócisz do pracy. Zastąpi cię Elizabeth Watts. A jeśli wolisz, może cię zastąpić na stałe.

Nie owijał niczego w bawełnę... Elizabeth Watts była prezenterką której miejsce zajęła Maddy, kiedy przyszła do pracy w sieci Jacka. Zawsze zastępowała Maddy podczas urlopu. Miała to w umowie, chociaż nie lubiła Maddy, bo wykopała ją ze stanowiska.

- Mało mnie to obchodzi, Jack - powiedziała Maddy chłodno. - Jeśli chcesz mnie wyrzucić, proszę bardzo.

Pomimo tych hardych słów zadrżała pod jego spojrzeniem. Nigdy nie użył wobec niej przemocy fizycznej, ale zawsze się go bała. Aura władzy, jaka z niego emanowała, działała nie tylko na innych. Na nią również.

- Jak cię wyrzucę, będziesz zmywać gary w jakiejś knajpie. Zastanów się nad tym, zanim otworzysz usta. Jedziesz ze mną. Na południe Francji, do Paryża i Londynu. A jeśli nie spakujesz się sama, ja to zrobię. Masz wyjechać z kraju i żadnych komentarzy ani wywiadów. Jesteś teraz oficjalnie na urlopie.

- To pomysł prezydenta czy twój?

- Mój. Ja odpowiadam za program. Ty tylko u mnie pracujesz. I jesteś moją żoną. I moją własnością - powiedział z siłą, która zaparła jej dech.

- Nie jestem twoją własnością, Jack. Mogę u ciebie pracować i jestem twoją żoną, ale nie jestem twoją własnością - powiedziała spokojnie i stanowczo, choć w oczach miała lęk. Nie cierpiała konfrontacji i konfliktów.

- Pakujesz się sama, czy mam cię spakować? - spytał bez dalszych

komentarzy.

Wahała się przez chwilę, a potem poszła do swojego pokoju i wyjęła walizkę. Miała łzy w oczach. Kiedy pakowała kostiumy kąpielowe, szorty, koszulki bawełniane i pantofle, płakała już otwarcie. W jej głowie tłukła się jedna myśl: tak naprawdę nic się nigdy nie zmienia. Bobby Joe potrafił zrzucić ją ze schodów, ale Jack zrobił dziś to samo, choć nie tknął jej nawet palcem. Prawie nie tknął... Dlaczego takim jak oni mężczyznom wydaje się, że kobieta jest ich własnością? Czy to ona wybiera takich mężczyzn, czy sama się o to prosi? Nie umiała sobie odpowiedzieć na te pytania.

Włożyła do walizki jeszcze cztery lniane sukienki i trzy pary czółenek na wysokim obcasie. W dwadzieścia minut później była gotowa i poszła wziąć prysznic. Jack pakował się u siebie.

- O której wyjeżdżamy? - spytała, kiedy znowu spotkali się w sypialni.

- O siódmej rano. Lecimy do Paryża.

Tyle wiedziała o czekającej ją podróży, ale było jej wszystko jedno. Pokazał, kto tu rządzi, a ona to kupiła. Pomimo hardych słów udowodniła i jemu, i sobie, że jest jego własnością.

- To, że masz własny samolot, ma pewną dobrą stroną - powiedziała, wchodząc do łóżka.

- Jaką? - spytał, przekonany, że chce porozmawiać.

- Przynajmniej wiemy, że nie będzie w nim bomby. To niewątpliwie duży plus - powiedziała i odwróciła się tyłem.

Nie odpowiedział. Zgasił światło. Tym razem nawet jej nie dotknął.

## Rozdział siódmy

W Paryżu byli o dziesiątej wieczorem czasu lokalnego. Samochód już na nich czekał. Była piękna, ciepła noc. Ruszyli do hotelu Ritz i dotarli na miejsce o jedenastej. Plac Vendôme był rzęsiście oświetlony. Portier natychmiast ich rozpoznał. Sceneria była piękna, ale Maddy nie dostrzegła w niej śladu romantyzmu. Po raz pierwszy od lat czuła się jak więzień. Jack przekroczył granicę. Jak ślepa i głucha weszła za nim do holu.

Zazwyczaj uwielbiała jeździć z nim do Paryża, ale nie tym razem. Po raz pierwszy od lat poczuła się ofiarą przemocy. Co z tego, że jej nie pobił? Efekt był ten sam. Nigdy dotąd nie stanęła twarzą w twarz z tą stroną jego osobowości. Dopiero teraz widziała, że i dawniej zdarzało się to często i na różne sposoby. Nigdy wcześniej nie dopuszczała tego do siebie... Teraz czuła się tak samo jak w Knoxville, przy Bobbym Joe. Tylko dekoracje się zmieniły. Były piękniejsze, bardziej efektowne, ale ona pozostała tą samą osobą. Schwytała w pułapkę, tak jak wtedy... Gdy wnosili bagaże, wciąż brzmiały jej w uszach słowa Jacka: „Jesteś moją własnością”. Przyjeżdżając tu z nim, potwierdziła, iż tak jest.

Apartment w Ritzu był piękny jak zawsze. Okna wychodziły na plac Vendôme. Mieli do dyspozycji salon, sypialnię i dwie łazienki. Wszystkie wnętrza wykończone były bładożółtym atłasem, a trzy wielkie wazy pełne były żółtych róż o długich łodygach. Zachwyciłaby się nimi, gdyby nie czuła się tak zraniona i zła.

- Jesteśmy tu z jakiegoś szczególnego powodu? - spytała apatycznie, gdy nalał im obojgu po kieliszku szampana. - Chodzi o to, żeby trzymać mnie z daleka od ekranu, czy jest coś ważniejszego?

- Pomyślałem, że obojgu nam jest potrzebny urlop - odparł po prostu, zdawało się, że cała furia wyparowała z niego bez śladu, gdy wzięła od niego kieliszek cristalu. Nie miała specjalnej ochoty na szampana, ale potrzebowała czegoś, co by ją otepiło. - Wiem, jak lubisz Paryż, i pomyślałem, że to będzie dla nas miła rozrywka.

- Po wszystkim, co mi powiedziałeś przez ostatnie dwa dni? - Myśl o jakiegokolwiek rozrywce w jego towarzystwie była absurdalna.

- Tamto to interesy, a to jest życie - powiedział spokojnie. - Wsadziłaś nos w sprawę bezpieczeństwa kraju, Maddy. Próbowałem cię ochronić.

- Bzdura - mruknęła, pociągając szampana. Nie była jeszcze gotowa wybaczać mu groźby, przykre słowa, stwierdzenia, że jest jego własnością... Ale nie miała ochoty kłócić się z nim. Była wyczerpana i przygnębiona.

- Nie możemy po prostu zapomnieć o tym i cieszyć się Paryżem? Oboje potrzebujemy odpoczynku...

Maddy miała wrażenie, że potrzebna jest jej raczej lobotomia albo nowy mąż. Nigdy, przez wszystkie lata małżeństwa, nie czuła się przez niego tak zdradzona. Czy kiedykolwiek o tym zapomni?

- Kocham cię, Maddy - powiedział Jack. Przysunął się do niej i przeciągnął zmysłowo dłonią po jej nagim ramieniu, którym zaledwie wczoraj brutalnie potrzywał. Wciąż to pamiętała i wiedziała, że zawsze będzie pamiętać.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć - powiedziała uczciwie. - Jestem zła i zraniona, a może nawet trochę się ciebie boję. Mdli mnie, jak pomyślę o tym wszystkim, co się stało. - Zawsze była z nim o wiele bardziej szczerą niż on wobec niej.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy, Mad. Tu będziemy mogli zapomnieć o pracy, o problemach, o różnicy zdań... Przyjechaliśmy tu - przytulił się do niej, wyjął z jej dłoni kieliszek i postawił na stoliku - żeby się kochać.

Ale ona nie była w nastroju do miłości. Chciała schować się w kącie i lizać rany. Chciała być przez jakiś czas sama, żeby rozeznac się we własnych uczuciach... Nie dał jej szansy. Pocałował ją i zaczął rozpinąć błyskawiczny zamek sukienki. Zanim zdołała go powstrzymać, była już bez biustonosza.

- Jack, przestań... Potrzebuję trochę czasu... Nie mogę...

- Możesz - zagarnął ustami jej wargi, niemal ją pochłaniając. Osunął się ku piersiom... Sukienka zniknęła nie wiadomo kiedy, figi też. Położył ją na podłodze, całował i pieścił. Wytężając wszystkie siły, próbowała mu się oprzeć, ale nie mogła. A co gorsza, po chwili odkryła, że wcale nie chce, żeby przestał... Wziął ją na podłogę, a ich orgazm był tak potężny, że nigdy by się tego nie spodziewała. Znowu była jego...

Leżała zdyszana, ciasno przytulona do niego. Jak to się stało? I dlaczego?

- No cóż, to jeden ze sposobów na rozpoczęcie urlopu - powiedziała w końcu. Czuła się ogłupiała. Ich zmysłowa miłość była potężna jak fala

przyptywu, ale nie było w niej śladu bliskości. Była kolejnym potwierdzeniem tego, że jest jego własnością... Ale nie mogła się oprzeć.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało - powiedziała, patrząc na niego. Leżał obok, nagi jak ona.

- Mogę ci pokazać, jeśli chcesz. Może przyda się też trochę szampana - wsparł się na łokciu i uśmiechnął się do niej. Nie wiedziała, czy go nienawidzi, czy nie, ale jedno było pewne: Jack był cholernie przystojny, a ona nigdy nie była zdolna mu się oprzeć. Nie miała wyboru.

Usiadła i patrzyła ze smutkiem, jak nalewa i podaje jej kolejny kieliszek szampana. Tak naprawdę nie miała ochoty na szampana, wzięła jednak kieliszek i upiła łyk.

- Nienawidziłam cię wczoraj. Po raz pierwszy czułam do ciebie coś takiego - wyznała.

- Wiem, że mnie nienawidziłaś. To niebezpieczna gra... Mam nadzieję, że rozumiałaś lekcję.

Przestroga była subtelnie zawoalowana, ale Maddy ją usłyszała.

- Jaką lekcję miałam zrozumieć?

- Żeby nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Trzymaj się tego, na czym się znasz, Mad. Masz tylko czytać wiadomości. Wygłaszanie opinii to nie twoja działka.

- Tak? - Czuła się lekko pijana, ale jakoś przestało jej to przeszkadzać.

- Właśnie. Masz ładnie wyglądać i czytać kawałki z telepromptera. Zmartwienie o to, skąd się tam wzięły i co znaczą, zostaw komu innemu.

- Wydaje się to dosyć proste - zachichotała i nagle płacz ją chwycił za gardło. Czuła się jakby... zdegradowana. Nie tylko jako pracownik, ale jako człowiek.

- Bo to jest proste, Maddy. I między nami też wszystko jest proste. Kocham cię. Jesteś moją żoną. Nie powinniśmy ze sobą walczyć, a właściwie ty nie powinnaś mnie prowokować. Obiecuj, że więcej tego nie zrobisz.

- Nie mogę ci tego obiecać, Jack - powiedziała uczciwie. Nie chciała go okłamywać, choćby nie wiem jak nie cierpiała konfliktów. - Wczoraj to była sprawa etyki zawodowej. Jestem odpowiedzialna przed ludźmi, którzy mnie oglądają.

- Jesteś odpowiedzialna przede mną - powiedział jedwabistym głosem. Na chwilę znów ogarnął ją lęk, choć nie wiedziała dlaczego. Nie

było w nim teraz nic groźnego, przeciwnie, znów ją pieścił, i to tak, że nie mogła zebrać myśli. - Powiedziałem ci, czego od ciebie chcę... Chcę, żebyś mi obiecała, że będziesz grzeczną dziewczynką... - mówił urywanie, wędrując równocześnie językiem po jej najwrażliwszych miejscach.

- Ale ja jestem grzeczną dziewczynką... jestem, prawda? - zachichotała.

- Nie, Mad, nie jesteś... wczoraj byłaś niegrzeczna, bardzo niegrzeczna, i jak zrobisz to jeszcze raz, będę cię musiał ukarać... a może powinienem cię ukarać już teraz - droczył się z nią. Nie brzmiało to groźnie, tylko uwodzicielsko. - Nie chcę cię karać, Mad... chcę ci dawać przyjemność - i dawał, niemal aż za bardzo. Nie miała jednak siły go powstrzymać, była za bardzo zmęczona, a po szampanie wszystko było jakieś niewyraźne, zamazane... Tym razem nie przeszkadzało jej, że jest pijana. Było łatwiej.

- O tak, dajesz mi przyjemność - powiedziała ochryłym szeptem, zapominając, jaka była na niego zła. Tamto było wtedy, a to teraz, i w dodatku to Paryż... Nie mogła sobie przypomnieć, jaka była wściekła, jaka się czuła przez niego zdradzona, jak się bała. Próbowwała, ale nie mogła, bo znowu zaczęli się kochać, i całe jej ciało stało w ogniu.

- Będiesz teraz grzeczną dziewczynką? - spytał, torturując ją rozkoszą. - Obiecujesz?

- Obiecuję - westchnęła.

- Obiecaj jeszcze raz, Mad... - Był mistrzem w tym, co robił. Miał za sobą lata praktyki. - Obiecaj mi jeszcze raz...

- Obiecuję... obiecuję... obiecuję... Będę grzeczna, przysięgam... - Teraz pragnęła tylko dawać mu rozkosz, a równocześnie, jakby patrząc z dystansu na siebie samą, nienawidziła się za to. Znowu mu się zaprzedała, znowu oddała się w jego moc... Ale ta moc była zbyt potężna, by się jej oprzeć.

- Czyją własnością jesteś, Mad?... Kto cię kocha?... Jesteś moją własnością... Ja cię kocham... Powiedz to, Maddy...

- Kocham cię... Jestem twoją własnością...

Jego ruchy stały się tak gwałtowne, że zaczął sprawiać jej ból. Pisnęła i usiłowała się spod niego wydostać, ale przygwoździł ją do podłogi i uderzał z morderczą siłą. Pojękiwała z bólu, ale nie przestawał, uderzał



jeszcze mocniej. Usiłowała coś powiedzieć... Zgniół wargami jej usta, waląc w nią z całej siły, aż wstrząsnął nim potężny dreszcz. Chwył zębami jej brodawkę. Gdy skończył, pierś krwawiła.

Była zbyt oszołomiona, żeby płakać. Co to było? Miłość czy złość? Wymierzał jej karę czy pragnął tak gwałtownie, że nie zdawał sobie sprawy, że ją rani? Nie wiedziała, co właściwie czuje - miłość, pożądanie, nienawiść?

- Skaleczyłem cię? - Wyglądał na zatroskanego. - O Boże, Mad, ty krwawisz... Tak mi przykro...

Z lewej piersi sączył się strumyczek krwi. Wewnątrz też czuła się zbita. Może naprawdę zrobił to, co mówił, ukarał ją... Ale jego oczy, gdy pochylał się nad nią były pełne czułości. Wziął wilgotną szmatkę z kubelka z lodem i przyłożył do krwawiącego sutka.

- Przepraszam, maleńka. Tak cię pragnąłem, nie wiedziałem, co robię.

- Nie szkodzi - powiedziała. Kręciło jej się w głowie. Pomógł jej wstać i pozostawiając ubrania na podłodze, przeszli do sypialni. Chciała tylko pójść do łóżka; nawet na prysznic nie miała siły. Wiedziała, że gdyby sobie na niego pozwoliła, zemdłaby.

Jack delikatnie ułożył ją w pościeli. Uśmiechnęła się. Pokój zataczał wokół niej łagodne kręgi.

- Kocham cię, Maddy - patrzył na nią czule. Usiłowała patrzeć na niego, ale pokój wirował zbyt szybko.

- Ja też cię kocham, Jack - wybełkotała. W chwilę potem już spała.

Jack stał i patrzył na nią. W końcu wyłączył światło, wrócił do salonu i nalał sobie czystej whisky. Ze szklanką w ręce stanął w oknie i pociągając trunek, patrzył na plac Vendôme. Był z siebie zadowolony. Pokazał jej, kto tu rządzi. Dostała nauczkę.

## Rozdział ósmy

Jack zabierał Maddy na kolację do Taillevent, Tour d'Argent, Chez Laurent, Lucas Carton. Co wieczór jadali w eleganckich lokalach, a na lunch chodzili do malutkich bistro na lewym brzegu Sekwany. Robili zakupy, odwiedzali sklepy z antykami, galerie sztuki... U Cartiera kupił jej bransoletę ze szmaragdami. To był jakby ich drugi miesiąc miodowy i Maddy żałowała, że pierwszego dnia się upiła. Tkwiły w niej bardzo dziwne wspomnienia tego wieczoru: niektóre pełne erotyzmu, inne otaczała aura niepokoju, smutku, strachu. Od tamtej nocy piła bardzo mało. Nie było jej to potrzebne; nieustannie w centrum uwagi Jacka, obsypywana prezentami, była pijana romansem. Robił wszystko, żeby ją uwieść... Kiedy wyjeżdżali na południe Francji, znów była całkowicie w mocy jego czaru. Jack był mistrzem w tej grze.

Zatrzymali się w hotelu du Cap na Cap d'Antibes i zajęli bajeczny apartament z widokiem na ocean. Mieli na ustroniu prywatną cabanę, w której spędzali całe dnie, mogli się w niej kochać. Jack był czuły i namiętny, jak nigdy dotąd. Czasami Maddy kręciło się w głowie. Wydawało jej się, że wszystko, co odczuwała wcześniej - złość, oburzenie, poczucie, że została zdradzona - było złudzeniem, a to, co działo się teraz, to jedyna znana jej rzeczywistość. Byli tu od pięciu dni i wcale nie miała ochoty wyjeżdżać do Londynu.

Wynajęli łódź i robili wyprawy do Saint Tropez, do Cannes na zakupy, do Juan les Pins na kolację... Wracali do hotelu du Cap i zabierał ją na dancing. Było pięknie, spokojnie, romantycznie. I nigdy nie kochali się tak często. Gdy wyjeżdżali do Londynu, z trudem mogła usiąść.

Londyn by! bardziej poważny, ale Jack nadal bardzo się starał. Zabrał ją na zakupy, na kolację do Harry's Bar, na dancing do Annabel's... U Graffa kupił jej mały szmaragdowy naszyjnik, do kompletu z kupioną w Paryżu bransoletą.

- Dlaczego mnie tak rozpieszczasz? - zapytała ze śmiechem, kiedy wychodzili od Graffa na New Bond Street.

- Bo cię kocham. Bo jesteś moją najlepszą prezenterką. - Zwrócił ku niej rozpromienioną twarz.

- Aha! Więc te łapówki majami zastąpić podwyżkę, tak? - Tryskała humorem, choć gdzieś na dnie coś ją gnębiło.

Był taki czuły, a przed podróżą tak okrutny!

- Jasne. To szef finansów mnie tu wysłał, żebym cię zbałamucił - powiedział z surową miną. Roześmiała się. Chciała go kochać i chciała, żeby on ją kochał.

- Na pewno czegoś ode mnie chcesz, Jack - droczyła się. I rzeczywiście chciał... W dzień i w nocy pragnął jej ciała. Zaczynała się czuć jak seksmaszyna. Parę razy, gdy się kochali, przypomniawszy jej, że „należy” do niego. Nie lubiła tego określenia, ale wołała tego nie mówić, bo to zdawało się go prowokować. Jeśli to dla niego takie ważne, niech sobie mówi... Czasami zastanawiała się, czy Jack naprawdę w to wierzy. Nie należała do niego. Kochali się. I był jej mężem.

- Zaczynam się czuć jak lady Chatterley - zaśmiała się, kiedy natychmiast po powrocie do hotelu zaczął ją rozbierać. - Co ty za witaminy bierzesz? Nie przedawkowałeś przypadkiem?

- Nie ma czegoś takiego jak nadmiar seksu, Mad. To dobre dla nas obojga. Uwielbiam kochać się z tobą, kiedy jesteśmy na urlopie.

Ale w domu też był nie od tego... Wyglądało na to, że ma na Maddy nieustający apetyt. I na ogół lubiła to, chyba że był zbyt brutalny, jak wtedy w Paryżu.

Podobna sytuacja miała miejsce jeszcze raz, podczas ich ostatniej nocy w hotelu Claridge's. Byli na dancingu w Annabel's i dosłownie w chwili, gdy wrócili do apartamentu i zamknęli za sobą drzwi, przyparł ją brutalnie do ściany, ściągnął z niej majtki i niemal ją zgwałcił. Próbowwała skłonić go, żeby poczekał, żeby przejść do sypialni, ale powłókł ją do łazienki i wziął na marmurowej podłodze, choć błagała, żeby przestał. Znowu zadawał jej ból, ale był tak podniecony, że nic nie słyszał. Potem przeproszał ją, podniósł delikatnie i zaniósł do wanny z ciepłą wodą.

- Nie wiem, co mi zrobiłaś, Mad. To wszystko twoja wina - powiedział, myjąc jej plecy, a w chwilę później wśliznął się do wody. Patrzyła na niego podejrzliwie: znowu? Tym razem jednak wziął ją bardzo czule i łagodnie. Życie z nim to była nieustająca karuzela rozkoszy i bólu, lęku i namiętności, mieszaniny niezwyklej delikatności z odrobiną czegoś przerażająco brutalnego i okrutnego. Trudno byłoby to komuś wytłumaczyć; gdyby miała to zrobić, byłaby w kłopotcie. Skłaniała ją do robienia rzeczy, które ją żenowały. Tłumaczył, że to nic złego, są przecież małżeństwem i kochają się, a ilekroć sprawiał jej ból, zawsze

mówił, że to ona doprowadza go do szaleństwa, że to jej wina. Pochlebiali jej to, ale czasem było bardzo bolesne. Żyła w ciągłym zamęcie.

Kiedy w końcu wrócili do domu, wydawało się jej, że ma za sobą nie dwa tygodnie, lecz miesiąc wakacji. Od dawna już nie czuła się tak z nim związana, no i rozerwali się. Przez dwa tygodnie cała jego uwaga zwrócona była na nią. Nie odstępował jej nawet na minutę, psuł na wszelkie możliwe sposoby... I kochał się z nią tyle razy, że nie mogła sobie przypomnieć, co robili i jak często.

Tego wieczoru, gdy wrócili do domu, Maddy czuła się jak po miodowym miesiącu. Jack pocałował ją w holu, zaniósł na górę ich torby i walizkę, którą kupiła, żeby pomieścić rzeczy kupione w Paryżu i Londynie. Potem zszedł na dół, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną a Maddy odsłuchiwała tymczasem wiadomości na sekretarce. Zdziwiło ją że aż cztery razy dzwonił Greg Morris. Jego głos brzmiał dość serio... Spojrzała na zegarek, było jednak za późno, żeby oddzwonić.

W e-mailu nie było nic szczególnie ciekawego. Przekąsili coś, wzięli prysznic i poszli spać. Rano trzeba było wstać dość wcześnie.

Do pracy pojechali razem, po drodze gawędzili. W hallu Maddy pożegnała się z Jackiem i pojechała do siebie. Śpieszyło jej się, żeby zobaczyć się z Gregiem i opowiedzieć mu o podróży, ale jeszcze go nie było. Zaskoczona przeczytała pozostawione dla niej wiadomości, przejrzała e-mail. Jak zwykle było w nim pełno listów od fanów. Kiedy o dziesiątej Grega nadal nie było, zaniepokoiła się. Poszła do sekretarki i spytała, czy nie jest chory.

Debbie wlepiała w nią oczy. Najwyraźniej czuła się niezręcznie.

- Eeee... to znaczy... nikt pani nic nie mówił?

- O czym? - spytała w panice. - Coś mu się stało? - Pewnie miał wypadek i nikt nie chciał jej niepokoić, kiedy była na urlopie...

- Odszedł - powiedziała w końcu bez ogródek sekretarka.

- Dokąd? - Maddy nie zrozumiała.

- Już tu nie pracuje, pani Hunter. Myślałam, że ktoś pani powiedział. .. Pani nowy współprowadzący przychodzi jutro. Dziś będzie pani musiała poprowadzić program sama... Greg odszedł nazajutrz po pani wyjeździe na urlop.

- Co zrobił? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Może się z kimś pokłócił?

- Nie znam szczegółów - skłamała dziewczyna. Nie chciała być tą, która powie Maddy o wszystkim... Jeszcze nie zamknęła ust, a Maddy już biegła do pokoju kierownika produkcji.

- Co się stało z Gregiem, do diabła?

Rafe Thompson podniósł na nią wzrok. Był to wysoki mężczyzna, który wyglądał na zmęczonego, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata. Czasami zresztą rzeczywiście tak było.

- Odszedł - powiedział tylko.

- Tyle to wiem. Ale dokąd? Kiedy? I dlaczego? Żądam odpowiedzi na te pytania. - Oczy Maddy lśniły jak w gorączce.

- Zmieniono koncepcję programu i Greg do niej nie pasował. Zdaje się, że poszedł do redakcji sportowej w NBC. Nie znam szczegółów.

- Bzdury... To samo powiedziała mi Debbie. To kto w końcu zna szczegóły? - Ale już wiedziała kto. Pobieгла do Jacka.

Weszła do jego gabinetu, nie czekając, aż ją zaanonsują. Stała przy biurku i spojrzała na niego. Odkładał właśnie słuchawkę telefonu. Biurko było zavalone papierami - cena, jaką trzeba było zapłacić za dwa tygodnie wakacji.

- Wyrzuciłeś Grega? - spytała bez wstępów. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- To decyzja całego kierownictwa - powiedział spokojnie.

- Co to znaczy? I dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, kiedy byliśmy w Europie? - Czowała się wystrychnięta na dudka.

- Nie chciałem cię martwić, Mad. Uważałem, że zasługujesz na prawdziwe wakacje.

- Miałam prawo wiedzieć, że wyrzuciłeś mojego współprowadzącego.

- To wyjaśniało te cztery wiadomości na sekretarce... I ton głosu Grega. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że musiał być przygnębiony, i trudno się dziwić. - Dlaczego to zrobiłeś? Był świetny! I naprawdę popularny...

- Nasza opinia była trochę inna - powiedział gładko Jack. - Nie był tak dobry jak ty, kochanie. Potrzebujemy dla ciebie kogoś mocniejszego jako przeciwwagi.

- Co to znaczy „mocniejszego”? - Nie rozumiała, co ma na myśli, i była przygnębiona decyzją i sposobem jej przeprowadzenia.

- Greg był za miękki, zanadto zniewieściał. Górowałaś nad nim, no i

jesteś dużo lepszą profesjonalistką. Przykro mi. Potrzebujesz kogoś o silniejszej osobowości i większym doświadczeniu.

- Kogo w takim razie zatrudniłicie? - spytała zmartwiona. Lubiła pracować z Gregiem, był jej najbliższym przyjacielem.

- Brada Newbury. Nie wiem, czy go sobie przypominasz. Przekazywał dotąd wiadomości z Bliskiego Wschodu w CNN. Jest świetny... Na pewno będziesz zadowolona ze współpracy z nim - powiedział z przekonaniem.

- Brad Newbury? - Maddy nie posiadała się ze zdumienia. - Przecież on nawet o wojnie nie potrafi mówić ciekawie! Czyj to pomysł?

- To decyzja zbiorowa. Brad to profesjonalista i dziennikarz z charakterem. Znakomity kontrapunkt dla ciebie.

Maddy nie cierpiała stylu Brada i nigdy go nie lubiła. Spotkali się parokrotnie i za każdym razem był arogancki i protekcyjny.

- Jest suchy, nudny i nie ma żdźbła uroku - powiedziała z ogniem. - Na litość boską, przecież wszyscy przy nim zasną! On nawet problemy Bliskiego Wschodu potrafi przedstawić w nudny sposób...

- Jest bardzo zdolnym reporterem.

- Greg też! Nasze notowania nigdy nie były tak wysokie.

- Twoje notowania, Mad. Jego zaczynały spadać. Nie chciałem ci sprawiać przykrości, ale pociągnąłby za sobą w dół i ciebie.

- Po prostu tego nie rozumiem - powiedziała. - I nie wiem, czemu mi nie powiedziałeś.

- Bo nie chciałem cię martwić. To jest biznes, Maddy. Showbiznes. Musimy bez przerwy mieć oko na wszystko.

Przytłoczona nowinami, wróciła do swojego biura i zadzwoniła do Grega.

- Nie mogę w to uwierzyć, Greg! Nikt mi nie powiedział. Myślałam, że jesteś chory lub coś w tym rodzaju, kiedy o dziesiątej jeszcze cię nie było... Co tu się, do diabła, stało? Wkurzyłeś kogoś?

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedział z przygnębieniem w głosie. On też bardzo lubił z nią pracować i oboje wiedzieli, że ich program był hitem. On jednak wiedział więcej niż ona. - Zaraz po twoim wyjeździe wezwał mnie Tom Helmsley i powiedział, że mnie zwalniają. Wywalają, mówiąc ściśle.

Tom Helmsley był producentem wykonawczym ich programu.

- Powiedział - ciągnął Greg - że staliśmy się za bardzo swobodni, za bardzo bezpośredni, że zaczynamy przypominać wyższe kierownictwo Abbota & Costella.

- A co to znowu za bzdury, do diabła? Kiedy ostatni raz powiedzieliśmy dowcip przed kamerą?

- Raczej dawno, ale myślę, że kluczowym słowem jest „bezpśredni”. Ktoś doszedł do wniosku, że jesteśmy sobie za bliscy. Kurczę, Maddy, jesteś moją najlepszą przyjaciółką... Myślę, że komuś się to nie podoba. Komuś z twojego kręgu.

- Masz na myśli Jacka? Greg, to szaleństwo!

Nie mogła w to uwierzyć. Nie było powodów, żeby wyrzucać Grega, a Jack nigdy nie zaryzykowałby spadku popularności programu z motywów osobistych. Ale wybrać Brada Newbury... to dziwne... Greg myśli, że Jack jest o niego zazdrosny? Nie, to niemożliwe.

- Może ci się to wydawać szaleństwem, Mad, ale to się nazywa izolacja. Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? Ilu masz przyjaciół? Jak często pozwala ci się z kimkolwiek widywać? Na twoje kontakty ze mną nie miał wpływu, pracowaliśmy razem. Ale zajął się tym, prawda? Przemysł to.

- Dlaczego miałbyś chcieć mnie izolować? - spytała zmieszana, a Greg się zastanawiał, ile razy trzeba będzie jej to powtórzyć. Zauważył to już dawno, ale ona najwyraźniej nie. Chyba po prostu nie dopuszczała do siebie tej myśli.

- Chce cię izolować, Mad, bo chce cię kontrolować. Organizuje ci życie, podejmuje za ciebie decyzje, nigdy nie pyta cię o zdanie w sprawie programu... Do ostatniej chwili nie powiedział ci, że wyjeżdżacie do Europy. Traktuje cię jak wyciętą z papieru lalkę, a jak mu się nie podoba to, co robisz, mówi, że jesteś białym śmieciem i że bez niego wylądujesz z powrotem w przyczepie. Ile razy mówił, że bez niego byłabyś niczym? Zdajesz sobie sprawę, co to za bzdura? Bez ciebie jego wiadomości byłyby najniższym notowanym programem informacyjnym ze wszystkich, jakie istnieją. Jeśli kiedykolwiek odejdziesz z WBT, rzucają się na ciebie wszystkie wielkie sieci. Będziesz mogła przebierać w ofertach jak w ulęgawkach. No i na co ci to wszystko teraz wygląda, Mad? Kochający małżonek czy coś znacznie bardziej znajomego?

Nigdy dotąd nie ośmieliła się połączyć z sobą wszystkich tych

faktów... Ogarnęła ją zgroza. A jeśli rzeczywiście Jack chce ją izolować? Nagle przypomniała sobie, jak ostatnio ciągle powtarzał, że należy do niego. Przebiegł ją dreszcz.

- To tak jakby przemoc, co? - powiedziała ledwie dosłyszalnie.

- Zaskoczyło cię to odkrycie, ale co w tym nowego? - odparł Greg. - Chcesz powiedzieć, że nigdy nie brzmiało ci to znajomo? Co prawda, nie łamie ci gnatów w sobotę po wypłacie, ale po co mu to? Kontroluje cię na wszelkie inne sposoby, a jak mu podpadniesz, zdejmuje cię na dwa tygodnie z programu i wywala do Europy, a mnie z pracy. Jesteś żoną maniaka władzy. - Powiedział „maniaka”, nie „sadysty”, ale wychodziło na jedno.

- Być może, Greg - powiedziała, rozdarta między potrzebą obrony Jacka a sympatią do kolegi. Nie odmalował przed nią pięknego obrazka, ale trudno się było z nim nie zgodzić. Po prostu nie wiedziała, co robić.

- Przykro mi, Mad - powiedział cicho. Był bardzo przywiązany do Maddy i od dawna oburzał go sposób, w jaki traktował ją Jack. A już najbardziej go martwiło, że Mad zdawała się tego nie zauważać. Ale on tak. Był pewien, że między innymi dlatego go wyrzucono. Było zbyt niebezpieczne trzymać kogoś takiego obok Maddy. - To, co on z tobą robi, to znęcanie się.

- Na to wygląda - powiedziała zgnębiona. - Ale nie jestem pewna. Może przesadzasz, Greg... Przecież mnie nie bije.

Dobrze wiedziała, że nie o to chodzi, po prostu nie chciała widzieć ani słyszeć. Ale trudno było od tego uciec.

- Myślisz, że cię szanuje?

- Myślę, że mnie kocha - odpowiedziała natychmiast. Dopiero co wrócili przecież z Europy... - Myślę, że chce dla mnie jak najlepiej, nawet jeśli nie zawsze sięga po właściwe sposoby.

Greg był innego zdania. Chciał tylko, żeby zastanowiła się nad tym, przyjrzała bliżej swojemu życiu z mężem.

- Myślę, że mężczyźni, którzy biją swoje żony, też je kochają. Uważasz, że Bobby Joe cię nie kochał?

- Chyba nie.

Nie do wiary! Greg porównywał Jacka z Bobbym Joe. To było okropne, nie chciała o tym słyszeć. Co innego pomyśleć, że Jack się nad nią znęca, a co innego słuchać, jak Greg głośno to wszystko mówi.



Koszmar znów stawał się realny.

- No dobrze, być może Bobby Joe rzeczywiście cię nie kochał. Ale pomyśl, co Jack robi z tobą. Wozi cię, gdzie chce, jak rzecz, jak przedmiot, za który zapłacił. Czy to czułość powiedzieć ci, że bez niego byłabyś niczym? I chce, żebyś w to uwierzyła! - Co gorsza, wierzyła naprawdę, i Greg o tym wiedział. - Maddy, on chce, żebyś wierzyła, że jesteś jego własnością.

Dreszcz jej przebiegł po plecach. To samo mówił Jack w Europie.

- Jak możesz tak mówić!

- Bo nie nade mną się znęca, i nie mnie traktuje jak swoją własność. Maddy, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Pomyślała, że chce ją poprosić, żeby pogadała z Jackiem o jego powrocie do pracy. Była gotowa spróbować, choć nie sądziła, że Jack jej posłucha.

- Zrobię wszystko, co zechcesz - obiecała.

- Trzymam cię za słowo. Chcę, żebyś poszła na spotkanie grupy dla ofiar przemocy.

- Przecież to nonsens. Nie potrzebuję żadnej grupy - powiedziała zaskoczona.

- Chciałbym, żebyś o tym zdecydowała, jak już tam będziesz. Wydaje mi się, że w gruncie rzeczy nie masz pojęcia, co się z tobą dzieje... Obiecuj mi, że pójdziesz na grupę. Znajdę ci jakąś.

To samo chciała wymóc na Janet McCutchins... Ale Janet miała ciało w siniakach, a ona nie!

- To ci otworzy oczy - ciągnął Greg. - Mogę nawet z tobą pójść.

- No dobrze... być może... jeśli mi coś znajdziesz. A jak mnie ktoś rozpozna?

- Możesz powiedzieć, że przysłaś ze mną żeby mi było rażniej. Maddy, moja siostra też przez to przeszła. Dwa razy próbowała popełnić samobójstwo, zanim wreszcie zrozumiała, co się z nią dzieje... Z nią też chodziłem na grupę. Miała ze swoim starym czworo dzieci.

- I co się z nią stało?

- Rozwiodła się z nim i wyszła za świetnego faceta, ale potrzebowała trzech lat terapii, żeby dojść do tego punktu. Uważała, że skoro mąż nie łamie jej gnatów, jak nasz ojciec matce, jest bohaterem. Ale nie wszystkie formy znęcania się pozostawiają siniaki...

Wiedziała o tym, a jednak jakaś część jej osoby wciąż pragnęła wierzyć, że z Jackiem jest inaczej. Nie chciała uważać się za ofiarę, nie chciała uważać Jacka za sprawcę przemocy.

- Myślę, że trochę przesadzasz, ale bardzo cię lubię, Greg. Co masz zamiar teraz zrobić? - zmieniła temat. Martwiła się o niego i usiłowała zapomnieć o tym, co powiedział o Jacku. Zbyt groźne to było dla niej... Zaczęła nawet przekonywać samą siebie, że w gruncie rzeczy Jack nie jest żadnym sadystą. Greg jest po prostu wkurzony.

- Będę robił sport w NBC. Zaproponowali mi świetne warunki i za dwa tygodnie startuję. A kto przychodzi na moje miejsce?

- Brad Newbury - powiedziała zniechęcona. Brakowało jej bardzo Grega. A może to dobry pomysł z tą grupą dla ofiar przemocy? Przynajmniej będzie mogła go widywać. Była pewna, że Jack nie pozwoli jej się z nim spotykać. Znajdzie sposób, żeby wyłączyć go całkiem z jej życia, dla jej własnego dobra, oczywiście. Tyle już wiedziała o własnym mężu.

- Ten facet z CNN? - w głosie Grega było niedowierzanie. - Chyba żartujesz. Przecież on jest okropny!

- Obawiam się, że bez ciebie nasze notowania polecą na szyję.

- Skąd. Przecież zostałeś ty... Będzie dobrze, mała. Tylko pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Tego jednego od ciebie chcę. Pomyśl. - Był przekonany, że współpraca z Bradem to ostatnie z jej zmartwień.

- Pomyślę - obiecała, ale bez wielkiego przekonania.

Przez całe przedpołudnie, ilekroć pomyślała o Gregu, ogarniał ją niepokój. To, co powiedział, wytrąciło ją z równowagi, i robiła co mogła, żeby udowodnić sobie samej, że to nieprawda. Kiedy Jack mówił, że ona do niego należy, miał na myśli to, że ją namiętnie kocha, nic więcej... Ale gdy o tym myślała, nawet jego namiętność wydawała się jakaś dziwna, zwłaszcza ostatnio. Parę razy ją ugryzł, w Paryżu nawet dość dotkliwie... Dopiero po tygodniu pierś się zagoiła. A później w Claridge's, kiedy kochali się na marmurowej posadzce łazienki, znów to zrobił i bolało do tej pory. Ale przecież nie zrobił tego specjalnie! Był po prostu szalenie podniecony, bo tak go pociągała. W ogóle z Jacka niezły kogut... No i nie lubi niczego z góry planować. Czy to przestępstwo zabrać żonę do Paryża i zamieszkać z nią w Ritzu, choćby nawet bez uprzedzenia? I kupić jej bransoletkę u Cartiera, pierścionek u Graffa...

Gregowi odbiło, pewnie był po prostu zły, że go wyrzucili, co zresztą jest zrozumiałe. A już najbardziej idiotyczne było porównywanie Jacka do Bobby'ego Joe. Nie mają ze sobą absolutnie nic wspólnego! Jack uratował ją od Bobby'ego. Ale nie mogła zrozumieć, dlaczego myśląc o tym, co powiedział Greg, czuje się wprost chora. Niewiarygodnie ją zdenerwował... Cóż, po prostu nawet wzmianka o przemocy wytrąca ją z równowagi.

Jeszcze była pod wrażeniem słów Grega, gdy w poniedziałek poszła na posiedzenie komisji Pierwszej Damy. Usiadła obok Billa Alexandra. Był opalony, powiedział, że odkąd się widzieli ostatni raz, znowu odwiedził syna w Vermont, a w weekend był u córki w Martha's Vineyard.

- A jak tam książka? - spytała szeptem, bo posiedzenie się właśnie rozpoczęło.

- Powolutku, ale posuwa się naprzód - uśmiechnął się, patrząc na nią z podziwem, jak zresztą wszyscy. W błękitnej męskiej koszuli i białych spodniach wyglądała letnio i pięknie.

Pierwsza Dama oddała głos zaproszonemu na spotkanie gościowi. Eugenia Flowers była lekarzem psychiatrą specjalizującym się w problemach ofiar przemocy i biegłym sądowym w sprawach o znęcanie się nad kobietami. Maddy słyszała o niej, ale nigdy dotąd jej nie spotkała.

Doktor Flowers, nie wstając z miejsca, spytała kolejno każdego z obecnych, czym jego zdaniem jest przemoc. Była bezpośrednia i ciepła, wyglądała jak babcia, ale oczy miała bystre, przenikliwe. Wyglądało na to, że dokładnie wie, jak rozmawiać z każdym z uczestników.

Odpowiedzi były dość podobne. Wszyscy byli zdania, że przemoc to bicie, maltretowanie czy w ogóle fizyczne znęcanie się nad ofiarą.

- Tak, to prawda - zgodziła się doktor Flowers z życzliwym uśmiechem. - To najbardziej oczywiste przypadki przemocy. - I wymieniła parę innych, a niektóre były tak wyrafinowane i perwersyjne, że uczestnicy krzywili się, słuchając.

- Sądzą państwo, że na tym koniec? - ciągnęła doktor Flowers. - Przemoc ma wiele twarzy. Co państwo powiedzą o nadmiernym kontrolowaniu drugiej osoby, śledzeniu każdego jej kroku, każdej myśli? O niszczeniu jej wiary w siebie, izolowaniu, straszaniu? A zbyt szybka jazda, tak żeby sterroryzować drugą osobę? Pogróżki? Brak szacunku?

Mówienie, że czarne jest białe, a białe jest czarne, tak że ofiara traci wszelkie rozeznanie? Odbieranie pieniędzy, wmawianie drugiej osobie, że bez nas byłaby niczym, że jest naszą własnością? Pozbawianie wolnej woli, zmuszanie do określonych decyzji reprodukcyjnych, do nieustannego rodzenia albo do ciągłych aborcji, albo wręcz do całkowitej bezdzietności? Czy któreś z tych zachowań brzmi dla państwa znajomo? To w gruncie rzeczy klasyczne formy przemocy, dokładnie tak samo bolesne, groźne i niszczące, jak te, które pozostawiają siniaki.

Maddy niemal zabrakło tchu. Zbladła jak śmierć. Bill Aleksander zauważył to, nie powiedział jednak ani słowa.

- Jest wiele rodzajów przemocy wobec kobiet - ciągnęła doktor Flowers. - Niektóre są oczywiste, inne bardziej zakamuflowane, ale wszystkie niebezpieczne. Najbardziej zdradzieckie są subtelne postaci przemocy, ponieważ ofiara nie tylko jej nie dostrzega, ale w dodatku obwinia samą siebie za określone zachowania partnera. Jeśli prześladowca jest dostatecznie sprytny, może używać wszystkich form przemocy i przekonać ofiarę, że to jej wina. Ofiara może być doprowadzona do samobójstwa, narkomanii, depresji, a nawet do morderstwa. Każdy rodzaj przemocy jest potencjalnie śmiertelny dla ofiary, ale przemoc w subtelnej postaci najtrudniej powstrzymać, ponieważ najtrudniej ją dostrzec. A co gorsza, w większości przypadków ofiara tak głęboko wierzy we własną winę, że sama się prosi o więcej i ułatwia sprawcy kolejne nadużycia, w przekonaniu, że jest mu to winna. W jej mniemaniu jest do tego stopnia zła i pozbawiona jakiegokolwiek wartości, że jej się należy takie traktowanie. Jest przekonana, że bez oprawcy byłaby nikim.

Maddy miała wrażenie, że zemdleje. Ta kobieta opisywała szczegółowo jej małżeństwo z Jackiem. Nigdy nie tknął jej palcem, złapał jedynie wtedy za ramię i potrząsnął nią, ale poza tym robił wszystko, o czym mówiła doktor Flowers... Maddy miała ochotę wybuchnąć płaczem i wybiec z pokoju. Ale siedziała jak sparaliżowana.

Doktor Flowers mówiła przez pół godziny, po czym Pierwsza Dama zachęciła obecnych do pytań. Przeważnie pytano, co można zrobić, by obronić kobiety nie tylko przed ich prześladowcami, ale i przed nimi samymi, i jak zatrzymać ten proces.

- Po pierwsze, trzeba go rozpoznać. Po drugie, trzeba chcieć. Ale

podobnie jak wykorzystywane dzieci, większość kobiet w podobnej sytuacji chroni swoich prześladowców, zaprzeczając i obwiniając siebie. Zbyt bolesne jest przyznanie się przed samą sobą, co się naprawdę dzieje, i ujawnienie tego wobec otoczenia. Kobiety wstydzą się, bo wierzą we wszystko, co mówi im prześladowca. Dlatego, po pierwsze, trzeba im pomóc zrozumieć ich sytuację, a po drugie, pomóc z niej wyjść. Często nie jest to łatwe. Te kobiety mają swoje życie, dzieci, domy... A wy im proponujecie, żeby rzuciły to wszystko i uciekały przed niebezpieczeństwem, którego nie dostrzegają lub nie są pewne, czy naprawdę istnieje. Problem polega po prostu na tym, że jest ono tak realne i tak groźne jak wymierzona w nie lufa pistoletu. Większość z nich jednak o tym nie wie. Niektóre wiedzą ale na ogół są tak samo wystraszone jak reszta. Mówię o kobietach mądrych, wykształconych, często znakomitych w swoich zawodach, które, zdawałoby się, powinny wiedzieć, co jest grane... Niestety, nikt nie jest zabezpieczony przed możliwością zostania ofiarą przemocy. Może się to zdarzyć każdemu, i rzeczywiście się zdarza: osobom o znakomitej pozycji zawodowej, doskonale zarabiającym, pracującym w najlepszych firmach, kończącym najlepsze szkoły. .. Bywa, że ofiarami przemocy zostają kobiety piękne i mądre, o których nigdy nie pomyślelibyście, że mogą się w to uwikłać. Nierzadko to właśnie one są najbardziej podatnym obiektem manipulacji, bo proste, obdarzone praktycznym zmysłem kobiety bywają mniej skłonne do kupienia byle bzdury. Zazwyczaj bywają maltretowane fizycznie, podczas gdy tamte są dręczone w sposób znacznie bardziej wyrafinowany i subtelny.

Dla przemocy nie istnieje kolor skóry, rasa, miejsce zamieszkania czy pozycja. Dotyczy każdego. Może się zdarzyć każdemu z nas, zwłaszcza jeśli otrzymaliśmy wychowanie, które nas do tego predysponuje. Na przykład kobieta, której ojciec znęcał się nad matką fizycznie, może sądzić, że jeśli mężczyzna nie podnosi na nią ręki, to już jest wspaniałym facetem. Ale ten facet może być dziesięć razy gorszy niż jej ojciec, tyle że jego znęcanie się jest dużo subtelniejsze i bardziej niebezpieczne. Może ją kontrolować, izolować, grozić jej, terroryzować, obrażać, pomniejszać jej wartość, lekceważyć, może przestać okazywać jej uczucie, przestać dawać pieniądze, szantażować ją odebraniem dzieci... Jednocześnie kobieta nie ma na ciele najmniejszego siniaka, a on mówi,

że miała szczęście, że trafił jej się taki mąż. I co gorsza, ona w to wierzy. Nigdy nie uda wam się wsadzić go do więzienia, bo jeśli zdemaskujecie łobuza, to powie, że żona jest głupia, że zmyśla, że jest wariatką, cierpi na zaburzenia psychiczne, kłamie... A ona nierzadko w to wierzy. Te kobiety trzeba wyciągać z chorego związku powoli. Będą z wami walczyć, bronić swojego prześladowcy na śmierć i życie. Bardzo powoli otwierają się im oczy.

Maddy miała wrażenie, że zanim zebranie dobiegnie końca, wybuchnie płaczem. Starła się zachować spokój przynajmniej na zewnątrz, lecz kiedy w końcu wstała, nogi się pod nią trzęsły. Bill Alexander spojrzął na nią i pomyślał, że być może zaszкодził jej upał. Godzinę temu blada, teraz była wręcz zielona.

- Może napijesz się wody? - spytał troskliwie. - Interesujące spotkanie, prawda? Chociaż nie jestem pewien, co moglibyśmy zrobić, żeby pomóc kobietom w podobnej sytuacji, z wyjątkiem być może edukacji i wsparcia.

Maddy usiadła z powrotem i kiwnęła głową. Pokój zaczynał wirować jej przed oczami. Na szczęście, nikt inny nie zauważył, że poczuła się źle, a Bill poszedł po wodę.

Siedziała, czekając na jego powrót, gdy podeszła do niej doktor Flowers.

- Jestem pani ogromną wielbicielką, pani Hunter - uśmiechnęła się. Maddy, niezdolna wstać, uśmiechnęła się słabo w odpowiedzi. - Codziennie oglądam pani program. Tylko dzięki niemu dowiaduję się, co się dzieje w świecie. Podobał mi się zwłaszcza pani komentarz na temat śmierci Janet McCutchins.

- Dziękuję - Maddy miała suche wargi. W tym momencie wrócił Bill z papierowym kubkiem wody. Zastanawiał się, czy przypadkiem Maddy nie jest w ciąży. Pociągnęła łyk... Lekarka patrzyła na nią uważnie. Jej oczy były ciepłe i pełne życzliwości.

Maddy wypła wodę i wstała. Nie chciała się przed nikim zdradzić, że chwieją się pod nią nogi. Zaczynała się niepokoić, jak wyjdzie i jak złapie taksówkę, gdy nagle Bill to wyczuł.

- Podrzucić cię gdzieś? - spytał rycersko. Bez namysłu kiwnęła głową.  
- Muszę wrócić do pracy.

Nie była pewna, czy będzie w stanie wystąpić dzisiaj przed kamerą i

przez moment zastanawiała się, czy przypadkiem czegoś nie zjadła... Wiedziała jednak dobrze, że nie. Chodziło o mężczyznę, który był jej mężem.

- Chciałabym się kiedyś z panią spotkać - powiedziała doktor Flowers, gdy Maddy żegnała się z nią i Pierwszą Damą. Wręczyła jej wizytówkę. Maddy podziękowała i wyszła, schowawszy bilecik do kieszeni koszuli. Razem z tym, co mówił Greg, otrzymała już podwójną dawkę gorzkiej wiedzy i nie była pewna, czy to jawa, czy nocny koszmar. Cokolwiek to jednak było, czuła się tak, jakby przejechał po niej pociąg towarowy, i tak też wyglądała, gdy zjeżdżała z Billem windą. W milczeniu poszła za nim do samochodu.

Otworzył jej drzwiczki, wsiadła, a w chwilę później Bill wśliznął się na swoje miejsce za kierownicą i spojrzał na nią z troską. Wyglądała strasznie...

- Co ci jest? Miałem wrażenie, że o mało tam nie zemdliałaś... Kiwnęła głową. Przez chwilę milczała. Chciała skłamać i powiedzieć, że ma grypcę, nagle jednak poczuła, że nic z tego. Była skrajnie zagubiona i samotna, tak jakby wszystko, czemu ufała, w co wierzyła i chciała wierzyć, zostało jej odebrane. Była jak sierota... Nigdy dotąd nie czuła się tak przerażona i bezbronna.

Dwie łzy wymknęły jej się spod powiek i spłynęły po policzkach. Bill delikatnie dotknął jej ramienia... Wbrew sobie wybuchnęła niepowstrzymanym łkaniem.

- To strasznie przygnębiające słuchać takich rzeczy - powiedział łagodnie i odruchowo objął ją ramieniem. Nie wiedział, co robić, ale właśnie tak zachowywali się ludzie wobec niego, kiedy rozpaczał po śmierci żony, i tak samo zachowałby się wobec swoich dzieci w podobnej sytuacji. Nie było w tym nic zmysłowego - po prostu obejmował ją gdy płakała, dopóki łkanie nie ucichło.

Podniosła ku niemu oczy. Było w nich przerażenie.

- Jestem przy tobie, Maddy. Nic złego ci się nie stanie. Już wszystko w porządku...

Potrząsnęła głową i znów wybuchnęła płaczem. Nic nie jest w porządku, nie było od lat, i być może nigdy nie będzie... Nagle zdała sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo nad nią wisi, jaka jest poniżona i jak szczelnie izolowana od wszystkich, którzy mogliby to dostrzec i

przyjść jej z pomocą Jack systematycznie izolował ją od znajomych i przyjaciół, nawet od Grega... Samotna, bezbronna, stanowiła doskonały łup. Wszystko, co robił i co do niej mówił przez całe lata i ostatnio, nabrało nowego, złowrogięgo znaczenia.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytał Bill.

Przywarła do niego i płakała, jak nie płakała jeszcze nigdy w życiu.

- Mój mąż robi dokładnie to wszystko, o czym mówiła ta kobieta. Ktoś mi już na to zwrócił uwagę parę dni temu, i nic nie widziałam. Dopiero kiedy ona zaczęła mówić, zrozumiałam... Izoluje mnie i wykorzystuje od siedmiu lat, a ja uważałam, że jest nadzwyczajny, bo mnie nie bije.

Odchyliła się na oparcie siedzenia i wpatrywała się w Billa. W jej oczach była rozpacz i niedowierzanie.

- Jesteś pewna? - spytał, wstrząśnięty.

- Absolutnie.

Wykorzystywał ją również seksualnie. Teraz zdała sobie z tego sprawę. Tamta brutalność to nie był przypadek ani gwałtowne pożądanie. To był jeszcze jeden sposób, żeby ją poniżyć, zranić i zapanować nad nią. Dopuszczalny sposób... I robił to od lat. Że też dotąd tego nie rozumiała! Nie do wiary.

- Nie będę ci opowiadała, co ze mną robi... Chyba nie ma ani jednej rzeczy, którą by ta kobieta pominęła. - Wargi jej zadrżały. - Co ja mam robić? On mówi, że bez niego jestem niczym. Czasem nazywa mnie białym śmieciem i zapewnia, że bez niego wyląduję z powrotem w przyczepie kempingowej.

Dokładnie to samo mówiła Eugenia Flowers... Bill patrzył na Maddy kompletnie oszołomiony.

- Żarty sobie robi? Przecież jesteś najsłynniejszą prezenterką wiadomości w całych Stanach. Dostaniesz pracę, gdzie tylko zechcesz. Kemping możesz jeszcze zobaczyć tylko, jeśli on jakiś kupi... To jedyny sposób.

Zaśmiała się i zapatrzyła w okno. Czowała się tak, jakby jej dom spłonął. Gdzie teraz żyć? Nie mogła sobie wyobrazić, że stanie twarzą w twarz z Jackiem - teraz, gdy widziała znacznie jaśniej niż dotąd, co z nią robi. A mimo to wciąż trudno jej było w to uwierzyć... W głębi serca mówiła sobie, że może to nie było rozmysłne, może się myli...



- Nie wiem, co robić - powtórzyła cicho. - Nie wiem, co mu powiedzieć. Chciałabym go po prostu spytać, dlaczego się tak zachowuje.

- Może dlatego, że to jedyny znany mu sposób bycia - powiedział Bill.  
- Ale to nie jest usprawiedliwienie dla przemocy... Jak ci mogę pomóc?

- Muszę się zastanowić, co robić - powiedziała zamyślona. Bill przekreślił kluczyk w stacyjce i spojrzał na nią.

- Może byśmy wpadli gdzieś na filiżankę kawy? - zaproponował. Tylko to zdołał wymyślić, żeby ją jakoś uspokoić.

- Dobrze - zgodziła się.

Bill zachowywał się jak prawdziwy przyjaciel i była mu za to wdzięczna. Biła od niego życzliwość i szczerłość. Czuała się bezpieczna i spokojna, kiedy ją objął... Instykt jej mówił, że to mężczyzna, który nigdy by jej nie skrzywdził. A kiedy myślała o Jacku, widziała różnicę... Z Jackiem zawsze wszystko było jak na krawędzi, zawsze mówił rzeczy, które ją pomniejszały, tak jakby była czymś gorszym, niż była, a on jej robił wielką łaskę. Bill Alexander zachowywał się tak, jakby był wdzięczny za to, że może jej pomóc. Czuała, że może się przed nim otworzyć.

Zatrzymali się przed niewielką kawiarenką i usiedli przy stoliku w kącie. Maddy wciąż była blada. Zamówiła cappuccino, a Bill herbatę.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie miałam zamiaru wciągać cię w moje osobiste kłopoty. Nie wiem, co mi się stało... To, co ona powiedziała, zdruzgotało mnie.

- Może tak właśnie miało być? Może to przeznaczenie, że ta kobieta znalazła się na twojej drodze... Co zamierzasz dalej robić, Maddy? Nie możesz żyć z człowiekiem, który się nad tobą znęca. Słyszałaś, co powiedziała pani doktor: że to tak, jakbyś miała przystawiony pistolet do głowy. Być może nie widzisz tego wyraźnie, ale grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

- Chyba zaczynam to rozumieć... Ale nie mogę tak po prostu odejść.

- Dlaczego? - Jemu wydawało się to proste. Musiała uciekać, żeby Jack dłużej jej nie krzywdził. Dla niego było to oczywiste, nawet jeśli dla niej nie.

- Wszystko, co mam, wszystko, czym jestem, zawdzięczam jemu. To on mnie stworzył. I pracuję u niego... Gdybym go opuściła, musiałabym

też odejść z pracy. Nie miałabym pojęcia, gdzie pójść, co robić... A poza tym - oczy Maddy znów wypełniły się łzami - on mnie kocha.

- Nie jestem tego tak pewien jak ty - powiedział twardo Bill. - Traktowanie kogoś w ten sposób to nie miłość. Doktor Flowers mówiła o tym. Naprawdę myślisz, że on cię kocha?

- Nie wiem - odparła, rozdarta między lękiem a wyrzutami sumienia. Czowała się winna, że myśli i mówi tak o mężu... A jeśli się myli? Jeśli w przypadku Jacka jest inaczej?

- Myślę, że się boisz i znowu zaczynasz to z siebie wypierać. A ty? Kochasz go?

- Sądziłam, że tak... Mój pierwszy mąż parę razy łamał mi ręce i nogi. Kiedyś zepchnął mnie ze schodów, kiedyś przypalał papierosem... - Do tej pory miała bliznę, tyle że ledwo widoczną. - A Jack ocalił mnie przed nim. Zabrał mnie swoim wozem do Waszyngtonu, dał mi pracę, dał mi życie. Ożenił się ze mną. Jak mogłabym od niego odejść?

- Mogłabyś, bo sądząc z tego, co mówisz, nie jest dobrym człowiekiem. To po prostu subtelniejsza i bardziej zawołowana przemoc niż to, co robił twój pierwszy mąż. Słyszałaś, co mówiła doktor Flowers? To jest śmiertelne zagrożenie. I nie zrobił ci żadnej łaski, że się z tobą ożenił. Jesteś najlepszą inwestycją jakiej kiedykolwiek dokonał... Nie jest filantropem, tylko biznesmenem, i dobrze wie, co robi. Słyszałaś, co mówiła Flowers? On cię kontroluje.

- A jak go opuszczę?

- Może zatrudni na twoje miejsce kogoś innego, może będzie dręczył kogoś innego... Nie jesteś w stanie go wyleczyć, Maddy. Musisz ratować siebie. Jeśli on zechce się zmienić, musi się leczyć. Ale najpierw ty musisz odejść. Zanim znajdzie jakiś inny sposób, żeby cię skrzywdzić, albo zanim będziesz zbyt skolowana, żeby odejść. Wiesz już, jak to się kończy... Musisz ratować siebie, a nie myśleć o nim. Stawką jest twoje własne życie i zdrowie. Na razie nie masz siniaków, ale jeśli on robi to wszystko, co powiedziałaś, to nie masz chwili do stracenia. Uciekaj.

- On mnie zabije, jak odejdę.

Ostatni raz powiedziała te słowa dziewięć lat temu, ale nagle zdała sobie sprawę, że to prawda. Jack zbyt wiele w nią zainwestował, żeby teraz grzecznie pozwolić jej odejść.

- Musisz pojechać w jakieś bezpieczne miejsce. Masz rodzinę?

Maddy potrząsnęła głową. Rodzice zmarli parę lat temu, a z dalszymi krewnymi w Chattanooga nie utrzymywała kontaktu. Mogłaby zamieszkać u Grega, ale to prawdopodobnie byłoby pierwsze miejsce, które sprawdziłby Jack... Nie chciała narażać go na niebezpieczeństwo. Innych przyjaciół nie miała, Jack o to zadbał. No i była tak znana, że śmiesznie byłoby iść do schroniska... Ale może powinna?

- A jakbyś tak pojechała do mojej córki do Vineyard? Jest mniej więcej w twoim wieku i ma wystarczająco dużo miejsca. I śliczne dzieciaki...

Nagle pomyślała, co zrobił jej Jack, a przedtem Bobby Joe. W czasie pierwszego małżeństwa sześć skrobanek... Dwie pierwsze, bo mąż uważał, że nie jest gotów do ojcostwa, a pozostałe dlatego, że nie chciała rodzić jego dzieci, skazywać ich na życie, jakie z nim prowadziła. No a Jack nalegał, żeby podwiązała sobie jajowody. Obaj się postarali, żeby nigdy nie miała dzieci; obaj przekonali ją, że to dla niej najlepsze, a ona im uwierzyła. Nagle poczuła straszną pustkę, ale i zdumienie. Że też mogła być taka głupia! Obaj pozbawili ją szansy na macierzyństwo.

- Nie wiem, co o tym myśleć, Bill, ani gdzie uciekać. Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć...

- Nie jestem pewien, czy możesz sobie na to pozwolić - powiedział. Jeśli doktor Flowers miała rację, Maddy powinna wykonać jakiś ruch jak najszybciej... Nie było sensu czekać. - Myślę, że nie masz za wiele czasu na tę decyzję. Jeśli Jack zwróci się gdzieś o pomoc, jeśli sytuacja zmieni się na lepsze, zawsze będziesz mogła wrócić.

- A jak on się nie zgodzi?

- To będzie znaczyło, że się nie zmienił i że nie jest ci potrzebny. To samo powiedziałby własnej córce. Był gotów zrobić co w jego mocy, żeby ją ochronić i pomóc jej. Była mu za to wdzięczna.

- Pomyśl o tym i działaj szybko. On też może spostrzec, że coś się zmieniło, że twoja świadomość jest inna. Poczuje się zagrożony i może ci zrobić coś jeszcze gorszego... To nie jest dobra sytuacja dla ciebie.

Tak, wiedziała o tym dobrze... Nagle spojrzała na zegarek. Za dziesięć minut powinna być w charakteryzatorni! Ze smutkiem powiedziała Billowi, że musi wracać do pracy.

Odwiózł ją do biura. Zanim wysiadła, zwrócił ku niej zatroskaną twarz.

- Będę się martwić o ciebie, dopóki czegoś z tym nie zrobisz. Obiecuj mi, że nie będziesz próbowała tego ignorować. Przebudziłaś się, a teraz pora na działanie konstruktywne.

- Obiecuję. - Uśmiechnęła się, choć nie miała pojęcia, co robić.

- Zadzwoń do ciebie jutro - powiedział zdecydowanie - i chcę usłyszeć, że coś zrobiłaś, choćby pierwszy krok. Inaczej porwę cię osobiście i odwiozę do córki.

- Brzmi to nieźle... Jak mam ci podziękować? - Znowu ogarnęła ją fala wdzięczności. Był dla niej jak ojciec... Miała wrażenie, że są starymi przyjaciółmi. Ufała mu w pełni i ani przez moment nie pomyślała, że mógłby wygadać przed kimś to, z czego mu się zwierzyła.

- Możesz mi podziękować, Maddy, tylko coś z tym robiąc - powiedział na pożegnanie. - Liczę na to. Jeśli ci się przydam, jestem do twojej dyspozycji. - Szybko napisał na kawałku papieru swój numer telefonu. Wrzuciła go do torebki, jeszcze raz podziękowała, pocałowała Billa w policzek i pospiesznie wbiegła do budynku. To miał być jej pierwszy występ przed kamerą w towarzystwie Brada Newbury, a musiała się przebrać, uczesać, zrobić makijaż...

Bill odprowadził ją wzrokiem, wstrząśnięty. Trudno sobie było wyobrazić, że taka kobieta mogła być zastraszona, gotowa uwierzyć, że kiedy opuści męża, zostanie bez przyjaciół, bez pracy, znów w przyczepie kempingowej... Mało co było równie nieprawdopodobne, ale Maddy o tym nie wiedziała. Była chodzącym dowodem na to, co Eugenia Flowers nazwała przemocą psychologiczną... Zdumiewało go to.

Maddy biegła tymczasem do charakteryzatorni. Brad Newbury już był na miejscu. Patrzyła, jak go czesano i robiono mu makijaż. Sprawiał wrażenie niesamowicie nadętego... Że też Jack mógł zatrudnić kogoś takiego jako jej partnera! Kiedy jednak gawędzili, gdy z kolei ją czesano, starał się być miły. Powiedział, że cieszy się na pracę z nią choć zachowywał się tak, jakby to on robił jej grzeczność. Odpowiedziała uprzejmie, że nie może się doczekać, lecz kiedy zeszła do swojego pokoju, żeby się przebrać, zdała sobie sprawę, że wciąż myśli o Gregu. I o Billu Alexandrze. Nie miała pojęcia, jak się zachować wobec Jacka... Ale nie pora była o tym myśleć - za trzy niespełna minuty miała wejść na wizję. Zdażyła. Kiedy usiadła przy pulpicie, miała akurat tyle czasu, żeby złapać oddech, zanim zaczęło się odliczanie.

Weszli na wizję, przedstawiła Brada i zaczęli. Brad miał suchy, techniczny styl prezentacji. W miarę jak posuwali się naprzód, przekonywała się, że jest inteligentny i ma sporą wiedzę, ale jego sposób bycia przed kamerą był tak odmienny od jej sposobu, że musieli sprawiać wrażenie niedobraných. Ten kontrast musiał być rażący - ona ciepła, bezpośrednia, życzliwa światu, on chłodny, pełen dystansu... Nie było między nimi nic z harmonii, która łączyła ją z Gregiem. Zastanawiała się, jak to wpłynie na wyniki oglądalności.

W przerwie między popołudniowymi i wieczornymi wiadomościami pokręcili się razem po budynku i trochę pogadali. Kiedy znów znaleźli się przed kamerą, było nieco lepiej, ale na nikim nie zrobili wrażenia. Zdaniem Maddy program siadł, kierownik produkcji też miał marsa na czole.

Dostała wiadomość, że Jack będzie do późna na jakimś spotkaniu. Zostawił jej samochód, ale po namyśle zdecydowała przejść się kawałek piechotą i złapać taksówkę. Był ciepły wieczór, jeszcze się nie ściemniło. Maddy miała śmieszne wrażenie, że ktoś ją obserwuje, ale uznała to za paranoję. Dzień był tak trudny, że wyobrażnia najwyraźniej płatała jej figle... W sprawie Jacka może także? Zaczęła podważać wnioski, do jakich doszła, i ganić się za nielojalność, której się dopuściła, opowiadając o wszystkim Billowi. Być może Jack nie popełnił żadnej z tych rzeczy, o które go oskarżała... Jego zachowanie można było wytłumaczyć na miliard sposobów!

Kiedy jednak wysiadła z taksówki, zobaczyła w pobliżu domu dwu policjantów i stojący w poprzek ulicy nie oznakowany samochód. Co się stało? Zatrzymała się i spytała o to funkcjonariuszy.

- Po prostu mamy oko na okolicę - uśmiechnęli się.

W dwie godziny później wciąż jeszcze tam byli... Kiedy Jack wrócił o północy, powiedziała mu o tym.

- Tak, też ich widziałem. Wygląda na to, że ktoś w sąsiedztwie potrzebuje ochrony. Powiedzieli, że zostaną jeszcze przez jakiś czas i żeby się nie przejmować. Być może ten sędzia Sądu Najwyższego, który mieszka parę domów dalej, dostał list z pogrózkami... Tak czy owak wszyscy jesteśmy dzięki temu dużo bezpieczniejsi.

Potem jednak skrzyczał ją, że nie wzięła samochodu, tylko pojechała taksówką.

Powiedział, że gdy wychodzi, zawsze ma brać samochód i kierowcę.

- Nic się nie stało. Chciałam się przespacerować - powiedziała, ale nagle poczuła się niezręcznie. Jeśli Jack robi to, o co ona go posądza, to nie wiadomo nawet, jak z nim rozmawiać... I znowu powróciło poczucie winy. Był taki miły z tym samochodem...

- Jak ci poszło dziś z Bradem? - spytał, wchodząc do łóżka. Czy ma się zamiar z nią kochać tej nocy? Jednego była pewna: nie chciała tego.

- Tak sobie - odparła. - Facet jest w porządku, tylko niezbyt ekscytujący na ekranie. Oglądałam taśmę z piątej... W tym programie nie ma życia.

- No, to go trochę dodaj - powiedział, otwarcie składając całą odpowiedzialność na jej barki.

Maddy zdała sobie sprawę, że wpatruje się w niego, jakby był kompletnie obcy. Nie wiedziała, co powiedzieć, nie wiedziała, co jest prawdą, a co nie... Czy to, co robił, jest przemocą, czy po prostu lubi mieć nad wszystkim kontrolę i kierować jej życiem, bo się o nią troszczy? Co właściwie aż tak nagannego zrobił? Podarował jej fantastyczną karierę, piękny dom, samochód z kierowcą, żeby miała czym jeździć do pracy, efektowne ciuchy, kosztowną biżuterię, podróże do Europy, samolot, którym może latać na zakupy do Nowego Jorku, ile razy jej się zamarzy. .. Czy to takie okropne? Chyba oszalała... Skąd jej przyszło do głowy, że to przemoc? Musiała sobie to wszystko wyobrazić! Co za nielojalność, choćby pomyśleć w ten sposób...

Jack zgasił światło i powoli zwrócił się ku niej z dziwnym wyrazem twarzy. Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i dotknął lekko jej piersi, a potem, zanim zdołała temu zapobiec, chwycił jej sutek tak brutalnie, że jęknęła i zaczęła go błagać, by puścił.

- Dlaczego? - spytał. W jego głosie pobrzmiwało okrucieństwo. Zaśmiał się. - Dlaczego, malutka? Powiedz mi dlaczego? Nie kochasz mnie?

- Kocham cię, ale sprawiasz mi ból... - powiedziała ze łzami. Jack szarpnięciem ściągnął z niej nocną koszulę i obnażył ją w całości, a potem zanurkował głową między jej nogi. Jęknęła z podniecenia. To była ta sama gra, w którą grał z nią poprzednio - naprzemiennej rozkoszy i bólu. „Nie chcę się dziś z tobą kochać” - usiłowała powiedzieć, ale on nie słuchał. Zagarnął garścią jej włosy, szarpnięciem odchylił jej głowę do

tyłu, zaczął całować w szyję tak zmysłowo, jakby przebijał ją na wylot, i zaczął ujeżdżać tak ostro, że krzyknęła z bólu. Wbiła mu paznokcie w plecy, żeby go powstrzymać, i wtedy złagodniał. Leżała w jego ramionach, płacząc z rozpacz, aż wstrząsnął nim potężny dreszcz i znieruchomiał wewnątrz niej.

- Kocham cię, malutka - wyszeptał z ustami przy jej szyi. Co znaczyły dla niego te słowa? W jaki sposób zdoła kiedykolwiek od niego uciec? Coś gwałtownego, przerażającego było w ich intymności... To był subtelny sposób zastraszania, znany jej od dawna, ale dotąd nie rozpoznany. Teraz, gdy wiedziała już, co to jest, odczuwała jego miłość głównie jako zagrożenie.

- Kocham cię - powtórzył, tym razem sennie.

- Ja też cię kocham - odszepnęła. Łzy wymknęły jej się spod powiek i spłynęły po policzkach. Najgorsze ze wszystkiego było to, że mówiła prawdę.

RS

## Rozdział dziewiąty

Kiedy następnego dnia Maddy i Jack wychodzili do pracy, obok domu wciąż stali dwaj policjanci. Również w biurze ochrona wydawała się czujniej sza niż zazwyczaj. Wszystkim sprawdzano przepustki, a Maddy musiała dwukrotnie przejść przez wykrywacz metali, zanim ochroniarze uwierzyli, że przyczyną włączania się alarmu jest bransoletka.

- O co tu chodzi? - zwróciła się do Jacka.

- Chyba zwykła rutyna. Ktoś musiał zwrócić uwagę, że dajemy sobie za dużo luzu.

Nie myślała o tym więcej. Na górze zastała już Brada. Zgodzili się, że powinni spędzić razem trochę czasu i popracować nad swoim występem. Ich style były tak odmienne, że Maddy zaproponowała parę prób, żeby mogli się poczuć swobodniej. Przekazywanie wiadomości to było coś więcej niż zwykle odczytywanie ich z telepromptera, w przeciwieństwie do tego, co sądził Jack.

Zadzwoiła później do Grega, żeby mu opowiedzieć o spotkaniu z doktor Flowers, ale go nie zastała. Postanowiła wyjść i kupić kanapkę. Było wspaniałe popołudnie, lekki wietrzyk łagodził typowy dla waszyngtońskiego lata upał. I znowu wydało jej się, że ktoś ją śledzi, ale kiedy rozejrzała się dookoła, nie zauważyła nic podejrzanego. Szło za nią niespiesznie dwóch mężczyzn, śmiejąc się i rozmawiając, to wszystko.

Ledwo wróciła do biura, zadzwonił Bill. Zapytał, jak się czuje i czy podjęła jakieś decyzje.

- Nie jestem pewna, co robić - wyznała. - Może się mylę... Może on ma po prostu trudny charakter? Wiem, że to brzmi bez sensu, ale ja go kocham i wiem, że on kocha mnie.

- Ty to wiesz najlepiej - powiedział spokojnie Bill. - Ale po tym, co mówiła wczoraj doktor Flowers, zastanawiam się, czy przypadkiem nie wróciłaś do fazy zaprzeczania. Może powinnaś do niej zadzwonić i zapytać, co ona o tym sądzi?

- Myślałam o tym... Mam jej wizytówkę.

- Zadzwoń.

- Zadzwonię. Obiecuję.

Podziękowała mu jeszcze raz za wczoraj i obiecała zadzwonić nazajutrz, żeby go uspokoić.



Miły był z niego człowiek i była mu wdzięczna za życzliwość i troskę.

Przez resztę popołudnia przygotowywała bieżące teksty. Wiadomości o piątej wyszły tylko nieco lepiej. Irytowało ją że Brad jest taki niezręczny. .. To, co mówił, było sensowne, ale przekazywał to tak, że robił wrażenie nowicjusza. Nigdy przedtem nie pracował jako współprezenter i pomimo że był inteligentny, nie miał za grosz wdzięku, charyzmy czy stylu.

Gdy wychodziła z pracy, wciąż była tym poirytowana. Jack poszedł na spotkanie do Białego Domu. Powiedział, żeby wzięła samochód, a po przyjeździe do domu zamknęła drzwi na klucz. Zabrzmiało to śmiesznie. Nigdy przecież nie zostawiała otwartych, a z dwoma policjantami, stacjonującymi koło ich domu, okolica była bezpieczniejsza niż kiedykolwiek. ..

Wieczór był tak przyjemny, że poleciła kierowcy zatrzymać się o parę przecznic od domu i poszła dalej spacerem. Zapadł zmierzch. Maddy czuła się spokojniejsza i bardziej odprężona niż poprzedniego dnia. Mijała właśnie ostatni róg, myśląc o Jacku, gdy nagle nie wiadomo skąd wyłoniła się jakaś ręka, chwyciła ją błyskawicznie i pociągnęła w krzaki. Nigdy dotąd nikt nie trzymał jej tak mocno... Nie widziała twarzy napastnika, bo złapał ją z tyłu i wykręcił ręce. Próbowwała krzyczeć, ale zakrył jej usta dłonią. Walczyła jak tygrysica. W panice kopnęła go w goleń, usiłując utrzymać się na jednej nodze, ale gdy się z nim szarpała, stracili równowagę oboje i upadli. W jednej chwili był na niej. Próbował jedną ręką podciągnąć jej spódnice, a drugą ściągnąć majtki, ale żeby to zrobić, musiał odkryć jej usta. Wrzasnęła ze wszystkich sił. Natychmiast dał się słyszeć odgłos biegu i w momencie, gdy napastnik, ściągnąwszy jej majtki, sięgał do zamka własnych spodni, ktoś szarpnął go i odciągnął od niej z taką siłą że niemal pofrunął w powietrzu.

Leżała przez chwilę, łapiąc powietrze. Nagle wokół zaroilo się od policjantów. Błyskały światła. Ktoś pomógł jej wstać. Powoli jej oddech się uspokajał. Włosy miała w nieładzie, spódnice powalaną ziemią ale była nietknięta. Drżała tylko.

Jeden z policjantów wziął ją za ramię.

- Co z panią pani Hunter?

- Chyba wszystko w porządku...

Wsadzili napastnika do karetki. Maddy wciąż się trzęsła.

- Co się właściwie stało? - spytała.

- Mamy go. Byłem pewny, że złapiemy skurczybyka, kiedy wystawi nos. To była tylko kwestia czasu. Pójdzie siedzieć... Nie mogliśmy nic zrobić, dopóki pani nie zaatakował.

- Obserwowaliście go? - spytała zaskoczona. Była pewna, że to przypadkowy napastnik.

- Odkąd tylko zaczął pani przysyłać listy.

- Listy? Jakie listy?

- Codziennie jeden, od mniej więcej tygodnia, o ile wiem. Pani mąż spotykał się w tej sprawie z porucznikiem.

Skinęła głową. Nie chciała wyglądać tak głupio, jak głupio się czuła. .. Dlaczego Jack nic jej nie powiedział? Przecież najprościej było ją ostrzec! Nagle przypomniała sobie wszystko, co jej ostatnio mówił: żeby korzystała z samochodu, żeby zamykała się na klucz po powrocie do domu... Ale nie powiedział, po co to wszystko. Czuła się w pełni bezpieczna i spacerkiem wpadła prosto w ręce napastnika.

Kiedy późnym wieczorem wrócił Jack, wciąż jeszcze się trzęsła. Wiedział już, co się stało. Policja zadzwoniła do niego do Białego Domu i poinformowała, że napastnik został ujęty.

- Co z tobą? Wszystko w porządku? - spytał, najwyraźniej zaniepokojony. Opuścił nawet nieco wcześniej zebranie, do czego nakłonił go prezydent, który bardzo przejął się telefonem z policji i odetchnął z ulgą, kiedy się dowiedział, że Maddy nie odniosła poważniejszych obrażeń.

- Czemu mi nie powiedziałaś? - spytała. Twarz miała bladą.

- Nie chciałem cię straszyć - odparł po prostu.

- Nie sądzisz, że miałam prawo wiedzieć? Wracalam do domu piechotą i dlatego mnie dopadł.

- Przecież powiedziałem ci, żebyś wzięła samochód! - Wyglądało na to, że Jack jest zarazem zmartwiony i zirytowany.

- Nie wiedziałam, że ktoś mnie śledzi, na litość boską! Jack, ja nie jestem dzieckiem! Powinieneś był mi powiedzieć...

- Nie było sensu. Tu, w domu, obserwowała cię policja, w pracy wzmocniono ochronę...

To wyjaśniało, dlaczego od dwóch dni miała wrażenie, że jest śledzona. Rzeczywiście była.

- Nie chcę, żebyś podejmował za mnie decyzje, które dotyczą mnie.

- Dlaczego? - spytał. - Przecież nie byłabyś w stanie podjąć ich sama, nawet gdybym ci pozwolił. Potrzebujesz kogoś, kto by cię chronił.

- Doceniam twoją troskę - starała się, żeby w jej głosie była wdzięczność, chociaż coś ją dławilo - ale jestem dorosłą kobietą i mam prawo do własnych decyzji i własnych wyborów. Potrzebuję przyjaciół. Nawet gdyby ci się nie podobały moje decyzje, mam prawo je podejmować.

- Nie wtedy, kiedy są błędne. Po co miałabyś się tym obarczać? Od dziewięciu lat podejmuję za ciebie decyzje. Czy coś się zmieniło?

- Być może dorosłam. Co nie znaczy, że cię nie kocham.

- Ja też cię kocham, i właśnie dlatego chronię cię przed popełnianiem głupstw.

W głowie mu się nie mieściło, że żona ma prawo do choćby odrobiny samodzielności... Próbowала z nim dyskutować, udowadniać, że nie ma racji, on jednak nie miał zamiaru ustąpić ani na jotę.

- Jesteś piękną dziewczyną Mad, ale to wszystko, czym jesteś, maleńka. Pozwól, że będę myślał za ciebie. Ty masz tylko ładnie wyglądać i czytać wiadomości.

- Jack, ja nie jestem niedorozwinięta umysłowo - powiedziała ze złością. Wciąż jeszcze była wstrząśnięta tym, co się zdarzyło. - Naprawdę potrafię więcej niż upiąć włosy i przeczytać tekst z kartki. Na litość boską uważasz, że jestem głupia?

- To jest podchwytliwe pytanie - uśmiechnął się ironicznie. Po raz pierwszy w życiu miała ochotę go uderzyć.

- Obrażasz mnie!

- Kiedy taka jest prawda. O ile sobie przypominam, Mad, nigdy nie studiowałaś. Szczerze mówiąc, nie jestem nawet pewny, czy skończyłaś liceum...

To już było skrajne poniżenie - insynuacja, że jest niewykształcona i za głupia na to, żeby myśleć. Powiedział to, żeby ją upokorzyć, ale dziś zdołał ją tylko rozżłościć. Już wcześniej mówił podobne rzeczy, nigdy jednak nie budziło to w niej takiego oporu.

- Ale nie przeszkodziło ci to jakoś mnie zatrudnić, prawda? Ani osiągnąć dzięki mnie najwyższych notowań w tym biznesie!

- Już ci mówiłem. Ludzie lubią ładne buzie.

No to co, idziemy do łóżka?

- Co to znaczy? Że znowu jesteś napalony, znowu „nie panujesz” nad sobą? Już raz dzisiaj oberwałam. Wystarczy.

- Uważaj, Maddy - podszedł do niej krok, tak że mogła dostrzec furie w jego oczach. Drżała, ale nie cofnęła się. Dość miała takiego traktowania, wszystko jedno pod jakim szyldem się to odbywało. Nawet namiętność już jej nie przekonywała. - Jeszcze trochę, a przeciągniesz strunę - zasyczał jej prosto w twarz.

- Ty też, jeśli mnie skrzywdzisz.

- Wcale cię nie krzywdzę. Sama tego chcesz. Lubisz to...

- Kocham cię, ale bardzo nie podoba mi się sposób, w jaki mnie traktujesz!

- Z kim o tym rozmawiałaś? Z tym pozał się Boże czarnym punkiem, z którym tak uwielbiałaś pracować? Ciekawe, czy wiedziałaś, że to biseksualista, czy to dla ciebie niespodzianka? - Próbował zdeprecjonować Grega w jej oczach i zaszokować ją, ale tylko poczuła się znieważona.

- Tak, wiedziałam, skoro już o tym mowa. Ale to nie mój interes, i twój też nie. Czy dlatego go wyrzuciłeś? Jeśli tak, to mam nadzieję, że wytoczy ci proces o dyskryminację. Należy ci się.

- Wyrzuciłem go, bo miał na ciebie zły wpływ. Ludzie zaczęli o was gadać. Nie mówiłem z tobą o tym, żeby ci oszczędzić zakłopotania. Dostał kopniaka w tyłek i wyleciał tam, gdzie jego miejsce.

- Boże, jakie to niesmaczne... Wiesz, że nigdy cię nie okłamałam.

- To ty tak twierdzisz. Na wszelki wypadek usunąłem pokusę.

- Aha, i dlatego zatrudniłeś tę nadętą mumię, która nawet przeczytać wiadomości nie potrafi? Jego teleprompter ma wielkość billboardu. Dzięki niemu twoje wskaźniki niedługo polecą na łeb na szyję.

- Jeśli polecą, malutka, to polecą i twoje. Dlatego pomyśl lepiej, jak dodać trochę ikry do jego prezentacji, i to jak najszybciej. Pociągnij go, tak jak ciągnęłaś swojego czarnego chłoptasia. Bo jak oglądalność drastycznie spadnie, to może się zdarzyć, że zostaniesz bez pracy, a wtedy pójdziesz szorować podłogi, bo przecież nic innego nie potrafisz, prawda?

Wszelkie pozory, że ją kocha, rozwiały się. Och, jak chciałaby go uderzyć...

- Czemu mi to robisz, Jack? - spytała zdławionym głosem, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Podeszedł do niej, złapał ją za włosy i przyciągnął ku sobie.

- Robię to, moja płaksiwa panienko, żeby ci przypomnieć, kto tu rządzi. Wygląda na to, że zapomniałaś. Nie chcę więcej słyszeć żadnych pogroźek czy żądań. I powiem ci, jak będę czegoś chciał, jeśli będę chciał. A jeśli ci o czymś nie mówię, cholera jasna, to znaczy, że to nie twój pieprzony interes. Masz robić swoją robotę, czytać wiadomości, od czasu do czasu przygotować jakiś specjalny reportaż, a wieczorem iść do łóżka, a nie jęczeć mi tu, jak to cię niby krzywdzę. Nawet nie masz pojęcia, co to znaczy naprawdę kogoś skrzywdzić, i módl się, żebyś się nigdy nie dowiedziała. Masz szczęście, że w ogóle mam ochotę się z tobą pieprzyć.

- Jesteś obrzydliwy. - Była bliska mdłości. Nie miał dla niej żdźbła szacunku, i miłości też nie. Chciała powiedzieć, że odchodzi, ale powstrzymał ją lęk. Policji już nie było w pobliżu, skoro złapała jej prześladowcę. .. Nagle zaczęła się Jacka bać, i wiedziała, że on to widzi.

- Zmęczyla mnie twoja gadanina, Mad. Idź teraz do łóżka. Dam ci ' znać, co zamierzam z tym wszystkim zrobić.

Stała przed nim, drżąca, przez dłuższą chwilę. Miała ochotę spać j osobno, ale pomyślała, że wtedy będzie jeszcze gorzej. To, co kiedyś ! było jedynie nieco ostrzejszą formą seksu, od czasu, gdy sprzeciwiła mu się w sprawie Janet McCutchins, coraz bardziej przypominało zwykłą agresję. Karał ją.

Poszła na górę i bez słowa weszła do łóżka, modląc się, żeby nie przyszło mu do głowy się z nią kochać. I jakimś cudem, kiedy w końcu przyszedł, odwrócił się od niej bez słowa. Maddy poczuła niewysłowioną ulgę.

## Rozdział dziesiąty

Nazajutrz nie poszli razem do pracy. Jack wychodził wcześniej, a Maddy powiedziała, że musi przed wyjściem załatwić parę telefonów. Nie zadawał pytań. Nie padło ani jedno słowo na temat wczorajszego wieczoru - on się nie usprawiedliwiał, a ona nie wracała do tematu. Ale ledwie wyszedł, zadzwoniła do Eugenie Flowers i umówiła się na spotkanie. Lekarka wyznaczyła jej termin na jutro. Jak przetrwać jeszcze jedną noc z Jackiem? Teraz już było jasne, że trzeba coś zrobić, zanim mąż skrzywdzi ją naprawdę. Nie wystarczyło mu już poniżanie jej i nazywanie białym śmieciem, zaczynał być otwarcie agresywny i powoli nabierała przekonania, że czuje do niej tylko pogardę i nienawiść. Ledwie dotarła do pracy, zadzwonił Bill.

- No i jak tam?

- Niezbyt ciekawie - odparła szczerze. - Wygląda na to, że coraz gorzej.

- I będzie jeszcze gorzej, jeśli nie odejdziesz, Maddy. Słyszałaś, co mówiła doktor Flowers...

- Jutro mam się z nią spotkać. - I opowiedziała mu o napadzie. Wiedziała, że wiadomość będzie po południu w gazetach i chciała uprzedzić sensację.

- O Boże, Maddy... Przecież mógł cię zabić!

- Próbował mnie zgwałcić. Wygląda na to, że Jack wiedział o nim wcześniej, ale mi nie powiedział. Uważa, że nie jestem wystarczająco bystra, żeby samej podejmować decyzje, bo nie chodziłam do college'u.

- Jesteś jedną z najbystrzejszych kobiet, jakie znam, Maddy. Co zamierzasz robić?

- Nie wiem. Boję się - wyznała. - Boję się, co się stanie, jak odejdę.

- A ja się boję, co się stanie, jeśli nie odejdziesz. On cię może zabić.

- Nie, tego nie zrobi... A jak nie znajdę innej pracy? Jak wyląduję z powrotem w Knoxville? - w głosie Maddy była panika.

- Na pewno nic takiego się nie zdarzy. Dostaniesz lepszą pracę niż ta, a Knoxville to przeszłość. Powinnaś zdawać sobie z tego sprawę, Maddy.

- A jeśli on ma rację? Może rzeczywiście jestem za głupia, żeby mnie zatrudnił ktoś inny? To fakt, że nigdy nie chodziłam do college'u... - Jack doprowadził do tego, że czuła się niemal jak oszustka.

- No to co, na litość boską? - Słuchał tego zgnębiony. Nie sposób było jej pomóc, przez nią samą. - Jesteś piękna, młoda, utalentowana... Twój program ma najwyższe wskaźniki oglądalności! Maddy, nawet gdyby on miał rację, nawet gdybyś rzeczywiście miała szorować podłogi, co nigdy się nie zdarzy, i tak powinnaś uciekać. On cię traktuje jak śmieć! A może dojść do tego, że zaczniesz cię maltretować fizycznie.

- Dotąd się to nie zdarzyło - powiedziała, ale nie była to cała prawda. Nigdy nie pobił jej tak dotkliwie jak Bobby Joe, ale dotąd miała na piersi bliznę po tym, jak ugryzł ją wtedy w Paryżu... Znęcanie się Jacka było po prostu subtelniejsze i bardziej perwersyjne, niż jej pierwszego męża, ale tak samo zabójcze dla psychiki.

- Myślę, że doktor Flowers powie ci to samo co ja - powiedział Bill. Porozmawiali jeszcze parę minut, i Bill zaprosił ją na lunch. Niestety, w porze lunchu Maddy musiała przejrzeć serwisy informacyjne.

Po południu zadzwonił Greg i powiedział jej mniej więcej to samo co Bill.

- Igrasz z ogniem, Mad. Ten sukinsyn jest na swój sposób szalony i któregoś dnia da ci naprawdę popalić. Nie czekaj, aż to się stanie. Zabieraj tyłek w troki póki czas.

Maddy jednak była sparaliżowana wątpliwościami. A jeśli Jack naprawdę się na nią wścieknie? A jeśli naprawdę ją kocha? Po wszystkim, co dla niej zrobił, nie może go opuścić... Stanowili klasyczny obraz sprawcy przemocy i ofiary, jak powiedziała jej rano przez telefon dr Flowers, ale lekarka rozumiała też, że lęk odbiera Maddy zdolność działania, i nie naciskała tak jak Bill czy Greg. Zdawała sobie sprawę, że Maddy potrzebuje czasu, żeby dojrzeć do decyzji.

Maddy poczuła ulgę po tej rozmowie. Wychodząc na lunch, myślała o jutrzejszym spotkaniu z doktor Flowers. Wracała nieco roztargniona i nie zwróciła uwagi na kobietę, obserwującą ją z drugiej strony ulicy. Była młoda i ładna, w czarnej minispódniczce i butach na wysokich obcasach. Nie spuszczała z Maddy oczu.

Stała w pobliżu wejścia do gmachu telewizji również następnego dnia, gdy Maddy wychodziła na lunch z Billem. Spotkali się na dole i poszli razem na Pennsylvania Avenue. Nie kryli się z tym, bo nie mieli nic do ukrycia. Pracowali przecież razem w komisji Pierwszej Damy. Maddy była pewna, że nawet Jack nie miałby nic przeciw ich wyjściu.

Lunch upłynął bardzo miło, gawędzili na różne tematy. A ona powiedziała Billowi o rozmowie z doktor Flowers, która odniosła się do niej z takim zrozumieniem.

- Mam nadzieję, że ci pomoże - Bill sprawiał wrażenie zatroskanego. Z tego, co widział, Maddy była w wielkim niebezpieczeństwie. Bał się o nią.

- Ja też... Coś się zmieniło między mną a Jackiem - próbowała mu to wyjaśnić, choć nie potrafiła wyjaśnić tego sobie samej. W stosunku Jacka do niej pojawiła się ostatnio jakaś zjadliwa złość, której nigdy dotąd nie było. Zdaniem doktor Flowers, Jack czuje, że żona zaczyna się oddalać, i robi co może, żeby ją zastraszyć i na powrót sobie podporządkować. Im bardziej staje się niezależna, im wyraźniej zdrowieje, tym mniej mu się to podoba. Dr Flowers ostrzegła Maddy, że powinna być ostrożna. Nawet ten, kto stosował dotąd łagodne formy przemocy, może w którymś momencie zmienić taktykę. Maddy odczuła to już parokrotnie w kontaktach z Jackiem.

Długo rozmawiali o tym. Billy powiedział, że w przyszłym tygodniu wyjeżdża do Vineyard, ale niepokoi go, że zostanie sama.

- Dam ci mój numer telefonu przed wyjazdem. Gdyby coś się stało, zawsze mogę wrócić.

Było trochę tak, jakby czuł się za nią odpowiedzialny, zwłaszcza odkąd wiedział, że Maddy praktycznie brak przyjaciół, którzy mogliby ją wesprzeć. Miała tylko Grega, ale Greg wyjechał do Nowego Jorku, do nowej pracy.

- Będzie dobrze - powiedziała bez przekonania. Nie chciała obciążać go swoimi problemami.

- Chciałbym w to wierzyć. - Miał zamiar zostać w Vineyard dwa tygodnie i skończyć tam książkę. Bardzo się też cieszył, że będzie mógł żeglować z dziećmi. Był zapalonym żeglarzem. - Wierzę, że i ty tam wpadniesz któregoś dnia. Na pewno ci się spodoba. Vineyard jest śliczne...

- Z przyjemnością. Mieliśmy pojechać na parę dni na naszą farmę w Wirginii, ale Jack jest ostatnio tak zajęty pracą z prezydentem, że nigdzie nie wyjeżdżamy, jeśli nie liczyć tego urlopu w Europie.

Bill słuchał jej i nie mógł wyjść ze zdumienia. Jak to możliwe, że człowiek, który jest właścicielem sieci telewizyjnej i tak blisko



współpracuje z prezydentem, może tak traktować kobietę? I jak to możliwe, że kobieta, która jest dosłownie gwiazdą, ma mnóstwo sukcesów, doskonale zarabia, jest piękna i inteligentna, pozwala mu na to? Przemoc to rzeczywiście plaga, dla której nie liczą się ani pozycja społeczna, ani pieniądze, ani władza czy wykształcenie, dokładnie tak jak powiedziała doktor Flowers.

- Mam nadzieję, że zanim wrócę, zrobisz jakiś krok, żeby się uwolnić. Będę się o ciebie martwił, dopóki do tego nie dojdzie. - Popatrzył na nią poważnie. Była taka ładna, a przy tym prawa, uczciwa, pełna ciepła i wdzięku... Nie rozumiał, jak ktokolwiek może jej robić coś takiego. Dobrze się czuł w jej towarzystwie i chętnie spotykałby się z nią codziennie. Ich przyjaźń nieoczekiwanie szybko się zacieśniała.

- Jeśli twoja córka odwiedzi cię w Waszyngtonie, chętnie ją poznam - powiedziała ciepło Maddy.

- Myślę, że ją polubisz - uśmiechnął się. Dziwnie było myśleć, że Maddy jest w tym samym wieku, co jego córka... Jego uczucia do niej powoli przybierały inny charakter. Widział w niej teraz bardziej kobietę niż dziecko, a poza tym Maddy była dużo bardziej światowa niż jego córka. Miała też za sobą o wiele więcej doświadczeń, niekoniecznie przyjemnych... Widział w niej raczej swoją koleżankę niż rówieśnicę własnego dziecka.

Wyszli z restauracji o trzeciej. Kiedy Maddy wchodziła z powrotem do gmachu telewizji, w holu stała ładna, długowłosa dziewczyna w minispódnicy. Patrzyła wprost na nią. Maddy miała dziwne wrażenie, że ją skądś zna, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd. Dziewczyna popatrzyła na nią, po czym odwróciła się, jakby nie chciała, by ją rozpoznano. Ledwie Maddy zniknęła w windzie, zwróciła się do ochroniarza z pytaniem, na którym piętrze pracuje pani Hunter. Ochroniarz skierował ją do biura Jacka. Taka była standardowa procedura. Wszystkie osoby pytające o panią Hunter były odsyłane do niego i przez niego sprawdzane, choć Maddy o tym nie wiedziała. Pytających to zresztą nie dziwiło. W końcu taki odsiew był całkiem rozsądny.

Dziewczyna w minispódnicy wjechała windą na górę. Sekretarka spytała, w czym może jej pomóc.

- Chciałabym zobaczyć się z panią Hunter - powiedziała dziewczyna.

Wyglądała na jakieś dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata.

- Czy to sprawa służbowa, czy osobista? - spytała sekretarka, zapisując dane dziewczyny. Nazywała się Elizabeth Turner.

- Osobista - odparła po sekundzie wahania.

- Pani Hunter nie może się dzisiaj z nikim spotkać. Jest bardzo zajęta. Proponuję, żeby powiedziała pani mnie, o co chodzi, albo zostawiła notatkę, a ja dopilnuję, żeby sprawa została jej przekazana.

Dziewczyna wyglądała na rozczarowaną ale skinęła głową. Napisała na kartce papieru parę zdań i wręczyła ją sekretarce. Ta rzuciła okiem na tekst, przeniosła spojrzenie na dziewczynę i wstała, widocznie zdenerwowana.

- Może zechce pani chwileczkę zaczekać, panno... eeee... panno Turner.

Dziewczyna skinęła głową. Sekretarka zniknęła za drzwiami gabinetu Jacka. Jack spojrzął na kartkę, a potem z wściekłością na sekretarkę.

- Gdzie ona jest? Co ona tu robi, do diabła?

- Czeka obok, panie Hunter.

- Dawaj ją tutaj.

Przez głowę jak błyskawica przelatywały mu myśli. Co robić? Cała nadzieja w tym, że Maddy jej nie widziała... A zresztą, nawet gdyby, i tak by jej nie rozpoznała, więc może to bez znaczenia.

W chwilę później dziewczyna została wprowadzona do gabinetu. Jack wstał i popatrzył na nią chłodnym wzrokiem, ale uśmiech, z jakim ją powitał, był wymowny. Maddy nie wiedziała o dziewczynie absolutnie nic.

## Rozdział jedenasty

Maddy wymknęła się na spotkanie z doktor Flowers w tajemnicy. Jedyną osobą która o tym wiedziała, był Bill Alexander. Lekarka wyglądała równie ciepło i macierzyńsko, jak tamtego dnia, gdy spotkały się po raz pierwszy w Białym Domu.

- No i co tam u pani, moja droga?

Maddy już wcześniej, przez telefon, krótko opisała swoją sytuację, nie miała jednak czasu wdawać się w szczegóły.

- Wczorajsza rozmowa telefoniczna z panią pozwoliła mi wiele zrozumieć - Maddy usiadła w jednym ze stojących w gabinecie wygodnych skórzanych foteli. Przytulne wnętrze sprawiało wrażenie urządzonego sprzętami kupionymi na wyprzedaży rzeczy używanych. Nic do siebie nie pasowało, krzesła były podniszczone, a wiszące na ścianie obrazki wyglądały, jakby były namalowane przez jej dzieci. Było jednak czysto, ciepło i jakoś zaskakująco domowo. - Wychowałam się w domu, gdzie panowała przemoc. Mój ojciec co sobotę wracał do domu pijany i bił matkę. Jako siedemnastolatka wyszłam za mąż za mężczyznę, który robił ze mną to samo - powiedziała, gdy doktor Flower spytała ją o przeszłość.

- Przykro mi to słyszeć, moja droga - powiedziała doktor Flowers z troską i współczuciem. Babciny ton kontrastował jednak z wyrazem jej oczu, bystrych i zdających się widzieć wszystko. - Wiem, jakie to bolesne, niekoniecznie w sensie fizycznym, ale jakie blizny pozostawia. Jak długo była pani zamężna?

- Dziewięć lat. Odeszłam dopiero wtedy, kiedy złamał mi nogę i obie ręce. Do tego czasu miałam sześć skrobanek.

- Wnioskuje, że się pani z nim rozwiodła - wszystkowiedzące oczy patrzyły twardo na Maddy.

Maddy w zamyśleniu skinęła głową. Samo mówienie o tym na powrót ożywiało okropne wspomnienia... Przed oczyma stanął jej Bobby'y Joe, taki jak wyglądał wtedy, tamtego dnia, kiedy go zostawiła.

- Uciekłam. Mieszkaliśmy wtedy w Knoxville. Uratował mnie Jack Hunter. Kupił stację telewizyjną w której pracowałam, a potem przyjechał swoją limuzyną i zabrał mnie z Knoxville. Gdy tylko przyjechałam tutaj, wystąpiłam o rozwód.

Pobraliśmy się z Jackiem dwa lata później, w rok po zakończeniu sprawy rozwodowej.

Dr Flowers interesowały nie tylko słowa. Słyszała znacznie więcej niż to, co ludzie mówili jej wprost. Od czterdziestu lat pracowała z ofiarami przemocy i dostrzegała wszystkie objawy, nierzadko zanim jeszcze pacjentka je sobie uświadomiła.

Długo, w milczeniu, patrzyła Maddy w oczy.

- Proszę opowiedzieć mi o obecnym mężu.

- Jesteśmy z Jackiem małżeństwem od siedmiu lat. Jest dla mnie dobry. Bardzo dobry. Zadbał o moją karierę, żyjemy w luksusie... Mamy dom, samolot, ja mam świetną pracę dzięki niemu... farmę w Wirginii, choć właściwie to jego... - Pod baczny spojrzeniem doktor Flowers mówiła coraz ciszej, aż w końcu zamilkła. Lekarka już знаła odpowiedzi na nie wypowiedziane pytania.

- Macie dzieci?

- On ma dwóch synów z pierwszego małżeństwa i nie chciał mieć więcej dzieci, kiedy się pobraliśmy. Omawialiśmy to szczegółowo i zdecydował... zdecydowaliśmy, że podwiążę sobie jajowody.

- Jest pani zadowolona z tej decyzji czy żałuje jej pani? Było to szczere pytanie i wymagało szczerej odpowiedzi.

- Czasami. Kiedy zdarza się, że widzę jakieś maleństwo... chciałabym mieć dziecko. - Nieoczekiwanie jej oczy wypełniły się łzami. - Ale Jack ma rację. Tak naprawdę nie mamy czasu na dziecko.

- Czas nie ma tu nic do rzeczy - powiedziała spokojnie doktor Flowers. - To kwestia potrzeb i pragnień. Czy pani czuje, że chciałaby pani mieć dziecko, Maddy?

- Czasem tak. Ale teraz już za późno. Mam nie tylko podwiązane jajowody, ale i podcięte, dla pewności. Nie da się tego odwrócić.

- Może pani adoptować dziecko, gdyby i mąż tego chciał. Myśli pani, że chciałby?

- Czy ja wiem - powiedziała Maddy zdławionym głosem. Ich problemy były o wiele bardziej skomplikowane niż ten... Przez telefon niewiele zdążyła powiedzieć doktor Flowers.

- Nie wie pani, czy adoptować dziecko? - spytała zaskoczona lekarka.

- Nie, chodzi o mojego męża. I o to, co pani mówiła wtedy, na spotkaniu. To było bezpośrednio po rozmowie, jaką miałam z moim

kolegą z pracy. Ja... on uważa... myślałam... - łyzy potoczyły się jej po policzkach, gdy w końcu wyznała:

- Mój mąż znęca się nade mną. Nie bije mnie tak jak pierwszy mąż... nigdy nie tknął mnie nawet palcem. Ostatnio złapał mnie i mną potrząsnął, a czasami... czasami jest brutalny w łóżku. Ale chyba nie robił tego celowo, po prostu jest bardzo podniecony... - urwała i popatrzyła doktor Flowers w oczy. Musiała jej to powiedzieć. - Przywykłam myśleć, że to podniecenie, ale w gruncie rzeczy... w gruncie rzeczy jest okrutny. Rani mnie. Myślę, że robi to świadomie. Poza tym nieustannie mnie kontroluje. Podejmuje za mnie wszystkie decyzje. Nazywa mnie białym śmieciem, wypomina, że nie mam wyższego wykształcenia, mówi, że jak mnie wyleje z pracy, to pójdę na dno i nikt mnie więcej nie zechce zatrudnić. Wciąż mi przypomina, że to on mnie uratował. Nie pozwala mi mieć przyjaciół, izoluje mnie. Przez niego czuję się jak zero. Pomniejsza mnie, upokarza... Ostatnio zaczynam się go bać. W łóżku jest coraz bardziej brutalny i grozi mi. Nigdy nie chciałam tego widzieć, ale on robi wszystko to, o czym pani wtedy mówiła. - Łzy potoczyły się niepowstrzymaną falą po policzkach Maddy.

- A pani mu na to pozwala - powiedziała spokojnie doktor Flowers. - Ponieważ sądzi pani, że mąż ma rację i że pani na to zasługuje. Uważa pani, że jest w każdym calu taka, jak on mówi, ukrywa to pani jak wstydliwą tajemnicą, i boi się, że jeśli nie będzie pani robić dokładnie tego, co on mówi, cały świat się o tym dowie.

Maddy pokiwała głową. Słuchała tego z ulgą. Rzeczywiście tak myślała.

- A teraz, kiedy już pani to wie, co pani zamierza z tym zrobić? Chce pani z nim zostać?

Na uczciwe pytanie trzeba uczciwie odpowiedzieć, nawet jeśli miałyby to zabrzmieć głupio.

- Czasem tak. Kocham go. I myślę, że on też mnie kocha... Wciąż mi się zdaje, że gdyby zrozumiał, co mi robi, przestałby. Może by się zmienił, gdybym go bardziej kochała albo gdybym pomogła mu zrozumieć, jak mnie rani. Chyba naprawdę nie chce mnie krzywdzić.

- To możliwe. Ale mało prawdopodobne - powiedziała doktor Flowers, patrząc wprost na Maddy. Nie osądzała jej, otwierała tylko przed nią drzwi i okna, żeby mogła patrzeć z innej perspektywy. - A

gdyby chciał panią krzywdzić, gdyby pani wiedziała, że robi to świadomie, czy nadal chciałaby pani z nim być?

- Nie wiem... Może. Boję się go opuścić. A jeśli on ma rację? Jeśli nie znajdzie pracy i nikt mnie nigdy więcej nie zechce?

Dr Flowers zdumiewała się w duchu, że taka śliczna kobieta może myśleć, iż nikt jej nigdy nie zatrudni czy nie pokocha. Ale cóż, nikt jej dotąd nie kochał... Ani pierwszy mąż, ani rodzice, ani nawet Jack Hunter. Tego doktor Flowers była pewna. Nie z powodu jakichś wad Maddy. Po prostu wybierała mężczyzn, którzy potrafili ją wyłącznie ranić.

Teraz jednak musiała to zobaczyć. Dr Flowers wiedziała o tym.

- Myślałam, że to takie proste - ciągnęła Maddy. - Myślałam, że kiedy odejdę od Bobby'ego Joe, nigdy więcej nie pozwolę się krzywdzić i wykorzystywać. Przysięgłam sobie, że nikt mnie więcej nie uderzy. I Jack mnie nie uderzył... W każdym razie nie ręką.

- Ale to nie takie proste, prawda? Są inne formy przemocy, nawet bardziej destrukcyjne, jak chociażby te, które mąż stosuje wobec pani, kiedy uderza w pani duszę i poczucie własnej wartości. Jeśli pozwoli mu pani na to Maddy, zniszczy panią. To chce osiągnąć i to pozwala mu pani robić od siedmiu lat. I może pani nadal pozwalać, jeśli pani zechce. Nie musi go pani opuszczać. Nikt nie może pani do tego zmusić.

- Moi dwaj przyjaciele, jedyni, jakich mam, mówią, że powinnam, bo inaczej mąż mnie zniszczy.

- Istotnie może panią zniszczyć. Zniszczy niemal na pewno, w ten czy inny sposób. Nie musi nawet robić tego sam. W końcu pani sama zrobi to dla niego. - Cóż za przerażająca perspektywa... - Albo po prostu pani wewnątrz uschnie. To, co mówią pani przyjaciele, nie jest nieprawdopodobne. Czy kocha go pani dostatecznie, żeby to ryzykować?

- Chyba nie... Nie chciałabym... ale boję się go zostawić i... - przelknęła łzy - brakowałoby mi go. Tak dobrze było nam razem... Lubię z nim być.

- Jaka się pani czuje dzięki niemu?

- Ważna. Zaraz... nie... to nieprawda. Czuję się głupia. I że mam szczęście, że jestem z nim.

- Czy jest pani głupia?

- Nie - Maddy się roześmiała. - Wyłącznie w sprawie mężczyzn, w jakich się zakochuję.

- Czy w tej chwili jest ktoś inny?

- Nie, właściwie nie... w każdym razie nie w sensie romansowym. Bill Alexander to dobry przyjaciel. Wtedy, kiedy była pani na posiedzeniu komisji, opowiedziałam mu o wszystkim.

- I co on o tym myśli?

- Że powinnam natychmiast pakować manatki i uciekać, zanim Jack zrobi mi coś strasznego.

- Już zrobił, Maddy. No, a co z Billem? Jest pani w nim zakochana?

- Nie, nie sądzę. Jesteśmy przyjaciółmi, nic więcej.

- Czy pani mąż o tym wie? - w spojrzeniu doktor Flowers była troska.

- Nie... nie wie - Maddy sprawiała wrażenie przestraszonej. Lekarka patrzyła na nią przez chwilę.

- Ma pani przed sobą długą drogę, Maddy, zanim osiągnie pani bezpieczeństwo. I nawet wtedy od czasu do czasu będzie pani chciała wrócić. Będzie go pani brakowało, tego, co wspólnie przeżywaliście, nie tego co złe, ale tego co dobre. Sprawcy przemocy są niezwykle mądrzy, ich zdolność wytwarzania tej szczególnego rodzaju trucizny jest ogromna. Dzięki niej kobieta nie chce odejść, bo dobre chwile są takie słodkie... Ale złe są naprawdę straszne. To trochę tak jak z odstawieniem narkotyku, papierosów czy z jakimkolwiek innym uzależnieniem. Przemoc, choć tak okropna, jest uzależniająca.

- Wierzę... Przywykłam do niego, nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabym żyć bez niego. Ale są momenty, kiedy chciałabym po prostu uciec od niego gdzieś, gdzie nie mógłby mnie dosięgnąć.

- Wiem, że zabrzmi to bezwzględnie, ale to, czego pani potrzeba, to stać się na tyle silną, że mąż nie będzie mógł pani dosięgnąć, gdziekolwiek się pani znajdzie, ponieważ mu pani na to nie pozwoli. Musi to wyjść od pani, bo nikt inny nie jest w stanie pani naprawdę ochronić.

Przyjaciele mogą panią ukryć i trzymać z dala od niego, ale może się zdarzyć, że pani i tak się wymknie i wróci do niego po narkotyk, którego on pani dostarcza. A to niebezpieczny narkotyk, tak samo niebezpieczny jak każdy inny, a może nawet bardziej. Czy ma pani w sobie dość siły, żeby go odstawić?

Maddy z namysłem skinęła głową. Tak, chciała tego. Wiedziała o tym. Jedyne, czego teraz potrzebowała, to odwagi.

- Jeśli mi pani pomoże - powiedziała ze łzami w oczach.

- Pomogę. Może nam to zabrać trochę czasu. Nic na siłę. Kiedy będzie pani gotowa do odejścia, odejdzie pani. Sama będzie pani wiedziała, który moment jest właściwy, kiedy będzie pani miała dość i kiedy będzie pani dostatecznie silna, żeby odejść. A zanim do tego dojdzie, musi pani robić wszystko, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo i nie pozwolić mu się bardziej skrzywdzić. On to wyczuje. Sprawcy przemocy są jak dzikie zwierzęta w dżungli, mają percepcję i zmysł obrony wyostrzone. To, co musimy zrobić, to wyostrzyć je u pani. Kiedy mąż poczuje, że zdobycz wymyka mu się z rąk, będzie próbował panią zastraszyć, doprowadzić do tego, że będzie się pani czuła głupia i bezwartościowa. Będzie panią przekonywał, że nie ma pani innego wyjścia jak zostać z nim, że bez niego będzie pani nikim. Częstka pani będzie w to wierzyć, ale inna część będzie wiedziała swoje. Proszę trzymać się jej ze wszystkich sił. Właśnie ta część pani, która nie chce dłużej być wykorzystywana, tłamszona, nadużywana i upokarzana, może panią uratować. Proszę słuchać tego głosu i starać się nie słuchać innych.

Dr Flowers ani przez chwilę nie wątpiła, że Jack jest sprawcą przemocy, a Maddy jego ofiarą. Widziała w jej oczach, jak głęboko została przez niego okaleczona. Ale nie były to szkody nie do naprawienia. Ratunek był możliwy. Doktor Flowers wiedziała, że choć Maddy ma przed sobą długą drogę, wcześniej czy później znajdzie wyjście z tej sytuacji. Ale dopiero gdy będzie gotowa, nie wcześniej. Musi je znaleźć sama, inaczej będzie dla niej bezużyteczne.

- Jak długo to potrwa pani zdaniem? - spytała Maddy z niepokojem. Bill Alexander chciał, żeby zostawiła Jacka już w dniu, kiedy powiedziała mu o wszystkim. Ale nie potrafiła.

- Trudno to przewidzieć. Kiedy dojrzeje pani do odejścia, będzie pani o tym wiedziała. Może to potrwać dni, miesiące lub lata. Zależy to od tego, jak bardzo się go pani boi i jak duża część pani chce mu wierzyć. Będzie składał pani mnóstwo obietnic, będzie panią straszył, będzie robił wszystko, żeby panią zatrzymać, zupełnie jak dealer, który oferuje pani ulubiony narkotyk. W pani przypadku ten narkotyk to przemoc.

Kiedy będzie pani próbowała go odstawić, złęknie się i stanie jeszcze bardziej przykry i agresywny.

- Brzmi to okropnie - Maddy była zakłopotana. Uzależnienie od



przemocy? Ale coś w tym było. Ta diagnoza uderzała w znajomą strunę.

- Proszę się tego nie wstydzić. Wiele z nas jest tak uzależnionych. Przyznają się najodważniejsze. Ludziom trudno zrozumieć, jak można kochać człowieka, który nam to robi. Korzenie takiej postawy sięgają bardzo głęboko. Tkwią w dzieciństwie, w tym, co mówią nam wtedy o nas inni. Jeśli powtarzają, że jesteśmy okropni, do niczego, że nie zasługujemy na miłość, to ten przekaz wzmacnia naszą ciemną stronę. Teraz musimy napełnić panią światłem, przekonać, że jest pani wspaniałym człowiekiem. A ja mogę pani powiedzieć jedno: nie tylko znajdzie pani pracę w ciągu pierwszych pięciu minut od uwolnienia, ale i mężczyźni, dobrzy, zdrowi, zrównoważeni mężczyźni będą padać pani do stóp, jak tylko się dowiedzą, że drzwi są otwarte. Lecz stanie się tak dopiero wtedy, gdy sama pani w to uwierzy.

Maddy roześmiała się. Ten obraz był niewątpliwie pociągający, i podnosił na duchu. Czowała się znacznie lepiej. Wierzyła bez zastrzeżeń, że doktor Flowers potrafi wyciągnąć ją z bagna, w jakim tkwiła. Wdzięczna jej była za tę gotowość. Wiedziała, jak zapracowana jest lekarka.

- Chciałabym, Maddy, żeby przez kilka dni przychodziła pani porozmawiać ze mną. O tym, jak się pani czuje, o pani, o nim. Dam pani numer, pod który będzie pani mogła dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Jeśli zdarzy się coś, co panią przestraszy, jeśli będzie się pani czuła zagrożona czy choćby tylko przygnębiona, proszę telefonować. Zawsze mam komórkę przy sobie, tak że złapie mnie pani łatwo.

Była jednoosobową gorącą linią dla ofiar przemocy... Maddy słuchała tego z ogromną ulgą.

- Chcę, żeby pani wiedziała, Maddy, że nie jest pani sama. Jest wiele osób, które są gotowe pani pomóc. Może pani to zrobić, jeśli tylko pani tego chce.

- Chcę. - Powiedziała to niemal szeptem i znacznie mniej pewnie, niż pragnęliby życzliwi jej ludzie. Ale uczciwie, jak zawsze. - Właśnie dlatego tu przyszłam. Nie wiem tylko, jak to zrobić. Nie wiem, jak się od niego uwolnić. Jakaś część mnie jest przekonana, że bez niego nie dam sobie rady.

- Dokładnie tego chce on: żeby pani w to wierzyła. Wtedy będzie go pani potrzebować, a on będzie mógł z panią robić, co zechce. W zdrowym związku ludzie nie podejmują decyzji za drugą osobę, nie

ukrywają przed sobą ważnych informacji, nie mówią partnerowi czy partnerce, że jest białym śmieciem i że wyląduje w rynsztoku, jeśli odważy się odejść. To jest przemoc, Maddy. On wcale nie musi chlusnąć pani w twarz bielinka czy uderzyć gorącym żelazkiem... Po co? Wystarczająco krzywdzi panią za pomocą języka i umysłu, wcale nie musi używać w tym celu rąk. To, co robi, jest bardzo skuteczne. Maddy w milczeniu skinęła głową.

W pół godziny później wracała do biura. Kiedy wchodziła do budynku, nie zwróciła uwagi na dziewczynę o długich czarnych włosach, stojącą w pobliżu wejścia. Nie zauważyła jej też wieczorem, o ósmej, gdy wsiadała do samochodu, przed powrotem do domu. Tym razem dziewczyna stała po drugiej stronie ulicy, jakby na coś czekała. Maddy nie widziała jej jednak. Kiedy w chwilę później wyszedł również Jack i przywołał taksówkę, dziewczyna umknęła, kryjąc twarz, żeby jej nie zobaczył. Powiedzieli już sobie wszystko, co było do powiedzenia, i wiedziała, że nic u niego nie wskóra.

## Rozdział dwunasty

Nazajutrz, gdy Maddy analizowała z Bradem pewne dane na temat senackiej Komisji Etyki, zadzwonił telefon. Maddy podniosła słuchawkę i powiedziała „halo”. Odpowiedziała jej cisza. Przez moment czuła lęk. Może to kolejny zbir albo jakiś czubek? Ale wróciła do przerwanej pracy i wkrótce o tym zapomniała.

To samo powtórzyło się wieczorem w domu. Tym razem powiedziała o telefonie Jackowi. Wzruszył ramionami i stwierdził, że to najprawdopodobniej pomyłka. Droczył się z nią, że boi się własnego cienia, bo raz się zdarzyło, że próbował ją zaatakować jakiś świr. Jeśli chodzi o niego, wcale nie jest tym zaskoczony. Przy jej popularności... Prawie wszystkim sławnym ludziom się to zdarza.

- To naturalne w twojej sytuacji, Mad - powiedział spokojnie. - Jesteś prezydentką wiadomości. Powinnaś się z tym liczyć.

Znowu było między nimi trochę lepiej, ale kiedy mu wyrzucała, że nie powiedział jej o tamtym napastniku, odparł, że powinna myśleć o czym innym, a zapewnienie bezpieczeństwa znanym z ekranu ludziom to jego problem. Ale Maddy nadal uważała, że powinien być ją ostrzec.

Nazajutrz rozmawiała przez telefon z osobistą sekretarką Pierwszej Damy na temat zmiany terminu następnego posiedzenia komisji. Pierwsza

Dama musiała towarzyszyć mężowi na oficjalnym przyjęciu w Pałacu Buckingham i usiłowano zgrać grafiki wszystkich dwunastu członków komisji. Maddy ze zmarszczonymi brwiami sprawdzała w notesie kolejne daty, gdy do pokoju weszła dziewczyna o długich czarnych włosach, w dżinsach i białym podkoszulku. Wyglądała porządnie i czysto, ale ciuszki były niedrogie, a dziewczyna sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Maddy spojrzała na nią ze zdziwieniem. Nigdy jej nie widziała... Pomyślała, że być może przysłano ją z innego działu albo po prostu chce poprosić o autograf. Dziewczyna nie miała identyfikatora, ale przyniosła torbę firmowych pączków. Czyżby w ten sposób dostała się do budynku?

- Nie, dziękuję - uśmiechnęła się i machnęła odmownie dłonią, ale dziewczyna ani drgnęła. Po prostu stała i patrzyła. Na chwilę Maddy ogarnęła panika. A jeśli to kolejny napad? Może dziewczyna ma pistolet,

nóż, może jest chora psychicznie? Wszystko możliwe... W pierwszym odruchu chciała wcisnąć guzik alarmu pod blatem biurka. Ale nie przycisnęła.

- O co chodzi? - spytała, kładąc dłoń na słuchawce telefonu.

- Muszę z panią porozmawiać - odparła dziewczyna.

Maddy przyjrzała jej się podejrzliwie. Było w tej dziewczynie coś, co budziło w niej skrajny niepokój.

- Czy zechciałaby pani poczekać przed wejściem? - powiedziała stanowczym tonem. Dziewczyna z pączkami niechętnie opuściła biuro.

Maddy zaproponowała sekretarce Phyllis Armstrong trzy daty do wyboru, a sekretarka obiecała, że wkrótce oddzwoni. Natychmiast po zakończeniu rozmowy Maddy sięgnęła po interkom.

- Przed bramą czeka na mnie młoda kobieta. Nie wiem, czego chce - powiedziała do recepcjonistki w hallu. - Czy mogłaby pani porozmawiać z nią, ustalić, o co chodzi, i zadzwonić do mnie? - Może to łowczym autografów, może szuka pracy... Irytowało ją że dziewczyna tak łatwo weszła do biura. W świetle ostatnich zdarzeń było to niepokojące.

Po paru minutach zadzwonił interkom. Maddy szybko sięgnęła po słuchawkę.

- Mówi, że chce z panią porozmawiać - poinformowała recepcjonistka. - Twierdzi, że to sprawa osobista.

- Jaka? Chce mnie zabić? Niech powie pani dokładnie, o co chodzi, inaczej się z nianie spotkam. - Podniosła wzrok i serce skoczyło jej do gardła: dziewczyna znowu stała w drzwiach jej gabinetu. Wyglądała na zdeterminowaną.

- Proszę posłuchać - powiedziała Maddy spokojnie, ale stanowczo. - Tutaj załatwiamy sprawy inaczej. Nie wiem, o co pani chodzi, ale musi pani porozmawiać z kimś innym, zanim będzie pani mogła rozmawiać ze mną. - Cały czas trzymała palec na guziku alarmu. Serce waliło jej jak młotem. - Czego pani ode mnie chce?

- Chcę tylko porozmawiać z panią parę minut.

Maddy zdała sobie sprawę, że dziewczyna jest bliska płaczu. Torba z pączkami zniknęła.

- Nie wiem, czy będę mogła pani pomóc - powiedziała z wahaniem i w tym momencie przyszło jej do głowy, że to może mieć związek z komisją do spraw przemocy albo z jakimś jej reportażem. Być może

dziewczyna słyszała o jej życzliwości... - No więc, o co chodzi? - spytała, nieco mięknąc.

- Chodzi o panią - głos nieznajomej drżał. Maddy spojrzała na nią bacznie i spostrzegła, że dziewczynie ręce się trzęsą

- O mnie? - spytała ostrożnie. Cóż ta panienka mogła jej mieć do powiedzenia? A jednak jej widok budził jakieś dziwne uczucie...

- Myślę, że jest pani moją matką - powiedziała dziewczyna szeptem, tak że nikt postronny nie mógł tego usłyszeć.

Maddy cofnęła się i padła na krzesło. Miała wrażenie, że dano jej w twarz.

- Pani... O czym pani mówi? - Maddy była biała jak ściana, a ręka, spoczywająca na przycisku alarmu, zaczęła jej się trząść tak samo jak ręce tamtej. Przez sekundę myślała, że dziewczyna musi być chyba nienormalna... - Ja przecież nie mam dzieci.

- I nigdy pani nie miała? - Wargi dziewczyny zadrżały, a w oczach zaczęło się pojawiać rozczarowanie. Już od trzech lat poszukiwała matki i wyglądało na to, że to znowu niewypał... Zaliczyła już ich kilka. -Nigdy nie miała pani dziecka? Nazywam się Elizabeth Turner, mam dziewiętnaście lat, urodziłam się piętnastego maja w Gatlinburgu w stanie Tennessee, w górach Smoky. Przypuszczam, że moja matka pochodzi z Chattanooga. Rozmawiałam z kim tylko się dało, i zdołałam tylko ustalić, że miała piętnaście lat, kiedy mnie urodziła. Nazywała się chyba Madeleine Beaumont, ale nie jestem pewna. Jedna osoba, z którą rozmawiałam, powiedziała, że jestem do niej bardzo podobna.

Maddy wpatrywała się w gościa z niedowierzaniem. Dłoń powoli opuściła przycisk alarmu i spoczęła na blacie biurka.

- Na jakiej podstawie sądzi pani, że mogę być tą osobą? - Jej głos nie zdradzał żadnych uczuć.

- Nie wiem... Wiem, że pochodzi pani z Tennessee. Kiedyś czytałam o tym w wywiadzie, i ma pani na imię Madeleine, i... nie wiem, ale... wydaje mi się, że trochę jestem do pani podobna i... wiem, że to brzmi idiotycznie - łzy potoczyły się jej po policzkach i z wrażenia, że stoi twarzą w twarz ze znakomitością, i z lęku przed kolejnym rozczarowaniem - może po prostu chciałabym, żeby to była pani. Często oglądałam panią w telewizji i naprawdę panią lubię.

Przez długą chwilę w pokoju panowało głuche milczenie. Maddy, nie

spuszczając oczu z dziewczyny, zastanawiała się, co robić. I gdy tak wpatrywała się w nią, poczuła, jak powoli w jej wnętrzu jak gdyby rozpada się mur otaczający miejsce, którego nie dotykała od lat i sądziła, że nigdy nie ośmieli się dotknąć. Nie chciała, żeby to się stało, ale stało się i nie mogła tego zmienić.

Mogła z łatwością zakończyć sprawę. Mogła powiedzieć, że nie jest Madeleine Beaumont, o którą chodzi, nawet jeżeli to jej panięskie nazwisko, że w Tennessee jest pełno kobiet, które się nazywają Beaumont. Mogła powiedzieć, że nigdy nie była w Gatlinburgu, że przykro jej i że życzy powodzenia. Mogła powiedzieć cokolwiek, żeby się pozbyć tej dziewczyny i nigdy więcej nie oglądać jej na oczy, ale gdy patrzyła na nią, wiedziała, że nie może jej tego zrobić.

Bez słowa wstała, zamknęła drzwi i stanęła twarzą w twarz z kobietą, która twierdziła, że jest jej dzieckiem. Dzieckiem, które urodziła, mając piętnaście lat i myślała, że nigdy więcej go nie zobaczy, za którym tęskniła i płakała przez całe lata i o którym od dawna nie pozwalała sobie myśleć. Dzieckiem, o którym nigdy nie wspomniała Jackowi ani słowem. Wiedział jedynie o skrobankach.

- Skąd mogę wiedzieć, że jest pani naprawdę dzieckiem Madeleine Beaumont? - W jej ochrypłym głosie było przygnębienie, lęk i wspomnienie bólu towarzyszącego narodzinom jej dziecka. Od czasu porodu nigdy go nie widziała, a trzymała w ramionach zaledwie raz. Ta dziewczyna mogła być kimkolwiek, dzieckiem pielęgniarki, która była obecna przy porodzie, albo sąsiada, który szantażem chciał wyłudzić od niej pieniądze... Było, niestety, parę osób, które wiedziały. Maddy przez lata dziękowała Bogu, że nigdy żadna z nich nie puściła pary z ust. Długo się tego obawiała.

- Mam ze sobą metrykę urodzenia - powiedziała niezręcznie dziewczyna. Wyciągnęła z torebki kilkakrotnie złożony kawałek papieru i podała go Maddy wraz ze zdjęciem noworodka.

Maddy wpatrywała się w nie przerażona, bez słowa. To było to samo zdjęcie, które wtedy dostała, zrobione w szpitalu... Czerwona, zmięta twarzyczka zawinięta w różowy kocyk... Długo nosiła je w portfelu, a w końcu wyrzuciła, w obawie, że Jack może je znaleźć. Bobby Joe wiedział, ale niewiele go to obchodziło. Mnóstwo dziewczyn, które znali, zachodziło w ciążę i oddawało dzieci do adopcji. Niektóre rodziły

jeszcze wcześniej niż ona... Ale odkąd wyjechała z Knoxville, był to jej najtajniejszy sekret.

- To może być jakiegokolwiek dziecko - powiedziała chłodno. - Albo mogła pani komuś zabrać to zdjęcie, nawet wykraść ze szpitala. To żaden dowód.

- Możemy zrobić badanie krwi, jeśli pani sądzi, że mogą być pani córką - powiedziała rozsądnie Elizabeth i Maddy poczuła, jak wyrывa się ku niej jej serce. Dziewczyna zachowywała się naprawdę dzielnie, a ona bynajmniej nie ułatwiała jej zadania. Ale przecież ta młoda kobieta chciała zrujnować jej życie, zmusić, by stanęła twarzą w twarz z czymś, co nieodwołalnie odsunęła od siebie i czego nie odważała się tykać. No i co powiedziałyby Jackowi?

- Może usiądzie pani na chwilę - powiedziała i sama usiadła powoli naprzeciw dziewczyny, nie spuszczać z niej wzroku. Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jej. Ojcem dziecka był chłopak z ostatniej klasy w liceum Maddy. Nawet się dobrze nie znali, ale jej się podobał. Spotkali się parę razy w czasie jednego z krótkich rozstań z Bobbym Joe. Zginął w wypadku samochodowym w trzy tygodnie po tym, jak urodziła dziecko i rzekła się go. Nigdy nie powiedziała Bobby'emu Joe, kto był ojcem, a on niewiele o to dbał, chociaż raz i drugi przyłożył jej z tego powodu, kiedy się pobrali. Ale to był tylko kolejny pretekst, żeby się nad nią znęcać.

- Jak pani tu dotarła, Elizabeth? - wypowiedziała to imię z oporem, jak gdyby samo jego brzmienie właczało jej na barki ciężar, do którego dźwigania nie była przygotowana. - Gdzie pani mieszka?

- W Memphis. Przyjechałam tu autobusem. Od dwunastego roku życia pracuję, żeby mieć na to pieniądze. Zawsze chciałam znaleźć moją prawdziwą matkę... Próbowałam też odnaleźć ojca, ale nie udało mi się natrafić na żaden ślad. - Dziewczyna drżała ze zdenerwowania. Nadal nie wiedziała, co powie Maddy.

- Pani ojciec nie żyje - powiedziała Maddy cicho. - Zginął w trzy tygodnie po pani urodzeniu. Był miłym chłopcem. Jest pani trochę do niego podobna. - Dużo bardziej była jednak podobna do niej, Maddy, miała te same rysy twarzy, ten sam kolor włosów, cerę... Trudno by jej było wyprzeć się córki, nawet gdyby chciała. Ciekawe, jak ta historia będzie wyglądała w brukowcach.

- Skąd pani o nim wie? - Elizabeth popatrzyła na nią zmieszana, najwyraźniej niepewna, co to znaczy. Była bystra, ale przytłaczał ją ciężar tego, co robiła, tak samo jak Maddy. Żadna z nich nie była w stanie trzeźwo myśleć.

Maddy patrzyła na nią przez długą chwilę. Jej najskrytsze pragnienie stawało się rzeczywistością, ale nie wiedziała, czy to wypieszczone marzenie nie okaże się sennym koszmarem. Wciąż nie była pewna, czy to nie manipulacja, czy dziewczyna nie okaże się oszustką... Wydawało się to jednak mało prawdopodobne.

Otworzyła usta, ale szloch wyrwał jej się z gardła wcześniej niż słowa. Wyciągnęła ramiona i objęła siedzącą na krześle obok dziewczynę. Wiele czasu upłynęło, zanim była w stanie wypowiedzieć słowa, których nie spodziewała się wypowiedzieć nigdy życiu.

- Jestem twoją matką.

Elizabeth gwałtownie chwyciła powietrze i zakryła ręką usta. Patrzyła na Maddy, a jej oczy powoli napełniały się łzami. W końcu przyciągnęła ją bliżej. Siedziały chwilę, obejmując się i płacząc.

- O Boże... o Boże... ja tak naprawdę nie myślałam, że to pani... chciałam po prostu zapytać... o mój Boże...

Siedziały tak, kołyszac się w tył i w przód. Wreszcie wzięły się za ręce i po prostu patrzyły na siebie. Elizabeth uśmiechnęła się przez łzy. Maddy była zbyt wstrząśnięta, by zdawać sobie sprawę z własnych myśli. Wiedziała tylko jedno: stał się cud. Pomimo upływu czasu i okoliczności odnalazły się. Nie miała pojęcia, co z tym zrobić. Po tylu latach... To był zaledwie początek.

- Gdzie są twoi adopcyjni rodzice? - spytała w końcu. Wtedy powiedziano jej tylko, że mieszkają w stanie Tennessee, są bezdzietni i mają dobrą pracę. Nic więcej o nich nie wiedziała. W tamtych czasach prawie wszystkie dane dotyczące adopcji były objęte tajemnicą, żeby strony nigdy nie mogły się odnaleźć. Z biegiem lat przepisy prawne się zmieniły, ale Maddy nigdy nie podjęła starań, żeby odnaleźć córkę. Wydawało jej się, że już na to za późno, a poza tym było to coś, od czego raczej chciała uciec. ... A teraz córka była tutaj.

- Nigdy ich nie znałam - powiedziała Elizabeth. Wciąż ścisnęła matkę za rękę, ocierając łzy. - Zginęli, kiedy miałam rok, w katastrofie kolejowej. Do piątego roku życia wychowywałam się w domu dziecka w



Knoxville.

Żołądek podszedł Maddy do gardła. Ona też mieszkała wtedy w Knoxville, jako żona Bobby'ego Joe... Gdyby wiedziała, gdzie jest córka, mogła ją wziąć z powrotem! Ale przecież nie było sposobu, żeby się dowiedzieć...

- Potem byłam w rodzinach zastępczych - ciągnęła Elizabeth. -W niektórych było całkiem fajnie, ale w innych okropnie. Objechałam cały stan... Nigdy nie byłam w żadnej dłużej niż pół roku. Nie chciałam. .. Zawsze czułam się obca, a poza tym w niektórych rodzinach naprawdę źle mnie traktowali, więc wołałam szukać następnej.

- I nigdy więcej nikt cię znowu nie zaadoptował? - spytała Maddy, przerażona. Elizabeth potrząsnęła głową.

- Chyba dlatego chciałam znaleźć matkę. Raz czy dwa o mało nie doszło do adopcji, ale za każdym razem moi zastępczy rodzice dochodzili do wniosku, że ich na to nie stać. Mieli swoje własne dzieci i nie mogli sobie pozwolić na jeszcze jedno... Z niektórymi utrzymuję kontakt, szczególnie z ostatnimi. Byli dobrzy dla mnie. Mieli pięcioro dzieci, samych chłopców. O mało nie wyszłam za mąż za mojego najstarszego brata, ale pomyślałam, że to będzie wyglądało dość dziwnie. Teraz mieszkam sama w Memphis, chodzę do college'u i pracuję jako kelnerka. Kiedy skończę szkołę, przeprowadzę się do Nashville i spróbuję zostać wokalistką w nocnym klubie.

Był w niej ten sam duch przetrwania co w jej matce.

- Umiesz śpiewać? - Maddy, zaskoczona, chciała nagle wiedzieć wszystko o utraconej i cudem odzyskanej córce. Serce ją bolało na myśl o jej dzieciństwie w sierocińcu, o rodzinach zastępczych, o tym, że nigdy nie miała prawdziwych rodziców.. Wyglądało jednak na to, że zdołała to wszystko przetrwać. Była ładną dziewczyną a w pewnym momencie Maddy spostrzegła, że obie zakładały nogę na nogę w tym samym momencie i dokładnie w ten sam sposób.

- Lubię śpiewać... Myślę, że mam całkiem niezły głos. Ludzie mi to mówią.

- W takim razie nie możesz być moją córką - zaśmiała się Maddy, znowu ocierając łzy. Siedziały, trzymając się za ręce, i jakimś cudem nikt im dotąd nie przeszkodził. Rzadko zdarzał się tak spokojny ranek... - A co jeszcze lubisz?

- Konie... Mogę jeździć na wszystkim, co ma cztery nogi. Ale nie cierpię krów. Jedna moja rodzina miała mleczną farmę. Przysięgam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż za farmera. - Obie wybuchnęły śmiechem. - I lubię dzieci. Koresponduję z większością moich zastępczych braci i siostr, tylko z kilkorgiem nie. Prawie wszyscy są fajni. I lubię Waszyngton... - uśmiechnęła się do Maddy. - Lubię ciebie w TV... Lubię ciuchy... Lubię chłopaków... Lubię plażę...

- Kocham cię - wyrzuciła z siebie Maddy. A przecież nawet jej nie znała. - Kochałam cię już wtedy... Po prostu nie byłam w stanie się tobą opiekować. Miałam piętnaście lat, a moi rodzice nie pozwoliliby mi cię zatrzymać. Płakałam przez całe lata. Wciąż myślałam, gdzie jesteś, jak żyjesz, czy ludzie są dobrzy dla ciebie... Powiedziano mi, że zaadoptowali cię wspaniali ludzie, którzy cię kochają.

A teraz okazało się, że to nieprawda, że dziecko poniewierało się w domach dziecka i rodzinach zastępczych... Na myśl o tym Maddy krajało się serce.

- Masz dzieci? - chciała wiedzieć Elizabeth. Maddy potrząsnęła głową ze smutkiem. No, ale teraz już ma. Ma córkę. Tym razem jej nie straci. Podjęła już decyzję.

- Nie, nie mam. Nigdy potem nie miałam dzieci, a teraz już nie mogę.

Elizabeth nie spytała dlaczego, liczyła się z tym, że nie znają się jeszcze nawzajem. Jak na taką skomplikowaną i niełatwą przeszłość, była nad podziw grzeczna i dobrze wychowana, wypowiadała się jak osoba inteligentna i wykształcona.

- Lubisz czytać? - spytała Maddy z zainteresowaniem.

- Uwielbiam - odparła.

To też odziedziczyła po matce... I wytrwałość w dążeniu do celu. Nigdy nie zrezygnowała z prób jej odnalezienia. Tylko tego pragnęła.

- Ile masz teraz lat? - Elizabeth chciała się upewnić, czy prawidłowo ocenia wiek Maddy. Nie wiedziała dokładnie, czy urodziła ona dziecko w wieku piętnastu czy szesnastu lat.

- Trzydzieści cztery. - Były dla siebie raczej siostrami, niż matką i córką, i tak też wyglądały... - Jestem żoną właściciela tej sieci. Nazywa się Jack Hunter.

Odpowiedź Elizabeth zaskoczyła ją.

- Wiem. Widziałam się z nim dwa dni temu, w jego gabinecie.

- Co takiego? Jak ci się to udało? - Maddy wydawało się to wprost niemożliwe.

- Pytałam w recepcji o ciebie, ale nie pozwolili mi się z tobą spotkać. Odesłali mnie do niego. Rozmawiałam z jego sekretarką, a ona powiedziała, żebym napisała notkę dla ciebie. No więc napisałam. Napisałam, że chcę cię spytać, czy przypadkiem nie jesteś moją matką. Zaniósła wiadomość jemu, a potem kazała mi do niego pójść - wyjaśniła niewinnie Elizabeth, tak jakby to było całkiem zwyczajne i naturalne. I w pewnym sensie było, tyle że Jack nie wspomniał o tym Maddy ani słowem.

- I co było potem? - Maddy biło serce, tak jak w chwili, gdy Elizabeth powiedziała, że prawdopodobnie jest jej córką. - Co ci powiedział?

- Powiedział, że jest pewien, że to pomyłka, że nigdy nie miałaś żadnych dzieci. Chyba pomyślał, że jestem oszustką, próbuję coś od ciebie wyłudzić czy coś w tym rodzaju... Powiedział, żebym sobie poszła i nie pokazywała się nigdy więcej. Pokazałam mu metrykę i zdjęcie. Bałam się, że mi je zabierze, ale nie zabrał. Powiedział tylko, że to nie jest twoje panięńskie nazwisko, ale ja wiedziałam, że jest. Pomyślałam, że kłamie, żeby cię ochronić, a potem przyszło mi do głowy, że może o niczym nie wie. Że nigdy mu nie powiedziałaś.

- Tak, to prawda. Nigdy mu nie powiedziałam - przyznała uczciwie Maddy. - Bałam się. Był dla mnie bardzo dobry. Zabrał mnie z Knoxville dziewięć lat temu, zapłacił za mój rozwód... Dzięki niemu jestem tym, kim jestem. Nie wiedziałam, jak by się czuł, gdybym mu powiedziała, więc nie mówiłam.

Ale teraz już wiedział, a mimo to nie powiedział jej ani słowa. Wziął to za jakiś kawał i nie chciał jej martwić? A może raczej zachował tę wiadomość dla siebie jako amunicję? Ta druga możliwość wydała jej się bardziej prawdopodobna. Ciekawe, kiedy miał zamiar jej powiedzieć... Pewnie w momencie, kiedy by ją to najbardziej zraniło. Natychmiast poczuła wyrzuty sumienia, że myśli o nim w ten sposób.

- Więc teraz już wie - powiedziała z westchnieniem i spojrzała dziewczynie prosto w oczy. - Co my teraz z tym wszystkim zrobimy?

- Chyba nic - odparła praktycznie Elizabeth. - Ja nic od ciebie nie chcę. Chodziło mi tylko o to, żeby cię znaleźć i zobaczyć się z tobą. Jutro wracam do Memphis. W pracy dostałam tydzień wolnego, ale właśnie się

kończy. Muszę wracać.

- To wszystko? - Maddy była zdumiona, że dziewczyna chce od niej tak niewiele. - Chciałabym znowu spotkać się z tobą Elizabeth, i poznać cię. Może mogłabym wpaść do Memphis?

- Bardzo bym chciała. Możesz zatrzymać się u mnie, chociaż wątpię, żeby ci się podobało - uśmiechnęła się wstydliwie. - Wynajmuję pokój w pensjonacie, trochę mały i śmierdzący. Wszystkie pieniądze, jakie zarabiam, wydaję na szkołę... i na poszukiwanie ciebie. Teraz to chyba odpadnie.

- Może mogłybyśmy zamieszkać razem w hotelu?

Oczy Elizabeth rozbłysły. Maddy była poruszona. Wyglądało na to, że Elizabeth nie ma wobec niej żadnych oczekiwań...

- Nie zamierzam nikomu mówić, żeśmy się odnalazły - powiedziała nieśmiało. - Tylko mojej gospodyni, szefowi i jednej mojej zastępczej matce, jeśli uważasz, że to będzie w porządku. Ale jak nie chcesz, to mogę nikomu nic nie mówić. Nie chcę ci sprawiać żadnych kłopotów. - Nie zdawała sobie sprawy ze skutków publicznego ujawnienia prawdy dla Maddy.

- To miło, że o tym mówisz, Elizabeth, ale sama jeszcze nie wiem, co mam z tym zrobić. Muszę pomyśleć i porozmawiać z mężem.

- Chyba go to nie ucieszy. - Maddy też tak sądziła. - Nie wyglądał na uszczęśliwionego, kiedy mnie zobaczył... To musiała być dla niego wielka niespodzianka.

- Tak, chyba tak - uśmiechnęła się Maddy. To był szok nawet dla niej, ale teraz już się cieszyła. Miała córkę... Nieoczekiwanie stało się to bardzo ekscytujące. Koniec z tajemnicą, stara rana, której od lat nie dotykała, a która mimo to tkwiła gdzieś w głębi niej, uleczona. To, co bolało, okazało się błogosławieństwem. - Przyzwyczajai się... Wszyscy się przyzwyczajamy.

Zaprosiła Elizabeth na lunch, a ona, nieco stremowana, zaproponowała, by matka nazywała ją Lizzie. Kiedy szły do kawiarni za rogiem, Maddy nieśmiało objęła córkę ramieniem. Przy klubowej kanapce i hamburgerze Lizzie opowiedziała jej wszystko o swoim życiu, przyjacielach, obawach i radościach... Wypytała też Maddy o wszystko, zadając jej tysiące pytań. To było spotkanie, o jakim ona zawsze marzyła, a Maddy nigdy nie ośmielała się nawet marzyć.

Wróciły o trzeciej po południu. Maddy dała Lizzie swój numer telefonu i faksu, zapisała jej numer i obiecała często dzwonić. Chciała, jak tylko ułoży sprawę z Jackiem, zaprosić ją na weekend do Wirginii. Kiedy powiedziała, że wyśle po nią samolot, oczy Lizzie zrobiły się wielkie jak spodki.

- Macie własny samolot?

- Jack ma.

- No, no! Moja mama jest gwiazdą TV, a tata ma własny odrzutowiec! Wielki Boże!...

- On właściwie nie jest twoim ojcem - sprostowała delikatnie Maddy. I na pewno by nie chciał być... Nie miał zbyt dobrych kontaktów z własnymi synami, a co tu mówić o jej panińskiej córce... - Ale to miły człowiek.

I natychmiast poczuła, że kłamie. To było zbyt skomplikowane - wyjaśniać, jaka się czuje nieszczęśliwa, i że poszła na terapię, żeby znaleźć w sobie odwagę i go opuścić... Miała tylko nadzieję, że Elizabeth nigdy nie będzie przez nikogo traktowana tak jak jej matka. Podczas lunchu nie padła żadna wzmianka na ten temat. Elizabeth wydawała się zaskakująco dobrze przystosowana, mimo że nigdy nie miała własnego domu. I choć była to myśl przygnębiająca, przyszło Maddy do głowy, że może dobrze się stało, iż Lizzie wylądowała tak, jak wylądowała. Nie musiała patrzeć, jak Bobby Joe zrzuca jej matkę ze schodów, jak poniewiera nią Jack... Ale nie rozgrzeszała się. Czowała się winna, że nie dała córce tego, co jej się należało. Samo słowo wprawiało ją w drzenie... Córka. Ma córkę.

Pocałowała Elizabeth na pożegnanie. Chwilę stały, obejmując się. Wreszcie Maddy spojrzała Lizzie w twarz.

- Dziękuję, że mnie znalazłaś, Lizzie. Nie zasługuję na ciebie, ale jestem taka szczęśliwa, że cię poznałam...

- Dziękuję, mamó - szepnęła Lizzie. Obie ocierały łzy, kiedy Maddy odprowadzała ją spojrzeniem. Wiedziała, że nigdy nie zapomną tej chwili... Do końca dnia Maddy była rozpromieniona i jakby lekko nieprzytomna. Kiedy zadzwonił Bill Aleksander, natychmiast to zauważył.

- Co tam u ciebie nowego? - spytał lekko.

- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała. - Maddy zaśmiała się.

- Brzmi to szalenie tajemniczo. Zdarzyło się coś ważnego? - Przeszło mu przez myśl, że może odeszła od męża, ale przecież Maddy jeszcze nie była do tego gotowa.

- Powiem ci, jak się zobaczymy. To długa historia.

- Nie mogę się doczekać. A jak tam twój współprezenter?

- Powolutku... To miły chłopak, ale czasami mam wrażenie, że tańczę z nosorożcem. Jako para nie mamy wdzięku. - Tylko patrzeć, jak wyniki oglądalności polecą w dół... Już dostali setki listów od widzów, niezadowolonych, że z ekranu zniknął Greg Morris. Ciekawa była, co zrobi Jack, kiedy je zobaczy.

- Z czasem się jakoś dopasujecie... To trochę tak jak w małżeństwie.

- Być może - powiedziała bez przekonania. Brad Newbury był bystry, ale nie stanowili zachwycającego duetu. Nie było siły, żeby widzowie tego nie zauważyli.

- Może poszlibyśmy jutro na lunch? - spytał Bill, jakby mimochodem. Po wszystkim, co mu powiedziała, niepokoił się o nią i chciał mieć pewność, że wszystko jest w porządku. A poza tym lubił ją.

- Z przyjemnością - odparła bez wahania.

- Opowiesz mi swoją długą historię. Umieram z ciekawości. Ustalili miejsce i Maddy z uśmiechem odłożyła słuchawkę.

W chwilę potem była już w charakteryzatorni.

Program poszedł nieźle. Po pracy spotkała w hallu Jacka. Rozmawiał przez komórkę i nie przerwał rozmowy w samochodzie w drodze do domu. Kiedy w końcu wyłączył telefon, nie powiedziała nic.

- Poważna dziś jesteś - zauważył z roztargnieniem. Nie miał pojęcia, że spotkały się z Lizzie... Nie wspomniała o tym ani słowem, dopóki nie przyjechali do domu.

Maddy zaczęła krzątać się w kuchni, przygotowując coś do jedzenia. Ustalili, że nie pójną dziś do restauracji.

- Zdarzyło się coś szczególnego? - spytał od niechcenia. Milczenie Maddy często było sygnałem, że jest coś ważnego, o czym nie chce mówić... Popatrzyła na niego i skinęła głową. Przez chwilę milczała, szukając najwłaściwszych słów. Wreszcie zdecydowała się wyrąbać to prosto z mostu.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że odwiedziła cię moja córka? - spytała, patrząc mu w oczy. Dostrzegła, jak zaczyna się w nich żarzyć

coś zimnego i twardego, by po chwili zapłonąć gniewem.

- A dlaczego ty mi nie powiedziałaś, że masz córkę? Ciekawe, ile jeszcze sekretów masz przede mną, Mad... Ten jest dość spory.

Usiadł na kuchennym blacie z butelką wina w ręce i nalał sobie kieliszek. Maddy nie zaproponował.

- Powinam ci była powiedzieć, ale nie chciałam, żeby ktokolwiek o tym wiedział. To się zdarzyło na długo, zanim cię poznałam... Dziesięć lat wcześniej... Po prostu chciałam zostawić to za sobą.

Była uczciwa wobec niego, jak zawsze. Jedynym jej grzechem było przemilczenie. Nie kłamstwo.

- Zabawnie układa się czasami, prawda? Myślałaś, że się jej pozbyłaś, a ona tymczasem wyskakuje ci z za pleców jak diabeł z pudełka.

Przykro było tego słuchać... I bolało. Lizzie była miłą dziewczyną, a Maddy już czuła się z nią solidarna.

- Niepotrzebnie tak o niej mówisz, Jack. To dobre dziecko. To nie jej wina, że kiedy ją urodziłam, miałam piętnaście lat i że się jej pozbyłam. .. Wygląda na przywoitą dziewczynę.

- Skąd o tym wiesz, do diabła? - spytał gniewnie. - Jeszcze dziś wieczorem może pójść z tym do „Enquirer”. Jutro możesz ją zobaczyć w telewizji, jak opowiada o swojej sławnej mamusi, która się jej wyrzekła. Mnóstwo ludzi tak robi... Nawet nie wiesz, czy naprawdę jest twoją córką, na miłość boską! Przecież to może być oszustka. W ogóle może być Bóg wie czym, i pewnie jest, tak samo jak jej matka.

To był cios poniżej pasa - owo „36g wie czym, tak samo jak matka”... Maddy doskonale wyczuła intencję i natychmiast pomyślała o doktor Flowers. To była właśnie ta forma przemocy, o której rozmawiała: pomniejszanie, poniżanie, wdeptywanie w ziemię.

- Jest do mnie bardzo podobna, Jack. Trudno temu zaprzeczyć - powiedziała spokojnie, pomijając milczeniem zniewagę.

- Byle wieśniaczka z Tennessee jest do ciebie podobna, na litość boską! Uważasz, że czarne włosy i niebieskie oczy to taka rzadkość? One wszystkie wyglądają jak ty, Maddy. Nie jesteś niczym nadzwyczajnym.

Maddy zignorowała kolejny przytyk.

- Chcę tylko wiedzieć, czemu mi nie powiedziałeś, że widziałeś się z nią. Po co zachowałeś tę wiadomość dla siebie? - Po to, żeby wykorzystać ją w momencie, gdy najbardziej zrani żonę, pomyślała. Gdy

będzie mogła nią wstrząsnąć i ją powalić.

- Chciałem cię ochronić przed oszustką, bo zakładałem, że może nią być. Chciałem ją najpierw sprawdzić, zanim ci powiem. - Brzmiało to rozsądnie i rycersko, ale Maddy już go znała.

- To miło z twojej strony. Doceniam to. Mimo to uważam, że powinnam wiedzieć o wszystkim od razu.

- Będę o tym pamiętał następnym razem, kiedy pojawi się twój kolejny bękart. A tak przy okazji, ile jeszcze ich masz?

Nie zaszczyliła go odpowiedzią.

- Cudownie było ją zobaczyć - powiedziała spokojnie. - To przemiła dziewczyna.

- Czego chciała od ciebie? Pieniądzy?

- Chciała się po prostu ze mną spotkać. Szuka mnie od trzech lat. A ja myślę o niej całe życie...

- Jakie to wzruszające. Jeszcze cię nieraz postraszy, mogę ci to zagwarantować. Nie będzie to zbyt piękna historia - powiedział cynicznie. Nalał sobie kolejny kieliszek wina i spojrzał na nią z wściekłością.

- Dlaczego? To ludzkie. Takie rzeczy zdarzają się na tym świecie...

- Ale nie porządnym ludziom, Mad - rozkoszował się tymi słowami i tym, że raniły. - Porządnym dziewczynom takie rzeczy się nie zdarzają. Nie rodzą na prawo i lewo dzieci, gdy mają piętnaście lat, i nie porzucają ich na kościelnych schodach jak jakieś śmieci.

Dotknęło ją to do żywego.

- To nie tak było... Masz ochotę wysłuchać całej historii? - Była mu to winna, był przecież jej mężem i nigdy mu nie powiedziała.

- Nie, nie mam - uciął krótko. - Chciałbym tylko wiedzieć, co zrobimy, jeśli bomba wybuchnie i pokażą cię w ogólnokrajowej telewizji jako dziwkę. Mam na głowie program i całą sieć.

- Myślę, że ludzie to rozumieją. - Próbowwała zachować się z godnością nie pokazując nic po sobie, ale czuła się tak, jakby dostała w twarz. - Przecież ona nie jest morderczynią na litość boską i ja też nie.

- Nie, tylko dziwką. Białym śmieciem. Prawie to samo, zgadzasz się?

- Jak możesz tak do mnie mówić? - Spojrzała na niego ze smutkiem. - Wiesz, jak mnie to boli?

- I powinno. Nie masz z czego być dumna, a jeśli jesteś, to chyba



masz nie po kolei w głowie. Może zresztą rzeczywiście masz nie po kolei? Okłamałaś mnie, porzuciłaś ją... Czy Bobby Joe o tym wiedział?

- Tak, wiedział - odparła uczciwie.

- Może dlatego cię tłukł. To sporo wyjaśnia. Pominęłaś ten kawałek, kiedy jęczałaś, jaki to był dla ciebie niedobry... Nie jestem pewien, czy w tej sytuacji mam mu to za złe.

- Bzdura! Wcale go nie obchodziło, co zrobiłam. Tak czy owak, nie zasługiwałam na takie traktowanie, i nie zasługuję teraz. To nie fair, co robisz, i dobrze o tym wiesz!

- Twoje kłamstwo też było nie fair. Jak myślisz, jak ja się teraz czuję? Jesteś dziwką, Mad, zwykłą szmatą. Musiałaś od dwunastego roku życia pieprzyć się z kim popadło... Nie dziw się, że się zastanawiam, kim wobec tego jesteś teraz. Mam wrażenie, że cię w ogóle nie znam.

- To nie fair - zaprotestowała znowu. I do tego całkiem pomijał fakt, że jej o niczym nie powiedział... - Miałam piętnaście lat, popełniłam błąd, ale to było dla mnie straszne. Nic w moim życiu nie było takie straszne i bolesne jak to... Nawet to, że Bobby Joe mnie tłukł. Kiedy ją porzuciłam, czułam, że pękło mi serce.

- Mów to jej, nie mnie. Może wypiszesz jej za to czek? Tylko nie próbuj korzystać z moich pieniędzy. Będę pilnował.

- Nigdy nie korzystam z twoich pieniędzy! - krzyknęła. - Mam własne!

- Jasne, że masz. Tylko kto ci je płaci? To też moje pieniądze - powiedział z satysfakcją.

- Zarabiam je.

- Idź do diabła... Jesteś najbardziej przepłacaną prezenterką w całym tym biznesie.

- Nieprawda - odparła. - Za to Brad jest. I tylko patrzeć, jak rozwali ci program. Lada dzień...

- Jeśli rozwali, siostró, to i ty polecisz. Mogę cię wykopać w każdej chwili. Prawdę mówiąc, jeśli wziąć pod uwagę, jak się zachowujesz ostatnio i jak odnosisz się do mnie... Twoje dni są policzone. Nie mam zamiaru dłużej cierpieć. Co mi niby pozostaje, do cholery? Mam w nieskończoność siedzieć spokojnie i patrzeć, jak mnie okłamujesz, okradasz, wykorzystujesz? Mój Boże... Nie do wiary, że pozwalam ci tak się dreczyć.

Oślupiała. Przecież to on ją dręczył, a teraz robił z siebie ofiarę... Doktor Flowers ostrzegła ją że może stosować takie chwyt, ale chwyt i tak działał. Choć wiedziała już swoje, poczuła się winna.

- I żeby było jasne: nie próbuj przyprowadzać tu tej gówniary - ciągnął Jack. - Pewnie jest kurwą tak jak mamusia.

- To moja córka! - wykrzyknęła Maddy zrozpaczona. - Mam prawo ją widywać, jeśli zechcę, i mieszkam tutaj!

- Tylko dopóki ja ci na to pozwalam. Nie zapominaj o tym. - Wstał i wyszedł z pokoju.

Maddy stała jak słup soli, próbując odzyskać oddech. Kiedy usłyszała jego kroki na schodach, zamknęła po cichu drzwi do kuchni i wybrała numer doktor Flowers. Opowiedziała jej o wszystkim. O tym, że odnalazła ją Lizzie, że Jack przemilczał swoje spotkanie z nią i jaki był wściekły, że go okłamała.

- I co pani czuje w związku z tym, Maddy? Tu i teraz. Uczciwie. Proszę się zastanowić.

- Czuję się winna. Powinam była mu powiedzieć... I nigdy nie powinnam była jej porzucać.

- Wierzy pani w to, co o pani powiedział?

- Częściowo.

- Dlaczego? Czy gdyby to on przyszedł do pani z taką samą historią, wybaczyłaby mu pani?

- Tak - odparła natychmiast. - Potrafiłabym to zrozumieć.

- Skoro zatem on nie potrafi wybaczyć pani, o czym to świadczy?

- Że jest gówniarzem - Maddy, ze słuchawką przy uchu, powiodła wzrokiem po kuchni.

- Można i tak to określić - powiedziała doktor Flowers. - Ale pani nie jest. W tym rzecz. Jest pani dobrym człowiekiem, któremu zdarzyły się smutne rzeczy, a jedną ze smutniejszych rzeczy, jakie mogą przydarzyć się kobiecie, jest być zmuszoną do porzucenia własnego dziecka. Potrafi to pani sobie wybaczyć?

- Może... Z czasem.

- A jeśli chodzi o to, co Jack o pani powiedział? Czy sądzi pani, że pani się to należy?

- Nie.

- Proszę się zastanowić, co to mówi o nim. Nic z tego, co powiedział,

nie jest prawdą. Powiedział to po to, żeby panią zranić. I zranił. Nie winię pani za to...

W holu rozległy się kroki i Maddy pospiesznie zakończyła rozmowę. Ale przynajmniej doktor Flowers uświadomiła jej to i owo. W chwilę później drzwi otworzyły się gwałtownie i do kuchni wpadł Jack.

- Do kogo dzwoniłaś? Do twojego kochasia?

- Ja nie mam kochasia, Jack. Wiesz o tym - powiedziała potulnie.

- Wobec tego kto to był?

- Przyjaciółka.

- Nie masz żadnych przyjaciółek. Nikt cię nie lubi. Może to ten czarny pedał, którego tak uwielbiasz? - Skrzywiła się, gdy nazwał tak Grega, ale milczała. - Wiesz dobrze, do cholery, że nie wolno ci o tym z nikim rozmawiać. Nie życzę sobie, żeby mój program diabli wzięli... Piśnij choćby słówko, a zabiję cię. Zrozumiałaś?

- Zrozumiałam - odparła z oczyma pełnymi łez. Tyle bolesnych rzeczy powiedział jej w ciągu minionej godziny... Nie wiedziała, która boli bardziej. Wszystkie bolały.

Poczekala, aż Jack wyjdzie, i zadzwoniła do hotelu, w którym zatrzymała się Lizzie i miała tam zostać do jutra rana.

Połączono ją z pokojem i w parę sekund później Lizzie podniosła słuchawkę. Leżała w łóżku, myśląc o Maddy. Oglądała ją wieczorem w TV i nie przestawała się uśmiechać.

- Maddy... To znaczy... mamoo... To znaczy...

- „Mamo” jest w porządku - Maddy uśmiechnęła się, słysząc znajomy głos, i zdała sobie sprawę, że brzmi on prawie tak samo jak jej głos. - Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że cię kocham.

- Ja też cię kocham, mamoo. O Boże, fajnie to brzmi, prawda? Łzy popłynęły Maddy po policzkach.

- Tak, kochanie... Zadzwonię do ciebie do Memphis. Życzę ci szczęśliwej drogi.

Oby tylko nic jej się nie stało - teraz, kiedy się odnalazły... Odłożyła słuchawkę i zdała sobie sprawę, że się uśmiecha. Nieważne, co powiedział czy zrobił Jack, tego jej nie odbierze. Po tylu latach, po tylu stratach była matką.

RS

## Rozdział trzynasty

Bill i Maddy spotkali się na lunchu w Bombay Club. Maddy miała na sobie biały lniany garnitur Chanel, a na ramieniu torbę ze słomki. Ciemne okulary zsunęła na czubek głowy. Bill patrzył na nią, gdy zbliżała się do stolika i z radością pomyślał, że wygląda jak reklama lata. Sprawiała wrażenie dużo szczęśliwszej, niż kiedy widzieli się ostatnim razem... On również, gdy wstał z krzesła, by ją powitać, prezentował się znakomicie: biała czupryna wyraziście kontrastowała z opaloną twarzą i błękitem oczu.

Zamówił białe wino i zanim zajrzeli do menu, gawędzili parę minut o tym i owym. W restauracji było kilku znanych polityków i sędzieja Sądu Najwyższego, którego Bill dobrze znał z czasów Harvardu.

- Jesteś dziś o wiele bardziej ożywiona - zauważył z uśmiechem. - Czyżby w domu na linii frontu trochę ucichło?

- Tego bym nie powiedziała, ale bardzo mi pomaga kontakt z doktor Flowers, a poza tym zdarzyło się coś cudownego.

Ilekcóż się z nią widział, przechodziło mu przez myśl, że może jest w ciąży. Myślał o tym z niepokojem, choć nie rozumiał, dlaczego właściwie tak go to obchodzi. No, ale teraz wiedział już o Jacku i nie chciał, żeby się uwikłała w to małżeństwo jeszcze bardziej. A dziecko niewątpliwie by ją uwikłało.

- Wspomniałaś o tym wczoraj. Czy wolno mi spytać, co to takiego, czy to sekret?

Roześmiała się.

- Myślę, że szczebel ambasadora wystarcza, żeby sprawę odtajnić. Mam do ciebie zaufanie, ale to rzeczywiście sekret.

- Czyżby chodziło o dziecko, Maddy? - spytał z troską zniżając głos. Maddy uśmiechnęła się niczym Mona Liza.

- To zabawne, że właśnie to przyszło ci do głowy... Czemu pytasz? No tak, pomyślał i przebiegł go dreszcz.

- Nie wiem. Tak sobie pomyślałam... Ostatnim razem na komisji o mało nie zemdląłeś. No i to, co powiedziałaś wczoraj... Zmartwiło mnie to, szczerze mówiąc. Nie jestem pewny, czy w tej chwili byłoby to dla ciebie dobre. To by ci odcięło możliwość odejścia od męża, który się nad tobą zęca. Naprawdę o to chodzi?

W jego głosie było rozczarowanie i rezygnacja. Ku jego zaskoczeniu Maddy potrząsnęła głową.

- Nie, nie jestem w ciąży. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mogę mieć dzieci. - Głupio było mówić o takich rzeczach, ale czuła się z nim dziwnie swobodnie. Tak jak kiedyś z Gregiem... Z Billem było podobnie, chociaż z innych powodów. Teraz, gdy tyle wiedział o niej i o Jacku, czuła, że może powierzyć mu każdy sekret. Instynktownie wiedziała, że jej nie zdradzi.

- Przykro mi, Maddy... Na pewno to dla ciebie dramat.

- Tak, to jest dramat, a w każdym razie był. Ale nie mam prawa się skarżyć. To mój własny wybór... Kiedy pobraliśmy się z Jackiem, na jego prośbę podwiązałam sobie jajowody. Nie chciał mieć więcej dzieci.

Bill chciał powiedzieć, że to egoizm z jego strony, ale wstrzymał się od komentarza.

- Ale wczoraj zdarzyło się coś niewiarygodnego. - Maddy spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem znad kieliszka z winem. Nie mógł nie zauważyć, jaka jest piękna... Była dla niego jak promień słońca.

Po śmierci żony od miesięcy był w depresji i nadal się z nią borykał, ale za każdym razem, gdy widział Maddy, czuł się szczęśliwy. Cieszyła go ich przyjaźń, pochlebiało mu, że ma do niego zaufanie, że otwarcie rozmawia z nim o sprawach, o których, jak przypuszczał, nie mówiła nikomu innemu. I nie mylił się.

- Nie zniosę dłużej niepewności. Co się stało?

- Hm... Nie wiem, czy mam zacząć od początku, czy od końca. - Jakby się wahała. Zaśmiał się. Najwyraźniej było to coś radosnego.

- Zaczynaj od środka, jeśli masz ochotę, ale powiedz wreszcie!

- No dobrze, dobrze... Mimo wszystko chyba od początku. Postaram się streszczać. Kiedy miałam piętnaście lat, byłam już związana z Bobbym Joe, za którego wyszłam po maturze. W międzyczasie parę razy mnie rzucał, no i któregoś wieczoru umówiłam się z innym chłopakiem.

Zawahała się i zmarszczyła brwi. Jakkolwiek to przedstawi, wychodzi na to, że była dziwką... Nietrudno było sobie wyobrazić, co pomyśli o niej Bill. Nie chciała się przed nim usprawiedliwiać, ale...

- No i co?

- Nie będziesz myślał o mnie najlepiej, kiedy ci powiem. - Zdała sobie sprawę, że ma to dla niej znaczenie. Większe niż przypuszczała, kiedy

zaczynała opowieść... Może w ogóle nie powinna była zaczynać?

- Pozwól, że sam zdecyduję, co mam myśleć - powiedział spokojnie. - Myślę, że nasza przyjaźń to wytrzyma.

- Ale nie wiem, czy wytrzyma twój szacunek dla mnie... - Ale chciała zaryzykować. Dużo o nim myślała i czuła potrzebę otwarcia się przed nim. - Tak czy owak, umówiłam się z innym. I choć nie powinnam była, przespałam się z nim. Był bardzo miły, przystojny... W ogóle sympatyczny. Nie kochałam go, ale czułam się samotna, skołowana, no i pochlebiało mi jego zainteresowanie.

- Nie musisz się usprawiedliwiać, Maddy - powiedział miękko. - Wszystko jest w porządku. Ludzie robią takie rzeczy... Jestem już dużym chłopcem i potrafię to zrozumieć.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Jak odległe to było od reakcji męża, który nazwał ją dziwką i białym śmieciem...

- Dziękuję, Bill. To było wyznanie numer jeden. A teraz wyznanie numer dwa: zaszłam w ciążę. Miałam piętnaście lat i mój ojciec o mało mnie nie zabił. Zresztą nie zdawałam sobie sprawy, że jestem w ciąży, dopiero kiedy byłam w czwartym miesiącu. Byłam młoda i głupia... i było już za późno, żeby coś z tym zrobić. A zresztą byliśmy biedni i prawdopodobnie urodziłabym to dziecko, nawet gdybym z ciąży zdała sobie sprawę wcześniej.

- Urodziłaś dziecko? - w głosie Bilia było zaskoczenie, ale nie było osądu. Maddy była w pełni świadoma tej różnicy. Skinęła głową.

- Tak, urodziłam dziecko. Chociaż do wczoraj prawie nikt o tym nie wiedział. Na pięć miesięcy wyjechałam do innego miasta, chodziłam tam do szkoły i tam urodziłam. Dziewczynkę. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Widziałam ją tylko raz i dostałam jej zdjęcie, kiedy opuszczałam szpital. To było wszystko, co mi po niej zostało, a w końcu wyrzuciłam nawet zdjęcie, bo bałam się, że Jack może je znaleźć. Nigdy mu o tym nie powiedziałam... Oddałam ją do adopcji i wróciłam do domu jakby nigdy nic. Bobby Joe wiedział, ale mało go to obchodziło, i znowu zaczęliśmy ze sobą chodzić.

- Czy ojciec dziecka interesował się nim?

- Nie. Powiedziałam mu, że jestem w ciąży, ale nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Jego rodzice mieli sklep z wyposażeniem wnętrz i uważali moją rodzinę za hołotę i myśle, że było w tym trochę prawdy...

Przekonali go, że to pewnie nie jego dziecko. Chyba im nie uwierzył, ale bał się występować przeciwko nim, a poza tym prawie go nie znałam... Zadzwoiłam do niego, kiedy dziecko przyszło na świat, ale nie oddzwonił. A w trzy tygodnie później zginął w wypadku samochodowym. Wątpię, czy w ogóle dowiedział się o dziecku. Nie wiedziałam, kto je zaadoptował...

Maddy odetchnęła głęboko. Opowiadanie okazało się dużo trudniejsze, niż przypuszczała, i dużo więcej ją kosztowało... Bill ujął jej dłoń pod stołem, żeby dodać jej odwagi. Nie miał pojęcia, co będzie dalej, po prostu czuł, że Maddy bardzo chce się tym z nim podzielić.

- W tamtych czasach dane na temat adopcji utajniano i nie było żadnej możliwości, żeby do nich dotrzeć, więc nawet nie próbowałam - ciągnęła. - Po maturze wyszłam za Bobby'ego Joe, a potem od niego odeszłam. Dostaliśmy rozwód, wyszłam za Jacka... I wiem, że to było nie w porządku z mojej strony, ale nigdy mu o tym nie powiedziałam. Po prostu nie mogłam. Bałam się, że jak mu powiem, przestanie mnie kochać...

Znowu przełknęła łzy. Kelner, który czekał, by przyjąć zamówienie, zachowywał pełen dyskrecji dystans.

- Nigdy mu nie powiedziałam - powtórzyła. - I sama nigdy nie wracałam do tego fragmentu mojej przeszłości. Po prostu nie byłam zdolna o tym myśleć...

Billowi zwilgotniały oczy.

- A tu wczoraj - Maddy uśmiechnęła się poprzez łzy, ocierając dłonią te, które spłynęły po policzkach - wchodzi do mojego pokoju.

- Kto?... - zawiesił głos. To było zbyt niezwykle, żeby mogło być prawdziwe. Takie rzeczy zdarzają się w książkach i filmach, ale nie w życiu.

- Moja córka. Nazywa się Lizzie - powiedziała z dumą Maddy. - Trzy lata mnie szukała... Ludzie, którzy ją zaadoptowali, po roku zginęli w katastrofie kolejowej, a ją przekazano do sierocińca w Knowille, gdzie i ja mieszkałam, a nic o tym nie wiedziałam. Myślałam, że jest szczęśliwa... Ach, gdybym wiedziała!

W oczach Maddy znowu pojawił się smutek. Cóż, w końcu jednak się odnalazły. W tej chwili tylko to się liczyło.

- Później była w rodzinach zastępczych. Teraz ma dziewiętnaście lat i



mieszka w Memphis. Chodzi do szkoły i pracuje jako kelnerka. Jest piękna! Zobaczysz - powiedziała z dumą. - Wczoraj spędziłyśmy razem pięć godzin. Dzisiaj pojechała z powrotem do Memphis, ale mam zamiar niedługo znowu ją sprowadzić. Nic jej nie mówiłam, ale chciałabym, żeby zamieszkała tutaj, jeśli oczywiście zechce. Wczoraj wieczorem do niej zadzwoniłam - Maddy ścisnęła kurczowo dłoń Billa, a głos jej się załamał - i powiedziała do mnie... mamoo...

Cóż za zadziwiająca historia... Bill był głęboko poruszony i otwartością Maddy, i tym nieoczekiwanym happy endem. Jak w powieści...

- Ale jak, na Boga, cię znalazła?

- Nie wiem dobrze. Po prostu wciąż szukała. Przypuszczam, że pojechała do Gatlinburgu, miasta, w którym przyszła na świat, i sprawdzała, czy ktoś czegoś nie pamięta. Na metryce miała podany mój wiek, więc chodziła po miejscowych szkołach, dopóki nie znalazła nauczycielki, która pamiętała. Powiedziano jej, że nazywałam się Madeleine Beaumont. Zadziwiające tylko, że nikt nie skojarzył tamtej dziewczyny z Madeleine Hunter... No, ale minęło prawie dwadzieścia lat, i prawdopodobnie nie ma zbyt wielkiego podobieństwa między mną wtedy a teraz. Ale ona skojarzyła, kiedy oglądała mnie w wiadomościach. Nigdy nie mówiłam publicznie zbyt wiele o mojej przeszłości... Nie mam specjalnie czym się chlubić. - W gruncie rzeczy była swoją przeszłością głęboko zawstydzona. Przez Jacka.

- Owszem, jest się czym chlubić - powiedział spokojnie Bill i dał znak kelnerowi, żeby jeszcze na parę minut zostawił ich samych.

- Dziękuję ci, Bill. No, w każdym razie myślę, że pojechała za mną do Chattanooga i w jakiś sposób wpadła na to, co nikomu innemu nie przyszło do głowy. Powiedziała, że oglądała mnie w telewizji i przeczytała gdzieś, że moje panięńskie nazwisko to Beaumont. Strasznie lubi czytać. - W głosie Maddy była taka duma, że Bill się uśmiechnął. Momentalnie stała się matką... Dziewiętnaście lat za późno, ale lepiej późno niż wcale. A córka pojawiła się w wyjątkowo właściwym momencie. - Przyszła do nas do telewizji - twarz Maddy spochmurniała - i próbowała się ze mną zobaczyć, ale odesłano ją do Jacka. On ma jakiś zwariowany system. Jeśli ludzie pytają o mnie, są kierowani najpierw do niego. Zarzeka się, że ten przesiew ma mnie chronić, ale teraz zdaje sobie

sprawę, że bardziej tu chodzi o kontrolowanie mnie niż o ochronę. .. Okłamał ją. Powiedział jej, że nie jestem z domu Beaumont i że nie pochodzę z Chattanooga. Nie wiem, czy mu nie uwierzyła, czy jest tak samo uparta jak ja, w każdym razie następnego dnia udało jej się wejść do gmachu pod pretekstem, że przyniosła pączki, i przyszła do mojego pokoju. W pierwszej chwili myślałam, że chce mnie zaatakować, bo miała dziwny wyraz twarzy i była strasznie zdenerwowana. A potem mi powiedziała. To wszystko. I teraz mam córkę. - Patrzyła na niego rozpromieniona.

Za piękna historia, by wierzyć, za piękny uśmiech, by mu się oprzeć... Bill dyskretnie otarł łzy.

- A to dopiero... - I nagle coś mu przyszło do głowy. - A co na to Jack? Chyba mu powiedziałaś.

- Tak. Spytałam, czemu zataił to przede mną, a on na to, że wziął ją za oszustkę, która chce mnie szantażować. Ale dużo więcej miał do powiedzenia w sprawie zatajenia przed nim tego kawałka mojej przeszłości. Był wściekły i trudno mieć mu to za złe... Wiem, że to było nie w porządku z mojej strony. Bałam się, jeśli to jest jakieś usprawiedliwienie. Ale może miałam rację, bo nazwał mnie dziwką, latawicą, groził wyrzuceniem z pracy... Nie chce mieć z tym nic wspólnego. No, ale teraz, kiedy mnie odnalazła, nie pozwolę jej zniknąć.

- Oczywiście, że nie. A jak ona wygląda? Jest tak samo piękna jak matka?

- O wiele piękniejsza! Bill, ona jest wspaniała! Taka miła, taka kochana. .. Nigdy nie miała prawdziwego domu, nigdy nie miała matki. Tyle bym chciała dla niej zrobić...

Bill miał tylko nadzieję, że dziewczyna istotnie jest tak uczciwa, jak sądzi Maddy. Ale jakakolwiek była, rozumiał, że Maddy chce ją związać ze swoim życiem.

- Jack mówi, że nie życzy jej sobie w domu - ciągnęła. - I obawia się skandalu, który mógłby zepsuć mój wizerunek.

- A ty się tego boisz?

- Absolutnie nie - odparła zdecydowanie. - Popełniłam błąd. To się zdarza... Myślę, że ludzie to zrozumieją.

- Jeśli chodzi o wizerunek, to myślę, że może to go raczej poprawić niż zepsuć... Ale są tu momenty o wiele bardziej istotne.

To szalenie wzruszająca historia - powiedział cicho.

- To najwspanialsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek zdarzyła! Nie zasłużyłam na tyle szczęścia.

- Ależ tak, zasłużyłaś. Czy mówiłaś o tym doktor Flowers?

- Wczoraj wieczorem. Strasznie była podekscytowana.

- Nie dziwię się... Ja też jestem. To wspaniały podarunek od losu, i zasługujesz na niego. Byłoby tragedią dla ciebie, gdybyś miała całe życie być bezdietna, a ta dziewczyna zasługuje, żeby mieć matkę.

- Jest tak samo szczęśliwa jak ja...

- A co do reakcji Jacka, to nie jestem zaskoczony. Zachowuje się wobec ciebie jak sukinsyn przy każdej okazji. To, co powiedział, jest niewybaczalne, Maddy. Próbował cię po prostu zastraszyć i wzbudzić w tobie poczucie winy. - Szło o to, żeby jego akcje poszły w górę, i oboje dobrze o tym wiedzieli.

Zamówili lunch. Przy jedzeniu pogawędzili jeszcze trochę. Kiedy wychodzili, było już wpół do trzeciej.

- Co masz zamiar z tym wszystkim zrobić? - spytał z troską. Musiała podjąć określone decyzje, a tylko niektóre dotyczyły świeżo odnalezionej córki. Wciąż miała męża, który znęcał się nad nią psychicznie i który z pewnością nie zniknie w czarodziejski sposób.

- Nie wiem jeszcze... Myślę, że za parę tygodni pojedę do Memphis zobaczyć się z Lizzie. Chciałabym przenieść ją tu do szkoły.

- Mógłbym ci w tym pomóc. Daj mi znać, jak będziesz gotowa.

- Dzięki, Bill... I muszę poradzić sobie z Jackiem. Strasznie się boi, że brukowce zrobią skandal.

- No to co? Naprawdę się tym przejmujesz? - spytał rozsądnie. Maddy potrząsnęła głową.

- Boję się tylko reakcji Jacka. Będzie mnie tym dręczył.

Oboje wiedzieli, że to prawda... Bill martwił się, jak to wpłynie na Maddy.

- Wolałbym nie jechać jutro do Vineyard. Mogę zostać, jeśli mnie potrzebujesz, ale obawiam się, że to nie wpłynie na jego zachowanie. Nadal myślę, że jedynym rozwiązaniem dla ciebie jest odejście.

- Wiem... Ale doktor Flowers zgodziła się ze mną, że jeszcze nie jestem gotowa. Tyle mu zawdzięczam, Bill...

- Czy i z tym zgadza się doktor Flowers? - w spojrzeniu Billa była

dezaprobata. Maddy uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Nie, z tym nie. Ale rozumie, że nie potrafię od niego odejść.

- Nie zwlekaj za długo, Maddy. Pewnego dnia może ci zrobić krzywdę. Kto wie, czy wkrótce nie przestanie mu wystarczać przemoc emocjonalna. ..

- Dr Flowers uważa, że będzie coraz gorszy, jeśli będę się próbowała uniezależnić.

- No więc po co zostawać? Nie ma sensu ryzykować, Maddy. Powinnaś się wyprowadzić jak najszybciej.

Jakie to dziwne... Była przecież piękna, inteligentna, miała dobrą pracę, i każda kobieta w tym kraju chętnie zamieniłaby się z nią na miejsca. Uważały ją za wzorzec niezależności i emancypacji. A przy tym miała środki, żeby wybrnąć z tej sytuacji. Cóż, kiedy przemoc jest bardziej skomplikowana... Maddy wiedziała o tym aż za dobrze, a Bill właśnie się tego uczył. To była piekielna otchłań wypełniona po brzegi strachem i poczuciem winy, które paraliżowały ofiarę i nie pozwalały jej odejść. Maddy miała wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie, ale choćby nie wiem jak się starała, nie mogła poruszać się szybciej. I czuła się tak, jakby jej obowiązkiem było poświęcić Jackowi życie. Bill, patrząc z boku, obawiał się, że Jack może w końcu skrzywdzić ją nie tylko psychicznie, ale i fizycznie, zwłaszcza jeśli nie będzie mógł dłużej jej kontrolować. Ale nawet ona widziała, co się dzieje. Po prostu wciąż była zanadto wystraszona, żeby coś z tym zrobić. Osiem lat trwało, zanim zdołała wyrwać się Bobby'emu Joe, i Bill mógł tylko mieć nadzieję, że tym razem nie będzie czekać jeszcze dłużej.

- Może byś zadzwoniła do mnie do Vineyard, Maddy? Będę się bardzo niepokoił o ciebie...

Mówił prawdę. Dużo o niej myślał ostatnio, dużo więcej niż się tego wcześniej spodziewał. Nie rozumiał, dlaczego. Wciąż przecież tęsknił za zmarłą żoną, wciąż niemal obsesyjnie o niej myślał, kończył pisać o niej książkę... A mimo to od jakiegoś czasu jego myśli coraz częściej biegły ku Maddy.

- Zadzwonię do ciebie do pracy - powiedział. Bał się dzwonić do domu, żeby do broni, jakiej używał Jack, by ją dręczyć, nie dodawać jeszcze zazdrości.

- Ja też do ciebie zadzwonię. Słowo. Wszystko będzie dobrze... Mam

mnóstwo roboty, a poza tym pewnie pojedziemy na parę dni do Wirginii. Strasznie bym chciała zabrać i Lizzie, ale chyba Jack na to nie pozwoli.

- A j a bym wolał, żebyś w ogóle tam nie jechała - powiedział chmurnie. Nie miał w tym żadnego osobistego interesu, nie był w niej zakochany... Po prostu jak ludzka istota, która jest świadkiem dręczenia innej istoty, był zły, bezradny i rozpaczliwie pragnął w jakiś sposób jej pomóc. Czasami przypominało mu to owe nie kończące się miesiące, kiedy terroryści przetrzymywali jego żonę. Wciąż czekał na wiadomości od niej, zgnębiony, że nic nie może dla niej zrobić. To doprowadziło go w końcu do działania na własną rękę. ..Iw naiwności swojej w ten sposób ją zabił, a w każdym razie czuł się odpowiedzialny za jej śmierć. Obecna sytuacja boleśnie przypominała tamtą.

- Pamiętaj, że masz być ostrożna - ostrzegł ją, gdy po wyjściu z restauracji stanęli przy jej samochodzie. - Nie rób nic, co mogłoby cię narazić na niebezpieczeństwo. To chyba nie jest dobry czas na konfrontację z nim... Nie musisz niczego udowadniać, Maddy. Nie musisz zasługiwać sobie na jego przyzwolenie. Jedyne, co masz zrobić, to odejść, kiedy będziesz gotowa. On cię nie uwolni, sama się musisz uwolnić i wiać co sił w nogach, dopóki nie znajdziesz się za granicą. - W pewnym sensie było to jak ucieczka z kraju rządzonego przez komunistów.

- Wiem... Tak właśnie było, kiedy odchodziłam od Bobby'ego Joe. Zostawiłam obrączkę na kuchennym stole i wiałam co sił w nogach. Dopiero po paru miesiącach dowiedział się, gdzie jestem, ale wtedy byłam już z Jackiem. W pierwszym okresie mojej pracy w sieci byłam lepiej chroniona niż sam papież...

- Może się zdarzyć, że teraz też będziesz potrzebować ochrony. - Patrzył na nią długo i twardo. - Nie chcę, żeby ci zrobił krzywdę.

Albo, co gorsza, zabił cię czy porwał i wywiózł gdzieś... Tego jednak Bill nie powiedział na głos, choć wcale tego nie wykluczał. Jack mógł być do tego zdolny. Zdaniem Billa był socjopatą, człowiekiem bez sumienia.

- Uważaj na siebie - powtórzył i uśmiechnął się, przypomniawszy sobie jej córkę - mamę... Lubię myśleć o tobie jako o matce. Pasuje to do ciebie.

- Ja też lubię... To wspaniałe uczucie - spojrzała na niego

rozpromienionym wzrokiem.

- Ciesz się tym. Zaslugujesz na to. - Uściskał ją na pożegnanie i stojąc na chodniku, patrzył jak odjeżdżała.

W dwie godziny później do jej pokoju wniesiono wielki bukiet. Kwiaty były we wszystkich odcieniach różu, a między nimi tkwiły różowe baloniki i różowy misiaczek. Do bukietu dołączona była kartka: Gratuluję córki! Uściski - Bill.

Włożyła ją do szuflady i z uśmiechem popatrzyła na bukiet. Jakie to miłe ze strony Billa... Maddy była wzruszona. Zadzwoiła, żeby mu podziękować i powiedzieć, jak bardzo jej się to podoba, ale nie było go jeszcze w domu. Nagrała podziękowanie na sekretarkę.

Wciąż jeszcze się uśmiechała, gdy w godzinę później do pokoju wszedł Jack.

- Co to jest, do diabła? - spytał z wściekłością, patrząc na różowe baloniki i misia. Nietrudno było się domyślić, z jakiej to okazji...

- To taki żart. Nic ważnego.

- No jasne, skąd... A kto to przysłał, do pioruna? - obrzucił bukiet spojrzeniem w poszukiwaniu kartki, ale nic nie znalazł. Maddy w popłochu próbowała wymyślić coś sensownego.

- To od mojego terapeuty - powiedziała spokojnie i natychmiast zdała sobie sprawę, że nie jest to dobra odpowiedź. Przed laty chodziła do terapeuty, ale przestała przez Jacka. Czuł się zagrożony i wciąż powtarzał, że facet jest niekompetentny. Koniec końców uznała, że prościej będzie zrezygnować z terapii. Teraz zdała sobie sprawę, że to był element mistrzowskiego planu Jacka: izolować ją.

- Zaczęłaś znowu do niego chodzić? Kiedy?

- Właściwie to po prostu przyjaciółka... Kobieta. Jesteśmy razem w komisji do spraw przemocy, wiesz...

- Oszczędź mi tego. Kto to jest? Jakaś lesba z ruchu wyzwolenia kobiet?

- Ma chyba z osiemdziesiąt lat, jest babcią kilkorga wnuków. Interesująca kobieta...

- Wyobrażam sobie... Musi być zgrzybiała. A tak przy okazji, Mad, jeśli będziesz o tym trąbić na prawo i lewo, to bardzo prędko zobaczysz tę historię w brukowcu. Myślę, że będzie ci wtedy miło poczytać, bo jako bezrobotna będziesz miała dużo wolnego czasu. Tak że na twoim miejscu

trzymałbym raczej buzię na kłódkę. I powiedz tej małej dziwce z Memphis, żeby swoją też trzymała, bo inaczej wytoczę jej proces o zniesławienie.

- Jeśli powie, że jest moją córką to nie będzie zniesławienie - powiedziała Maddy spokojnie, choć nie była spokojna. - To prawda, i ona ma prawo o tym mówić. Ale obiecała mi, że nie będzie. I nie nazywaj jej małą dziwką Jack. To moja córka.

Mówiła grzecznym, opanowanym tonem. Jack spojrział na nią wrogo.

- Nie mów mi, co mam robić, Maddy. Nie pamiętasz? Jesteś moją własnością.

Już otwierała usta, żeby mu odpowiedzieć, ale do pokoju weszła sekretarka, więc dała spokój. Ale w tym tkwiło sedno sprawy: Jack był przekonany, że żona jest jego własnością. A ona przez dziewięć lat pozwalała mu w to wierzyć, bo sama była o tym przekonana... Ale koniec z tym. Po prostu nie może grać dłużej tej roli. A może rozjaśniło jej się w głowie?

W parę minut potem Jack poszedł do siebie. Niemal natychmiast po jego wyjściu zadzwonił telefon. Bill odebrał jej wiadomość i dzwonił, żeby powiedzieć, jak mu miło.

- Kocham kwiaty! - Maddy lekko wytrącona z równowagi wizytą męża, znowu się rozpromieniła. Jak to dobrze, że schowała wizytówkę Billa.... Byłoby na pewno gorzej. - To takie miłe z twojej strony, Bill... Dziękuję ci. I za lunch także.

- Już teraz mi cię brakuje - powiedział jak młodzieniaszek, lekko zmieszany. Od wielu lat nie posyłał kwiatów nikomu oprócz żony... No, ale odzyskanie córki koniecznie należało uczcić. Wiedział, ile to dla Maddy znaczy, i był głęboko poruszony i opowieścią, i zaufaniem, jakie mu okazała. Oczywiście, że nigdy jej nie zaradzi... Jedyne, czego pragnął, to jej pomoc. Byli przecież przyjaciółmi. - I będzie mi cię brakowało, jak wyjadę.

Śmiesznie było to mówić i oboje to zauważyli. Maddy jednak zdała sobie sprawę, że jej również będzie go brakowało. Przywykła polegać na nim, przywykła do tego, że jest w pobliżu... Nawet jeśli nie widywali się często, codziennie ze sobą rozmawiali. No, rozmawiać też będą mogli, kiedy Bill będzie w Vineyard. Z wyjątkiem weekendów, naturalnie. To byłoby zbyt niebezpieczne dla niej.

- Wracam za dwa tygodnie, Maddy - ciągnął Bill. - Staraj się przez ten czas być ostrożna.

- Będę ostrożna. Obiecuję. Życzę ci miłego pobytu z dziećmi.

- Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę Lizzie...

To było tak, jakby została jej przywrócona część jej samej, część o której braku już prawie nie pamiętała. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak wielka i ważna jest ta odebrana jej część... Teraz, gdy ją odzyskała, czuła to całym sercem i duszą.

- Nielugo ją poznasz, Bill. Trzymaj się.

Skończyli rozmowę, a ona siedziała jeszcze chwilę, patrząc w okno i myśląc o Billu i kwiatach, które jej przysłał. Sympatyczny człowiek, dobry przyjaciel... Jak to dobrze, że go poznała! Zabawne, jak toczy się to życie: czasem coś odbiera, kiedy indziej daje. Tyle już w życiu straciła, tylu poznała później innych ludzi, tyle innych spraw, innych miejsc... Czuła się teraz zjednoczona ze swoją przeszłością. Trzeba było tylko zapewnić sobie bezpieczną przyszłość. Wierzyła, że los znowu okaże się dla niej łaskawy...

W swoim domu na Dunbarton Street Bill także wpatrywał się w okno. Jego modlitwy były jednak sprecyzowane dokładniej. Modlił się o bezpieczeństwo dla Maddy. Każdym nerwem czuł, że jest w niebezpieczeństwie. O wiele większym, niż przypuszczała.



## Rozdział czternasty

Dwa tygodnie nieobecności Billa minęły dość spokojnie. Na tydzień wyjechali z Jackiem do Wirginii, a tam miał zawsze lepszy nastrój. Cieszył się swoją farmą, końmi... Parę razy latał do Waszyngtonu na spotkania z prezydentem. Ilekroć wyjeżdżał albo kiedy wybrał się na konną przejażdżkę, Maddy dzwoniła do Billa do Vineyard, a przedtem Bill codziennie telefonował do niej do pracy.

- No i jak on się zachowuje? - pytał z troską.

- Wszystko jest w najlepszym porządku - uspokajała go. Nie bawiła się wprawdzie za dobrze, ale nie czuła też, by groziło jej niebezpieczeństwo. Zawsze było tak, że po okresach szczególnego okrucieństwa Jack się uspokajał, jakby chciał ją przekonać, że tamto wszystko to tylko wytwory jej wyobraźni. Doktor Flowers podkreślała, że to klasyczny schemat zachowania sprawcy przemocy: ofiara ma nie tylko wydawać się szalona, ale i czuć się szalona, skarżąc się na niego. Tak właśnie było w Wirginii. Jack udawał, że nie przeszkadza mu istnienie jej córki, chociaż uważał, że Maddy nie powinna jechać do Memphis. Mogajątam rozpoznać, a poza tym jest tam tak gorąco... Starał się też przebywać z nią jak najczęściej. Często chciał się z nią kochać w tych dniach, ale robił to w sposób dużo łagodniejszy, bardziej cywilizowany niż w Paryżu, tak że skargi na to, że wtedy ją zranił, brzmiałyby jak z księżycy. Nie spierała się z nim jednak ani na ten, ani na żaden inny temat. Dr Flowers ostrzegła ją, gdy rozmawiały, że samo to może wzbudzić w nim podejrzenia. Była szczerą, mówiąc Billowi, że czuje się bezpieczna.

- Jak tam książka? - pytała. Codziennie zdawał jej sprawozdanie z postępów pracy.

- Skończona - oświadczył z dumą ostatniego dnia jej pobytu w Wirginii. Oboje z Jackiem z niecierpliwością myśleli już o powrocie do Waszyngtonu: nazajutrz, w poniedziałek, Maddy miała posiedzenie komisji. - Sam nie mogę w to uwierzyć.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją przeczytam.

- No, nie będzie to zbyt przyjemna lektura...

- Nie spodziewam się tego, ale jestem pewna, że to świetna książka. - Nie miała prawa być z niego dumna, ale była.

- Dam ci wydruk, jak tylko zostanie wygładzona i przepisana. Chciałbym, żebyś przeczytała ją jak najszybciej. - Zapanowała dziwna cisza. Nie wiedział, jak to powiedzieć, ale dużo o niej myślał i martwił się o nią nieustannie. - Chciałbym cię już jak najszybciej zobaczyć, Maddy. Jestem wprost chory ze zmartwienia o ciebie.

- Niepotrzebnie... Mam się zupełnie dobrze. A w następny weekend zobaczę się z Lizzie. Przyjeżdża do mnie do Waszyngtonu. Nie mogę się już doczekać, żeby ci ją przedstawić... Opowiedziałam jej wszystko o tobie.

- Ale co właściwie takiego mogłaś jej opowiedzieć? - Bill był wyraźnie zakłopotany. - Muszę się jej wydawać jakimś prehistorycznym obiektem... Nie ma we mnie nic interesującego.

- Dla mnie jest. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Bill.

Od lat nie czuła się z nikim tak blisko... Z wyjątkiem Grega, oczywiście. Greg miał dziewczynę w Nowym Jorku, ale rozmawiali ze sobą, ile razy się do niej dodzwonił. Oboje wiedzieli, że kiedy telefon odbiera Jack, nigdy nie przekazuje jej wiadomości ani nie prosi Maddy do telefonu, nawet jeśli jest w pobliżu. Z Billem byli ostrożniejsi, jeśli chodzi o czas i okoliczności rozmów.

- Ty też jesteś dla mnie kimś szczególnym - odparł, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Raz widział w niej córkę, raz przyjaciółkę, raz kobietę. .. Z nią było podobnie: to wydawał się jej starszym bratem, to znowu zaskakiwało ją całkiem inne uczucie. Żadne z nich nie próbowało jednak zdefiniować tego, co czuje wobec drugiego. - Może byśmy tak w poniedziałek przed komisją spotkali się na lunchu? Co ty na to?

- Bardzo chętnie.

W jeszcze większe zmieszanie wprawiał ją Jack. Był dla niej taki miły podczas ich ostatniego weekendu w Wirginii! Przyniósł jej kwiaty z ogrodu, śniadanie do łóżka, poszedł z nią na spacer, mówił, jaka jest dla niego ważna... A kiedy kochał się z nią, był czuły i łagodny jak nigdy. Mogło się zdawać, że jego niedawne okrucieństwo to figiel, który płała jej wyobraźnia. Znowu poczuła się winna, że naopowiadała o nim tyle przykrych rzeczy Billowi, Gregowi, terapeutce... Wiele by dała, żeby to zmienić. Był przecież takim kochającym mężem! A może to wszystko jej wina? Kiedy chce i kiedy ona jest dla niego miła, potrafi być najmiłym człowiekiem w świecie.

Próbowała opowiedzieć to doktor Flowers tego ranka, kiedy mieli wracać do Waszyngtonu. Twarda odpowiedź lekarki zabrzmiała jak zgrzyt.

- Ostrożnie, Maddy. Proszę spojrzeć, co pani robi. Znowu wpadła pani w jego pułapkę. On wie, o czym pani myśli, i chce udowodnić, że jest pani w błędzie i wywołać w pani poczucie winy.

Zabrzmiało to tak makiawelicznie, że Maddy zrobiło się przykro. Doprawdy, wymyśliła sobie te wszystkie brednie o Jacku, a doktor Flowers jej uwierzyła... Nie wspomniała o tym Billowi, kiedy spotkali się na lunchu, w obawie, że powie to samo co lekarka. Rozmawiali o jego książce. Już parę miesięcy temu sprzedał ją wydawcy za pośrednictwem agenta.

- Jakie masz plany na jesień? - spytał ostrożnie. Chciał usłyszeć, że zamierza odejść od męża. Nie wspomniała jednak o tym podczas lunchu. Sprawiała wrażenie szczęśliwszej i bardziej zrelaksowanej, niż kiedykolwiek dotąd. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, ale Bill nadal się o nią martwił. Tak jak doktor Flowers, bał się, że Jack znów wciąga ją w pułapkę, żeby ją w niej trzymać już na zawsze, na przemian torturując ją i pieszcząc, aż dojdzie do tego, że Maddy nie będzie mogła dłużej tego wytrzymać.

- Chciałabym popracować nad tym, żeby nasz program odzyskał poprzednią pozycję. Ostatnio notowania polecały na łeb, na szyję. Myślę, że to przez Brada, ale Jack uważa, że jest w tym i moja wina. Twierdzi, że przekazuję wiadomości w nudny sposób. Chcę to zmienić, dodać trochę ognia, zwiększyć tempo...

Bill podejrzewał, że Jack jak zwykle krytykował ją za coś, czemu nie była winna. Cóż, kiedy ona tak pragnęła mu wierzyć... Nie, nie była bynajmniej głupia. Była zahipnotyzowana, a on niezwykle przekonujący. Ktoś z zewnątrz jednak, o ile nie znał tego schematu, nie był w stanie tego dostrzec. A Maddy była za blisko, by to zobaczyć.

Kusiło go, żeby zadzwonić w tej sprawie do doktor Flowers. Wiedział jednak, że ze względu na zasady etyki zawodowej terapeutka nie zechce dyskutować o problemach pacjentki z osobą postronną, i rozumiał to. Nie było wyjścia - mógł tylko siedzieć, obserwować, co się z nią dzieje, i wkroczyć z pomocą dopiero wtedy, gdy nadarzy się sposobność. Na razie jednak sposobności nie było. Znowu przypomniała mu się Margaret i te

długie miesiące, gdy musiał biernie czekać, aż zostanie uratowana, aż znajdzie się na powrót w bezpiecznym miejscu... A najbardziej bolesny był rezultat. Teraz nie chciał popełnić tego samego błędu, wystraszyć i sprowokować wroga, wtrącając się. Wiedział lepiej niż ktokolwiek, że Jack jest znakomitym przeciwnikiem, terrorystą wysokiej klasy. A Bill niczego nie pragnął bardziej, niż uratować Maddy... Miał tylko nadzieję, że tym razem się uda.

Praca komisji szła pełną parą naprzód, mieli się spotykać częściej. Pierwsza Dama zaprosiła do komisji sześć nowych osób i wszyscy zajęli się opracowywaniem jesiennej kampanii - różnymi formami reklamy skierowanej przeciw przemocy domowej wobec kobiet. Podzielili się na sześć grup i każda koncentrowała się na innym zagadnieniu. Bill i Maddy trafili do grupy zajmującej się gwałtem. To, czego się na ten temat dowiedzieli, było przerażające... Była też grupa zajmująca się morderstwami, ale ani ona, ani on nie chcieli w niej uczestniczyć.

Na pierwszy weekend po powrocie Maddy z Wirginii przyjechała do Waszyngtonu Lizzie. Maddy ulokowała ją w Four Seasons i zaprosiła Billa na herbatę. Lizzie zrobiła na nim duże wrażenie. Była rzeczywiście taka ładna, jak mówiła Maddy, i tak samo bystra jak matka, a jak na skromne możliwości, które zaoferowało jej dotąd życie, wydawała się nad podziw dobrze wychowana. Bardzo jej zależało na wykształceniu, z radością chodziła na wykłady w miejskim college'u w Memphis... Była też najwyraźniej zapaloną czytelniczką.

- Jeśli mi się uda, chciałabym ją na następny semestr przenieść do Georgetown - powiedziała Maddy, gdy siedzieli przy herbacie. Lizzie wtrąciła, że jest tym zachwycona.

- Mam pewne znajomości, które mogłyby tu pomóc - Bill zgłosił się na ochotnika. - A co chcesz studiować?

- Politykę zagraniczną i media - odpowiedziała Lizzie bez wahania.

- Chciałabym załatwić jej u nas jakąś pracę w dziale zagranicznym, ale to niemożliwe - w głosie Maddy był smutek. Nie powiedziała Jackowi, że Lizzie przyjechała, i nie zamierzała mówić. Był dla niej ostatnio taki miły... Nie chciała tego psuć. Wspominał, że w październiku może znowu zabierze ją do Europy, ale nie powiedziała o tym Billowi. - Jeśli Lizzie przyjedzie tu na studia, wynajmę jej małe mieszkanie w Georgetown - dokończyła.

- Jesteś pewna, że to bezpieczne? - spytał Bill z troską. Statystyki na temat gwałtów, z jakimi zapoznali się w tym tygodniu na posiedzeniu komisji, były wstrząsające.

- Nie bój się, zadbamy o to. - Maddy myślała o tym samym. - Zamieszkałaby z koleżanką.

Kiedy Lizzie poszła przypudrować sobie nos, Bill zwrócił się z uśmiechem do Maddy:

- Śliczna dziewczyna. Musisz być z niej dumna.

- I jestem... Chociaż nie mam do tego prawa.

Wieczorem wybierała się z córką do teatru. Jackowi powiedziała, że idzie na jakąś damską kolację w związku z udziałem w komisji. Nie był zachwycony, ale ponieważ całej sprawie patronowała Pierwsza Dama, nie oponował.

Kiedy Lizzie wróciła z toalety, porozmawiali jeszcze trochę o jej szkole i planach przeprowadzki do Waszyngtonu - chciała być bliżej matki. To było, jak spełniona baśń. Bill był w pełni przekonany, że obie na to zasługują.

Była piąta, kiedy je w końcu opuścił. W parę minut później Maddy też pozostawiła Lizzie w hotelu i pojechała do domu, żeby się przebrać do teatru. Szły na musical Król i ja, i Maddy była podekscytowana. Zabierała oto Lizzie na pierwszy w jej życiu spektakl muzyczny. Czekala je prawdziwa uczta duchowa... Maddy nie mogła się już doczekać.

Kiedy przyszła do domu, Jack oglądał program weekendowy. Weekendowi prezenterzy mieli teraz znacznie lepsze notowania niż ona i Brad, ale Jack nadal nie przyjmował do wiadomości, że to wina Brada. Po prostu całkiem nie zdawał sobie sprawy, od czego zależy to, jak prezenter wypada na ekranie... Usunięcie Grega przyniosło wręcz odwrotny skutek, niż oczekiwał, ale nadal upierał się, że to wina Maddy. A szef produkcji, chociaż zgadzał się z nią, bał się powiedzieć o tym Jackowi. Nikt nie lubił mu się narażać.

Tego wieczoru Jack planował kolację ze znajomymi, chociaż w weekendy nie lubił wychodzić bez niej. Wyszła z domu, kiedy zaczynał się ubierać. Na pożegnanie pocałował ją czule. Maddy po raz kolejny była zaskoczona, że jest taki miły. O ile łatwiej było w ten sposób... Czyżby złe chwile naprawdę były już poza nimi?

Podjechała pod hotel Lizzie taksówką, zabrała ją i pojechała prosto do

teatru. Lizzie oglądała sztukę z przejęciem małej dziewczynki i oklaskiwała aktorów jak szalona.

- To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam, mammo! - powiedziała z entuzjazmem, kiedy wychodziły z teatru, dokładnie w chwili, gdy Maddy zarejestrowała kątem oka, że przygląda im się jakiś mężczyzna z aparatem fotograficznym. Błysnął flesz i mężczyzna zniknął.

Głupstwo - pomyślała Maddy. To pewnie jakiś turysta, który mnie rozpoznał i chciał mieć pamiątkowe zdjęcie... Wkrótce o tym zapomniała. Zanadto była zajęta Lizzie, żeby przejmować się drobiazgami.

Wsiadły razem do taksówki. Przed hotelem Maddy uściśniła Lizzie na pożegnanie i obiecała, że nazajutrz przyjedzie do niej na śniadanie. Znowu będzie musiała coś zmyślić na użytek Jacka... Nie cierpiała tego, ale cóż robić. Powie, że idzie do kościoła, bo nigdy z nią nie chodził. A później Lizzie poleci do Memphis, a ona spędzi cały dzień z mężem. Wchodząc parę minut później do domu, pełna wrażeń minionego wieczoru, była zadowolona i szczęśliwa.

Jack oglądał w salonie późne wydanie wiadomości. Uśmiechnęła się do niego szeroko, jeszcze na fali radości, jaką przeżyły dziś wspólnie z Lizzie.

- Przyjemnie było? - spytał niewinnie, gdy usiadła obok. Maddy z uśmiechem skinęła głową.

- Szalenie interesująco - skłamała. Czuła się niezręcznie i bardzo by chciała móc powiedzieć prawdę, ale nie mogła. Jack stanowczo zabronił jej spotykać się z Lizzie.

- A kto był?

- Phyllis, oczywiście, no i większość kobiet z komisji. Sympatyczna grupa - powiedziała, marząc o zmianie tematu.

- Phyllis tam była? Coś takiego... Musi być sprytna, bo właśnie ją widziałem w wiadomościach, w świątyni w Kioto. Polecieli tam dziś rano.

Maddy utkwiała w nim wzrok. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- No, to teraz powiedz mi, z kim się naprawdę spotkałaś. Z facetem, tak? Puszczasz się z kim popadło? - Złapał ją za gardło i lekko ścisnął. Patrzyła mu prosto w oczy, usiłując nie wpadać w panikę.

- Wiesz, że nie zrobiłabym ci tego - wykrztusiła. Zaczynało jej brakować tchu.

- W takim razie gdzie byłaś? Postaraj się tym razem powiedzieć prawdę.

- Spotkałam się z Lizzie - szepnęła.

- Kto to jest, do jasnej cholery?

- Moja córka...

- O rany boskie - odepchnął ją gwałtownym ruchem.

Padła plecami na kanapę i z ulgą poczuła, jak jej płuca znowu wypełniają się powietrzem.

- Po co, do diabła, znowu przywlokłaś tu tę dziwkę?

- Ona nie jest dziwką - powiedziała cicho. - Chciałam się z nią zobaczyć.

- Obsmarują cię w brukowcach! Powiedziałem ci, że masz się trzymać od niej z daleka.

- Potrzebujemy się nawzajem - powiedziała po prostu.

Jack wpatrywał się w nią z wściekłością, jak zawsze, gdy nie podporządkowywała się jego rozkazom.

- Powiedziałem ci, że dla twojego własnego dobra nie możesz sobie na to pozwolić! Twoje notowania już teraz są kiepskie, ale zobaczysz, co się stanie, jak będzie przeciek do prasy. A to więcej niż prawdopodobne!

- Ona chce się tylko ze mną widywać. Wcale jej nie zależy na rozgłosie - powiedziała Maddy cicho. Czowała się winna, że kłamała, że się na nią rozgniewał... Cóż, kiedy jego rygorystyczne stanowisko w sprawie kontaktów z Lizzie nie pozostawiało jej zbyt wiele możliwości.

- To ty tak myślisz. Jak możesz być taka głupia? Poczekaj tylko, niedługo zaczniesz cię molestować o pieniądze. O ile już tego nie robi..

A może robi? - spojrzał na nią zmrużonymi w szparki oczyma. - Wiesz co, zaczynasz sprawiać więcej kłopotów, niż jesteś tego warta. Jak nie, to cholera jasna, co ją... Gdzie ona teraz jest?

- W hotelu. Four Seasons.

- Szczęściara. I ty mi mówisz, że nie interesują jej twoje pieniądze?

- Mówię ci, że chce tylko mieć kontakt z matką - próbowała go ułagodzić.

Jack, wściekły, paroma krokami pokonał dzielącą ich przestrzeń i stanął przed nią. W jego spojrzeniu była irytacja i pogarda.

- Bez przerwy robisz coś, żeby mnie wyprowadzić z równowagi, Mad. Jak nie komentarz na temat tej wariatki, żony McCutchinsa, to notowania lecą ci w dół, a teraz znowu... Widzę, że chcesz do końca zabagnić swoją sytuację. Zobaczysz, czy nie mam tym razem racji. A jeśli tak, to możesz mi wierzyć, będzie ci cholernie nieprzyjemnie. - Ale nie powiedział nic więcej, poszedł ciężkim krokiem na górę i zatrzasnął za sobą drzwi łazienki.

Maddy siedziała jeszcze chwilę w salonie, próbując coś wymyślić. Jak mu wytłumaczyć, że to dla niej ważne? Jak mu powiedzieć, że jej strasznie przykro, że go zdenerwowała? To wszystko jej wina, wiedziała o tym. Nie powiedziała mu przecież, że ma dziecko... Może gdyby mu powiedziała na samym początku, wcale by to na nim nie zrobiło aż takiego wrażenia? Dziś może go tylko przeprosić i starać się zachować dyskrecję... Jedno wiedziała: teraz, gdy odnalazły się z córką na pewno z niej nie zrezygnuje.

Wyłączyła światło i poszła po cichu na górę. Kiedy wyszła z łazienki, Jack był już w łóżku. Oczy miał zamknięte, lampka była zgaszona, wiedziała jednak, że nie śpi. Położyła się, a on powiedział, nie otwierając oczu:

- Nie mogę znieść, że mnie okłamujesz. Mam uczucie, że nie mogę ci więcej ufać. Ciągle robisz coś, żeby mnie zranić.

- Przepraszam, Jack - wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. Już nie pamiętała, że pół godziny temu o mało jej nie udusił. - Naprawdę nie chciałam cię zdenerwować... Ale tak mi zależy, żeby się z nią widywać...

- Powiedziałem ci, że nie chcę tego. Nie potrafisz wbić sobie tego raz na zawsze do głowy? Nigdy nie chciałem mieć dzieci i ty też nie chciałaś. - Otworzył oczy i spojrzał na nią. - I na pewno nie chcę mieć do czynienia z jakąś dziesiętnastoletnią kurewką z Memphis.

- Proszę, nie mów tak o niej - powiedziała Maddy błagalnie. Tak naprawdę jednak chodziło jej o to, żeby jej wybaczył, że kłamie, że go zdradziła, że po siedmiu latach małżeństwa okazuje się, iż ma nieślubne dziecko, choć nigdy wcześniej mu o tym nie mówiła. Zdawała sobie sprawę, że niełatwo mu to przełknąć. Ale tak chciała, żeby jego reakcja była podobna do reakcji Billa... Bill naprawdę polubił Lizzie, kiedy ją poznał.

- Chcę, żebyś przestała się z nią widywać - powiedział stanowczo



Jack. - Tyle mi zawdzięczasz, Mad... Nigdy mi nie powiedziałaś o jej istnieniu i chęć, żeby znowu zniknęła z naszego życia, twojego i mojego. Ona ci nie jest potrzebna. Nawet jej nie znasz.

- Nie mogę tego zrobić. Nie mogę już mieć dzieci... Nigdy się jej nie wyrzeknę.

- Nawet gdyby to miało cię kosztować małżeństwo?

- Czy to znaczy, że jest taka możliwość? - spojrzała na niego przerażona. Zmuszał ją do decyzji, która złamie jej serce... A jednak w tej chwili nie chciała tracić i jego. Przez parę tygodni był dla niej taki miły... Zaczynała już myśleć, że wszystko między nimi się ułożyło. A tu nagle coś takiego... Ach, gdyby mogła nie kłamać, gdy idzie z Lizzie do teatru!

Desperacko chciała utrzymać kontakt z córką i nie wiedziała, jak to zrobić, żeby równocześnie nie sprawić przykrości Jackowi.

- Owszem, j est taka możliwość - odparł. - Dziecka nie było w umowie. Przeciwnie, było powiedziane bardzo jasno, że ma go nie być. We-szłaś w to małżeństwo na zasadzie oszustwa, bo powiedziałaś, że nigdy nie miałaś dzieci. Okłamałaś mnie. Mogę na tej podstawie unieważnić nasz związek.

- Po siedmiu latach? - spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Jeżeli byłbym w stanie udowodnić, że zostałem oszukany, a byłbym, to by oznaczało koniec małżeństwa. Szkoda, że nie pomyślałaś o tym, zanim ją przywlokłaś do naszego życia. Zastanów się nad tym, Mad. Mówię poważnie. - Odwrócił się, zamknął oczy i po pięciu minutach już chrapał.

Maddy leżała, wpatrując się w niego. Nie wiedziała, co mówić, co robić... Nie chciała zrezygnować z Lizzie. Nie mogła tego zrobić ani jej, ani sobie. Ale nie chciała też stracić męża... Tyle mu zawdzięczała! Nadużycia i przemoc, o które go niedawno oskarżała, zaczynały jej się wydawać tworam i wyobraźni. Lecz Lizzie nie była tworem wyobraźni... Maddy czuła się tak, jakby z nich dwojga to ona zachowywała się nagannie, a on był jej ofiarą, tak jak powiedział. Długie godziny leżała bezsennie, myśląc o tym, zżerana poczuciem winy.

Mimo to rano wciąż nie wiedziała, co robić. Powiedziała Jackowi, że idzie pożegnać się z Lizzie i zjeść z nią w hotelu śniadanie, a potem wróci i będą mogli spędzić dzień wspólnie.

- Powiedz jej, że nie będziesz się z nią więcej widywać, Mad. Igrasz z ogniem. To dotyczy i mnie, i prasy. Dość wysoka cena za dziecko, którego nawet nie znasz i którego na pewno nie będzie ci brakować, jeśli się z nim teraz pożegnasz raz na zawsze.

- Powiedziałam ci już, Jack - odparła uczciwie. Nie chciała go okłamywać, dorzucać kolejnego grzechu do licznych grzechów, o które ją słusznie oskarżał. - Nie mogę tego zrobić.

- Musisz.

- Nie zrobię jej tego.

- A mnie zrobisz, tak? Cóż, to mi wiele mówi o twoim stosunku do naszego małżeństwa - powiedział z bólem. Wyglądał jak jej ofiara.

- Jesteś nierozsądny w tej sprawie - próbowała mu tłumaczyć, ale ją odtrącił. Na jego twarzy pojawiła się obraza.

- Nierozsądny? W jakie ty klocki grasz? Upadłaś na głowę czy jesteś na prochach? A ty jesteś rozsądna, narzucając mi swojego bękarta, chociaż dotąd mówiłaś, że nie masz dzieci?

- Popełniłam błąd, przyznaję. Ale przecież cię nie proszę, żebyś się z nią kontaktował, Jack. To tylko ja chcę ją widywać.

- Wobec tego jesteś bardziej szalona niż mi się zdaje. A co z rodzinnym portretem na okładce „People”? Wystarczy ci to? Bo to się zdarzy. Wcześniej czy później. A wtedy widzowie każą ci się pocałować w tyłek.

- Niekoniecznie - powiedziała spokojnie. - Może będą bardziej wyrozumiali niż ty.

- Gówno... Czy ty wreszcie oprzytomniejesz, na litość boską? Kłócili się pół godziny. W końcu Jack musiał iść - był umówiony na

golfa z dwoma doradcami prezydenta. Zanim wyszedł, ostrzegł Maddy jeszcze raz: ma się nigdy więcej nie spotykać z Lizzie. Maddy jednak poszła na umówione śniadanie. Lizzie zauważyła, że matka jest przygnębiona, ale Maddy zaprzeczyła. Nie chciała jej martwić. Nie powiedziała, że więcej się nie zobaczą, przeciwnie, obiecała, że wkrótce zaprosi ją znów na weekend i da jej znać, jak tylko dowie się czegoś w sprawie Georgetown. Uściskały się i objęły na pożegnanie. Maddy dała jej na taksówkę na lotnisko, a choć proponowała jej oprócz tego pieniądze, Lizzie odmówiła. Absolutnie nie chciała przyjąć niczego poza biletem lotniczym i opłatą za hotel i taksówkę. Maddy zaproponowała, że

założy jej konto bankowe, ale Lizzie kategorycznie odrzuciła tę propozycję. Nie chciała wykorzystywać matki. Cóż, kiedy Jack nigdy by w to nie uwierzył...

Około południa Maddy była już z powrotem w domu. Jack jeszcze nie wrócił. Zadzwoiła do Billa i opowiedziała mu, co zaszło.

- To wszystko moja wina - powiedziała ze smutkiem. - Nie powinnam była go okłamywać.

Bill był innego zdania.

- Zachował się jak skurwiel i jeszcze usiłuje udawać ofiarę... To nie on tu jest ofiarą, Maddy, tylko ty. Nie widzisz tego?

Był zdenerwowany jak nigdy. Rozmawiał z nią blisko godzinę. Pod koniec rozmowy Maddy zdawała się jeszcze bardziej przygnębiona niż na początku. Zupełnie jakby w ogóle nie rozumiała, co do niej mówi... Czy uda się jej kiedykolwiek zerwać łańcuchy, które ją pętały? Bill miał wrażenie, że Maddy się cofa, zamiast posuwać naprzód.

Kiedy wieczorem Jack wrócił do domu, nie wspomniął nawet o Lizzie. Maddy nie wiedziała, czy to dobry znak, czy zły. A może szykuje się do kolejnego ultimatum? Na razie robiła, co mogła, żeby mu sprawić przyjemność. Przygotowała smaczną kolację, gawędziła z nim... Tej nocy kochali się i Jack był tak łagodny, że Maddy poczuła się tym bardziej winna. Sprawiała mu tyle przykrości...

Nazajutrz w pracy okazało się, że zgodnie z przewidywaniami Jacka bomba wybuchła. Na okładkach wszystkich kolorowych pism widniała fotografia Maddy i Lizzie w teatrze, w paru wariantach. Wydrukowane wielką czcionką nagłówki głosiły: „Maddy Hunter i jej od dawna zaginiona córka”. Teksty informowały, że Maddy jako piętnastolatka urodziła dziecko i oddała je do adopcji. Było parę wywiadów z Bobbym Joe i jej dawną nauczycielką ze szkoły. Brukowce odrobiły pracę domową jak należy.

Jack stanął przed nią w jej pokoju z egzemplarzem każdego pisma w ręce.

- Pięknie, co? Mam nadzieję, że jesteś dumna. I co teraz mamy z tym zrobić, do diabła? Od dziewięciu lat prezentujemy twój wizerunek jako Najświętszej Dziewicy, a teraz wydało się, kim naprawdę jesteś... Dziwką, kurwa mać. Cholera jasna... Czemu mnie nie słuchałaś, do diabła?

Fotograf postarał się, żeby wyglądały na zdjęciach wręcz jak bliźniaczki. Podobieństwo było uderzające... Jack miotał się po pokoju jak rozwścieczony byk ze szpadą w boku. Cóż, nie sposób było zaprzeczyć, że co się stało, to się stało.

Maddy zadzwoniła do Lizzie, żeby ją ostrzec, a kiedy Jack w końcu poszedł do siebie, również do Billa i doktor Flowers. Oboje powiedzieli to samo: to nie jej wina, i nie jest tak źle, jak jej się wydaje. Telewizjowicze ją uwielbiają, a błąd młodości może tylko zwiększyć to uwielbienie, wzbudzić współczucie. Będzie im tym bardziej bliska. Zdjęcie jej i Lizzie było naprawdę sympatyczne: szły, obejmując się ramionami.

Jack robił jednak co mógł, żeby wzbudzić w niej poczucie winy, i robił to skutecznie. Lizzie też płakała, kiedy Maddy do niej zadzwoniła.

- Tak mi przykro, mamo. Nie chciałam ci sprawiać kłopotu... Jack pewnie jest wściekły?

Martwiła się o matkę. Jack nie spodobał jej się podczas tamtego spotkania. .. Bała się go. Wyczuwała w nim coś złowrogiego.

- Nie jest zachwycony, ale przejdzie mu. - Było to subtelne niedomówienie.

- Ma zamiar cię wyrzucić?

- Nie sądzę... A zresztą na pewno związek by mu nie pozwolił. To by była dyskryminacja. - No, chyba że Jack udowodni, że naruszyła punkt umowy dotyczący nienagannego prowadzenia się... Tak czy owak, był na nią wściekły, a ona zrozpaczona, że stała się przyczyną jego cierpienia. - Po prostu musimy sobie z tym jakoś poradzić. Ale obiecaj mi, że nie będziesz rozmawiała z żadnymi reporterami.

- Przysięgam. Nigdy dotąd nie rozmawiałam i teraz też nie będę... Nie zrobiłabym nic, co by ci miało zaszkodzić. Kocham cię - szlochała Lizzie. Maddy uspokajała ją jak mogła.

- Ja też cię kocham, najdroższa. I wierzę ci. A ludziom w końcu się to znudzi. Postaraj się nie martwić za bardzo...

Przed południem jednak plotkarskie magazyny zaczęły szturmować sieć. Rozdzwoniły się telefony. Zapanowało ogólne szaleństwo. Wszystkie pisma w kraju chciały uzyskać wywiad z Maddy.

- Być może powinniśmy w końcu dać im to, czego chcą - zasugerował szef public relations. - W końcu co w tym złego? Miała dziecko w wieku

piętnastu lat. Dawno temu. Nie zabiła go, na litość boską. Może być z tego całkiem miła, wzruszająca opowieść, jeśli podamy to we właściwy sposób. Jak myślisz, Jack? - spojrzał z nadzieją na pracodawcę.

- Myślę, że mam ochotę dać jej takiego kopniaka w tyłek, żeby poleciała aż do Cleveland - odparł natychmiast Jack. Nigdy dotąd nie był na Maddy tak wściekły, lub też nigdy nie miał takiego powodu do wściekłości. - Była idiotką, że w ogóle przyznała się tej małej kurewce, że jest jej matką. Matką... Co to w ogóle znaczy w takiej sytuacji? Dała się wypieprzyć jakiemuś gówniarskiemu mięśniakowi, zrobił jej brzuch, ledwie dzieciak się urodził, zabrała się i poszła. A teraz robi z siebie świętą i opowiada o córce... Kot ze swoją kuwetą ma więcej wspólnego, niż Maddy z tą głupią dziwką z Memphis. Dziewucha chce ją po prostu wycyckać, a ona tego nie widzi.

- Mimo wszystko może tu chodzić o coś więcej - powiedział ostrożnie szef public relations. Zaskoczyła go gwałtowność reakcji Jacka. Co prawda, miał ostatnio dużo napięć... Notowania Maddy spadały z dnia na dzień. Być może i dlatego był na nią taki wściekły... Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że to nie jej wina, i mówili o tym Jackowi. Ale nie chciał słuchać.

Wciąż jeszcze dyszał gniewem, kiedy wrócili wieczorem do domu. Próbował wymusić na Maddy obietnicę, że nie będzie się więcej spotykać z Lizzie, lecz się nie zgodziła. O północy, wściekły, trzasnął drzwiami i wybiegł z domu. Nie było go do rana. Nie miała pojęcia, dokąd poszedł, ale ponieważ dom był otoczony przez kamery telewizyjne, nie odważyła się wybiec za nim. Mogła teraz robić jedynie to, co sama radziła Lizzie - siedzieć jak mysz pod miotłą. Lizzie przeniosła się na jakiś czas do przyjaciółki, żeby reporterzy nie mogli jej znaleźć w pensjonacie, a szef dał jej do końca tygodnia wolne, takie wrażenie zrobiło na nim to, że Lizzie jest prawdziwą córką Maddy Hunter.

Jedyną osobą na której nie robiło to wrażenia, był Jack. Przeciwnie. Na dwa tygodnie zawiesił ją w obowiązkach prezenterki i powiedział, że ma do tego czasu oczyścić swoje konto i wyrzec się dziecka. Dopóki tego nie zrobi, niech nie wraca do pracy. Przynosi mu wyłącznie wstyd, powiedział. A jeśli jeszcze raz spróbuje go okłamać w jakiegokolwiek sprawie - żyłka na jego czole pulsowała - zabije ją.

Maddy słuchała go i ogarniały ją wyrzuty sumienia. Cokolwiek się zdarzało, zawsze była to jej wina.

RS

## Rozdział piętnasty

W miarę jak upływały kolejne dni września, brukowce traciły zainteresowanie Maddy i jej córką. Raz i drugi reporterzy zajrzeli do restauracji w Memphis, gdzie pracowała Lizzie, ale jej szef za każdym razem chował ją na zapleczu, dopóki nie wyszli, i z czasem dali spokój. Maddy, jako osobie bardziej eksponowanej, trochę trudniej było unikać kontaktów z prasą. Ponieważ jednak, na stanowcze życzenie Jacka, ani razu nie skomentowała sprawy wobec żadnego dziennikarza, trudno było w nieskończoność bazować na jedynym zdjęciu jej i Lizzie, zrobionym po spektaklu Król i ja. Maddy ani nie potwierdzała, ani nie zaprzeczała, że Lizzie jest jej córką. Chętnie powiedziałyby publicznie, jaka jest z niej dumna i jaka szczęśliwa, że córka ją odnalazła, ale milczała ze względu na Jacka.

Zgodziły się z Lizzie, że na razie nie powinna przyjeżdżać do Waszyngtonu, ale Maddy nadal się starała załatwić jej miejsce na Uniwersytecie Georgetown, a Bill jej w tym pomagał. Sprawa nie była zbyt trudna: Lizzie miała dobre stopnie i znakomite rekomendacje od nauczycieli w Memphis.

Odbyło się kolejne zebranie komisji Pierwszej Damy i Bill był szczęśliwy, że znowu zobaczył się z Maddy. Wyglądała na zestresowaną, przemęczoną i spiętą. Atak ze strony brukowej prasy musiał ją wiele kosztować. Powiedziała, że Jack obwiniają o wszystko, także o nadal kiepskie wyniki oglądalności, i że jego zdaniem przyczyną tego jest wielki skandal wokół jej nieślubnej córki. Ale to wszystko Bill już wiedział z codziennych rozmów telefonicznych z Maddy. Nie wiedział tylko, czy Maddy zdecyduje się kiedykolwiek odejść od męża. Przestała mówić na ten temat i wyglądało na to, że o większość problemów obwinia siebie samą.

Bill był tak zmartwiony, że na jednym z posiedzeń komisji odwołał doktor Flowers na bok i porozmawiał z nią. Nie wyjawiała mu żadnych sekretów. Jedyne, co mogła zrobić, to uspokoić go.

- Większość kobiet godzi się z przemocą przez całe lata - powiedziała rzeczowo, zaintrygowana jego reakcją. Sprawiał wrażenie człowieka, który szaleje z niepokoju. - A w tym wypadku mamy do czynienia z najbardziej subtelną, najbardziej zdradziecką postacią przemocy. Tacy

mężczyźni jak Jack są w tym mistrzami. Manipuluje nią tak, że to ona czuje się odpowiedzialna za to, co on robi. I siebie przedstawia jako ofiarę. Przy czym powinien pan pamiętać, Bill, że ona mu na to pozwala.

- Jak możemy jej pomóc? - spytał. Rozpaczliwie mu na tym zależało, ale nie miał pojęcia, jak się zachować.

- Być przy niej. Słuchać. Czekać. Mówić jej szczerze, co pan myśli i czuje w związku z tym. Ale jeśli będzie chciała czuć się winna wobec Jacka, to będzie się czuła winna. Prawdopodobnie w końcu znajdzie wyjście z tej sytuacji. Wtedy powinien pan zrobić co możliwe, żeby jej pomóc.

Wiedziała od Maddy, że Bill dzwoni do niej codziennie, i bardzo ceniła tę jego życzliwość. Zastanawiała się, czy nie kryje się za nią coś więcej, ale Maddy uparcie twierdziła, że są tylko przyjaciółmi i że o żadnych romansowych motywach nie ma mowy po żadnej stronie. Doktor Flowers nie była tego taka pewna. Jakkolwiek jednak było, lubiła Billa i miała wiele szacunku i dla niego, i dla Maddy.

- Niepokoję się po prostu, że któregoś dnia jego subtelność się skończy i ustąpi miejsca czemuś bardziej oczywistemu. Wciąż się boję, że zrobi jej krzywdę.

- Już teraz jej robi - powiedziała jednoznacznie. - Ale tacy jak on mężczyźni zazwyczaj nie stosują rękoczynów. Nie mogę panu obiecać, że do tego nie dojdzie, ale wydaje mi się, że Jack jest na to za mądry. Chociaż im bardziej realna będzie możliwość, że zdobycz wymknie mu się z rąk, tym gorszy będzie dla żony. Na pewno nie pozwoli jej odejść po dobroci.

Po zebraniu, gdy Maddy wyszła, porozmawiali o tym nieco dłużej. Wracając do domu, Bill nie był specjalnie podniesiony na duchu... Tylko raz w życiu czuł się tak bezradny. A może ten paniczny lęk, że Maddy może stać się krzywdą, miał swoje źródło w tamtym przeżyciu, kiedy porwano, a potem zamordowano mu żonę? Do tego czasu tak naprawdę nie wierzył, że może się wydarzyć coś równie potwornego.

Gdy spotkali się za tydzień, na kolejnym zebraniu, dał jej do przeczytania poprawiony maszynopis książki. W weekend była w połowie lektury. Czytała, a łzy płynęły jej po twarzy jak groch. Tak zobaczył ją Jack.

- I cóż tam znowu czytasz takiego wzruszającego? - spytał zdumiony.



Byli w Wirginii. Dzień był deszczowy i Maddy całe popołudnie przeleżała na tapczanie z książką, zapłakana. Opowieść Billa o tym, co przeżywał, gdy żonę porwali terroryści, rozdzierała jej serce.

- To książka Billa Alexandra. Bardzo dobrze napisana...

- Na litość boską, po co czytasz takie gówno? Ten facet to nieudacznik. Trudno uwierzyć, żeby był w stanie napisać coś wartościowego...

Nie miał dla Billa ani krzty szacunku i najwyraźniej go nie lubił. Nie lubiłby jeszcze bardziej, wręcz zniechęciłby go, gdyby wiedział, że Bill jest dla niej takim wsparciem... Może zresztą Jack to wyczuwał?

- Naprawdę jest bardzo wzruszająca.

Jack nie podjął już tematu, ale kiedy wieczorem Maddy chciała znowu sięgnąć po wydruk, nie mogła go znaleźć. W końcu spytała męża, czy go nie widział.

- Owszem. Pomyślałem, że zaoszczędzę ci dalszych łez. Jest tam, gdzie jego miejsce. W śmietniku.

- Wyrzuciłeś go? - spytała wstrząśnięta.

- Lepiej będzie, jak wykorzystasz ten czas na coś innego. Jakbyś więcej popracowała nad wyszukiwaniem ciekawych tematów, to twoje notowania zaraz poszłyby w górę.

- Wiesz dobrze, że ciągle nad tym pracuję - powiedziała, broniąc się. Ostatnio miała na tapecie skandal w CIA i kolejny przypadek pogwałcenia przepisów celnych. - I wiesz, że tematy nie są żadnym problemem.

- To może się starzejesz, dziecino? Wiesz, widzowie niespecjalnie lubią kobiety po trzydziestce...

Robił co mógł, żeby ją pognębić.

- Nie miałaś prawa wyrzucać tej książki. Jeszcze jej nie skończyłam. I obiecałam zwrócić, jak przeczytam...

Była zmartwiona, ale Jack nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Jeszcze jeden sposób, by pokazać, że jej nie szanuje... I że nie szanuje Billa Alexandra. Na szczęście była to kopia, a nie jedyny egzemplarz.

- Nie marnuj czasu, Mad - rzucił i poszedł na górę.

Wkrótce do niego dołączyła. Kochali się tej nocy i Maddy zauważyła, że Jack znowu stał się bardziej brutalny, jakby chciał ją ukarać za liczne wykroczenia. Kiedy coś o tym wspomniała, odparł, że sobie to

wyobrazila, i próbował ją przekonać, że był łagodny i miły. Maddy jednak wiedziała swoje.

Po niedzieli, kiedy wrócili do Waszyngtonu, Brad zaskoczył wszystkich, rozwiązując nieoczekiwanie największy problem programu. Zanim poszedł z tym do Jacka, porozmawiał z Maddy. Zdał sobie sprawę, powiedział, że bycie prezenterem wcale nie jest takie proste, nawet jeśli współpracuje się z kimś tak doświadczonym jak Maddy.

- Zawsze uważałem, że jestem dobry przed kamerą, ale zwisanie przez dwie minuty z drzewa czy z lufy czołgu to zupełnie inna sprawa niż prowadzenie programu. - Uśmiechnął się smętnie. - Wydaje mi się, że nie mam do tego drygu. I nawet, mówiąc szczerze, niespecjalnie to lubię. - Załatwił już sobie pracę w innej sieci telewizyjnej, jako korespondent w Azji. Miał wyjechać do Singapuru i już się nie mógł doczekać.

Maddy, choć zaczynała go ostatnio trochę bardziej lubić, poczuła ulgę. Ciekawa była reakcji Jacka.

Jak się okazało, prawie tego nie komentował. Nazajutrz krótkim oficjalnym pismem powiadomił zespół, że Brad odchodzi z końcem tygodnia i że zgadza się na to. Brad miał umowę tymczasową, na sześć miesięcy, bo sam nie był pewien, czy się odnajdzie w tej pracy. Maddy widziała, że Jack nie jest zadowolony, ale nie wspomniał o tym. Powiedział tylko, że zanim znajdą jej innego współprowadzącego, na niej spoczywa tym większa odpowiedzialność.

- Mam nadzieję, że twoje wskaźniki nie polecą teraz w dół - dodał z troską. Jego obawy szybko okazały się jednak nieuzasadnione. Zamiast polecieć w dół, notowania skoczyły gwałtownie w górę, ledwie Brad zniknął z ekranu. Szef produkcji sugerował nawet, żeby pozwolić Maddy pociągnąć program w pojedynkę, ale Jack upierał się, że nie jest na to dość mocna i że potrzebny jest współprowadzący. Na razie oglądalność wróciła do dawnego wysokiego poziomu i Maddy się cieszyła.

Wzrost notowań przyniósł jej ogromną ulgę, ale Bill słyszał w głosie Maddy przygnębienie, ilekroć do niej dzwonił. Od tak dawna biczowała się w związku z programem... Tęskniła za pracą z Gregiem. I tęskniła za Lizzie. Nie wiedziała dlaczego, lecz zwierzyła się Billowi, że jest w podłym nastroju. Pocieszyła ją bardzo wiadomość, że Lizzie została przyjęta na Uniwersytet Georgetown. Lizzie miała, co prawda, dobre stopnie i rekomendacje, napisała też przekonujące podanie, niemniej była

to jedna z najpopularniejszych uczelni w kraju i Bill musiał uruchomić parę swoich kontaktów.

Maddy była w euforii. Powiedziała Billowi, że zamierza wynająć Lizzie małe mieszkanie w Georgetown, żeby się mogły spotykać, gdy będą miały na to ochotę. Była głęboko wdzięczna Billowi.

- Zaraz do niej zadzwonię!

- Tylko nie mów jej, że mam z tym coś wspólnego - zastrzegł się. - Tak naprawdę sama sobie na to zapracowała. Ja tylko otworzyłem parę drzwi, ale nic by to nie dało, gdyby sobie nie zasłużyła.

- Jesteś święty, Bill - uśmiechnęła się Maddy.

Bardzo wstydziła się za męża, kiedy wyrzucił jego maszynopis, ale Billa to nie zaskoczyło. Przysłał jej kopię i czytała ją w wolnych chwilach w pracy. Przedwczoraj dotarła do końca i zdążyli już porozmawiać na ten temat. Uważała, że książka odniesie wielki sukces. Była nie tylko inteligentna, ale także szczerza i ciepła. I przejmująco ludzka.

O Georgetown powiedziała Lizzie osobiście. Jack pojechał na sobotę i niedzielę w męskim gronie do Las Vegas, więc Maddy poleciała do Memphis. Poszły razem na kolację, nacieszyły się sobą robiły plany... Maddy obiecała, że w grudniu, zanim po świętach Lizzie zacznie semestr, znajdzie jej mieszkanie. Lizzie nie mogła uwierzyć w swoje szczęście.

- Tylko żeby nie było za drogie - powiedziała, marszcząc brwi. - Całe dnie będę zajęta na uczelni, pracować będę mogła tylko wieczorem i w weekendy.

- A kiedy chcesz się uczyć? - spytała Maddy z matczyną troską. Bardzo jej się podobała ta rola. - Nie możesz pracować, jeśli chcesz mieć dobre wyniki, Lizzie. Pomyśl o tym.

Ale z punktu widzenia Lizzie nie było o czym myśleć. Zaliczyła już przecież półtora roku college'u, każdą wolną chwilę poświęcając na pracę.

- Czy dadzą mi stypendium? - spytała zaniepokojona.

- Nie, ale ja ci dam. Nie wygłupiaj się, Lizzie. Czasy się zmieniły. Masz teraz matkę. - I to matkę, która doskonale zarabia w jednym z najpopularniejszych programów informacyjnych w kraju... Maddy koniecznie chciała pomóc Lizzie przejść przez uniwersytet, płacić za jej

mieszkanie, pomagać finansowo - Nie chcę, żebyś była zdana wyłącznie na siebie. Zasługujesz na chwilę oddechu. Napracowałaś się już wystarczająco.

Tyle miała do odrobienia... Nie mogła naprawić przeszłości, ale mogła przynajmniej zadbać o jej przyszłość.

- Nie mogę ci na to pozwolić. Kiedyś wszystko ci zwrócę - obiecała Lizzie solennie.

- Zaopiekujesz się mną na starość - zaśmiała się Maddy. - Jak oddana córka...

Prawda była taka, że już teraz były sobie bardzo oddane. Znowu spędziły razem wspaniały weekend. Szybko odkryły, że mają podobne poglądy, upodobania, podobny styl ubierania się... Jediną dziedziną, w której miały zdecydowanie odmienny gust, była muzyka. Lizzie była wielbicielką punk rocka i country, Maddy tego nie cierpiała.

- Mam nadzieję, że z tego wyrośniesz - pokpiwała, a Lizzie przysięgała, że nigdy w życiu.

- Te kawałki, których ty słuchasz, to flaki z olejem. Yyyyyy - wybrzydzała.

W niedzielę po kościele poszły na długi spacer i spędziły razem spokojne przedpołudnie, później Maddy miała samolot powrotny. Zanim Jack wrócił z Las Vegas, była w domu. Zapowiedział, że wróci dopiero około północy. Nie powiedziała mu wcześniej, gdzie się wybiera, i nie miała zamiaru mówić. Temat Lizzie był wciąż niczym bomba z opóźnionym zapłonem.

Właśnie rozpakowywała niewielką torbę, kiedy zadzwonił telefon. Ze zdziwieniem usłyszała w słuchawce głos Billa. W niedzielę wieczorem? Nigdy nie dzwonił do domu, wyłącznie do pracy, w obawie, że odbierze Jack.

- Źle trafiłem? - spytał nerwowo.

- Nie, wszystko w porządku. Właśnie wróciłam od Lizzie. Jest w siódmym niebie w związku z Georgetown...

- Bardzo się cieszę. Słuchaj, Maddy, myślałem o tobie cały dzień. Cieszę się, że wszystko w porządku. Nie wiem dlaczego, ale bardzo się o ciebie martwiłem.

Nie było to, co prawda, nic nowego... Odkąd pojawiła się w jego życiu, mógł myśleć tylko o niej. Była w takiej trudnej sytuacji...

Przekonana, że wszystko zawdzięcza Jackowi i gotowa przyjąć od niego wszystko, co jej serwował. Billowi, jak dotąd, nie udało się jej przekonać, iż jest ofiarą przemocy, choć zaczynała to sobie uświadamiać. Martwił się o nią bezustannie. Wspominał nawet o niej dzieciom, które były zaintrygowane tą znajomością ojca.

- Czy twój mąż jest w pobliżu? - spytał ostrożnie. Chyba nie, skoro mówiła o Lizzie...

- Nie, nie ma go w domu. Pojechał na weekend do Las Vegas. Mieli pójść na kolację i obejrzeć najnowszy show, tak że nie wróci zbyt wcześnie. Powiedział, że dopiero około północy, ale jak znam życie, to będzie trzecia albo czwarta rano.

- Co byś w takim razie powiedziała na kolację? - spytał szybko, uszczęśliwiony, że jest sama. - Właśnie miałem zamiar zrobić jakiś makaron i sałatkę. Masz ochotę na coś prostego? A jak nie, to możemy gdzieś wyjść.

Nigdy dotąd nie zapraszał jej na kolację... Parę razy spotkali się na lunchu i czuła się bardzo dobrze w jego towarzystwie. Powoli stał się dla niej kimś w rodzaju mentora i spowiednika, a w pewnym sensie i anioła stróża. A ponieważ Greg zniknął z horyzontu, był teraz także najlepszym przyjacielem.

- Będzie mi strasznie miło - odparła z uśmiechem. Zgodzili się, że najlepiej zjeść w jego mieszkaniu. Brukowce już miały Maddy na oku, plotki były całkiem prawdopodobne. Żadnemu z nich nie było to potrzebne. - Co mam przynieść? Wino? Deser? Serwetki? - spytała, uszczęśliwiona, że go zobaczy.

- Po prostu siebie. I nie spodziewaj się zbyt wiele... Moja kuchnia jest bardzo zwyczajna. Dopiero w ciągu ostatniego roku nauczyłem się gotować.

- Nie martw się. Pomogę ci.

W pół godziny później była już u niego z butelką czerwonego wina. W białym swetrze i dżinsach, z opadającymi na ramiona włosami bardziej niż kiedykolwiek wyglądała jak własna córka. Powiedział jej o tym.

- Lizzie to świetna dziewczyna - odparła Maddy z dumą zupełnie jakby spędziły razem całe życie.

Bill w gruncie rzeczy radził sobie dobrze w kuchni. Była pod

wrażeniem. Podwinął rękawy wykrochmalonej niebieskiej koszuli, dobrze współgrającej z błękitem dżinsów, i przygotował świetną sałatkę. Do tego był podgrzany w piekarniku francuski chleb i doskonałe fettuccine Alfredo. Czerwone wino, które przyniosła, było do tego idealne.

Siedzieli w wygodnej, obszernej kuchni z oknem wychodzącym na wypieszczony przez Billa ogród i rozmawiali o wielu sprawach: o jego pracy w dyplomacji, jego karierze akademickiej, jego książce, jej programie, wreszcie o jego dzieciach. Byli ze sobą całkiem swobodni, jak przyjaciele. Bill odkrył, że może z nią mówić o wszystkim, nawet o swoich troskach w związku z małżeństwem córki. Uważał, że za ciężko pracuje, że za szybko, jedno po drugim, urodziła kilkoro dzieci... Martwiło go też, że zięć jest wobec niej bardzo krytyczny. Ale wyglądało na to, że są szczęśliwą rodziną i Maddy zazdrościłaby mu jeszcze bardziej, gdyby nie miała Lizzie.

- Zdałam sobie sprawę, jakie ważne są dzieci, dopiero kiedy nie mogłam ich już mieć. Głupia byłam, że pozwoliłam Jackowi sobie to wmówić... Ale to było dla niego takie ważne i tyle dla mnie zrobił... Uważałam, że jestem mu to winna. Całe życie to inni mi mówili, czy mam mieć dzieci czy nie, że mam się ich wyrzec, że mam zadbać o to, żeby ich nie mieć... - Nie do wiary, że z nim o tym rozmawiała, ale teraz, gdy odnalazła córkę, gorycz i ból były mniejsze. - Wyobraź sobie, jakie smutne byłoby moje życie, gdyby nie Lizzie.

- Trudno to sobie wyobrazić. To dzięki dzieciom czuję, że moje życie jest coś warte - odparł Bill. - Czasem mi się wydaje, że byłem z nimi związany bardziej niż Margaret. Ona mniej się nimi przejmowała. Ja martwiłem się o byle co, byłem nawet trochę nadopiekuńczy...

Maddy łatwiej było to teraz zrozumieć. Także martwiła się o Lizzie, o to, że coś się jej może stać i że największy dar, jaki dostała od życia, może się nagle rozpląnąć. Jakby to był dar tak cenny, że na niego nie zasługiwała, a zniknięcie Lizzie miało być za to karą.

- Zawsze miałam poczucie winy, że ją urodziłam. To cud, że wyszła z tego tak dobrze... W pewnym sensie jest znacznie zdrowsza niż ja - powiedziała z podziwem.

Bill postawił przed nią pucharek z musem czekoladowym. Spróbowała. Mus, jak wszystko inne, był wspaniały.

- Nie oberwała od życia tak jak ty, Maddy. Jak na to, co przeszedłaś, trzymasz się znakomicie. Chociaż oczywiście jej też nie było łatwo w domach dziecka i w rodzinach zastępczych... Dzięki Bogu, że macie teraz siebie nawzajem. - I zadał jej dziwne pytanie: - Czy teraz, kiedy masz Lizzie i wiesz już, jak to jest, chciałabyś mieć więcej dzieci?

- Marzyłabym o tym... Ale nie ma chyba na to zbyt wielkich szans - uśmiechnęła się niewesoło. - Więcej dzieci nie porzuciłam, a nowych mieć nie mogę... Jedyne sposoby to adopcja, ale Jack mi na to nie pozwoli.

Zasmuciło go, że Jack nadal stanowi dużą część równania. Ostatnio Maddy nie wspominała o odejściu. Nie pogodziła się z sytuacją, w jakiej tkwiła, ale też nie miała dość odwagi, by odejść... I wciąż czuła, że za wiele mu zawdzięcza, zwłaszcza po ostatniej sprawie z Lizzie i oszustwie, jakiego się dopuściła.

- A gdyby nie było Jacka? Zaadoptowałybyś?

Pytanie było czyste teoretyczne, ale był ciekaw. Najwyraźniej lubiła dzieci: świeża więź z odnalezioną córką dawała jej tyle radości... Choć nowicjuszka, była zaskakująco dobrą matką.

- Prawdopodobnie tak - popatrzyła na niego zaskoczona. - Nigdy o tym nie myślałam... Głównie dlatego, że nigdy wcześniej nie myślałam o odejściu od Jacka. I nawet teraz nie wiem, czyby mi starczyło odwagi.

- A chciałabyś? Mam na myśli odejście od Jacka.

Czasami wydawało się, że tak, kiedy indziej, że nie... Ta przestrzeń jej życia to było jedno wielkie poczucie winy, zamęt, konflikt. Ale w jego oczach nie było to małżeństwo. Była ofiarą, niczym więcej.

- Chciałabym odejść od bólu, strachu, wyrzutów sumienia... Chyba tak naprawdę chciałabym mieć Jacka, tyle że bez tego wszystkiego. Chociaż nie sądzę, żeby to było możliwe. Ale kiedy myślę o odejściu, to myślę o odejściu od człowieka, którym miał być i którym od czasu do czasu rzeczywiście bywa. A kiedy myślę o pozostaniu, to myślę o pozostaniu z sukinsynem, którym może być i którym bywa aż za często. Trudno pogodzić te dwie rzeczy... Nigdy nie wiem na pewno, jaki on jest, jaka ja jestem i kogo właściwie miałabym porzucić - próbowała wyjaśnić to możliwie najbardziej racjonalnie.

- Być może wszyscy to trochę robimy, chociaż w mniejszym stopniu - powiedział Bill w zamyśleniu. W pewnym sensie Maddy trwała w stanie

zamrożenia, ponieważ obie szale ważyły dla niej tyle samo, podczas gdy dla niego okrucieństwo Jacka przeważało. No, ale on nie był ofiarą przemocy w dzieciństwie, tak jak ona... Właśnie to predysponowało ją do uległości wobec Jacka, który robi z nią co zechce. Dziewięć lat trwało, w tym siedem lat małżeństwa, zanim sobie uświadomiła, że Jack ma wiele wspólnego z Bobbym Joe. Tylko przemoc z jego strony była bardziej zawołowana.

- Weźmy choćby mnie - ciągnął Bill. - Zapomniałem już, że pewne rzeczy u Margaret mnie drażniły. Kiedy teraz się oglądam i wspominam lata, które wspólnie przeżyliśmy, wszystko wygląda idealnie. Ale przecież były między nami różnice, jak to między ludźmi... Zaliczyliśmy też parę kryzysów. Kiedy po raz pierwszy zdecydowałem się wyjechać na placówkę i miałem odejść z Cambridge, groziła, że mnie opuści. Nie chciała nigdzie jechać, uważała, że to szaleństwo. I okazało się - spójrzal na Maddy ze smutkiem - że miała rację. Nie powinienem był tego robić. Gdybym nigdzie nie wyjeżdżał, żyłaby do tej pory.

- Tego nie możesz wiedzieć - Maddy wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła delikatnie jego dłoni. - To, co się wydarza, to przeznaczenie. Mogła zginąć w katastrofie lotniczej, w wypadku drogowym, w przypadkowej strzelaninie ulicznej, zachorować na raka... Kto to wie? Powinieneś starać się myśleć, że to, co robiłeś, było słuszne.

- Staram się... I nigdy nie przypuszczałem, że Kolumbia jest taka niebezpieczna, że narażamy się na takie ryzyko. Gdybym zdawał sobie z tego sprawę, nie wziąłbym tej placówki.

- Wiem - powiedziała, wciąż z dłonią na jego dłoni. Ujął ją oburącz i przytrzymał. To była taka pociecha, być z nią... - I jestem pewna, że ona też to wiedziała. To trochę tak, jakby mówić, że nie powinniśmy robić żadnych planów, bo czasem się wałą. Człowiek musi żyć najlepiej jak potrafi i podejmować ryzyko w granicach rozsądku. W większości przypadków to się opłaca. Nie możesz biczować się za tamto... Zaslugujesz na coś lepszego.

- Ty też - spojrzał na nią poprzez stół. - Chciałbym, żebyś w to uwierzyła.

- Próbuje się tego nauczyć - powiedziała cicho. - Przez całe lata słyszałam coś wręcz przeciwnego... Trudno było nie uwierzyć.

- Gdybym tak mógł wyrwać to z ciebie... Zaslugujesz na dużo lepsze



życie niż obecne, Maddy. Chciałbym móc cię chronić, pomagać ci...

- I pomagasz. Robisz dla mnie więcej, niż ci się wydaje. Bez ciebie bym zginęła.

Opowiedziała mu o sobie wszystko, powierzyła mu wszystkie obawy, nadzieje, trudności. Nie było w jej życiu nic, czego by nie wiedział. Jack wiedział dużo mniej... Była wdzięczna Billowi, że przy niej jest.

Nalał herbaty do dwóch filiżanek i przeszli do ogrodu. Było chłodno, ale przyjemnie. Usiedli. Bill objął ją ramieniem. Miły wieczór na zakończenie wspianego weekendu...

- Powinniśmy to kiedyś powtórzyć - powiedział cicho. - Jeśli będziesz mogła. - Dobrze się złożyło, że Jack był w Las Vegas...

- Wątpię, żeby Jack to zrozumiał - odparła szczerze. Nie była nawet pewna, czy ona sama to rozumie... Wiedziała, że Jack byłby zły, gdyby się dowiedział, że jadła kolację z Billem Alexandrem, ale zdecydowała już, że mu o tym nie powie. Jakoś coraz więcej było ostatnio spraw, o których nie miała zamiaru mu mówić.

- Jeśli będziesz mnie potrzebowała, Maddy, zawsze jestem gotów ci pomóc. Mam nadzieję, że o tym wiesz - Bill zwrócił ku niej głowę i popatrzył jej w oczy. Na twarz Maddy padał blask księżyca i światło dochodzące z salonu.

- Wiem, Bill. Dziękuję.

Ich oczy się spotkały. Po długiej chwili Bill objął ją ciaśniej i przytulił. Siedzieli spokojnie, w milczeniu, tak jak to bywa między dwójkiem dobrych przyjaciół. Nie czuli się wcale niezręcznie.

## Rozdział szesnasty

Październik okazał się dla wszystkich bardziej gorączkowy niż zwykle. Sezon towarzyski był w pełni. W świecie polityki wzrosło napięcie: w Iraku wciąż ginęli żołnierze i ludzie byli niezadowoleni. A Jack zaskoczył Maddy i przyjął dla niej nowego współprezentera. Był lepszy niż Brad, ale trudny w kontaktach, zazdrosny i niemiły dla Maddy. Nazywał się Elliot Noble. Pracował już wcześniej jako współprezenter i choć zimny jak lód, był jednak dobry, i tym razem przynajmniej oglądalność nie ucierpiała. Przeciwnie, wskaźniki nawet lekko poszły w górę. Ale praca z nim to była mordęga - nie to co z Gregiem czy nawet, mimo wszystko, z Bradem.

W tydzień po starcie Elliota Jack zawiadomił Maddy, że zabiera ją do Europy. Miał trzydniowe służbowe spotkanie w Londynie i chciał, żeby z nim pojechała. Nie sądziła, że zniknie z ekranu tak szybko po pojawieniu się Elliota... A jak widzowie pomyślą że ją zastąpił? Jack jednak twierdził, że to wykluczone, a w sprawie wyjazdu był nieugięty. Zgodziła się, ale w ostatniej chwili się przeziębiła, przerodziło się to w infekcję ucha i wyjazd okazał się niemożliwy. Poleciał sam, zirytowany. Oświadczył, że w tej sytuacji zostanie w Anglii tydzień i w czasie weekendu odwiedzi znajomych w Hampshire.

Maddy była zachwycona. Będzie mogła spotkać się z Lizzie, a nawet rozejrzeć się za mieszkaniem dla niej! Rzeczywiście, bawiła się znakomicie, ale nie znalazły nic, co by im się podobało. Ale było jeszcze dużo czasu... Lizzie potrzebowała dachu nad głową dopiero pod koniec grudnia. Spędziły też wieczór z Billem, który zaprosił je na kolację.

Kiedy wracały, Maddy wstąpiła do sklepu, żeby kupić coś na śniadanie. Na stojaku z gazetami ze zdumieniem zobaczyła na okładkach kolorowych magazynów nazwisko Jacka. Czy małżonek Maddy Hunter wciąż jest wściekły o jej dziecko? - zarejestrowała wzrokiem jeden z tytułów. A poniżej: Słodki smak zemsty: wygląda na to, że ma własną dzidzię. Obok widniało zdjęcie Jacka wychodzącego z Annabel's w towarzystwie ślicznej, bardzo młodej blondynki. Trudno było powiedzieć, czy to fotomontaż, czy prawdziwa fotografia... Jack wyglądał na zaskoczonego, i co najmniej tak samo zaskoczona była Maddy. Włożyła pismo do wózka razem z innymi zakupami, a w domu

uważnie przeczytała tekst. Była zmartwiona.

- Wiesz, jak to jest w tych sprawach. - Lizzie starała się ją pocieszyć. - Pewnie byli całą grupą albo coś... Albo może to żona lub sympatia kogoś innego? Większość takich tekstów i zdjęć to fałszywki i nikt w to nie wierzy.

Było to dość prawdopodobne. A jednak Maddy, kiedy wpatrywała się w Jacka i stojącą obok niego kobietę, czuła się tak, jakby dostała w twarz.

Minęły dwa dni. Jack nie dzwonił, więc zdecydowała się zadzwonić do niego sama. W hotelu Claridge's, którego numer jej zostawił, dowiedziała się, że zgodnie z planem wyjechał na weekend. Nie wracała już do tej sprawy w rozmowie, ale jąrzyżyło się to w niej przez cały weekend. Kiedy w poniedziałek wieczorem Jack wrócił, w Maddy się gotowało.

- Widzę, że jesteś w świetnym nastroju - zauważył jowialnie. - O co chodzi, Mad? Dalej boli cię ucho?

Był w doskonałym humorze. Bez słowa wziął do ręki gazetę, którą dla niego odłożyła, i popatrzył na zdjęcie bez śladu zmieszania, wzruszył ramionami i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- No więc co? Co za problem? Byłem z całą grupą i wychodziliśmy razem. To chyba nie przestępstwo, o ile mi wiadomo.

Nie próbował się usprawiedliwiać, nie wyglądało na to, że czuje się winny albo że szarżuje, albo że chce ją uspokoić... Maddy wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co o tym sądzić.

- Byłeś z nią na dancingu? - spytała, nie spuszczać z niego oczu.

- Jasne. I z nią, i z innymi... Nie przeleciałem jej, jeśli o to ci chodzi. - Nazwał rzecz po imieniu. Najwyraźniej zaczynała go irytować jej podejrzliwość. - Czy o to mnie oskarżasz, Mad? - spytał takim tonem, jakby chodziło o jej brak zaufania, a nie o jego wierność, która stała pod znakiem zapytania.

- Martwię się. Dziewczyna jest śliczna, a artykułik przedstawia sprawę tak, jakbyś to z nią gdzieś wychodził.

- Artykuły na twój temat przedstawiały sprawę tak, że wychodziłaś na dziwkę, a jednak nie wierzyłem, prawda?

Poczuła się tak, jakby dostała cios w żołądek.

- To nie było miłe z twojej strony, Jack - powiedziała cicho.

- Ale to prawda. Nikt, jak dotąd, nie podsunął ci pod nos moich nieślubnych bachorów, co? Gdyby tak było, miałabyś prawo się wściekać, a tak nie masz nic do gadania. A nawet jakbym cię oszukiwał, to biorąc pod uwagę twoje kłamstwa i oszustwa... Ciekaw jestem, kto rzuciłby we mnie kamieniem.

Jak zawsze, to ona była wszystkiemu winna... W dodatku wiedziała, że Jack ma trochę racji. Nie powiedziała mu dotąd, że przenosi Lizzie do Waszyngtonu, że od czasu do czasu widuje się z Billem, że codziennie z nim rozmawia... Jack odwrócił kota ogonem i zamiast wytłumaczyć się z zarzutu niewierności, sprawił, że to ona poczuła się winna.

- Przepraszam... Po prostu to tak wyglądało... - zaczerwieniła się na myśl, że posądzała go o jakieś zdrożności.

- Na drugi raz zastanów się, zanim rzucisz kamieniem, Mad. A jak tam w pracy?

Jak zwykle, kompletnie zignorował jej odpowiedź. Podejmował temat tylko wtedy, kiedy służyło to jego celom, a ten nie służył. Wykorzystał sytuację, żeby dać jej reprimendę, a ona, jak zwykle, potulnie jej wysłuchała.

Na tym się nie skończyło. Ponieważ powiedziała to, co powiedziała, zaczęła ją oskarżać o flirtowanie z nowym współprowadzącym. Elliot był młody, przystojny, nieżonaty i Jack napomknął parę razy, że ludzie plotkują na ich temat. Przejęła się tym. Bill zauważył, że Jack próbuje w ten sposób odwrócić jej uwagę od siebie, ale ona była przekonana, że mąż naprawdę wierzy w te plotki. Czuła się z tym okropnie.

Jednak to, co Jack powiedział o Elliocie, było niczym w porównaniu z tym, co powiedział wkrótce potem o Billu. Ktoś mu doniósł, że widział ich razem na lunchu w Bombay Club.

- Ach, to dlatego wymyślałaś te głupoty o mnie i Annabel's! Co to miało być, zasłona dymna? Pieprzyłaś się już z tym starym piernikiem, Mad? Jeśli tak, to współczuję. Możliwe, że już tylko na to cię stać...

- Jesteś obrzydliwy! - rzuciła wściekle. Obrażliwe było i samo posądzenie, i sposób, w jaki mówił o Billu. Nie było w nim nic starczego. Był błyskotliwy, dowcipny, uczciwy, dobry... A przy tym szalenie przystojny! Zabawne, że choć był starszy od niej o dwadzieścia sześć lat, nigdy o tym nie pamiętała, kiedy byli razem.

Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, gdy Jack wypytał za jej

plecami jedną z recepcjonistek i ta wygadała się, że Bill telefonuje do Maddy. Podszedł ją i powiedziała, że Bill dzwoni niemal codziennie. W pięć minut później Jack był już w pokoju Mad.

- Ty mała kurwo! W co ty ze mną grasz? Kiedy to się zaczęło? Na tej cholernej rzewnej komisji, tak? Tylko nie zapominaj, że ten skurwysyn doprowadził do śmierci własnej żony... Uważaj, bo może i tobie wyświadczyć tę przysługę!

- Jak możesz tak mówić? - oczy Maddy wypełniły się łzami. Nie wiedziała, jak się bronić. Nie było sposobu, żeby udowodnić, iż nie spała z Billem Alexandrem... - Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Nigdy cienie oszukiwałam, Jack. - Oczami błagała go, by uwierzył. Zamiast znienawidzić go za to, co powiedział, czuła się zdruzgotana.

- Powiedz to komu innemu, może ci uwierzy. Ja, niestety, wiem swoje. Zapomniałaś już, jak okłamałaś mnie w sprawie swojego dziecka?

- To co innego - szlochając, usiadła przy biurku, a Jack uderzał w nią słowami jak pięściami.

- Nie, to nie jest co innego. Nie wierzę od tej pory ani jednemu twojemu słowu, bo niby dlaczego miałbym wierzyć? Mam powody ci nie ufać. Twoja tak zwana córka to żywy dowód, że na to nie zasługujesz, o ile ci potrzebne przypomnienie.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi, Jack - powtórzyła, ale on nie słuchał. Trzasnęła drzwiami tak, że mało szyby nie wyleciały, i poszedł.

Maddy siedziała przy biurku, drżąc od stóp do głów. Wciąż była we łzach, gdy pół godziny później zadzwonił Bill. Powiedziała mu, co zaszło.

- Chyba nie powinieneś więcej do mnie dzwonić. On myśli, że mamy romans. - Nie mogli też, oczywiście, chodzić razem na lunch... Czuła się tak, jakby została jej odebrana jedyna życiowa podpora, ale nie miała wyboru, a w każdym razie tak to widziała.

- Ja będę do ciebie dzwonić. Tak będzie prościej - powiedziała przygnębiona.

- On nie ma prawa mówić do ciebie w ten sposób - Bill czuł się znieważony. A przecież przekazała mu wszystko w wersji złagodzonej. Gdyby naprawdę słyszał, co mówił Jack, wyszedłby z siebie. - Tak mi przykro, Maddy...

- Nie, wszystko w porządku. To moja wina. Zarzucałam mu, że

spotykał się z kimś w Londynie, i to go rozwścieczyło.

- Przecież widziałas zdjęcie, na litość boską To nie były bezpodstawne podejrzenia... - Był przekonany, że Jack ją okłamał. - Jak długo zamierzasz to znosić, Maddy? - Zadał jej w końcu bezlitosne pytanie. - Ten facet traktuje cię jak śmieć. Nie widzisz tego?

- Widzę... Ale on ma też trochę racji, Bill. Okłamałam go w sprawie Lizzie. Okłamuję go nawet w związku z tobą... Ja też bym nie chciała żeby codziennie rozmawiał z inną kobietą.

- Chcesz, żebyśmy skończyli tę rozmowę? - spytał Bill w panice, ale uspokoiła go pośpiesznie.

- Nie, nie... Ale rozumiem, co czuje Jack.

- A ja myślę, że nie masz najmniejszego pojęcia, co on czuje, jeśli w ogóle coś czuje. Moim zdaniem to manipulator, który doskonale wie, jak pogrążyć, żeby wpędzić cię w poczucie winy. To on powinien czuć się winny, a nie ty, to on powinien się tłumaczyć!

Bill był zdesperowany. W końcu ustalili, że Maddy będzie codziennie do niego dzwonić i że na razie muszą zrezygnować ze wspólnych wyjść, najwyżej czasem się spotkać na lunchu u niego w domu. Maddy czuła, że to też nieuczciwe, ale wyglądało na to, że lepiej się nie pokazywać publicznie, a zrezygnować z kontaktów żadne z nich nie chciało. Musiała mieć choćby jednego przyjaciela poza Lizzie... Bill był dla niej wszystkim.

Przez kilka dni w domu panowała napięta atmosfera. I wreszcie traf chciał, że poszli z Jackiem na przyjęcie do pewnego kongresmana i zastali tam Billa, który zapomniał powiedzieć Maddy, że się do niego wybiera. Gospodarz przyjęcia był jego uniwersyteckim kolegą.

Jack zareagował natychmiast, gdy tylko Bill wszedł. Nachylił się nad Maddy i ścisnął jej ramię tak, że było białe, kiedy ją wreszcie puścił. Przekaz był jednoznaczny.

- Jeśli odważysz się z nim rozmawiać, zaraz znajdziesz się za drzwiami. Wyciągnę cię własnoręcznie - powiedział jej szeptem wprost do ucha.

- Rozumiem - odszepnęła. Unikała spojrzenia Billa, żeby przekazać mu w ten sposób, że nie może z nim rozmawiać. Kiedy był w pobliżu, podchodziła do Jacka, nie chcąc mu dać cienia powodu do podejrzeń. Była błada, zdenerwowana... Przez cały wieczór czuła się niezręcznie.

Kiedy w jakimś momencie Jack poszedł do toalety, popatrzyła błagalnym wzrokiem na Billa. Odpowiedział jej spojrzeniem pełnym troski. Dostrzegł napięcie w jej twarzy.

- Nie mogę z tobą rozmawiać... jest wściekły...

- Jak się czujesz? - spytał, chory ze zmartwienia o nią. Zauważył wcześniej, co zaszło, i świadomie unikał z nią kontaktu.

- Dobrze - szepnęła i odwróciła się, ale właśnie wrócił Jack i natychmiast zorientował się, co zaszło. Podszedł do niej zdecydowanym krokiem i powiedział przez zaciśnięte zęby tonem, który ją przeraził:

- Idziemy. Bierz płaszcz.

Pożegnała się z gospodynią i w parę minut później wyszli. Opuścili przyjęcie jako pierwsi, ale było już po kolacji, tak że nie wzbudziło to żadnych komentarzy; Jack wyjaśnił, że jutro oboje są umówieni wcześniej na spotkania. Tylko Bill odprowadził ich spojrzeniem pełnym troski. Wiedział, że nie będzie mógł zadzwonić, żeby się dowiedzieć, co z Maddy.

Jack już w samochodzie zaczął ją chłostać słowami. Miała ochotę wyskoczyć w biegu i uciec.

- Głupka ze mnie robisz, do cholery? Powiedziałem ci, że masz z nim nie rozmawiać! Widziałem, jak na niego patrzysz... Powinnaś była od razu ściągnąć spódnice i majtki!

- Jack, błagam... jesteśmy tylko przyjaciółmi, to wszystko. Mówiłam ci. On jest w żałobie po śmierci żony, ja mam męża. Pracujemy razem w komisji. To wszystko - mówiła najspokojniej jak mogła, żeby go bardziej nie prowokować, ale na próżno. Jack wpadł w szal.

- Kłamiesz, ty dziwko! Dobrze wiesz, co razem robicie, i ja też wiem. I cały pieprzony Waszyngton też pewnie wie... W jakim mnie to świetle stawia? Wychodzę na głupka! Nie jestem ślepy, Maddy, nie myśl sobie. Zatlukę cię, do jasnej cholery... Nie, to po prostu nie do wiary!

Nie powiedziała już ani słowa. W domu Jack trząsał drzwiami, ale jej nie tknął. Całą noc leżała zdrtwiała ze strachu, lecz nic jej nie zrobił. Rano, kiedy nalewała mu kawę, ostrzegł ją tylko lodowatym tonem:

- Jeśli jeszcze raz spróbujesz z nim rozmawiać, znajdziesz się na ulicy, tam, gdzie twoje miejsce. Zrozumiałś?

Przerażona, w milczeniu skinęła głową, przelękając łzy.

- I nie wyobrażaj sobie, że tak łatwo pogodzę się z tym, co mi wczoraj

zrobiłaś. Upokorzyłaś mnie. Cały wieczór nie spuszczałaś z niego oka, jak napalona dziwka...

Chciała się z nim spierać, bronić się jakoś, ale się nie ośmieliła. Skinęła tylko głową i w milczeniu pojechali do pracy. Jediną rozsądną rzeczą w tej sytuacji było zadzwonić do Billa i powiedzieć, że nie może nigdy więcej z nim rozmawiać ani się z nim spotykać. Zdawała sobie sprawę, że powinna to zrobić, ale Bill był jej liną ratunkową, cieniutką nicią pomiędzy nią a otchłanią, w którą w każdej chwili mogła się stoczyć. Nie wiedziała, o co tu chodzi, ale czuła, że wiąże ją z nim jakaś specjalna więź i choćby Jack najbardziej ją straszył, nie zrezygnuje z kontaktu z nim, bez względu na ryzyko, bez względu na koszty. Zdawała sobie sprawę, że to niebezpieczne, ale chociaż powtarzała to sobie surowo i dobitnie, wiedziała jedno: nie może tego teraz zakończyć.

RS



## Rozdział siedemnasty

Maddy wciąż była w niełasce u Jacka. Codziennie bardzo ostrożnie dzwoniła do Billa z pracy. Właśnie rozmawiała z nim pewnego popołudnia, gdy ze studia wiadomości dobiegł krzyk. Przez chwilę nasłuchiwała, co to za zamieszanie za drzwiami.

- Chyba coś się stało - powiedziała do Billa. - Zadzwonię później.

Odłożyła słuchawkę i wybiegła z pokoju. Wszyscy tłoczyli się wokół monitora. W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, na co właściwie patrzą, ale ktoś się przesunął, tak że zobaczyła obraz i usłyszała biuletyn specjalny, który nadawano, przerwawszy wszystkie programy we wszystkich sieciach. Prezydent Armstrong został postrzelony. Był w stanie krytycznym i helikopterem przewożono go do Szpitala Marynarki Wojennej Bethesda.

- O Boże - wyszeptała. W głowie miała jedno: Phyllis Armstrong.

- Leć po płaszcz! - krzyknął do niej szef produkcji. - Na National czeka na ciebie helikopter! - Kamerzysta stał już obok, ktoś podał jej płaszcz i torebkę i nie zamieniając z nikim słowa, pobiegła prosto do windy. Komunikat mówił, że Pierwsza Dama jest z nim... Wsiadła do czekającego na nią samochodu i natychmiast zadzwoniła z komórki z powrotem do biura. Odebrał producent.

- Jak to się stało? - spytała szybko.

- Na razie nie wiadomo. Jakiś facet po prostu wyszedł z tłumu i strzelił do niego. Człowiek z Secret Service też jest ranny, ale trupów na razie nie ma.

Na razie... No właśnie.

- Wygrzebie się z tego? - Przymknęła oczy i słuchała.

- Też na razie nie wiemy. Nie wygląda to dobrze. Pokazują teraz miejsce zdarzenia, wszędzie jest pełno krwi... Przed chwilą dawali to w zwolnionym tempie. Ścisnął ręce jakimś całkiem nieszkodliwie wyglądającym ludziom, i nagle jakiś facet wyglądający jak dobry tatuś po prostu strzelił. Złapali go. Jest w areszcie, ale nie podali jeszcze jego nazwiska.

- Cholera.

- Jesteśmy w kontakcie. Złap, kogo się da. Lekarzy, pielęgniarki, Secret Service. Pierwszą Damę, jeśli cię do niej dopuszczą. - Wiedział,

że Maddy znają osobiście, a w tym biznesie żadna więź nie była święta. Oczekiwali od niej, iż wykorzysta każdą możliwość, choćby miała przekroczyć granice taktu. - Wysyłamy za tobą nowy zespół, jakbyś potrzebowała chwili przerwy. Ale na razie działaj.

- Wiem. Wiem.

- Komórkę miej włączoną, na wypadek gdybyśmy musieli się z tobą skontaktować.

- Będę miała.

Włączyła radio, ale przez kolejne pięć minut leciało w kółko to samo. po sekundzie wahania zadzwoniła do Billa.

- Nie mogę długo rozmawiać - powiedziała szybko. - Muszę mieć wolną linię. Słyszałeś już?

- Tak, w radiu. Boże, trudno uwierzyć...

- Jadę teraz do szpitala Bethesda. Zadzwońię do ciebie.

- Bądź ostrożna - powiedział, choć to było niepotrzebne. Nie groziło jej przecież żadne niebezpieczeństwo... Odłożył słuchawkę, stanął w oknie i patrzył niewiążącym wzrokiem na ogród, myśląc o niej.

Przez następne pięć godzin życie Maddy było jednym szaleństwem. Na terenie szpitala wydzielono dla mediów odgradzoną linami przestrzeń; na zewnątrz ustawiono dla nich rząd automatów z kawą. Co pół godziny wychodził do nich rzecznik prasowy prezydenta. Wszyscy usiłowali dopaść kogo się dało z personelu szpitalnego, ale na razie nie było żadnych wiadomości.

Prezydent od południa był na sali operacyjnej. Dochodziła siódma, a operacja jeszcze trwała. Kula przebiła płuco, uszkodziła nerkę i śledzionę. Jakimś cudem serce pozostało nietknięte, ale miał miejsce rozległy krwotok wewnętrzny. Pierwszej Damy nikt nie widział. Czekąca, oglądając operację na szpitalnym monitorze. Nie było nic do powiedzenia -trzeba było czekać, aż prezydent wyjedzie z sali operacyjnej i lekarze ocenią jego stan. Szacowano, że może to potrwać do północy.

W holu koczowała ponad setka fotoreporterów. Siedzieli na kanapach, na krzesłach, na swoich torbach ze sprzętem... Niektórzy leżeli po kątach na podłodze. Wszędzie stały plastikowe kubki i pojemniki zjedzeniem. Spora grupka stała na zewnątrz przy drzwiach wejściowych i paliła. Jak w strefie przyfrontowej.

Maddy i jej kamerzysta ulokowali się w kącie i rozmawiali cicho z paroma znajomymi dziennikarzami z innych sieci telewizyjnych i najważniejszych dzienników.

Nadała kawałek do serwisu o piątej, stojąc przed szpitalem, a o siódmej nakręcono ją w holu, w miejscu przeznaczonym dla mediów. Elliot Noble był w studiu sam i kontaktował się z nią regularnie. O jedenastej przekazała kolejny kawałek, ale nie było nic nowego do powiedzenia, wyłącznie rzeczy znane. Lekarze otaczający prezydenta wyrażali ostrożną nadzieję.

Była już prawie północ, kiedy zadzwonił do niej na komórkę Jack.

- Nie możesz zdobyć czegoś ciekawszego, Mad? Wszyscy w kółko dajemy te same nudy, na litość boską. Próbowełaś się zobaczyć z Pierwszą Damą?

- Jack, ona czeka w sali pooperacyjnej. Nikt nie ma do niej dostępu poza ochroną i personelem.

- To włóż biały fartuch, na litość boską!

- Nie sądzą, żeby ktokolwiek wiedział więcej niż my. Na razie wszystko w rękach Boga...

Nie było nawet jak się dowiedzieć, czy prezydent przeżyje. Nie był młody, a w przeszłości raz już do niego strzelano... Co prawda, wtedy kula tylko go drasnęła.

- Zakładam, że zostaniesz na noc - powiedział Jack ostrym tonem. Zabrzmiało to raczej jak polecenie niż pytanie, ale Maddy i tak miała zamiar zostać.

- Chcę być na miejscu. A nuż coś się zdarzy... Ma być konferencja prasowa jak wyjdzie z sali operacyjnej. Obiecali nam dać jednego z chirurgów.

- Dzwoni, jakby zaszło coś ważnego. Jadę teraz do domu. - Wciąż jeszcze był w pracy, jak większość zespołu. Ten dzień nie miał końca. Wyglądało na to, że noc będzie tak samo długa. Ale najbliższe dni będą jeszcze gorsze, jeśli prezydent nie wyzdrowieje... Ze względu na panią Armstrong Maddy miała nadzieję, że zdoła się wygrzebać. Można się było tylko modlić. Wszystko było w rękach siły wyższej i chirurgów.

Po telefonie Jacka Maddy przysiadła i wysączyła kolejny kubek kawy. Wypiła już hektolitry, a nie jadła prawie nic. Zanadto była przejęta.

W chwilę później zadzwoniła do Billa. Przebrzmiało parę sygnałów,

ale nie odpowiadał. Wreszcie odebrał. Na szczęście nie miał zaspanego głosu.

- Nie śpisz przypadkiem? - spytała mimo to z wahaniem. Natychmiast poznał ją po głosie i bardzo się ucieszył. Widział wszystkie jej transmisje ze szpitala i miał włączony telewizor, na wypadek, gdyby znowu się pojawiła.

- Przepraszam, byłem pod prysznicem. Miałem nadzieję, że zadzwonisz. No i jak tam?

- Na razie nic specjalnego się nie dzieje - powiedziała. Była zmęczona, ale szczęśliwa, że go słyszy. - Po prostu siedzimy i czekamy. Niedługo powinien wyjechać z sali operacyjnej. Wciąż myślę o Phyllis...

Wiedziała, jak bardzo pani Armstrong kocha męża. Wiedzieli to wszyscy członkowie komisji... Nie ukrywała tego. Byli małżeństwem od pięćdziesięciu lat i Maddy nie mogła znieść myśli, że miałoby się to dla nich tak skończyć.

- Chyba nie udało ci się jej złapać? - spytał Bill. Nie widział dotąd pierwszej Damy na żadnym kanale.

- Jest na górze. Chciałabym, już nawet nie dla nas, ale żeby jej powiedzieć, że o niej myślimy...

- Na pewno o tym wie. Boże, że też zdarzają się takie rzeczy... Tyle ochrony, a jednak od czasu do czasu musi się stać coś takiego. Widziałem oryginalną taśmę w zwolnionym tempie. Facet po prostu podszedł i wygarnął ze spluwy. A co z tym człowiekiem z ochrony?

- Operowali go po południu. Powiedziano, że jego stan jest poważny, ale stabilny. Miał szczęście.

- Mam nadzieję, że i Jim będzie je miał - powiedział Bill z przejęciem.

- No a ty? Musisz być wykończona.

- Zaczynam być. Stoimy tu całe popołudnie i wieczór i czekamy... Obojgu przypomniał się John Kennedy i Dallas. Jej nie było jeszcze wtedy na świecie, ale widziała całą dokumentację fotograficzną wypadku. Bill był studentem.

- Może przywieźć ci coś do jedzenia? - spytał z troską. Uśmiechnęła się.

- Jest tu chyba ze dwa tysiące paczków i całe fastfoodowe żarcie, jakie istnieje w Waszyngtonie. Ale dzięki za propozycję.

W tym momencie spostrzegła grupę lekarzy podchodzących do

mikrofonu. Musiała kończyć.

- Zadzwoń, jakby coś się zdarzyło. Nie przejmuj się, że mnie obudzisz. W razie czego jestem do twojej dyspozycji.

A Jack wyłącznie narzekał, że przekaz jest nudny...

Jeden z lekarzy, w czepku chirurgicznym, papierowych ochronnych kapciach na butach i zielonym chirurgicznym stroju, wszedł na ustawione w holu podium. Natychmiast otoczył go tłum dziennikarzy.

- Nie mamy nic szczególnie dramatycznego do przekazania - powiedział z powagą. Wszystkie kamery wycelowane były w niego. - Mamy jednak wszelkie podstawy do optymizmu. Prezydent jest zdrowym, silnym mężczyzną i z punktu widzenia chirurgii operacja się udała. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Przez całą noc będziemy państwa na bieżąco informować o stanie pacjenta. W tej chwili jest jeszcze w narkozie, ale kiedy wychodziłem, zaczynał odzyskiwać świadomość. Pani Armstrong - uśmiechnął się ze znużeniem - prosiła mnie, żebym wszystkim podziękował. Powiedziała, że jej bardzo przykro, że musicie tu nocować i wolałaby, byście nie musieli. To tyle na razie - zakończył i zszedł z podium.

Już wcześniej im powiedziano, że nie będzie żadnych pytań. Lekarz przekazał wszystko, co wiedział zespół operacyjny. Reszta była w rękach Boga.

Niemal natychmiast po odejściu lekarza zadzwoniła komórka Maddy. To był Jack.

- Zrób z nim wywiad.

- Nie mogę, Jack. Powiedziano nam już, że nie będą udzielać wywiadów. Człowiek spędził przy stole operacyjnym dwanaście godzin i powiedział nam wszystko, co sami wiedzą.

- Gówno prawda. Wciskają wam kit. Z tego, co wiemy, on jest w stanie śmierci mózgowej.

- Więc co twoim zdaniem mam zrobić? Wpełznąć do pokoju Armstronga przez otwór wentylacyjny?

Była zmęczona i denerwowały ją te nierozsądne wymagania. Wszyscy jechali na tym samym wózku... Musieli czekać na kolejne oświadczenia, a napastowanie chirurgów na nic by się nie zdało.

- Nie wymądrzaj się, Mad - powiedział Jack poirytowanym tonem. - Chcesz, żeby ludzie zasnęli przy twoim programie?

A może pracujesz dla innej sieci?

- Przecież wiesz, jak jest... Wszyscy dostajemy ten sam materiał.

- Właśnie o tym mówię. Postaraj się o coś innego. - I odłożył słuchawkę, nie mówiąc nawet „cześć”. Dziennikarz z konkurencyjnej telewizji uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem i wzruszył ramionami.

- To samo słyszę od mojego szefa. Jak są tacy mądrzy, to czemu sami tu nie przyjdą i nie wezmą się za robotę?

- Muszę to zapamiętać i mu podpowiedzieć - Maddy również uśmiechnęła się do niego. Usadowiła się w fotelu i przykryła płaszczem. Trzeba było czekać na kolejne oświadczenie.

Lekarze pojawili się znowu o trzeciej nad ranem. Wiadomości wciąż były takie same: stan prezydenta nadal jest krytyczny. Odzyskał świadomość. Jest przy nim żona.

Długa była ta noc. O piątej przekazano kolejne oficjalne oświadczenie, ale nie było w nim żadnych nowych informacji.

Przed siódmą Maddy była już na nogach i piła kawę. Miała za sobą łącznie ze trzy godziny snu z licznymi przerwami. Przeleżała je zwinięta w kłębek na fotelu w niewygodnej pozycji i cała była sztywna. Jak po nocy spędzonej na lotnisku podczas burzy śnieżnej.

Ale o siódmej wiadomości były lepsze. Powiedziano, że prezydent odczuwa wprawdzie ból, lecz uśmiechnął się do żony i przekazał podziękowania dla całego narodu. Chirurdzy są z niego zadowoleni i są podstawy, by wierzyć, że pacjent z tego wyjdzie, o ile nie będzie komplikacji.

W pół godziny później Biały Dom ujawnił tożsamość człowieka, który strzelał. Mówiono o nim jako o „podejrzanym o dokonanie zamachu”, mimo że połowa kraju widziała już zdjęcia, które wskazywały jednoznacznie, kto strzelał do prezydenta. CIA było zdania, że nie jest on uczestnikiem spisku. Syn podejrzanego zginął tego lata w Iraku i zamachowiec o jego śmierć obwiniał prezydenta. Dotychczas nie notowany, żadnych zaburzeń umysłowych, stracił swoje jedyne dziecko na wojnie, której nie rozumiał i która go nie obchodziła i od tego czasu był w depresji. Aresztowano go i pozostawał pod ścisłą obserwacją. Reszta rodziny była w szoku. Żona dostała ataku hysterii. Jej mąż był szanowanym członkiem społeczności i miał dość dobrą pozycję zawodową jako księgowy.

Maddy myślała o tym ze smutkiem. Przez jednego z rzeczników prasowych przesłała Phyllis Armstrong krótką notkę, tylko żeby dać jej znać, że jest tutaj i modli się za nią. Była zdumiona i wzruszona, gdy w parę godzin później otrzymała odpowiedź. Zawierała tylko parę słów: „Dziękuję, Maddy. Dzięki Bogu ma się lepiej. Pozdrawiam. Phyllis.”.

W południe znowu weszła na wizję z najnowszymi wiadomościami: prezydent odpoczywa, otoczony opieką, i choć jego stan nadal jest krytyczny, lekarze mają nadzieję, że wkrótce niebezpieczeństwo minie.

- Jak mi nie dasz zaraz czegoś ciekawszego - powiedział Jack, kiedy zadzwonił bezpośrednio po programie - wysyłam Elliota, żeby cię zastąpił.

- Jeśli zdoła wydostać coś innego niż my wszyscy, to wysyłam - powiedziała znużonym tonem. Była zbyt wyczerpana, żeby się przejmować pogroźkami czy oskarżeniami Jacka.

- Jesteś nudna jak flaki z olejem.

- Mogę mieć tylko to, co nam dają, Jack. Nikt inny nie zorganizował nic lepszego.

Mimo to Jack nadal dzwonił co jakiś czas, niezadowolony z jej materiału. O pierwszej z ulgą usłyszała w telefonie głos Billa.

- Kiedy ostatni raz jadłaś? - spytał z autentyczną troską.

- Nie pamiętam - uśmiechnęła się. - Taka jestem zmęczona, że nie chce mi się jeść.

Nie zaproponował jej, że przyjedzie. Po prostu po dwudziestu minutach wparował do holu z klubową kanapką, owocami i zapasem napojów. Wyglądał jak wolontariusz Czerwonego Krzyża. Przebrnął przez tłum koczujących reporterów, odnalazł ją, siłą posadził na krześle i zmusił do jedzenia. Sam stał obok i patrzył.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś - uśmiechnęła się do niego szeroko. - Nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem głodna. Dzięki, Bill.

- Przynajmniej czuję się potrzebny.

Zdumiony był, że tyle tu ludzi. Dziennikarze, kamerzyści, operatorzy dźwięku, kierownicy produkcji... Tłum mrowił się w szpitalnym holu, wylewał na ulicę, gdzie parkowały jak popadło wozy transmisyjne. Wyglądało to jak teren dotknięty klęską żywiołową i tak właściwie było.

Bill z satysfakcją patrzył, jak Maddy pochłania całą kanapkę.

- Jak długo masz zamiar tu zostać?

- Dopóki sprawa się nie wyjaśni albo dopóki nie padnę. Zobaczmy, co będzie najpierw... Jack grozi, że przyśle Elliota, żeby mnie zastąpił, bo moje materiały są nudne, ale naprawdę niewiele mogę zrobić.

W tej chwili na podium znowu wszedł rzecznik prasowy. Wszyscy zerwali się na nogi i rzucili naprzód.

Tym razem powiedziano, że zanosi się na długi, powolny proces polepszania się stanu pacjenta. Rzecznik prasowy zasugerował, żeby ci dziennikarze, którzy chcieliby pójść do domu i przysłać na swoje miejsce kolegów, zrobili to. Organizm prezydenta zdołał pokonać kryzys. Komplikacji nie ma i wszystko świadczy o tym, że można oczekiwać dalszej poprawy.

- Czy możemy go zobaczyć? - krzyknął ktoś.

- Nie wcześniej niż za kilka dni - odparł rzecznik.

- A co z panią Armstrong? Czy możemy z nią porozmawiać?

- Na razie nie. Pani Armstrong nie opuszcza ani na chwilę łóżka męża i zamierza zostać w szpitalu, dopóki prezydent nie wyzdrowieje. W tej chwili śpi, on również. Być może państwo też powinni się przespać. - Rzecznik uśmiechnął się po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin. Zanim odszedł, obiecał, że za parę godzin pojawi się znowu.

Maddy wyłączyła mikrofon i spojrzała na Billa. Była tak zmęczoną że ledwie patrzyła na oczy.

- Co masz zamiar teraz robić? - spytał.

- Dałabym sobie uciąć prawą rękę, żeby móc pojechać do domu i wziąć prysznic, ale gdybym stąd poszła Jack chyba by mnie zabił.

- Nie może przysłać kogoś, kto by cię zastąpił?

- Może, ale chyba tego nie robi. W każdym razie nie w tej chwili. .. Jack chce, żebym tu była. Ale ja tu nie robię nic, czego nie mógłby zrobić ktoś inny! Słyszałaś, co nam dają... Wszystko spreparowane i opakowane. Mówią tylko to, co chcą żebyśmy wiedzieli, ale jeśli to prawda, to prezydent ma się nieźle...

- Nie wierzysz im? - spytał Bill, zaskoczony jej sceptycyzmem. No, ale w końcu знаła się na swojej robocie i do niej należało wyłapywanie wszelkich niespójności w tym, co mówili. Była w tym dobra i właśnie dlatego Jack chciał, żeby tu siedziała.

- Wierzę - odparła z powagą. - Ale nie można całkiem wykluczyć i tego, że on już nie żyje. - Straszne było to mówić, ale naprawdę istniała



taka możliwość. - Nie sędzę, żeby kłamali w podobnych sprawach, no, chyba że to konieczne ze względu na bezpieczeństwo kraju. Myślę, że w tym wypadku są uczciwi... Przynajmniej mam nadzieję, że są.

- Ja też - powiedział Bill żarliwie.

Został z nią jeszcze pół godziny. O trzeciej Jack w końcu ją odwołał. Kazał jej pojechać do domu i przebrać się, a przed piątą znowu być w studiu. Wiedziała, że z trudem zdąży, a już na drzemkę na pewno nie starczy czasu. A Jack już zapowiedział, że po serwisie o siódmej trzydzieści ma wracać do szpitala... Będzie mogła się przespać tylko na szpitalnym wózku. Kiedy, przebrana w granatowy kostium, szła do czesania i makijażu, niemal się śłaniała. Elliot Noble, który był już w charakteryzatorni, popatrzył na nią z podziwem.

- Nie rozumiem, jak to wytrzymujesz, Maddy. Jakbym ja był w szpitalu przez dwadzieścia siedem godzin, wynieśliby mnie na noszach. Świetnie się spisałaś.

Aczkolwiek niezgodnie z oczekiwaniami męża... Zrobił jednak na niej wrażenie ten komplement. Zasłużyła na niego.

- Chyba po prostu jestem przyzwyczajona. Robię to od tak dawna... Klimat zrobił się nieco bardziej koleżeński. Maddy poczuła, że trochę lubi Elliota. Przynajmniej raz był wobec niej szczerzy.

- Jak myślisz, jak naprawdę jest z prezydentem? - spytał ściszym głosem.

- Przypuszczam, że tym razem mówią nam prawdę...

Z pomocą Elliota udało się jej jakoś przebrnąć przez serwis o piątej i o siódmej trzydzieści. Piętnaście po ósmej była z powrotem w szpitalu, zgodnie z życzeniem Jacka. Między jednymi a drugimi wiadomościami wstąpił do niej, świeży i wypoczęty, i przekazał kolejną porcję krytycznych uwag, poleceń i wskazówek. Nawet nie spytał, czy jest zmęczona. Nie dbał o to. Skoro miał miejsce kryzys, to jej rolą było dostarczanie wiadomości. Nigdy dotąd go nie zawiodła.

W szpitalu okazało się, że jest jednym z niewielu weteranów, którzy byli tu również poprzedniej nocy. Większość stacji wymieniła swoje zespoły w całości. Ona też miała nowego kamerzystę i operatora dźwięku... Stał się jednak cud: ktoś zlitował się nad nią i przyciągnął jej do holu wózek szpitalny, by mogła się przespać między kolejnymi konferencjami prasowymi.

Kiedy powiedziała o tym przez telefon Billowi, nalegał, by z niego skorzystała.

- Padniesz, jeśli się choć trochę nie zdrzemniesz. A kolację jadłaś?

- Tak. W biurze.

- Mam nadzieję, że coś pożywnego? Uśmiechnęła się. Musiał się wiele nauczyć ojej pracy.

- Istotnie, to była zdrowa żywność... Pizza i pączki. Standardowe pożywienie dziennikarzy. Miałabym objawy odstawienia od piersi, gdybym któregoś dnia tego nie zjadła... Normalnie jadam tylko na przyjęciach.

- Chcesz, żebym ci coś przyniósł? - spytał z nadzieją w głosie, ale Maddy była za bardzo zmęczona.

- Chyba się walnę zaraz na wózek i spróbuję przespać parę godzin. Ale dzięki. Zadzwoń rano, chyba że zdarzy się coś ważnego.

Nic się jednak nie zdarzyło. Noc minęła spokojnie. Rano pojechała do domu, żeby się wykąpać i przebrać.

Spędziła w szpitalu jeszcze pięć dni i w końcu udało jej się zobaczyć z Phyllis, ale nie żeby zrobić z nią wywiad. Pani Armstrong sama po nią poszła i porozmawiały chwilę, otoczone przez ochronę, na korytarzu obok pokoju, w którym leżał prezydent. Pilnowano go bardzo starannie. Napastnik był wprawdzie w areszcie, ale nie można było ryzykować. Ochrona musiała czuć się winna, że nie zdołała powstrzymać zamachowca.

- Jak się pani trzyma? - spytała Maddy z troską. W białym szpitalnym fartuchu zarzuconym na jakiś sweter i spodnie, Phyllis Armstrong wyglądała na sto lat, ale na pytanie Maddy odpowiedziała uśmiechem.

- Przypuszczalnie lepiej niż pani. Dbają tu o nas wspaniale... Biedny Jim bardzo cierpi, ale czuje się już znacznie lepiej. W naszym wieku to trochę trudne przeżycie...

- To straszne, co się wydarzyło - powiedziała Maddy ze współczuciem. - Martwiłam się o panią przez cały tydzień. Wszyscy troszczą się o prezydenta, ale nie wiedziałam, jak pani to znosi.

- No, to był szok, mówiąc łagodnie... Ale jakoś przez to przeszliśmy. Mam nadzieję, że już niedługo będzie pani mogła pójść do domu.

- Wieczorem się stąd zabieram.

Rzecznik prasowy powiedział już wcześniej, że prezydent wyszedł ze

stanu krytycznego. Wszystkich w holu ucieszyła ta wiadomość. Niektórzy popłakali się ze wzruszenia i ulgi. Tylko Maddy była na posterunku od samego początku. Podziwiano ją za to.

Kiedy przysła wieczorem do domu, Jack oglądał konkurencyjny kanał. Spojrzał na nią, ale nie wstał z kanapy i nie przywitał się. Ani śladu wdzięczności za to wszystko, co dla niego zrobiła w ciągu ostatnich pięciu dni... I nie wspomniał, że mieli w tym tygodniu najwyższą oglądalność ze wszystkich sieci. Słyszała o tym od kierownika produkcji. A przecież zdołała nawet przygotować materiał o ludziach, których trzeba było przenieść do innych szpitali, żeby zwolnić piętro dla prezydenta, opiekujących się nim pielęgniarek i ochrony. Żaden pacjent nie skarżył się na tę przymusową przeprowadzkę, przeciwnie, cieszyli się, że mogą coś dla niego zrobić. Wśród chorych byli sami rekonwalescenci, tak że przenosiny im nie zaszkodziły. W dodatku powiedziano im, że do jakiegokolwiek szpitala trafią, pobyt opłaci Biały Dom.

- Wyglądasz jak trup, Mad - powiedział tylko Jack, i była to prawda. Ale choć wyczerpana, umiała, gdy było trzeba, dobrze wyglądać na ekranie. Teraz rzeczywiście jej twarz była blada, a pod oczami miała głębokie sińce.

- Czemu tak się na mnie wściekałeś przez cały czas? - spytała. To prawda, w ciągu ostatnich paru miesięcy zrobiła parę rzeczy, które go zdenerwowały. Najpierw te komentarze, potem sprawa z Lizzie, wreszcie rozmowy z Billem... Ale prawdziwą zbrodnią było to, że zaczynała mu się wymykać spod kontroli. Przede wszystkim za to jej nienawidził. Dr Flowers uprzedzała ją, że tak będzie... Powiedziała, że Jack nie pogodzi się z tym bez walki, i miała rację. Bał się, że straci nad nią władzę. I nagle Maddy przypomniała sobie, co powiedziała jej parę miesięcy temu Janet McCutchins - że mąż jej nienawidzi. Wtedy jej nie uwierzyła, ale teraz już wiedziała, jak to jest. Jack jej nienawidził. Na to wskazywało jego zachowanie.

- Miałem powód, żeby się wściekać - powiedział chłodno. - Zdradziłaś mnie na wszelkie możliwe sposoby w ciągu ostatnich paru miesięcy. Masz szczęście, Mad, że cię dotąd nie wyrzuciłem.

„Dotąd”. To słówko miało ją zastraszyć, sprawiać wrażenie, że może to zrobić w każdej chwili. I mógł... Ale co innego budziło jej niepokój.

Tak trudno było mu się przeciwstawiać i ponosić tego konsekwencje... Czula jednak, że musi. Odnalezienie Lizzie i kontakt z Billem zmieniły ją. Jakby odnalazła siebie samą, nie tylko córkę. Było oczywiste, że Jackowi się to nie podoba. Kiedy znaleźli się w łóżku, nawet z nią nie rozmawiał. Rano także był lodowaty. W tych dniach był trudniejszy niż kiedykolwiek. Nieustannie ją krytykował, nigdy nie miał jej do powiedzenia nic przyjemnego. .. Nie przejmowała się jednak za bardzo. Bardzo jej pomagały rozmowy z Billem. A pewnego wieczoru, gdy Jack był poza domem, znowu poszła do Billa na kolację. Tym razem przyrządził steki, bo uważał, że Maddy wciąż zbyt ciężko pracuje i potrzebny jej prawdziwy posiłek. Lecz najlepszym posiłkiem była dla niej jego sympatia i troska.

Porozmawiali trochę o prezydencie. Był w szpitalu od dwóch tygodni i za parę dni miał wyjść. Maddy i paru innym wybrancom pozwolono na przeprowadzenie z nim krótkiej rozmowy. Schudł i wyglądał nie najlepiej, ale humor miał znakomity. Dziękował wszystkim za życzliwość i oddanie. Maddy rozmawiała też z Phyllis, która była tak samo wdzięczna i serdeczna.

To były nadzwyczajne dwa tygodnie. Maddy była zadowolona z materiału, który pokazali widzom, i nie przejmowała się specjalnie, że Jack nie okazywał zachwytu. Zasłużyła sobie za to na szacunek Elliota. Uważał ją za znakomitą dziennikarkę, jak i reszta zespołu.

Bill słuchał, siedząc naprzeciw niej przy kuchennym stole. W oczach miał ciepło i podziw.

- No, to za co się teraz weźmiesz, żeby się dalej tak dobrze bawić? - spytał. Nie co dzień w końcu strzela się do prezydenta... A w porównaniu z tym każdy inny temat mógł wydawać się mdły.

- Coś tam wymyślę. Na razie muszę znaleźć mieszkanie dla Lizzie. Mam na to miesiąc czasu.

- Może mógłbym poszukać razem z tobą? - Teraz, gdy skończył książkę, nie był tak zajęty. Był już po rozmowach w sprawie powrotu na uczelnię; oferowano mu stanowisko wykładowcy zarówno w Yale, jak i w Harvardzie. Maddy cieszyła się ze względu na niego, ale wiedziała, że wiele straci, gdy on wyjedzie z Waszyngtonu. Poza nim nie miała tu żadnych przyjaciół.

- To będzie dopiero we wrześniu - uspokoił ją. - Przedtem spróbuję

chyba przymierzyć się do następnej książki. Tym razem będzie to może jakaś fikcja...

Maddy była nim zafascynowana, ale równocześnie miała wrażenie, że nie radzi sobie z własnym życiem. Coraz wyraźniej do niej docierało, że Jack traktuje ją w sposób niedopuszczalny, choć na razie była w stanie tylko czekać. Bill jednak nie naciskał. Dr Flowers powiedziała, że Maddy zrobi coś z tym, jak będzie gotowa, że mogą minąć lata, zanim będzie ją stać na otwartą konfrontację, i niemal się już z tym pogodził, chociaż się o nią martwił. Ale przez te dwa tygodnie, kiedy relacjonowała stan prezydenta, była z dala od Jacka i nie miała czasu się nim przejmować, choć wiecznie na nią wrzeszczał przez komórkę. Bill zawsze poznawał po jej głosie, czy Jack dzwonił, czy nie. Zawsze ona była wszystkim winna...

- Co zamierzasz robić w Święto Dziękczynienia? - spytał, kiedy skończyli jeść.

- Nic specjalnego. Zwykle jedziemy do Wirginii i spędzamy je w spokoju. Żadne z nas nie ma rodziny... Czasem idziemy do sąsiadów. A ty, Bill?

- Co roku jeździmy do Vermont.

Maddy zdawała sobie sprawę, że tegoroczne Święto Dziękczynienia będzie dla niego trudne. Pierwsze bez żony... Bał się tego, to wynikało z rozmowy.

- Co do mnie, to bardzo bym chciała zaprosić Lizzie, ale to niemożliwe. Pojedzie do swoich ulubionych zastępczych rodziców. Wygląda na to, że jej to odpowiada. - Ale przykro jej było, że nie może spędzić razem z córką ich pierwszego święta. Nie miały jednak wyboru.

- A co z tobą? Dasz sobie jakoś radę? - spytał z troską.

- Myślę, że dam...

W gruncie rzeczy nie była tego taka pewna. Rozmawiała już z doktor Flowers, która błagała ją, żeby poszła na spotkanie grupy wsparcia dla ofiar przemocy, i Maddy obiecała, że pójdzie. Pierwsze spotkanie wypadło tuż po Święcie Dziękczynienia.

Na dzień przed wyjazdem spotkała się znowu z Billem. Oboje byli w niewesołym nastroju. On z powodu żony, ona - bo musiała wyjechać z Jackiem, a stosunki między nimi były napięte. Wciąż iskrzyło, jakby podłączono ich do linii wysokiego napięcia. Jack obserwował ją niczym

jastrząb. Nie ufał jej już. Ale nie przyłapał jej więcej na rozmowie z Billem. Bill dzwonił jedynie na komórkę. Zawsze czekał na jej telefon. Nie chciał jej wpędzać w jeszcze większe kłopoty.

Spotkali się u niego w domu. Bill zaparzył herbatę, Maddy przyniosła pudełko ciasteczek. Siedzieli w jego przytulnej kuchni i rozmawiali. Zrobiło się już zimno i Bill wspomniiał, że w Vermont spadł śnieg i ma zamiar pojechać z dziećmi i wnukami na nartach.

Siedziała tak długo, jak mogła, ale w końcu musiała wracać do pracy.

- Uważaj na siebie, Maddy - powiedział miękko, a jego oczy wyrażały to, czego nie mógł powiedzieć otwarcie. Oboje wiedzieli, że byłoby to niewłaściwe. Żadne nie zrobiło dotąd nic, czego by żałowało i co mogłoby zburzyć ich wzajemny szacunek. Cokolwiek odczuwali, pozostawało nie wypowiedziane i niewyjaśnione. Jedynie w rozmowie z doktor Flowers Maddy zadawała sobie samej pytanie, jakie są jej uczucia wobec Billa. Ich wzajemny stosunek był dość dziwny... Mimo to wiedziała, że dla obojga jest bardzo ważny. Byli jak dwoje rozbitków z zatopionego okrętu, którzy odnaleźli się na wzburzonych wodach.

Na pożegnanie objęła go mocno i przytuliła się. On otoczył ją ramionami jak ojciec dziecko. Ojciec, który kocha i chroni, nie żądając niczego w zamian.

- Będzie mi cię brakowało - powiedział po prostu. Wiedzieli, że nie będą mogli rozmawiać przez cały weekend. Jack mógłby się zorientować, gdyby Bill zadzwonił do niej na komórkę, a ona też nie odważy się do niego telefonować.

- Spróbuję zadzwonić, kiedy Jack pójdzie pojechać konno albo coś w tym rodzaju... Postaraj się nie smuć za bardzo - powiedziała z troską. Wiedziała, jak trudne będzie dla niego to święto bez Margaret. On jednak nie myślał w tej chwili o zmarłej żonie, tylko o niej.

- Na pewno nie będzie mi łatwo. Z drugiej strony, miło jest zobaczyć się z dziećmi...

Bezwiednie pocałował ją w czubek głowy. Stali objęci jeszcze przez jedną ostatnią minutę.

Rozstali się smutni. Oboje coś mieli, oboje coś utracili... Maddy, siedząc za kierownicą zanosila w duchu dziękczynną modlitwę, że przynajmniej mają siebie nawzajem. Tylko to mogła zrobić - dziękować Bogu za Billa.

## Rozdział osiemnasty

Świąteczny weekend w Wirginii był dla Maddy trudny i obfitował w napięcia. Jack niemal przez cały czas był w złym humorze, często zamykał się w gabinecie i prowadził jakieś sekretne rozmowy przez telefon. Tym razem nie mógł dzwonić do prezydenta, bo prezydent był rekonwalescentem, a wiceprezydent bawił na wsi i Jack nigdy z nim nie współpracował.

Pewnego razu, sądząc, że Jack gdzieś wyszedł, Maddy podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do Billa. Ku swemu zdumieniu usłyszała, że jej mąż rozmawia z jakąś kobietą. Szybko odłożyła słuchawkę, bo nie chciała podsłuchiwać, ale dało jej to do myślenia. Tak błyskawicznie i przekonująco wyjaśnił wtedy sprawę tamtego zdjęcia z Londynu - a jednak od tego czasu odsunął się jakoś od niej i kochali się rzadko... Z jednej strony była to ulga, z drugiej zagadka. Przez cały czas ich małżeństwa apetyt seksualny Jacka był nienasycony, a teraz zdawał się w ogóle nie interesować żoną chyba że ganił ją za coś albo oskarżał o jakieś zbrodnie.

W dniu Święta Dziękczynienia udało jej się zadzwonić do Lizzie, a następnego wieczoru, kiedy Jack poszedł do sąsiadów porozmawiać o koniach, również do Billa. Powiedział, że święta są okropne, ale narty wspaniałe, a to już coś. Przyrządził z dziećmi indyka. Maddy z Jackiem zjedli swojego w kamiennym milczeniu. Próbowwała porozmawiać z nim o napięciu, jakie zapanowało między nimi, ale ją odtrącił, mówiąc, że jej się wydaje. Ale Maddy była pewna, że jej się nie wydaje.

Nigdy dotąd nie czuła się tak nieszczęśliwa, jeśli nie liczyć czasów, kiedy znęcał się nad nią Bobby Joe. W pewnym sensie to nie różniło się od tamtego. Było jedynie bardziej zawołowane, ale tak samo raniło i wprawiało w taki sam duchowy zamęt.

Z ulgą wsiadała do samolotu, kiedy przyszła w końcu pora wracać. Ulga była tak czytelna, że Jack zapytał podejrzliwym tonem:

- Masz jakieś specjalne powody, że tak się cieszysz z powrotu do domu?

- Nie, po prostu pilno mi do pracy - odparła krótko. Nie miała ochoty z nim walczyć, ale jego najwyraźniej świerbiło, żeby wszcząć kłótnię.

- Czekają tam ktoś na ciebie w Waszyngtonie, Mad? - spytał jadowicie.

Maddy popatrzyła na niego z rozpaczą.

- Nikt na mnie nie czeka. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

- Nie jestem taki pewien, co właściwie o tobie wiem. Ale mógłbym się upewnić, gdybym chciał.

Nie odpowiedziała. Chyba najlepiej było milczeć.

Nazajutrz, tak jak obiecała doktor Flowers, poszła po pracy na spotkanie grupy dla ofiar przemocy. Tak naprawdę nie miała ochoty tam iść. Brzmiało to tak przygnębiająco... Jackowi powiedziała, że ma spotkanie w związku z pracą w komisji Pierwszej Damy. Nie miała pewności, czy uwierzył, ale tym razem nie drażył sprawy. Poza tym miał swoje własne plany; powiedział, że musi zobaczyć się z kimś w interesach.

Maddy była przygnębiona, kiedy dotarła pod adres, gdzie spotykała się grupa. Budynek był odrapany, okolica nieciekawa... Oczekiwała, że w środku na pewno zastanie pełno nieszczęsnych, jęczących istot. Nie, po prostu nie była w nastroju, żeby w tym uczestniczyć. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła kobiety w dżinsach, w kostiumach, młode i stare, niektóre atrakcyjne, inne nieciekawe... Pełny wybór, ale wszystkie sprawiały wrażenie inteligentnych i interesujących, a niektóre wręcz tryskały energią i humorem.

Weszła prowadząca spotkanie. Jej ciepłe spojrzenie spoczęło na Maddy.

- Zwracamy się do siebie po imieniu - wyjaśniła. - Jeśli ktoś kogoś rozpoznaje, nie rozmawiamy na ten temat. Nie mówimy sobie nawzajem dzień dobry, jeśli spotkamy się na ulicy. Nikomu nie opowiadamy o tym, co tu widziałyśmy i słyszałyśmy. To, co mówimy, nie wychodzi poza ten pokój. To ważne, żeby się tu czuć bezpiecznie.

Maddy skinęła głową

Usiadły na wytartych krzesłach i przedstawiły się, podając imiona. Wiele kobiet najwyraźniej już się znało z poprzednich spotkań. Zazwyczaj jest około dwudziestu uczestniczek, wyjaśniła prowadząca. Czasem mniej, czasem więcej... Spotykają się dwa razy w tygodniu, przy czym mogą przychodzić tak często, jak chcą. W kącie Maddy zaważyła dzbanek z kawą, a jakaś kobieta przyniosła ciasteczka.

Zacząły kolejno zabierać głos. Mówiły o tym, co robią, co wydarzyło się w ich życiu, czego się obawiają, co sprawiło im przykrość, co



radość... Jedne były sterroryzowane domową sytuacją, inne już odeszły od mężów, którzy się nad nimi znęcali, jedne były skrupowane, inne swobodne, jedne miały dzieci, inne nie - ale łączyło je to, że każda miała na koncie doświadczenie przemocy. Większość zaznała jej również w dzieciństwie, ale nie wszystkie. Niektóre zdawały się mieć idealnie uporządkowane życie, dopóki nie spotkały mężczyzny, który zaczął się nad nimi znęcać.

Maddy słuchała. Tak swobodnie nie czuła się od lat. To, co mówiły, było jej tak dobrze znane, tak prawdziwe, tak swojskie... Miała wrażenie, że zrzuciła z siebie żelazną zbroję i zaczerpnęła pełną piersią świeżego powietrza. Było tak, jakby wróciła do domu, a te kobiety były jej siostrami. Prawie wszystko, o czym mówiły, brzmiało jak opis jej związków nie tylko z Bobbym Joe, ale i z Jackiem w ostatnich latach. Słuchała ich i miała wrażenie, że słucha własnego głosu, że ktoś opowiada historię jej własnego życia. Teraz już nie miała żadnych wątpliwości, że to, co robił z nią Jack, to była przemoc, i to od dnia, kiedy się poznali. Władza, wdzięk, pogrożki, kontrolowanie, prezenty, obelgi, upokarzanie, ból - wszystko to było doskonale znane każdej z uczestniczek spotkania. Jack stanowił tak klasyczny portret sprawcy przemocy, że zdumiewało ją, iż wcześniej tego nie dostrzegła. Nawet kiedy parę miesięcy temu, na posiedzeniu komisji, doktor Flowers przedstawiła taki portret sprawcy, Maddy nie widziała tego tak jasno jak teraz. Nagle zniknął gdzieś wstyd i zakłopotanie. Poczowała ulgę. Jedyną niewłaściwą rzeczą, jaką robiła, było to, że przyjmowała krytykę, nagany i pretensje Jacka i pozwalała wzbudzać w sobie poczucie winy.

Opowiedziała o swoim życiu z Jackiem, o wszystkim, co robił i mówił, o słowach, jakich używał, tonie, o oskarżeniach, o jego reakcji na Lizzie... Uczestniczki kiwały głowami ze zrozumieniem i współczuciem. Podkreślały, że ma wybór. Od niej samej zależy, co z tym zrobi.

- Boję się - szepnęła i łzy potoczyły się jej po policzkach. - Co się ze mną stanie, jeśli go zostawię? A jak nie dam sobie bez niego rady?

Nikogo nie rozśmieszyły te słowa. Nikt nie powiedział, że jest głupia, nikt nie krytykował jej za to, co czuła. Wszystkie kobiety były tak samo przestraszone, a niektóre miały ku temu całkiem uzasadnione powody. Mąż jednej siedział w więzieniu za usiłowanie zabójstwa i paraliżował ją strach, co się stanie, kiedy za rok wyjdzie na wolność. Wiele doznawało

przemocy fizycznej, tak samo jak Maddy ze strony Bobby'ego Joe. Były takie, które uciekły w swoim czasie z domu jak stały, a dwie porzuciły nawet dzieci, bo czuły, że muszą się ratować, zanim mąż je zabije. Wiedziały, że nie ma się czym chwalić, ale ratowały się, jak umiały. Inne nadal walczyły o wyzwolenie się z więzów, niepewne, czy im się uda, tak jak Maddy.

Jedno wiedziała teraz na pewno: każda godzina, każdy dzień, każda minuta spędzona nadal u boku Jacka jest dla niej niebezpieczna. Nagle zrozumiała, co mówili jej Bill, doktor Flowers i nawet Greg. Tak naprawdę nie była dotąd w stanie tego usłyszeć, ale w końcu usłyszała.

- Co masz zamiar teraz zrobić, Maddy? - spytała jedna z kobiet.

- Nie wiem - powiedziała szczerze. - Jestem przerażona. Boję się, że on zobaczy, co mam w głowie, albo usłyszy, co myślę.

- Wiesz, co on naprawdę jest w stanie usłyszeć? Jak trzaśniesz mu przed nosem drzwiami i zwiejesz, gdzie pieprz rośnie - powiedziała inna. Z przodu brakowało jej paru zębów, włosy zwisały w bezładnych strąkach. - Dopóki tego nie zrobisz, nie słyszy nic. Nawet jak głośno krzyczysz.

Choć wyglądała okropnie i okropne było to, co mówiła, Maddy poczuła, że ją lubi. Teraz wiedziała, że właśnie te kobiety mogą ją uratować. Musiała się ratować, wiedziała, że musi, ale potrzebowała ich pomocy. I ich głos jakoś do niej dochodził.

Kiedy opuszczała zebranie, miała wrażenie, że jest innym człowiekiem. Ostrzeżono ją jednak, że nic nie zmieni się samo, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Choć wymiana doświadczeń i wsparcie grupy dowartościowały ją doraźnie i poczuła się lepiej, wciąż miała do wykonania określone zadanie, i nie będzie ono bynajmniej łatwe. Ona sama też zdawała sobie z tego sprawę.

- Odcięcie się od przemocy to jak odstawienie narkotyku - powiedziała wprost jedna z kobiet. - To najtrudniejsze ze wszystkiego, co kiedykolwiek dotąd robiłaś, dlatego że przemoc jest dla ciebie czymś swojskim. Przywykłaś do niej. Przywykłaś tak bardzo, że nawet nie zdajesz sobie sprawy, że to przemoc. To jedyny znany ci sposób okazywania ci miłości przez mężczyznę.

Maddy słyszała o tym już wcześniej, ale jakoś nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Teraz wiedziała, że to prawda. Nie wiedziała tylko, co z

tym zrobić, poza jednym - że trzeba tu przychodzić.

- Nie oczekuj od siebie na początku za wiele - powiedziała inna uczestniczka. - Ale też nie mów sobie za długo „to już ostatni raz”. Ostatni raz, ostatnia próba, ostatnia szansa. ..i w którymś momencie ten ostatni raz może się naprawdę okazać dla ciebie ostatni. Nawet ci faceci, którzy nigdy nie tknęli kobiety palcem, czasem wpadają w szal. On jest złym człowiekiem, Maddy, o wiele gorszym niż myślisz, i może cię zabić. Prawdopodobnie chce to zrobić, tylko nie ma jaj. Bierz nogi za pas, póki czas. On cię nie kocha. Nie troszczy się o ciebie, w każdym razie nie tak, jak byś chciała. Jego miłość cię krzywdzi. On się nie zmieni, chyba że na gorsze. Im będziesz lepsza, tym gorszy będzie on. Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie.

Maddy jechała do domu w głębokim zamyśleniu, przetrawiając to, co usłyszała. Nie miała wątpliwości, że to wszystko prawda, ale równocześnie było w niej jakieś nierozumne pragnienie, żeby Jack przestał ją krzywdzić, a zaczął kochać. Chciała mu pokazać, jak to się robi, jakaś jej część pragnęła nawet wyjaśnić mu to wszystko, tak żeby nauczył się, jak postępować, żeby jej nie ranić... Wiedziała jednak, że on się nie nauczy, będzie tylko krzywdził ją coraz bardziej. I nawet jeśli, tak jak jej się zdawało, kochała go, musi od niego odejść. To sprawa życia i śmierci.

Zanim dotarła do domu, zadzwoniła do Billa i podzieliła się z nim wrażeniami. Bill słuchał jej z ulgą. Modlił się, żeby grupa dała jej siłę, której potrzebowała.

W domu Jack jakby czuł, co się święci. Popatrzył na nią dziwnie i spytał, gdzie była. Wyjaśniła jeszcze raz, że na spotkaniu w związku z pracą w komisji. Zaryzykowała nawet i dodała, że było to spotkanie grupy wsparcia dla bitych kobiet, której działalność chcieli sprawdzić, i że było to bardzo ciekawe. Ale sama wzmianka o tym rozżłościła go.

- Jakieś głupie pindy - rzekł z pogardą. - Że też musisz się spotykać z kimś takim...

Już otwierała usta, by bronić uczestniczek, ale ugryzła się w język. Uświadomiła sobie, że to może być niebezpieczne, a nie miała ochoty ryzykować. Tyle się już nauczyła.

- Coś ty taka zadowolona? - spytał zaczepnie.

Maddy starała się wygłądać możliwie najbardziej niewinnie i

zachowywać dyplomatycznie, a zarazem nie pozwolić się zastraszyć. Ćwiczyła to, czego nauczyła się dziś na spotkaniu.

- Wiesz, tak naprawdę to było dość nudne - powiedziała sprytnie. - Ale skoro obiecałam Phyllis, że pójdę...

Popatrzył na nią bacznie i skinął głową. Tym razem odpowiedź go zadowoliła.

Tej nocy po raz pierwszy od dawna kochał się z nią. Znowu był brutalny, jak gdyby chciał jej przypomnieć, kto tu rządzi. Cokolwiek słyszała, czegokolwiek się dowiedziała, on tu był panem i zawsze nim pozostanie. .. Ale milczała, tak jak przedtem. Kiedy się zdrzemnął, poszła do łazienki i stanęła pod prysznicem, lecz ani woda, ani mydło nie były w stanie zmyć lęku przed nim. Bezszelestnie wśliznęła się z powrotem do łóżka i z ulgą usłyszała, że chrapie.

Nazajutrz wstała wcześniej i była w kuchni, kiedy zszedł. Wszystko między nimi zdawało się być takie jak zwykle. A jednak czuła się teraz jak więzień, który ukradkiem, po kawaleczku, kruszy mur, by stopniowo wydrążyć tunel wiodący na wolność, choćby miało to trwać nie wiem jak długo.

- Co z tobą? - warknął, gdy podawała mu filiżankę z kawą. - Zachowujesz się jakoś dziwnie.

Oby tylko nie zgadł, co dzieje się w jej głowie... Była niemal pewna, że widzi ją na wylot, lecz walczyła z tą myślą. Ale zdawała sobie sprawę, że zachowuje się inaczej i że już samo to jest ryzykowne.

- Chyba łapie mnie przeziębienie czy coś w tym stylu...

- Weź witaminę C. Nie mam ochoty organizować dla ciebie zastępstwa, jak zachorujesz. Za dużo z tym kłopotu.

Specjalnego kłopotu by nie miał, bo zastępczyni była pod ręką ale kupił jej historyjkę o złym samopoczuciu. A jego ton uświadomił Maddy, jak przykry jest dla niej ostatnio, i to bez przerwy.

- Nic mi nie będzie... W każdym razie mogę iść.

Skinął głową i wziął do ręki gazetę. Maddy wpatrywała się w zadrukowaną stronicę „Wall Street Journal”, nie widząc ani słowa. Mogła się tylko modlić, żeby nie przejrzał jej myśli. No, ale przecież nie mógł... Musiała opracować plan i uciec, zanim ją zniszczy. Jedno wiedziała teraz na pewno: że naprawdę jej nienawidzi i że ta nienawiść jest znacznie silniejsza, niż myślała.

## Rozdział dziewiętnasty

Grudzień był jak zwykle pracowity. Przyjęcia, spotkania, plany na święta... Niemal każda ambasada organizowała koktail, kolację czy wieczór z tańcami, uwzględniając, ilekroć się dało, zwyczaje swojego kraju. Była to jedna z miłych stron mieszkania w Waszyngtonie i Maddy zawsze to lubiła. Dawniej, w pierwszym okresie małżeństwa z Jackiem, lubiła chodzić z nim na przyjęcia ale teraz, gdy napięcie między nimi rosło z miesiąca na miesiąc, nie cierpiała wspólnych wyjść. Nieustannie był o nią zazdrosny, obserwował, jak zachowuje się wobec innych mężczyzn, a po powrocie oskarżał ją o rozmaite niegodziwości. To był jeden wielki stres. Nawet świąt nie wyglądała w tym roku.

Pragnęła naprawdę tylko jednego: móc obchodzić te święta wspólnie z Lizzie. Ale Jack zabronił jej kontaktów z córką i było to niemożliwe. Mogła albo zdecydowanie mu się przeciwstawić i podjąć walkę, albo w ogóle zrezygnować. Z Jackiem nie było kompromisów... Musiało być albo tak, jak on chce, albo wcale. Maddy ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że dotąd w ogóle tego nie zauważała, podobnie jak nie zauważała ciągłego deprecjonowania jej pomysłów, pomijania jej potrzeb i takiego manipulowania nią, żeby czuła się albo głupia, albo winna. To było coś, co od lat akceptowała z całą gotowością. Nawet teraz nie była pewna, jak mogłaby nadejść zmiana... Ale w miarę jak w ciągu minionych miesięcy uświadamiała sobie coraz bardziej wyraziście, że Jack nie ma dla niej szacunku, narastała w niej potrzeba, żeby się uwolnić od ciągłego poczucia podporządkowania. A równocześnie, choćby dzielił ich największy konflikt, w głębi duszy wiedziała, że wciąż go kocha.. I właśnie to było groźne samo w sobie, bo dzięki temu była wobec niego bezbronna.

Teraz już wiedziała, że nie może czekać, aż miłość się wypali. Miłość nie miała tu nic do rzeczy. Nawet jeśli go kochała i w jakimś sensie potrzebowała, wiedziała, że musi odejść. Każdy dzień u jego boku był dla niej niebezpieczny... I stale musiała samej sobie o tym przypominać. Zdawała sobie też sprawę, że gdyby próbowała to komuś wyjaśnić, nie zrozumiałby, gdyby sam nie był w podobnej sytuacji. Wszystkim innym ten konflikt emocji i poczucie winy wydawałyby się bez sensu. Nawet Bill, choć pełen troski o nią, tak naprawdę tego nie rozumiał... Pomagało

mu jedynie to, że na posiedzeniach komisji sporo się nauczył o otwartych i ukrytych formach przemocy. Właściwie trudno było nazywać zachowanie Jacka wobec niej przemocą - tak dla uproszczenia zwano nadużycia emocjonalne. Bo przecież dobrze jej płacił, zapewniał bezpieczeństwo, efektowny, przytulny dom, posiadłość na wsi, samolot, którego mogła używać, ile razy zapragnęła, wytworne ciuchy, biżuterię i futra, wakacje na południu Francji... Czy można było dopatrzeć się w tym nadużyciu? A jednak Maddy i ludzie, którzy patrzyli na jej związek przez czulszy mikroskop, zdawali sobie sprawę aż za dobrze, jakie zło w nim się czai. To były zalążki śmiertelnej choroby, starannie ukryte pod efektowną powłoką. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę Maddy czuła coraz wyraźniej, jak zatruwa ją sączone przez Jacka jad. Żyła w poczuciu nieustannego zagrożenia.

Czuła, że Billa irytuje jej niezdecydowanie. Choć nie rozumiała, dlaczego mu na tym zależy, wiedziała, czego od niej oczekuje: żeby wyrwała się z tego związku, żeby odnalazła swoją drogę ku bezpieczeństwu. Patrząc, jak potyka się i pada, jak robi krok naprzód i zaraz potem krok w tył, jak zaczyna widzieć jasno, by dać się za chwilę pochłonąć poczuciu winy, które ją paraliżuje i oślepia - wszystko to było dla niego frustrujące. Nadal rozmawiali codziennie przez telefon, ale na lunch umawiali się rzadko, bo było to ryzykowne. Ktoś mógł zobaczyć, jak Maddy wchodzi do jego domu, i wyciągnąć z tego wnioski, które byłyby nie tylko błędne, ale i katastrofalne dla niej. Zawsze zachowywali się bardzo ostrożnie, nawet kiedy byli tylko we dwoje. Bill nie chciał jej przysparzać kłopotów... I bez tego miała ich dosyć.

Prezydent już wrócił do Gabinetu Owalnego. Pracował na razie pół dnia i mówił, że łatwo się męczy, kiedy jednak Maddy zobaczyła go na niewielkim kameralnym przyjęciu, jakie wydali wraz z żoną, sprawiał już wrażenie znacznie silniejszego. Phyllis za to wyglądała tak, jakby wróciła z frontu, ale ilekroć spozjrzała na męża, jej twarz promieniała. Maddy jej zazdrościła... Nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak to jest. Tak już przywykła do nieustannego napięcia w swoim małżeństwie, że życie bez niego wydawało jej się prawie niemożliwe. Doszło do tego, że stres i cierpienie przyjmowała jako rzecz naturalną. Zwłaszcza ostatnio.

Jack był dla niej coraz bardziej przykry, o byle co gotów skakać jej do gardła, wciąż ją o coś oskarżał... Czuła się tak, jakby dniem i nocą, w

pracy czy w domu, nieustannie na nią czyhał jak górski lew czyhający na dogodny moment, by rzucić się na upatrzoną ofiarę. A wiedziała już teraz, jak niebezpieczny może być taki atak... To, co mówił, było druzgocące, zwłaszcza sposób, w jaki to mówił. A mimo to zdarzało się, że przylapywała się na myśleniu o nim jako o przystojnym, inteligentnym, pełnym wdzięku mężczyźnie... Pragnęła się nauczyć, jak go nienawidzić, a nie tylko się go bać. Dzięki uczestnictwu w grupie dla ofiar przemocy miała teraz znacznie lepszy wgląd we własne uczucia i motywy. I wiedziała, że w jakiś subtelny sposób jest od niego uzależniona.

Pewnego dnia w połowie grudnia rozmawiała o tym z Billem. Nazajutrz w pracy miało się odbyć przyjęcie gwiazdkowe, ale Maddy bynajmniej nie cieszyła się na nie. Dawniej Jack ją posądzał, że flirtuje z Elliotem, ostatnio już zarzucił jej parę razy, że z nim śpi. Była pewna, że mówi to jedynie po to, żeby ją zdenerwować. Wspomniał nawet coś na ten temat w rozmowie z kierownikiem produkcji. Czyżby dni Elliota miały być policzone? Zastanawiała się, czy nie należałoby go ostrzec, ale kiedy powiedziała o tym Gregowi przez telefon, ostrzegł ją, żeby dała spokój. Narobiłaby sobie kłopotów, a Jackowi tylko o to chodziło.

- Po prostu usiłuje cię zgnoić, Mad - powiedział Greg prosto z mostu. W Nowym Jorku wiodło mu się doskonale. Miał zamiar ożenić się z najnowszą przyjaciółką, ale Maddy mu radziła, żeby dał sobie więcej czasu do namysłu. Niewiele myślała ostatnio o małżeństwie, w każdym razie uważała, że powinien być ostrożny.

Kiedy w czwartkowe popołudnie siedziała w kuchni Billa, czuła się skrajnie wyczerpana i pozbawiona złudzeń. Nie cieszyła się w tym roku na święta. Próbowwała wymyślić, jak pojechać do Memphis i zobaczyć się z Lizzie albo ściągnąć ją do Waszyngtonu, tak żeby Jack nie wiedział. Udała jej się w końcu wynająć dla niej niewielkie mieszkanie, wesołe i pełnej światła. Teraz je malowano. Zapłaciła kaucję czekiem i miała nadzieję, że uda jej się regulować comiesięczne płatności tak, żeby Jack nic nie odkrył.

- Nienawidzę go oszukiwać - powiedziała cicho do Billa, gdy siedzieli przy lunchu. Kupił kawior i delektowali się teraz jedną z rzadkich chwil, które mogli spędzić razem. - Ale to jedyny sposób, żebyśmy mogła zrobić coś, co jest dla mnie ważne. On jest taki nierozsądny, gdy chodzi o

Lizzie... Nie pozwala mi się z nią widywać.

A czy jest jakaś sprawa, w której nie byłby nierozsądny? - pomyślał Bill, ale tym razem nie powiedział nic. W ogóle był mniej rozmowny niż zwykle, tak że Maddy przyszło do głowy, że może coś go dręczy. Wiedziała, że święta będą dla niego przykre... A w tym tygodniu przypadają urodziny Margaret, co również było bolesne.

- Jak się czujesz? - spytała, podając mu grzanekę z kawiozem, na który wycisnęła odrobinę cytryny.

- Sam nie wiem... Czas przedświąteczny zawsze budzi we mnie melancholię. Zwłaszcza w tym roku... Trudno czasem nie oglądać się do tyłu, zamiast patrzeć w przyszłość.

Maddy pomyślała jednak, że Bill ostatnio wygląda lepiej. Nadal dużo mówił o żonie, ale przestał się tak biczować z powodu jej śmierci. Często rozmawiali na ten temat, Maddy nakłaniała go, żeby sobie wybaczył, ale łatwiej było to powiedzieć niż zrobić... Miała wrażenie, że pisanie książki było dla niego czymś w rodzaju terapii, ale wciąż przygniatał go smutek.

- Święta będą niełatwe - zgodziła się Maddy. - Ale przynajmniej będziesz z dziećmi...

Znowu miał jechać do Vermont, a ona z Jackiem do Wirginii. Wiedziała, że ich pobyt będzie znacznie mniej zabawny niż to, co czekało Billa. Planował urządzić z dziećmi święta w starym stylu. Jack nie cierpiał Bożego Narodzenia, całego tego świątecznego zamieszania, i poza kupnem paru kosztownych prezentów dla niej poświęcał całej sprawie jak najmniej uwagi. Kiedy był mały, każde święta przynosiły mu rozczarowanie, i teraz nie życzył sobie ich obchodzić. To, co powiedział Bill, zaskoczyło ją.

- Chciałbym móc spędzić święta z tobą, Maddy - uśmiechnął się do niej niewesoło. Marzenie niemożliwe do spełnienia, a takie słodkie... - Moje dzieci byłyby zachwycone, gdybyś mogła być z nami.

- Lizzie też - powiedziała z rezygnacją. Wybrała już dla niej prezenty gwiazdkowe, dla Billa też miała parę drobiazków. Wciąż zresztą natrafiała na jakieś przedmioty, które jej się z nim kojarzyły: płyty CD, ciepły szalik w sam raz dla niego, parę książek z antykwariatu, które, miała nadzieję, będą mu się podobały... Nic wielkiego ani kosztownego, ale wszystko bardzo osobiste, tak jak przyjaźń, która ich łączyła. Chciała



mu je dać tuż przed jego wyjazdem do Vermont. Miała nadzieję, że uda się im spotkać jeszcze raz na lunchu, zanim każde pojedzie w swoją stronę, by wrócić do miasta dopiero po Nowym Roku.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Dokończyli kawior. Bill kupił również pasztet, ser, francuski chleb i butelkę czerwonego wina. Zorganizował jej bardzo wytworny piknik... Jakże to było odmienne od nieustannego napięcia, w jakim ostatnio żyła.

- Czasem się zastanawiam, jak ty ze mną wytrzymujesz, Bill. Bez przerwy tylko jęczę i lamentuję... Wiem, że w twoich oczach wygląda to tak, jakbym nic w sprawie Jacka nie robiła. To chyba musi być czasem niełatwe, siedzieć i patrzeć... Jak ty to znosisz?

Bill również się uśmiechnął.

- Odpowiedź jest prosta. Kocham cię.

Maddy zabrakło tchu. Po sekundzie milczenia zdała sobie sprawę, co miał na myśli. Powiedział to tak, jak ona mówiła do Lizzie, jako opiekun i przyjaciel, a nie tak jak mówi kobieta do mężczyzny czy odwrotnie... W każdym razie tak to odebrała.

- Ja też cię kocham, Bill - powiedziała miękko. - Ty jesteś moim najlepszym przyjacielem na świecie. - Ich wzajemna więź to było coś więcej niż dawna więź z Gregiem, który zaczął już żyć własnym życiem. - Jesteś dla mnie jak rodzina, prawie jak starszy brat...

Bill jednak, raz to powiedziawszy, nie zamierzał się wycofywać.

- Nie to miałem na myśli, Maddy - powiedział wyraźnie. - Mówię to w głębszym sensie, jako mężczyzna. Kocham cię - powtórzył.

Wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zdawał sobie z tego sprawę, ale był zadowolony, że w końcu się otworzył. Długo się to rodziło... Sześć miesięcy prawdziwej zażyłości, w istotnym znaczeniu tego słowa. Maddy stała się częścią jego codzienności i mógł jedynie pragnąć, by tak było nadal.

- Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Niczego od ciebie nie oczekuję. Od sześciu miesięcy czekam, że zmienisz swoje życie, zrobisz coś w sprawie Jacka, ale rozumiem, jakie to dla ciebie trudne. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle to zrobisz... I chyba to akceptuję. Ale nie chcę czekać, aż to zrobisz, żeby ci powiedzieć, że cię kocham. Życie jest krótkie, a miłość to coś niezwykłego.

Maddy wpatrywała się w niego zmieszana.

- Ty też jesteś dla mnie kimś niezwykłym - powiedziała cicho i nachyliła się, żeby pocałować go w policzek. On jednak lekko zwrócił ku niej głowę i nie wiedziała, jak to się stało, czy ona zaczęła, czy on, ale zdała sobie sprawę, że się całują namiętnie, z głębi serca.

Kiedy przestali, spojrzała na niego zdumiona.

- Jak to się stało?

- Myślę, że przyszedł czas - otoczył ją ramieniem. Bał się, że może sprawił jej przykrość. - Dobrze się czujesz?

Maddy skinęła głową i wsparła ją o ramię Billa. Był od niej znacznie wyższy i w jego objęciach czuła się dobrze i bezpiecznie. To było coś zupełnie odmiennego niż wszystko, czego dotąd zaznała, i jako nowość budziło i zachwyty, i lęk.

- Chyba tak - podniosła na niego wzrok, usiłując uporządkować swoje uczucia. Bill znowu ją pocałował, a ona nie zrobiła nic, żeby go powstrzymać. Wręcz przeciwnie, pragnęła tego... Ale w ten sposób to, co mówił o niej Jack, stawało się prawdą. Nigdy dotąd go nie oszukała, nigdy nawet nie spojrzała na innego mężczyznę, a teraz zdała sobie sprawę, że kocha Billa. I nie miała pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Siedzieli przy kuchennym stole, trzymając się za ręce i wpatrując w siebie nawzajem. Nagle otworzył się przed nimi nowy, ogromny świat. Bill jednym ruchem pchnął drzwi, przed którymi stali od dawna, a ona nie przypuszczała, że taka wspaniała perspektywa roztacza się za nimi.

- To zupełnie jak prezent gwiazdkowy - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. Bill uśmiechnął się szeroko.

- Prawda? Ale nie chcę, Maddy, żebyś czuła się pod presją. Nie planowałem tego i nie oczekiwałem, tak samo jak ty. I nie chcę, żebyś czuła się winna z tego powodu.

Znał ją teraz dobrze... Zdarzało się, że nawet oddychanie budziło w niej poczucie winy, a to było coś więcej niż oddychanie. To było życie.

- A jak mam się czuć? Jestem mężatką, Bill. Robię to, o co mnie oskarżał, do tej pory bezpodstawnie. A teraz to jest... albo może być prawdą.

- To zależy od tego, jak sobie z tym poradzimy. Proponuję, żebyśmy poruszali się bardzo powoli. - Chociaż wiedział już teraz, że wolałby się poruszać dużo szybciej... Ale z szacunku dla niej nie mógł. - Chcę, żebyś była szczęśliwa, nie chcę komplikować ci życia.

Ale to naprawdę była komplikacja... I zmuszało ją to do spojrzenia na związek z Jackiem w sposób, którego dotąd unikała. Jeden pocałunek z Billem katapultował ją w zupełnie odmienną sytuację.

- Co ja mam robić? - spytała Billa, to samo pytanie zadając sobie samej. Była żoną człowieka, który ją dręczył, ale była wobec niego lojalna. Przynajmniej tak to nazywała.

- Masz zrobić to, co jest dobre dla ciebie. Ja jestem już dużym chłopcem. Poradzę sobie. Ale bez względu na to, co postanowisz w mojej, czy w naszej sprawie, nadal musisz coś zrobić w sprawie Jacka. Nie możesz wciąż od tego uciekać, Maddy.

Miał nadzieję, że jego miłość, to, że ona o niej wie, da jej siłę, której potrzebowała, by uciec. W pewnym sensie, choć nie chciała myśleć o tym w ten sposób, był jej przepustką do wolności... Była jednak zdecydowana z niej nie korzystać. Czuła, że gdyby tylko chciała, mógłby stać się jej przyszłością. Bill Aleksander nie był mężczyzną, którego się traktuje lekko.

Pogawędzili jeszcze, pogryzając ser i sącząc wino. Zaśmiała się, gdy Bill powiedział, że choć nie od razu zdał sobie z tego sprawę, był w niej zakochany od samego początku.

- Ja chyba też - wyznała. - Tylko bałam się przyznać sama przed sobą. Ze względu na Jacka wydawało mi się, że to coś niewłaściwego. - I nadal jej się wydawało, tyle że było to teraz silniejsze od niej czy też od nich obojga. - Jack nigdy mi tego nie wybaczy - powiedziała, przygnębiona. - Nie uwierzy, że to się nie dzieje od początku. Rozgłosi całemu światu, że go zdradzałam.

- Może to zrobić tak czy owak, jeśli od niego odejdziesz. - Bill modlił się w duchu gorąco jak nigdy, żeby umiała odejść. Dla dobra ich obojga. Czuł się tak, jakby mu usiadł na dłoni piękny, barwny motyl, a on bał się go dotknąć czy potrącić... Chciał tylko podziwiać ją i kochać. - Myślę, że kiedy go zostawisz, to niezależnie ode mnie nagada ci okropności. Na pewno ci za to nie podziękuje, Maddy. - Po raz pierwszy powiedział „kiedy”, a nie „jeśli”, i oboje to usłyszeli. - Prawda jest taka, że jesteś mu potrzebna, i to bardziej niż on tobie. Ty go potrzebowałaś, żeby zaspokoili twoje fantazje o szczęśliwym małżeństwie i poczuciu bezpieczeństwa, a on ciebie, żeby mieć czym karmić swoją chorobę, zaspokajając swoją potrzebę znęcania się.

Sprawcy przemocy potrzebna jest ofiara.

W milczeniu zastanawiała się nad tym, potem pokiwała głową.

Była trzecia, gdy niechętnie wychodziła. Tak by chciała zostać dłużej... Na pożegnanie długo się całowali. Otwartych drzwi nie można było już zamknąć i żadne z nich tego nie chciało.

- Uważaj na siebie - szepnął, trzymając ją w objęciach. - Bądź ostrożna.

- Dobrze - uśmiechnęła się. - Kocham cię... i dziękuję za kawior... i za pocałunki...

- Zawsze możesz na mnie liczyć - uśmiechnął się w odpowiedzi. Kiedy odjeżdżała, stał w drzwiach i machał jej ręką na pożegnanie. Oboje mieli wiele do przemyślenia... Zwłaszcza Maddy.

Zdenerwowała się, kiedy sekretarka powiedziała jej, że w ciągu ostatniej godziny Jack dzwonił dwa razy. Usiadła przy biurku, wzięła głęboki oddech i wybrała numer jego interkomu. A jeśli ktoś ją widział, jak wy chodzi od Billa?... Kiedy podniósł słuchawkę, drżały jej ręce.

- Gdzie ty się podziewałaś, do diabła?

- Zakupy świąteczne - powiedziała szybko. Kłamstwo przyszło jej tak łatwo, że zaskoczyła ją własna gotowość do oszukiwania męża. Ale przecież nie mogła powiedzieć, gdzie naprawdę była, co robiła... Całą drogę, co prawda, zastanawiała się, czy nie byłoby najlepiej powiedzieć mu prawdę: jest z nim strasznie nieszczęśliwa i kocha kogoś innego. Ale wiedziała, że dla niego byłoby to zaproszenie, żeby znęcać się nad nim. Chyba że odeszłaby natychmiast... Czuła jednak, że nie jest jeszcze gotowa. Szczerość nie była w tym wypadku prawidłową reakcją. Jeszcze nie.

- Chciałem ci powiedzieć, że muszę spotkać się dziś wieczorem z prezydentem Armstrongiem.

Zaskoczyło ją to. Prezydent nie wrócił chyba aż tak do zdrowia, żeby do późnego wieczora uczestniczyć w naradach. Nie wyraziła jednak swoich wątpliwości na głos. Tak było łatwiej. I natychmiast uznała, że jej podejrzenia najprawdopodobniej mają źródło w jej własnym nagannym postępowaniu. Niechętnie o tym myślała, ale zdawała sobie sprawę, że bez względu na to, jakie żywi uczucia wobec męża, to, co zdarzyło się z Billem, nie powinno zdarzać się kobiecie zameżnej, choćby jej małżeństwo było najbardziej nieudane i chore.

- W porządku - odparła. - Ja jeszcze muszę kupić to i owo po drodze. Potrzebny był jej papier do opakowania prezentów i jakieś drobiazgi dla sekretarki i asystenta, które chciała im dać na gwiazdkowym przyjęciu. Coś w rodzaju Mikołajowych pończoch... Obojgu kupiła już zegarki Cartiera.

- Może czegoś potrzebujesz? - spytała. Chciała być miła dla niego, żeby uciszyć własne wyrzuty sumienia.

- Co ty masz taki znakomity humor? - spytał podejrzliwie. Złożyła to na karb złego świątecznego nastroju. Powiedział, żeby na niego nie czekała, że spotkanie może się przedłużyć. Podejrzenia Maddy wzrosły, ale nie powiedziała ani słowa.

Odrobiła oba swoje wieczorne serwisy, z poczuciem, że unosi się w powietrzu. Dwa razy dzwoniła do Billa: przed wejściem i po wejściu na antenę.

- Dzięki tobie jestem szczęśliwa. - I przerażona, chciała dodać, ale powstrzymała się. Nie rozmawiali o zamiarach, rozkoszowali się słodyczą tego, co już między nimi istniało. Powiedziała mu, że po pracy wybiera się do pobliskiego centrum handlowego na zakupy. Bill zdecydował, że skoro Jacka nie będzie w domu, zadzwoni do niej. On też nie wierzył, że Jack ma spotkanie z prezydentem. Oboje słyszeli na komisji, jak Phyllis mówiła, że Jim już po południu czuje się wyczerpany i o siódmej idzie spać.

- Może Jack pójdzie z nim do łóżka - zadrwiła Maddy, nagle w znakomitym nastroju.

- O, to by był nieoczekiwany zwrot akcji - zaśmiał się Bill. Umówili się, że skontaktują się później.

Samochód z kierowcą tego wieczoru miał Jack, Maddy skorzystała więc z jednego z wozów służbowych. Zadowolona była zresztą, że prowadzi sama. W samotności mogła myśleć i marzyć o Billu. Zaparkowała i weszła do wielkiej perfumerii, żeby kupić wstążeczki, taśmę i ozdobny świąteczny papier.

Sklep był wypełniony gęstym tłumem kupujących. Matki z płaczącymi dziećmi, mężczyźni o zdezorientowanych twarzach, niepewni, co wybrać... Jak zwykle przed świętami. Nic dziwnego, że było bardziej tłoczno niż zazwyczaj. A w sąsiednim sklepie z zabawkami rezydował Święty Mikołaj. Kolejka chętnych, żeby go zobaczyć, sięgała

parkingu... Maddy ogarnął miły gwiazdkowy nastrój. Dzięki Billowi znowu potrafiła się cieszyć nadchodzącymi świętami.

Kupiła dwanaście rolek czerwonego wzorzystego papieru. Jej wózek wypełniony był też flakonikami perfum, ozdobną taśmą i mnóstwem czekoladowych Mikołajów i innych świątecznych rekwizytów. Nagle gdzieś z góry dobiegł ją dziwny dźwięk. Przestraszona uniosła głowę. Inni klienci również zatrzymali się i spojrzeli w górę, zdezorientowani.

To było jakby głośnie „bum!”, a potem dźwięk przypominający szum wodospadu, jakby waliła w dół ściana wody. Muzyka ucichła, rozległy się krzyki, nagle zapadła ciemność. Zanim Maddy zdążyła wpaść w panikę, zobaczyła, że sufit zapada się nad jej głową i w jednej chwili świat wokół niej zniknął.

RS

## Rozdział dwudziesty

Kiedy się ocknęła, miała wrażenie, że na jej piersi leży cały dom. Otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że ją bołą i że są zasypane pyłem, ale nic nie widziała. Czuć było dziwną woń, jakby kurzu i ognia. Uświadomiła sobie, że jest jej gorąco i że całe jej ciało jest ciężkie jak kamień. Coś na nią musiało upaść... Próbowała się poruszyć. W pierwszej chwili nie mogła. Mogła poruszać stopami, ale nogi i całą górną część ciała coś blokowało. Po chwili, próbując rozmaitych ruchów, odkryła, że może trochę przesuwając spoczywające na niej ciężary. Dopiero po godzinie, choć nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu, zdołała się uwolnić na tyle, że mogła usiąść w niewielkiej, chyba przypominającej kulę przestrzeni, w której była zamknięta.

Wokół panowała cisza. Potem zdała sobie sprawę, że dobiegają ją jęki i płacz. Słyszać było, jak gdzieś w oddali ludzie nawołują się nawzajem. Wyteżyła słuch... Była pewna, że rozróżnia płacz dziecka. Co się stało? Gdzie właściwie była?

Daleko od miejsca, gdzie się znajdowała, na parkingu, wyleciały w powietrze samochody. Zniknęły fronty paru budynków. Wyły syreny karetek i wozów strażackich, zakrwawieni ludzie biegli z krzykiem w kierunku parkingu, ranne dzieci kładziono na wózki i biegiem wieziono do ambulansów. Jak na planie jakiegoś filmu... Oszołomieni ludzie opowiadali strażakom i policji, że w jednej chwili zapadł się cały budynek. Istotnie, cztery piętra centrum handlowego nie istniały, a obok perfumerii, w której robiła zakupy Maddy, otworzył się ogromny krater. Jeszcze przed chwilą stała w tym miejscu ciężarówka... Eksplozja miała taką siłę, że w promieniu pięciu przecznic wyleciały wszystkie okna.

Przybyły nowe zespoły ratowników. Świętego Mikołaja ze sklepu z zabawkami wyniesiono na noszach, przykrytego płachtą. Zginął w jednej chwili, a z nim połowa dzieci, które czekały w kolejce do niego. Nikt nie był w stanie do końca ogarnąć rozmiarów tragedii.

Maddy siedziała skulona w swojej ciasnej jamie, usiłując wymyślić jakiś sposób wydostania się spod rumowiska, które ją uwięziło. Próbowała je rozgrzebywać, napierała całym ciałem... Nic nie drgnęło. Zaczęła ją ogarniać panika, dyszała ciężko. I nagle usłyszała w ciemności jakiś głos, najwyraźniej dochodził z bliska.

- Pomocy... Pomocy... Czy ktoś mnie słyszy? - Głos był słaby, ale cóż to była za ulga wiedzieć, że tuż obok ktoś jest!

- Słyszę cię. Gdzie jesteś? - Z trudem chwytiała powietrze pełne kurzu. Zwróciła się w kierunku, skąd dochodził głos, i nasłuchiwała.

- Nie wiem... Nic nie widzę - usłyszała odpowiedź. Wszystko było pogrążone w zupełnej ciemności.

- Wiesz, co się stało?

- Chyba zawalił się budynek i nas przygniótł... Uderzyło mnie w głowę... Chyba leci mi krew...

Głos był kobiecy. Maddy wydawało się, że znowu dochodzi ją płacz dziecka... Poza tym niewiele słyszała. Jakiś odległy krzyk... płacz... Nasłuchiwała, czy nie dobiegnie jej głos syren, licząc na ratunek. Nic. Cisza. Za dużo betonuje przywalało, nie docierały do nich odgłosy panującego na zewnątrz zamieszania czy wycie karettek, pędzących ku nim ze wszystkich stron. Ściągnięto je z całego miasta, a nawet z Wirginii i Marylandu. Nikt na razie nic nie wiedział, wiadome jedynie było to, że miała miejsce ogromna eksplozja i jest wielu zabitych i rannych.

- Czy to twoje dziecko? - spytała Maddy, gdy znowu usłyszała płacz niemowlęcia.

- Tak... - głos był słaby. - Ma dwa miesiące. Nazywa się Andy... - Dziewczyna chyba płakała. Maddy też by płakała, gdyby nie to, że była w za wielkim szoku, by odczuwać jakieś emocje.

- Jest ranny?

- Nie wiem... Nie widzę go - załkała dziewczyna. Maddy zamknęła oczy. Musiało się stać coś strasznego, skoro zawalił się cały budynek, ale wciąż nie mogła pojąć co.

- Możesz się poruszać? - spytała. Rozmowa pomagała jej zachować równowagę... Znowu spróbowała napierać na rozmaite miejsca. Coś, co zdawało się być ogromnym głazem za jej plecami, nieoczekiwanie drgnęło i przesunęło się odrobinę, nie więcej niż parę centymetrów. Głos dochodził z przeciwnego kierunku.

- Wcale - usłyszała odpowiedź. - Coś mi leży na nogach i rękach... nie mogę dosięgnąć mojego dziecka...

- Niedługo na pewno przyjdzie pomoc - zapewniła ją Maddy. W tej chwili obie usłyszały dochodzące z oddali stłumione głosy, ale nie



sposób było rozróżnić, czy to ratownicy, czy ofiary. Maddy znowu spróbowała się skupić i przypomniała sobie, że ma w torebce telefon komórkowy. Gdyby udało jej się go wymacać, mogłaby wezwać pomoc i może łatwiej byłoby ją wtedy znaleźć.

Pomysł był szalony, ale dzięki temu mogła się czymś zająć. Zaczęła macać wokół siebie dłońmi. Nie znalazła nic poza ziemią, kamieniami i potrzaskanymi odłamkami betonu, ale poznała w ten sposób lepiej niewielką przestrzeń, w której była zamknięta. Spróbowała znowu napierać na ściany swojej prowizorycznej celi i w końcu zdołała przesunąć je o jakieś trzydzieści centymetrów i zyskać nieco więcej powietrza.

- Próbuję się do ciebie dostać - powiedziała, żeby dodać dziewczynie otuchy. Odpowiedziała jej cisza.

- Co z tobą? - zawołała wystraszona Maddy. - Słyszysz mnie? Po długiej chwili dał się słyszeć głos dziewczyny:

- Chyba zasnęłam.

- Nie śpij. Staraj się być przytomna - powiedziała Maddy zdecydowanie, ale w głowie miała zamęt, nadal była w szoku, a każdy ruch przyprawiał ją o straszliwy ból głowy.

- Mów coś do mnie. Jak masz na imię?

- Anne.

- Cześć, Anne. Ja się nazywam Maddy. Ile masz lat?

- Szesnaście.

- Ja trzydzieści cztery. Jestem dziennikarką... w telewizji... - Znowu nie było odpowiedzi. - Obudź się, Anne! Jak się ma Andy?

- Nie wiem...

Dziecko kwiliło, było więc żywe, ale dziewczyna sprawiała wrażenie coraz słabszej. Bóg jeden wiedział, jak poważnie była ranna. I Bóg jeden wiedział, kiedy ich znajdą.

Maddy znów podjęła walkę wewnątrz swojej jamy, a tymczasem na zewnątrz wciąż ze wszystkich okręgów przybywały coraz to nowe wozy strażackie. Dwa piętra budowli były w płomieniach, cztery się zapadły. Z centrum eksplozji zbierano zmasakrowane ciała, niektóre trudne do zidentyfikowania. Wszędzie leżały pourywane ręce, nogi, głowy... Niektórzy ranni szli o własnych siłach, innych zabierały karetki. Starano się jak najszybciej oczyścić teren dla ratowników. Zaalarmowano

Centrum Kontroli Katastrof i Klęsk Żywiolowych, które organizowało zespoły ratownicze złożone z zawodowców i wolontariuszy. Zaczęły przybywać buldożery, ale to, co zostało z budynków, było zbyt chwiejne, by używać maszyn. Groziłoby to życiu uwięzionych w gruzach ofiar.

Gdziekolwiek można było dostrzec zespoły reporterów. W całym kraju przerwano nadawanie programu, żeby poinformować o największej katastrofie w historii Stanów, od czasu bomb w Oklahoma City w 1995 roku. Doliczono się już ponad stu ofiar, a nie sposób było przewidzieć, o ile zwiększy się ta liczba... Wszystkie kamery zdążyły sfilmować płaczącą dziewczynkę z urwaną ręką, którą prowadzono do karetki. Nikt nie znał jej tożsamości i nikt się do niej, jak dotąd, nie przyznawał. Takich jak ona były dziesiątki - okaleczonych, oślepionych, zakrwawionych, umierających i martwych.

Bill spokojnie oglądał telewizję, leżąc w pościeli, gdy na ekranie pojawiła się wiadomość o katastrofie. Usiadł, zelektryzowany. Maddy mówiła, że wybiera się tam po pracy... Natychmiast podbiegł do telefonu i zadzwonił do niej. Nie było odpowiedzi. Zadzwonił na komórkę i usłyszał, że abonent jest czasowo niedostępny. Patrzył na ekran i narastała w nim fala paniki. Chciał zadzwonić do niej do pracy, bo może oni coś wiedzieli, nie odważył się jednak. Była możliwość, że Maddy jest na miejscu wypadku i robi materiał... Zdecydował, że poczeka. Może sama do niego zadzwoni? Był pewien, że zadzwoni, jeśli tylko będzie miała chwilę czasu - i jeśli nie jest pogrzebana pod gruzami. Mógł się tylko modlić, żeby ta druga możliwość okazała się nieprawdą. W pamięci stanęła mu tamta chwila z przeszłości, kiedy zdał sobie sprawę, że Margaret została porwana przez zamaskowanych mężczyzn z karabinami maszynowymi.

Jack także wiedział, co się dzieje. Właśnie przed chwilą zadzwonił jego telefon komórkowy. Skonsternowany patrzył na kobietę, która z nim była. Był zirytowany - nie tak wyobrażał sobie ten wieczór... Zaplanował go starannie, jak zawsze, a tu takie przeszkody!

- Znajdź Maddy i powiedz jej, żeby jak najszybciej tam była. Powinna o tej porze być w domu - powiedział i wyłączył komórkę. Kierownik produkcji poinformował go, że na miejscu katastrofy znajdowały się już dwa zespoły ich telewizji, a trzeci był w drodze.

Ładna blondynka, z którą spędzał ten wieczór w hotelu Ritz Carlton,

spytała, co się stało.

- Jakiś dupek wysadził w powietrze centrum handlowe - powiedział i kliknął przyciskiem pilota. Na ekranie telewizora pojawił się obraz totalnej destrukcji i chaosu.

- Jezu - Jack gwizdnął przez zęby. Żadne z nich nie zdawało sobie dotąd sprawy z rozmiarów katastrofy... Przez chwilę patrzyli w milczeniu, po czym Jack złapał komórkę i zadzwonił do sieci.

- Znaleźliście ją? - warknął. Przecież to supertemat dla telewizji... Niektóre zdjęcia nawet jemu wyciskały łzy, choć patrzył chłodnym okiem zawodowca. Siedząca obok niego dziewczyna, którą poznał zaledwie przed tygodniem, płakała bezgłośnie: strażak wyniósł martwe dziecko i jego matkę.

- Wciąż próbujemy, Jack - odparł zafrasowany szef produkcji. - Nie wróciła jeszcze do domu, a jej komórka jest wyłączona.

- Kurczę... Tyle razy jej mówiłem, żeby tego nie robiła. Próbujcie dalej. W końcu musi się znaleźć - zatrzasnęła klawiaturę telefonu. W tym momencie przemknęła mu przez głowę dziwna myśl, ale natychmiast ją odrzucił. Powiedziała, że ma kupić papier do pakowania i jakieś drobiazgi, ale przecież nie cierpi centrów handlowych... Zazwyczaj robi zakupy w Georgetown. Nie, nie było żadnego powodu, żeby miała być akurat tam.

- Słyszysz mnie, Anne? - głos Maddy znowu przeniknął przez betonową ścianę, ale na odpowiedź musiała tym razem czekać dłużej.

- Tak... słyszę. ..- Iw tym momencie obie usłyszały nowy głos, męski. Słysząc go było zaskakująco blisko.

- Kto tu jest?

Głos był mocny, donośny. Mężczyzna powiedział, że odwalił parę kawałów betonu i belkę i długo pełznął, żeby się do nich dostać, ale nie miał pojęcia, którydy szedł i gdzie się znajduje.

- Ja mam na imię Maddy - powiedziała pewnym głosem - a tu obok jest dziewczyna, Anne. Nie jesteśmy razem, ale słyszę ją. Chyba jest ranna... i jest z nią dziecko.

- A ty? Jak się czujesz?

Bolała ją głowa, ale o tym nie było sensu mówić.

- Świetnie. Dałbyś radę ruszyć któryś z tych bloków koło mnie?

- Mów do mnie bez przerwy. Spróbuję.

Miała nadzieję, że jest wielki i silny. Wystarczająco silny, żeby poruszyć góry, jak będzie trzeba.

- Jak masz na imię?

- Mike. Nie bój się. Wyciskam dwieście dwadzieścia kilo, migiem was stąd wydostanę.

Maddy słyszała jednak, jak stęka, napierając na betonowy blok... Anne znowu wyłączyła się z rozmowy. Wołała ją ale odpowiedział jej tylko coraz głośniejszy płacz niemowlęcia.

- Mów do dziecka, Anne... Jeśli będzie cię słyszało, może nie będzie tak przestraszone.

- Nie mogę. Taka jestem zmęczona - powiedziała Anne słabym głosem. Maddy podjęła więc rozmowę z Mike'em. Był jakby troszeczkę bliżej.

- Wiesz może, co się stało? - spytała.

- A cholera wie. Kupowałem krem do golenia, kiedy ten cholerny dach na mnie zleciał. A miałem przyjść z dziećkami... Całe szczęście, że zostały w domu. A ty byłaś z kimś?

- Nie, byłam sama - odparła Maddy i spróbowała znowu walczyć z rumowiskiem, ale tylko połamała sobie paznokcie i pokaleczyła palce. Betonowe bloki ani drgnęły.

- Chyba spróbuję przekopać się w inną stronę - powiedział w końcu Mike. Maddy znów ogarnęła fala paniki. Na myśl, że miałyby nie słyszeć już obok siebie tego przyjaznego głosu, owładnęło ją poczucie opuszczenia, jakiego nie zaznała jeszcze nigdy w życiu. Ale potrzebna im była pomoc. Jeśli jedno z nich zdoła ją sprowadzić, pozostali mieli szansę na ratunek.

- W porządku - powiedziała. - Szczęśliwej drogi. Kiedy się wydostaniesz - celowo użyła słowa „kiedy”, a nie, jeśli” - to jestem dziennikarką telewizyjną, powiedz ludziom ode mnie, że tu jestem. Czuję, że gdzieś tu muszą być.

- Wrócę po was - powiedział zdecydowanie.

W parę minut później już go nie było słychać i nie pojawiał się żaden nowy głos. Była sama w ciemności, tylko z Anne i jej płaczącym dzieckiem. Znowu pomyślała o komórce. Co prawda, gdyby ją miała, nie byłaby nawet w stanie określić, gdzie jest. Mogłaby tylko powiedzieć, gdzie była przed wybuchem. Na jej wyczucie rzuciło nimi dość daleko.

Nie sposób było zlokalizować pułapki, w której zostali uwięzieni.

Bill nadal patrzył na ekran telewizora, w coraz większej panice. Dzwonił do Maddy chyba z piętnaście razy i za każdym razem odpowiadała automatyczna sekretarka, a komórka wciąż była wyłączona. W końcu, zrozpaczony, zadzwonił do telewizji.

- A kto mówi? - spytał z irytacją kierownik produkcji, zdziwiony, że w ogóle ktoś się do nich przebił.

- Jestem jej przyjacielem. Po prostu martwię się o nią... Czy nagrywa materiał?

Po chwili milczenia Rafe Thompson zdecydował się odpowiedzieć szczerze.

- Nie możemy jej znaleźć. Komórkę ma wyłączoną, a telefon domowy milczy. Mogła na własną rękę pójść na miejsce wypadku, ale nikt jej nie widział. No, ale tam jest kupa ludzi... W końcu się znajdzie. Zawsze jest na miejscu w takich sytuacjach - pocieszył go.

- Nie podoba mi się to zniknięcie - powiedział Bill z troską. Rafe był zaskoczony. Facet najwyraźniej martwił się o Maddy, i to znacznie bardziej niż Jack... Jediną reakcją Jacka był wrzask, żeby ją do cholery jasnej jak najprędzej znaleźli. Przy czym Rafe raczej nie miał wątpliwości, czym zajmuje się Jack, kiedy się do niego pierwszy raz dodzwonił. W tle było słycać damski głos i chichotanie.

- Nie wiem, co panu powiedzieć... Prawdopodobnie niedługo zadzwoni. Może być w kinie albo gdzieś...

Bill jednak wiedział, że Maddy nie wybierała się do kina. To, że do niego nie zadzwoniła, żeby go uspokoić, przerażało go. Przez kolejne dziesięć minut chodził po pokoju, nie spuszczać oka z telewizora. W końcu poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Złapał płaszcz i kluczyki do samochodu i wybiegł z domu. Nie miał pojęcia, czy zdoła się dostać na miejsce katastrofy, lecz musiał spróbować. Nie wiedział dlaczego, ale był pewny, że Maddy musi tam być. Może uda mu się ją znaleźć.

Było po dziesiątej. Bill pędził na pełnym gazie. Minęło półtorej godziny od wybuchu, który wysadził w powietrze budynki na obszarze dwu przecznic. Według najnowszych rachunków zostały zabite sto trzy osoby, a rannych były dziesiątki. A to był dopiero początek.

Kiedy dotarł na miejsce, dwadzieścia minut zajęło mu przebicie się przez parkujące samochody ekip ratowniczych i gruzy. Było tu tylu

wolontariuszy, którzy zgłaszali się do pomocy, że nikt go nie pytał o przepustkę, identyfikator czy dowód. Przepuszczono go bez problemu. Stał w miejscu, gdzie znajdował się sklep z zabawkami, modląc się ze łzami w oczach, żeby ją znaleźć w tym tłumie.

Po paru minutach ktoś dał mu kask ochronny i powiedział, żeby pomógł wynosić gruz z wnętrza zawałonego budynku. Szedł za jakimiś ludźmi, przerażony tym, co widział. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Maddy jest gdzie indziej i że po prostu zapomniała włączyć komórkę.

A Maddy, zamknięta w swojej jamie, myślała właśnie o nim, napierając znowu z całej siły na betonowy blok. Ku jej zaskoczeniu, tym razem drgnął. Spróbowała jeszcze raz i znowu przesunął się o parę centymetrów. Za każdym razem słabnący głos Anne słychać było coraz bliżej.

- Chyba gdzieś docieram - powiedziała. - Rozmawiaj ze mną. Muszę wiedzieć, gdzie jesteś. Nie chcę pogorszyć sprawy... Czujesz coś? Nie spada na ciebie gruz?

Nie wiedziała, czy jest koło jej głowy, czy nóg, bała się, że straci kawałek betonu na nią lub na dziecko... Ale skłonić Anne, żeby mówiła, było prawie tak samo trudno, jak przesunąć cementową bryłę, więc mówiła do siebie.

Pchała, napierała, drapała... W końcu naparła z taką siłą, że o mało sobie czegoś nie uszkodziła, i ku jej zdumieniu potężny blok ustąpił. Przez szczelinę, która powstała, zdołała precyzyjnie górną część ciała, a potem resztę.

Wiedziała, że dotarła do Anne. Jej głos był tuż, tuż... Lecz najpierw natknęła się na Andy'ego. Leżał, kwiląc, tuż obok ręki matki, która nie mogła go dosięgnąć. Maddy po omacku wzięła dziecko na ręce i przytuliła. Wrzasnęło, przerażone. Przyszło jej na myśl, że jest ranne, położyła je więc z powrotem i podpełzała do Anne.

Dziewczyna milczała. Maddy wymacała ją. Nie była nawet pewna, czy odycha...

- Anne... Anne...

Dotknęła delikatnie jej twarzy i ostrożnie przesunęła dłońmi wzdłuż ciała. Już wiedziała... Górna część ciała dziewczyny przywalona była belką. Ubranie było wilgotne, a więc krwawiła... Nogi przygniatała inna belka. Była przygożdżona do podłoża... Maddy ze wszystkich sił starała

się usunąć belki, ale nadaremnie. Wydawały się cięższe niż beton! Nie wiedziała, że to belki przygniecione betonowymi bryłami.

- Anne! Anne! - powtarzała jej imię, a dziecko obok piszczało. W końcu dziewczyna ocknęła się.

- Gdzie jesteś? - spytała. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało.

- Tutaj. Koło ciebie. Z Andym chyba wszystko w porządku... - W każdym razie w porównaniu z matką...

- Znaleźli nas? - Anne najwyraźniej znowu zaczynała odpływać. Maddy bała się nią potrząsać, żeby nie zaszkodzić jej jeszcze bardziej. Musiała być poważnie ranna.

- Jeszcze nie, ale niedługo znajdą. Zobaczysz... Nie poddawaj się! Znowu wzięła na ręce dziecko i przykucnąwszy, zbliżyła jego buzię do twarzy Anne. Na pewno tak właśnie położono obok niej synka tuż po urodzeniu... Anne zaczęła cicho płakać.

- Ja umrę, prawda?

Nie sposób było szczerze odpowiedzieć na to pytanie... Obie o tym wiedziały. Anne nie była już szesnastolatką. W ułamku sekundy osiągnęła pełną dojrzałość. Równie dobrze mogła mieć sto lat.

- Nie sądzę - skłamała Maddy. - Nie możesz umrzeć. Musisz żyć dla Andy'ego.

- On nie ma ojca - wyznała dziewczyna. - Nie przyznaje się do niego... Powiedział, że go nie chce.

- Moje dziecko też nie miało ojca - Maddy próbowała dodać jej otuchy. Dziewczyna przynajmniej mówiła, a to już było coś. Nagle zdała sobie sprawę, że Lizzie nie miała też matki, i znowu szarpnęło ją poczucie winy, ale tego nie powiedziała Anne.

- Mieszkasz z rodzicami? - spytała, starając się podtrzymać rozmowę. Przytuliła do niej dziecko jeszcze ciaśniej i spostrzegła, że dziewczyna już nie płacze. Żyje? Przybliżyła dłoń do jej nosa i z ulgą wyczuła oddech. Drzemała.

- Uciekłam z domu, jak miałam czternaście lat. Jestem z Oklahomy. Dzwoniłam do mamy i taty, jak Andy się urodził, ale nie chcieli ani jego, ani mnie. Mają jeszcze oprócz mnie dziewięcioro dzieci i mama powiedziała, że ma ze mną same kłopoty... Jesteśmy z Andym na zasiłku.

To była tragedia, ale nie w porównaniu z tym, co wydarzyło się teraz.

Czy ktoś z nich to przeżyje? Czy przeżyje ona sama?... Ciekawe, jak prędko po śmierci zostaną odnalezieni... Nie, Maddy otrząsnęła się. Była zdecydowana do tego nie dopuścić, dla dobra tych dwojga. Dziecko miało prawo do życia i miało też prawo, mieć matkę. Musiała ich uratować.

- Jak będzie duży, opowiesz mu o tym. Pomyśli, że byłaś dzielna i wspaniała. I jesteś... Jestem z ciebie dumna - przelknęła łyżę, myśląc o Lizzie. Odnalazły się po dziewiętnastu latach, a teraz Lizzie znowu mogła ją stracić... Ale nie mogła pozwolić sobie na rozmyślanie o tym. Musiała mieć przytomny, jasny umysł.

Nagle poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. Złękła się, że zabraknie im powietrza. Co wtedy? Czy będą kurczowo łapać oddech, czy po prostu zgasną jak świece? Zaczęła nucić po cichu Anne i dziecku, ale dziewczyna znów zamilkła i w żaden sposób nie można było jej obudzić. Kiedy jej dotknęła, jęknęła, wiedziała więc, że żyje, ale chyba szybko gasła.

Na zewnątrz Bill zdołał w końcu znaleźć jej ludzi. Przedstawił się. Okazało się, że rozmawia z kierownikiem produkcji, z którym mówił już wcześniej przez telefon. Był na miejscu zdarzenia i dyrygował zespołem kamerzystów i dziennikarzy.

- Ona musi tu być - powiedział Bill ponuro. - Powiedziała mi, że potrzebuje papieru do pakowania prezentów i miała zamiar wybrać się na zakupy tutaj.

- Miałem takie przeczucie - przyznał Rafe Thompson - ale pomyślałem, że to bez sensu. No, ale to nieważne... Robią co mogą żeby powyciągać stąd ludzi.

Ciekawy był, skąd Bill ją zna. Po chwili Bill powiedział, że pracowali razem w komisji Pierwszej Damy. Miły facet, pomyślał Rafe. Już parę godzin pomagał w akcji ratunkowej. Brudny, w podartym płaszczu, ręce miał całe w ranach... Wszyscy zresztą byli wyczerpani i zdenerwowani. Minęła północ, a Maddy nadal się nie odnalazła. Rafe rozmawiał parę razy z Jackiem, ale Jack tylko na nich krzyczał ze swojego pokoju w hotelu Ritz Carlton. Nie było w nim śladu współczucia czy niepokoju o Maddy. Powiedział, że na pewno „gdzieś się pieprzy” i że zabije ją, jak się znajdzie. Rafe i Bill obawiali się, że ludzie, którzy podłożyli bombę, już to zrobili... Jak dotąd, nikt się do tego nie przyznawał.



Na razie nie wspominali w swojej transmisji, że Maddy może być zasypana w gruzach zburzonego centrum. Dopóki nie mieli pewności, nie było sensu o tym mówić.

Dochodziła piąta rano. Ratownicy mieli już za sobą ponad osiem godzin nieprzerwanej pracy, gdy natknęli się na mężczyznę imieniem Mike. Był cały we krwi. Przekopał się przez gruzy, robiąc tunele i jaskinie, i zdołał uratować dzięki temu czworo ludzi. Powiedział ratownikom, że w gruzach są jeszcze dwie kobiety, do których nie mógł się dostać, i że jedna z nich ma dziecko. Nazywają się Maddy i Anne. Zanim zabrała go karetka, wytłumaczył ratownikom, najlepiej jak mógł, gdzie mają ich szukać.

Rafe dowiedział się o tym w parę chwil później i natychmiast poszedł podzielić się wieścią z Billem. Tymczasem ratownicy, idąc za mglistymi wskazówkami Mike'a, z powrotem zagłębili się w gruzy.

- Ona tam jest - powiedział ponuro Rafe.

- O Boże... Znaleźli ją? - Bill bał się spytać, czy jest żywa, czy martwa. Mina Rafe'a nie dodawała otuchy.

- Jeszcze nie. Tylko co wyciągnęli jakiegoś faceta, który powiedział, że zostały tam dwie kobiety, do których nie mógł się dostać... i jedna z nich to Maddy. Powiedziała mu, że jest dziennikarką telewizyjną i że pracuje w naszej sieci.

Potwierdziły się ich najgorsze obawy... A mogli tylko czekać. Kolejne dwie godziny patrzyli, jak ratownicy zbierają zwłoki, przenoszą do karetek uratowanych ludzi bez kończyn, jak znosi się na bok martwe dzieci i pokazuje szlochającym rodzicom, żeby je zidentyfikowali. O siódmej Bill po prostu stał i płakał. To, że jeszcze żyła, było niemożliwe. Minęło prawie jedenaście godzin... Może powinien zadzwonić do Lizzie? Ale nie mógł jej powiedzieć nic nowego. Cały kraj wiedział już o tragedii. To była robota szaleńców.

Rafe i Bill siedzieli na jakimś sprzęcie, kiedy przybył nowy zespół ratowników. Pracownik Czerwonego Krzyża podał im plastikowe kubki z kawą. Rafe z wdzięcznością wziął kubek, ale Bill nie był w stanie nic przełknąć.

Rafe nie pytał go więcej o jego stosunki z Maddy, ale w miarę jak mijala noc, było coraz bardziej oczywiste, jak Billowi na niej zależy.

- Nie przejmuj się... Na pewno w końcu ją znajdą - pocieszał go Rafe i

bardzo mu współczuł. Pytanie tylko, czy do tego czasu będzie jeszcze żyła... Obu dręczyła ta myśl.

Maddy siedziała w kucki w swojej jaskini, tuląc dziecko. Ratownicy nie przybywali. Anne już od paru godzin zamilkła. Maddy nie wiedziała, czy dziewczyna zasnęła, czy umarła, ale wszelkie wysiłki, by skłonić ją do mówienia, były bezowocne. Nie miała pojęcia, która może być godzina, jak długo tu siedzą... Wreszcie, kiedy dziecko przebudziło się i zapłakało, matka usłyszała je.

- Powiedz mu, że go kocham... - szept Anne był jak nie z tego świata.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, a sama mu to powiesz. - Maddy starała się, żeby zabrzmiało to optymistycznie, ale jej nie wyszło. Brakowało jej powietrza, chwilami sama traciła świadomość... Instynktownie ścisnęła w objęciach dziecko.

- Chciałabym, żebyś się nim zajęła zamiast mnie - szepnęła Anne i znów na długą chwilę zamilkła. - Kocham cię, Maddy... Dziękuję ci, że byłaś tu ze mną. Bez ciebie strasznie bym się bała.

Maddy sama się bała, nawet z Anne i jej dzieckiem... Łzy popłynęły jej z oczu. Nachyliła się i pocałowała ranną w policzek, myśląc o Lizzie.

- Ja też cię kocham, Annie... Bardzo cię kocham. Musisz wyzdrowieć. Niedługo nas stąd wydostaną. Poznam cię z moją córką...

Anne skinęła głową tak jakby jej wierzyła, i uśmiechnęła się w ciemności. Maddy wyczuła to, choć nie mogła zobaczyć.

- Moja mama nazywała mnie Annie... Wtedy mnie jeszcze kochała - powiedziała ze smutkiem.

- Jestem pewna, że nadal cię kocha. I Andy'ego też pokocha, jak tylko go zobaczy.

- Nie chcę, żeby wzięła Andy'ego - głos dziewczyny był teraz znacznie silniejszy, zdecydowany. - Chcę, żebyś ty się zajęła moim dzieckiem. Obiecuj mi, że będziesz go kochać...

Maddy stłumiła szloch. Wiedziała, że nie mogą sobie pozwolić na taką stratę powietrza i energii. Właśnie miała coś odpowiedzieć, gdy nagle usłyszała w oddali głosy, mocne, donośne, i zdała sobie sprawę, że wołają ją po imieniu.

- Słyszysz nas, Maddy? Maddy Hunter... Anne... słyszycie nas? Chciało jej się płakać z nagłego wzruszenia i podniecenia. Wrzasnęła najgłośniejszym głosem, jak mogła:

- Słyszemy was! SŁYSZYMY WAS! Jesteśmy tutaj! - Głosy przybliżyły się. Maddy mówiła szybko do Anne: - Idą po nas, Annie. Trzymaj się... Już za parę minut zabiorą nas stąd... - Ale Anne chyba znowu odpływała w sen. Dziecko zapłakało. Było głodne, zmęczone, wystraszone. Maddy też.

Głosy rozbrzmiewały coraz bliżej. W końcu słychać je było tuż-tuż. Maddy powiedziała, kim jest, i opisała w miarę możliwości miejsce, uwięzienia, i stan Anne, starając się, żeby jej nie wystraszyć do reszty. Dodała, że sama czuje się dobrze i trzyma na rękach dziecko.

- Czy dziecko jest ranne? - spytał inny głos, próbując ustalić, jaka pomoc jest potrzebna.

- Nie wiem, ale chyba nie. I ja też nie. - Jeśli nie liczyć wielkiego guza na czaszce i potwornego bólu głowy... Matka dziecka to osobna sprawa.

Choć wiadano już, gdzie są, uwolnienie ich trwało kolejne półtorej godziny. Trzeba było centymetr po centymetrze usuwać gruz i betonowe bloki. Ratownicy obawiali się, że jeśli będą działać zbyt szybko, cała struktura może runąć i wszystkich przywalić. Maddy wydała okrzyk ulgi i bólu, kiedy przez otwór wielkości spodka zaświecił jej w oczy potężny snop światła. Nie mogła powstrzymać łkania... Powiedziała Anne, co się stało, ale nie było odpowiedzi.

Otwór powiększał się. Ratownicy cały czas z nią rozmawiali. Po pięciu minutach mogła już podać im Andy'ego. Dopiero teraz, gdy oświetlono go latarką, zobaczyła, jaki jest brudny... Na policzku miał zaschniętą krew z niewielkiego skaleczenia, ale z szeroko otwartymi oczkami, wydał się Maddy śliczny jak obrazek. Pocałowała dziecko i powierzyła je silnym męskim dłoniom, które wzięły je i zniknęły. Zostało jednak czterech innych ratowników, żeby zająć się nią i Annie.

Upłynęło kolejne pół godziny. Otwór powiększył się na tyle, że Maddy mogła już przez niego przepęłzać. Zanim to zrobiła, odwróciła się i dotknęła ręki Annie. Dziewczyna wciąż była nieprzytomna, na szczęście dla niej. Wydobyć jej zapowiadało się na ciężką, niewdzięczną pracę. .. Dwóch mężczyzn zajęło się Anne, a Maddy prześliznęła się na drugą stronę i popęzła za trzecim ku wyjściu. Tu potężne ramiona dźwignęły ją i niosły ponad potrzaskanymi betonowymi blokami, zwałami gruzu i pogiętymi stalowymi prętami, sterczącymi zewsząd niczym diabelski las, i zanim zdała sobie z tego sprawę, zalało

ją jasne światło dnia.

Była dziesiąta rano. Minęło czternaście godzin, odkąd została uwięziona w ruinach zburzonego centrum. Usiłowała dowiedzieć się od kogoś, czy z dzieckiem wszystko w porządku, ale panował taki chaos, że nikt jej nie słyszał. Wciąż wyciągano z gruzów rannych, wynoszono przykryte płachtami zwłoki. Zapłakani ludzie czekali na wiadomości o krewnych, ratownicy krzyczeli do siebie nawzajem... Inagle pośród tego wszystkiego zobaczyła go. Bill stał, czekając na nią, niemal tak samo brudny jak ona. Zobaczywszy ją, ze szlochem rzucił się ku niej i prawie wyrwał ją niosącemu. Przywarł do niej z płaczem i ścisnął kurczowo w objęciach, również łkającą. Nie było słów, które by mogły wyrazić, co przeszedł, jak strasznie się o nią bał... Przekazanie sobie tego nawzajem miało zająć im całe lata. Teraz była tylko ta niezapomniana chwila niezwyklej ulgi i zjednoczenia.

- Dzięki Bogu - wyszeptał i poprowadził ją ostrożnie do sanitariuszy. Wyglądało jednak na to, że jakimś cudem nic jej się nie stało. Zapominając na moment o Billu, choć nadal ściskając go za rękę, zaczęła jednego z ratowników:

- Co z Annie? W porządku?

- Pracują nad tym - powiedział chmurnie. Zbyt wiele widział tej nocy, tak jak oni wszyscy... Ale każdy uratowany to było zwycięstwo. Każdy, kto przeżył, był darem, o który się modlili.

- Niech pan jej powie, że ją kocham - powiedziała Maddy impulsywnie i zwróciła się z powrotem do Billa. W oczach mieli wszystko to, co czuli. Przez jedną straszną chwilę myślała, że być może to, co się stało, to kara za miłość, do której ona nie ma prawa... Ale odepchnęła tę myśl, jakby to był usiłujący ją zmiażdżyć buldożer. Nie pozwoli mu na to, tak jak nie pozwoliła, żeby betonowe ściany ich mikroskopijnej jaskini przywały Annie i jej dziecko. Była teraz jego. Miała do tego prawo. Po to przeżyła. Dla niego. I dla Lizzie.

Wsadzono ją do karetki. Bill bez wahania wszedł za nią. Wyglądając przez tylną szybę, zobaczył Rafe'a, który patrzył na nich i płakał. Cieszył się ich szczęściem.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Wszpitalu umieszczono Maddy na oddziale urazowym, gdzie leżeli uratowani z katastrofy. Natychmiast zapytała o dziecko. Powiedziano jej, że ma się dobrze. Lekarze byli zdumieni, że Maddy nie ma żadnych złamań ani obrażeń wewnętrznych. Poza ogólnym wstrząsem miała tylko guz na głowie, parę zadrapań i niewielkich siniaków. Bill nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu... Kiedy usiedli, opowiedział jej, co dotąd wiadomo było o wypadku. Grupa bojówkarzy podłożyła bombę. Godzinę temu powiadomili prezydenta, że ma to być ich protest wobec polityki rządu. Brzmiało to jak bełkot szaleńca... Zabili ponad trzysta osób, w większości dzieci. Czysty horror... Maddy wstrząsnął dreszcz.

Opowiedziała Billowi, co widziała, zanim zapadł się sufit, i jak było, kiedy siedziała zamknięta w betonowej pułapce z Annie i jej dzieckiem. Martwiła się o Annie, ale nie aż tak, jak Bill martwił się wcześniej o nią. Dokładnie to samo przeżył wtedy z Margaret. Maddy współczuła mu. Nikt nie powinien przechodzić przez coś takiego dwa razy w życiu.

Porozmawiali jeszcze parę minut, lekarze chcieli jej zrobić parę dodatkowych badań na wszelki wypadek. Oboje się zgodzili, że Bill musi już iść, bo mógł ją odwiedzić Jack. Bill nie chciał przysparzać Maddy żadnych kłopotów.

- Wrócę za parę godzin - powiedział. Schylił się i pocałował ją. - Trzymaj się.

- Ty też. Prześpij się trochę. - Pocałowała go jeszcze raz i niemal się zmusiła, żeby puścić jego rękę.

Wyszedł i zabrano ją na badania, a gdy wróciła na salę, pojawił się Rafe z zespołem wiadomości. Przysłał ich Jack. Rafe nie powiedział Maddy, za jakiego sukinsyna uważa jej męża, który nie przyszedł odwiedzić jej sam. Nie zadawał też żadnych pytań o Billa. Nie musiał... Poza tym cokolwiek działo się między tymi dwojgiem, było dla niego jasne, że facet naprawdę kocha Maddy, a teraz widział równie jasno, że Maddy kocha jego.

Zrelacjonowała im, jak mogła, co przeżyła. Powiedziała też przed kamerą, jaka dzielna była Annie.

- Ma tylko szesnaście lat - powiedziała z dumą i zobaczyła dziwny błysk w oczach Rafe'a.

- Co z nią, Rafe? - spytała, kiedy wyłączono kamerę. - Słyszałeś coś?

Zawahał się. Chciał skłamać, ale nie potrafił. Byłoby nie w porządku wobec niej, gdyby milczał, zresztą i tak by się dowiedziała.

- Z dzieckiem chyba wszystko dobrze, Mad. Ale jego matki nie dali rady stamtąd wyciągnąć.

- Co to znaczy „nie dali rady wyciągnąć”? - niemal zaskrzeczała. Czternaście godzin utrzymywała ją przy życiu, a teraz jej mówią, że nie zdołali dziewczyny wyciągnąć? To niemożliwe. Nie chciała w to wierzyć.

- Musieliby użyć dynamitu. Była w śpiączce, kiedy cię wyprowadzili, Maddy. Dali jej zastrzyk na podtrzymanie życia, ale w pół godziny później umarła. Miała zmiążdżone płuca i taki krwotok wewnętrzny, że lekarze z pogotowia powiedzieli, że i tak nie byłoby w stanie jej uratować.

Maddy zawyla jak zwierzę. To było nie do zniesienia... Miała wrażenie, że dziewczyna była jej własnym dzieckiem. I co się teraz stanie z Andym? Rafe powiedział, że nic o tym nie wiadomo. Wkrótce potem wyszli, żeby mogła odpocząć. Ale na pożegnanie Rafe, który przelykał łzy, wyraził swoją radość, że ocalała.

Wszyscy się cieszyli. Lizzie rzewnie płakała, kiedy Maddy zadzwoniła do Memphis, by jej powiedzieć, że jest cała i zdrowa. Całą noc nie spała, oglądając transmisję z miejsca katastrofy, i kiedy nie zobaczyła Maddy przed kamerą, zadzwoniła do niej do domu, ale nikt nie odpowiadał. W jakiś sposób czuła, że Maddy jest uwięziona w gruzach.

Zadzwoniła Phyllis Armstrong i powiedziała, że i jej, i Jimowi kamień spadł z serca, kiedy dowiedzieli się, że Maddy wyszła z tego cała. Była wstrząśnięta tragedią zwłaszcza śmiercią tyłu dzieci. Obie się popłakały. Po rozmowie Maddy spytała pielęgniarkę o Andy'ego. Nadal był w szpitalu, pod obserwacją i miał w nim zostać jeszcze przez parę dni.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Maddy wstała po cichu i poszła na oddział dziecięcy. Andy wyglądał już prawie jak każde niemowlę. Maddy spytała, czy może go potrzymać. Był wykąpany, uczesany... Miał blond włoski i duże niebieskie oczy, pielęgniarki zawinęły go w niebieski kocyk. Jego uroda była wprost nieskazitelna i Maddy, patrząc na niego, mogła sobie wyobrazić, jak ładna musiała być Annie. Kiedy trzymała go na rękach, miała w głowie jedno: Annie. Annie prosiła ją żeby zajęła się

jej dzieckiem... Czekał je ten sam los, co jej własne dziecko; życie od sierocińca do sierocińca, od rodziny zastępczej do rodziny zastępczej, wśród obcych, bez rodziców, którzy by je kochali i uważali za swoje... Maddy czuła, że boli ją serce.

Wtem dziecko spojrzało na nią jakby świadomie. Czyżby rozpoznawało głos, który mu nucił? Po chwili wyraz zainteresowania zniknął i zasnęło w jej ramionach. Maddy myślała o Annie i płakała. Co za dziwne zrządzenie losu zetknęło je ze sobą w rumowisku... Ostrożnie położyła chłopczyka z powrotem do szpitalnego łóżeczka i wciąż płacząc nad Annie, wróciła do siebie.

Była zeszytywniała, bolało ją całe ciało, ale nie miała żadnych obrażeń. Zdała sobie sprawę, jak niewiarygodne miała szczęście... Wpatrywała się w okno i myślała, jakie to dziwne, że bez żadnej widocznej przyczyny, bez żadnego sensu śmierć jednych oszczędza, a innych zabiera.

Trudno zgadnąć, dlaczego ona znalazła się wśród wybrańców, a Annie nie... Miała przecież przed sobą o tyle więcej życia niż Maddy. I gdy rozmyślała o tajemnicy życia, do sali z poważną miną wkroczył Jack.

- Myślę, że tym razem nie muszę pytać, gdzie byłeś całą noc, Maddy.  
- To „tym razem” było niepotrzebne, ale typowe dla niego. - Jak się czujesz?

Wyglądał na skrepowanego i był skrepowany. Długo nie wierzył, że Maddy jest uwięziona w gruzach, brzmiało to dla niego jak histeria. Był zaskoczony, kiedy się okazało, że naprawdę była pod gruzami, ale z ulgą przyjął wiadomość, że przeżyła.

- Musiało być ostro - powiedział. Nachylił się i pocałował ją. Pielęgniarka wniosła wielki wazon z kwiatami od państwa Armstrong.

- Tak, strachu było sporo - odparła w zamyśleniu. Jack był mistrzem umniejszania, ale ten wypadek trudno było umniejszyć. Uwięzienie przez czternaście godzin w gruzach wysadzonego w powietrze budynku to niewątpliwie duży uraz, jakkolwiek Jack by to nazywał... Pomyślała, że może by powiedzieć mu o Annie i dziecku, ale zrezygnowała. Nie zrozumiąłby.

- Wszyscy się o ciebie martwili. Myślałem, że gdzieś po prostu poszłaś... Nie przypuszczałem, że możesz tam być. Skąd się tam wzięłaś?

- Chciałam kupić papier do pakowania - powiedziała po prostu, nie spuszczając z niego oczu. Wycofał się do przeciwnego kąta pokoju,

jakby chciał zachować dystans, i ona też wolała dystans ze względu na własne bezpieczeństwo.

- Przecież nie znosisz centrów handlowych - zauważył, tak jakby to mogło coś zmienić.

Uśmiechnęła się.

- I chyba już wiem dlaczego. Są niebezpieczne jak cholera. Roześmieli się oboje, ale napięcie nie zmalało. Nie zdążyła jeszcze sobie tego wszystkiego uporządkować, ale nawet tam, uwięziona w gruzach, starając się podtrzymać Anne na duchu, myślała o tym. To tam przyszło jej do głowy, że jeśli z tego wyjdzie, będzie miała za sobą największe zagrożenie w życiu. Niepotrzebne jej były dalsze, nie chciała wystawiać się na kolejne niebezpieczeństwa, nie chciała już więcej ryzykować. Stała twarzą w twarz z największym wrogiem: patrzyła śmierci w oczy. Nie było już potrzeby karać siebie samej i obiecała sobie, że nie będzie karać. Patrząc na niego teraz, gdy siedział, skrępowany, w drugim końcu pokoju, wiedziała, że naprawdę nie będzie, bo nie może. Nie było w nim nawet tyle uczucia, żeby przejść przez pokój, wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że ją kocha... Nie potrafił. Prawdopodobnie kochał ją tak jak umiał, ale to niewiele zmieniało.

Jakby wyczuwając, że dzieje się między nimi coś dziwnego, Jack wstał, podszedł do niej i wręczył jej ozdobnie opakowane pudełko. Wzięła je bez słowa i otworzyła. Wewnątrz leżała cienka diamentowa bransoletka. Była śliczna i Maddy podziękowała. Nie wiedziała, że tego ranka, gdy opuszczał hotel, kupił dwie takie bransoletki: jedną dla niej, za to, co przeszła, a drugą dla dziewczyny, z którą spędził noc. Ale nawet nie wiedząc o tym, Maddy oddała mu bransoletkę. Twarz miała poważną.

- Nie mogę jej przyjąć. Przykro mi, Jack.

Oczy Jacka zwęziły się. Czuł, że ofiara wyslizguje mu się z rąk... Przez chwilę myślała, że skoczy i chwyci ją.

- Dlaczego?

- Odchodzę od ciebie.

Ją samą zaskoczyły te słowa, ale nie tak jak Jacka. Wyglądał, jakby go uderzyła.

- O czym ty mówisz, do diabła? - Jak zwykle przykrym zachowaniem usiłował pokryć własne grzechy i własną słabość.

- Dłużej już nie mogę.



- Czego? - spytał. Nie chciał po prostu przyjąć do wiadomości tego, co powiedziała, i wyjść... Chodził tam i z powrotem po pokoju. Wyglądał jak tygrys czyhający na ofiarę, ale już nie bała się go tak jak kiedyś. A poza tym wiedziała, że tu jest bezpieczna. Tuż za drzwiami byli ludzie. - Czegóż to dłużej nie możesz? Żyć w luksusie? Jeździć do Europy dwa razy w roku? Latać prywatnym samolotem? Dostawać klejnoty, ile razy jestem tak głupi, żeby ci je kupować? Rzeczywiście, to koszmar dla dziwki z Knoxville...

Znowu.

- Mylisz się, Jack - powiedziała znużonym głosem, odchylając się na poduszkę. - Nie jestem dziwką z Knoxville. I nigdy nie byłam. Nawet wtedy, kiedy byłam biedna i nieszczęśliwa.

- Bzdura. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek miała coś wspólnego z przywoitym środowiskiem albo chociaż wiedziała, jak ono wygląda. Do diabła, przecież ty już jako gówniara byłaś kurwą. Popatrz na Lizzie...

- Właśnie. Popatrz na nią i ty. To wspaniała dziewczyna i uczciwy człowiek, choć dzięki mnie nie miała żadnych szans. Mam dług wobec niej. I wobec siebie samej.

- Masz dług wobec mnie. To mnie wszystko zawdzięczasz. Zdajesz sobie chyba sprawę, że jak mnie zostawisz, natychmiast wylatujesz z pracy. - Jego oczy błysnęły jak stal.

- Być może. Zajmą się tym moi prawnicy, Jack. Mam podpisaną umowę. Nie możesz mnie tak po prostu wyrzucić bez wypowiedzenia czy rekompensaty.

Walcząc o życie w rumowisku, stała się mądrzejsza i odważniejsza. Czyżby naprawdę sądził, że to, co mówi, może ją skłonić do pozostania? A jednak kiedyś by mogło... Kiedyś dałaby się zastraszyć. Taka była niewesoła prawda.

- Nie groź mi. Nie dostaniesz ode mnie złamanego grosza. I nie zapominaj o intercyzie. Wyjdiesz z mojego domu goła i bosa. Wszystko należy do mnie, nawet twoje pieprzone rajstopy... Jak sobie pójdiesz, Maddy, zostaniesz w tej szpitalnej koszuli na grzbiecie.

- Czego ty ode mnie chcesz? - spytała ze smutkiem. - Dlaczego chcesz, żeby z tobą została? Przecież mnie nienawidzisz.

- Nienawidzę cię, bo mam powody. Okłamujesz mnie. Oszukujesz na

każdym kroku. Wiem, że masz faceta, który dzwoni do ciebie codziennie... Myślisz, że jestem głupi, do jasnej cholery?

Głupi nie. Podły... Tego mu jednak nie powiedziała. Była odważna, ale nie szalona.

- To nie jest mój facet. Byliśmy dotąd tylko przyjaciółmi. Nigdy cię nie okłamywałam, Jack. Jedyne moje kłamstwo to Lizzie.

- Dość poważne, powiedziałbym... A mimo to chcę ci wybaczyć. To ja tu jestem ofiarą, nie ty. Ja zostałem wyrolowany w tym interesie, a jednak godzę się dalej cię znosić. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście... Poczekaj tylko, a zobaczysz. Wylądujesz z powrotem razem ze swoim bękartem w jakiejś zaszrannej pipidówie, w Memphis czy innym Knoxville, i będziesz zdychać z głodu. Będziesz mnie błagać, żebym ci pozwolił wrócić...

W oczach miał coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Nagle przypomniała sobie, co mówiono jej w grupie wsparcia: kiedy poczuje, że ofiara wymyka mu się z rąk, zrobi wszystko, żeby ją zatrzymać. Dosłownie wszystko.

- Nie odejdziesz ode mnie, Mad - powiedział, stając nad nią. Zadrżała. - Nie masz jaj, żeby to zrobić. I za mądra jesteś na to... Nie ciśniesz za okno tego jedwabnego życia i całej swojej kariery, prawda?

Przypochlebiał się i groził... W jego spojrzeniu była jawna pogrózka.

- A może oberwałaś w głowę czymś ciężkim tej nocy, co? Może dlatego opowiadasz te bzdury? Może powinienem wbić ci ręcznie trochę oleju do głowy, żebyś zaczęła znowu mówić z sensem? Jak myślisz, Maddy?

Zawrzało w niej. Poczwała, że jeśli tknie ją palcem, zabije go. Nie, dość tego! Nie pozwoli się już dręczyć, upokarzać, wdeptywać w ziemię, przekonywać, że jest śmieciem i że zasługuje na to wszystko, co z nią wyprawiał. Jej spojrzenie przeraziłoby go, gdyby był w stanie je odczytać.

- Jeśli tkniesz mnie palcem, tu czy gdziekolwiek indziej, przysięgam, że cię zabiję. Dostyc już gówna wylałeś na mnie, Jack. Traktowałeś mnie jak ścierkę, ale to się skończyło. Odchodzę. Znajdź sobie kogoś innego do poniewierania i znęcania się.

- Patrzcie, patrzcie... Duża dziewczynka grozi tatusiowi. Biedactwo... Czyżbym cię przestraszył, Mad? - spytał ze śmiechem. Ona jednak stała

już obok łóżka, twarzą w twarz z nim. Przyszedł czas. Gra się skończyła.

- Nie, nie przestraszyłeś mnie, ty skurwysynu. Rzygać mi się chce na twój widok. Wynoś się Jack, albo zawołam ochronę, żeby cię wyrzuciła.

Stał, nie spuszczając z niej oka. Po chwili podszedł tak blisko, że mogłaby policzyć włoski w jego brwiach, gdyby jej na tym zależało.

- Mam nadzieję, że zdechniesz, przekłeta dziwko. I zdechniesz. Mam nadzieję, że niedługo. Zasłużyłaś na to.

Nie była pewna, czy to nie otwarta pogrożka, i przestraszyła się, ale nie na tyle, żeby zmienić decyzję. Kiedy odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi, przez jedną obłąkaną chwilę chciała rzucić się za nim i błagać, żeby jej przebaczył. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. To jej chora część chciała zawrócić z drogi, przeżywać znów męki poczucia winy, pragnąć jego miłości bez względu na cenę, jaką trzeba by za nią płacić... Ale ta chora część już nad nią nie panowała. Maddy stała nieporuszona, w milczeniu odprowadzając go wzrokiem.

Kiedy wyszedł, ze szlochem rzuciła się na łóżko. Szarpał ją ból, poczucie winy i świadomość straty. Mimo całej nienawiści do niego, mimo że był dla niej tak okrutny, mimo że chciała i musiała się od niego odciąć, wiedziała, że nigdy go nie zapomni, a on nigdy jej nie przebaczy.

## Rozdział dwudziesty drugi

Maddy znowu poszła na oddział noworodków zobaczyć Andy'ego. Powiedziano jej, że rano była u niego pracownica socjalna i że jutro mają go zabrać i umieścić tymczasowo w rodzinie zastępczej, zanim załatwią mu jakieś stałe miejsce.

Maddy wróciła na salę z ciężkim sercem. Wiedziała, że więcej go nie zobaczy, tak samo jak to było kiedyś z Lizzie. Ale z Lizzie Bóg dał jej jeszcze jedną szansę i może Andy i jego matka znaleźli się w jej życiu nieprzypadkowo.

Rozmyślała całe popołudnie, a kiedy przyszedł Bill, porozmawiali o tym. Bill wiedział o wizycie Jacka poprzedniego dnia i czuł ulgę i niepokój zarazem. Obawiał się, żeby Jack nie wrócił i nie zrobił jej krzywdy. Nie było wiadomo, na co go będzie stać, teraz, kiedy wiedział już, że żona go opuszcza... Bill nalegał, żeby była ostrożna. Obiecał kupić jej potrzebną odzież, Maddy zamierzała pójść do domu po swoje rzeczy, gdy wyjdzie ze szpitala. Na prośbę Billa zgodziła się tam iść w towarzystwie ochroniarza z telewizji, którego miała wynająć. Ale nie bała się Jacka. Czowała się zadziwiająco wolna. I chociaż to, że musiała mu powiedzieć, co powiedziała, było bolesne, ze zdumieniem spostrzegła, że wcale nie ogarnęło jej poczucie winy. Wiedziała, że w którymś momencie ono wróci, uprzedzono ją o tym, ale była przekonana, że postąpiła słusznie. Jack to był rak, który by ją zabił, gdyby mu na to pozwoliła... Niepokoiła się tylko o synku Annie.

- Wiem, że to szaleństwo - powiedziała w końcu do Billa - ale obiecałam jej, że się nim zaopiekuję. Chyba powinnam przynajmniej powiedzieć pracownikowi socjalnemu, że chciałabym wiedzieć, gdzie go umieszczą...

Bill był tego samego zdania. Później rozmawiali o katastrofie. Zatrzymano już jednego ze sprawców, dwudziestoletniego chłopaka o kryminalnej przeszłości, leczonego wcześniej psychiatrycznie. Podobno zrobił to do spółki z dwoma kolegami, których jeszcze nie złapano. Wszędzie odbywały się nabożeństwa za poległych w katastrofie, a były one tym smutniejsze, że zbliżały się święta.

Bill zastanawiał się, czy by nie zrezygnować z wyjazdu do Vermont i nie zostać w mieście, żeby móc być z nią.

- Nie martw się o mnie. Wszystko będzie dobrze - uspokajała go. Czowała się zaskakująco dobrze. Zdecydowała już, że przeprowadzi się do Lizzie, która przyjeżdżała za tydzień i miały razem spędzić święta. Maddy nie miała nic przeciw temu, by spać w jednym pokoju z Lizzie, przynajmniej na razie.

- Możesz zamieszkać u mnie, jeśli tylko chcesz - powiedział z nadzieją. Uśmiechnęła się, a on ją pocałował. Od czasu katastrofy był dla niej nadzwyczajny.

- Dziękuję ci za propozycję, ale nie jestem pewna, czy jesteś gotów dzielić z kimś sypialnię.

- Nie o to mi właściwie chodziło - powiedział, czerwieniąc się leciutko. Lubiła tę subtelność i delikatność. Mieli dużo czasu i wiele do odkrycia o sobie nawzajem, ale nie chciała się zanadto spieszyć. Ona musiała wyleczyć się z urazów po życiu w przemocy, z dziewięciu lat u boku Jacka, on wciąż przeżywał żalobę po Margaret. Ale była w nich obojgu przestrzeń, którą mogli ofiarować sobie nawzajem. Maddy nie była pewna, gdzie trafi Andy, wiedziała jednak, że chce zrobić w swoim życiu miejsce i dla niego - nawet gdyby to miały być tylko okazjonalne wizyty - i dotrzymać obietnicy danej jego matce. Nie chciała o niej zapomnieć.

Wieczorem powiedziała o tym Lizzie przez telefon. Lizzie była tak wystraszona wypadkiem, że dzwoniła do matki parę razy dziennie.

- Czemu go nie zaadoptujesz? - spytała z dziesięcioletnią prostotą. Maddy odparła, że to śmieszne. Nie miała teraz męża, mogła stracić pracę, nie miała nawet własnego mieszkania... Ale kiedy skończyły rozmowę, pomysł zaczął przetaczać się w jej głowie niczym szklana kulka w pudełku po butach. O trzeciej nad ranem wciąż jeszcze nie spała. Wstała, poszła na oddział dziecięcy i wzięwszy Andy'ego na ręce, usiadła w bujanym fotelu. Spał spokojnie w jej ramionach, gdy przyszła pielęgniarka i powiedziała, że powinna być w łóżku. Maddy jednak nie mogła odejść. Miała wrażenie, że coś silniejszego od niej popycha ją ku temu dziecku, i nie mogła się dłużej opierać.

Rano nerwowo czekała w holu na pracownicę socjalną. Poprosiła ją o chwilę rozmowy i powiedziała, o co jej chodzi. Kobieta, zaskoczona, spojrzała na nią z zainteresowaniem.

- To była z pewnością dla pani chwila pełna emocji, pani Hunter.

Wasze życie było w wielkim niebezpieczeństwie. Nikt nie może oczekiwać od pani dotrzymania podobnej obietnicy. To poważna decyzja...

- Wiem - odparła Maddy. - Ale chodzi nie tylko o to... Nie wiem co to jest... ale chyba się w nim zakochałam.

- To, że pani jest samotna, nie stanowi formalnej przeszkody. Ale może być pani trudno.

Maddy nie wspomniała, że chyba straci pracę. Miała dosyć zaoszczędzonych pieniędzy na koncie, żeby przez jakiś czas czuć się bezpiecznie. Miała też wygodne gniazdko dla siebie i Lizzie, a nawet i dla Andy'ego.

- Czy to znaczy, że chce go pani zaadoptować? - spytała kobieta.

- Chyba tak - w sercu Maddy wezbrała fala miłości do maleństwa. Czują, że byłoby to słuszne, nawet gdyby inni sądzili inaczej. Nie miała pojęcia, co powie Bill, ale nawet dla niego nie wyrzekłaby się teraz swoich marzeń. Musiała robić to, co sama uważała za dobre dla siebie... A jeśli się okaże, że odpowiada to im obojgu, będzie to błogosławieństwo dla wszystkich, nie tylko dla niej i dziecka. Ale chciała Billa przynajmniej zapytać, co o tym sądzi.

- Ile mam czasu na decyzję? - spytała.

- Niewiele. Umieszczamy go czasowo w rodzinie zastępczej. Ci ludzie pomagali nam już wcześniej, ale nie są zainteresowani adopcją. Robią to z dobrego serca, ze względów religijnych. Ale takie dziecko nie poczeka długo. Jest zdrowe, białe, ma osiem tygodni... Będzie mnóstwo chętnych, żeby je zaadoptować. W dzisiejszych czasach nie ma takich za wiele.

- Proszę pozwolić mi pomyśleć. Czy przysługiwałoby mi jakieś pierwszeństwo?

- Andy mógłby być pani bardzo szybko, pani Hunter, dopóki nie ma rodziny, która byłaby nim zainteresowana, a właśnie jej poszukujemy.

Maddy skinęła głową. W parę minut później pracownica socjalna wyszła, zostawiając jej wizytówkę. Po jakimś czasie Maddy z bólem serca zajrzała znowu na oddział dziecięcy. Wiedziała, że Andy'ego już tam nie będzie.

Była przygnębiona, kiedy przyszedł ją odwiedzić Bill. Kupił jej popielate spodnie, niebieski sweter, mokasyny i trochę bielizny, a także nowy płaszcz, przybory toaletowe i kosmetyczne i nocną koszulę.

Pochwaliła go, że tak dobrze się spisał. Wszystko pasowało jak ulał. Nazajutrz wychodziła ze szpitala i zgodziła się zatrzymać u niego, dopóki nie urządzi mieszkania Lizzie. Przypuszczała, że potrwa to około tygodnia. Poza tym musiała zabrać swoje rzeczy od Jacka, wrócić do pracy... Miała mnóstwo do zrobienia. Siedziała, rozmawiając z Billem o tym wszystkim, a w końcu powiedziała o dziecku. Zwierzyła się, że myśli o adopcji. Bill wyglądał na zaskoczonego.

- Naprawdę? Jesteś pewna, że tego chcesz, Maddy?

- Nie do końca. Właśnie dlatego z tobą o tym rozmawiam... Nie jestem pewna, czy to najbardziej szalony pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł mi do głowy, czy najlepsza rzecz, jaką bym w życiu zrobiła. ..iw ogóle, co mam robić. Po prostu nie wiem - spojrzała na niego bezradnie.

- Najlepszą rzeczą jaką kiedykolwiek zrobiłaś, było odejście od Jacka - powiedział zdecydowanie. - A to może być druga najlepsza rzecz, po Lizzie - uśmiechnął się. - Ale muszę powiedzieć, że zabiłaś mi klina, Maddy.

Zdał sobie jasno sprawę, o ile jest od niej starszy. Przepadał za swoimi dziećmi, kiedy były małe, i uwielbiał teraz wnuki, ale brać w jego wieku odpowiedzialność za maleństwo... To było więcej, niż oczekiwał.

- Nie wiem, co ci poradzić - powiedział szczerze.

- Ja też nie wiem... Nie wiem, czy cię pytam, czy ci się zwierzam... choć to właściwie bez różnicy. Przecież nie mamy jeszcze pojęcia, jak ułoży się między nami, jeśli w ogóle się ułoży... niezależnie od tego, że się kochamy.

Była szczerą, i właśnie to w niej uwielbiał. To, co powiedziała, było prawdą. Kochał ją, ale żadne z nich nie wiedziało na razie, czy to będzie związek na całe życie, czy na jakiś czas. To był dopiero początek. Nawet nie byli jeszcze razem w łóżku, choć perspektywa była pociągająca... Dziecko to ogromne zobowiązanie. W tej sprawie byli zgodni.

- Przez całe życie - starała się mu to jakoś wyjaśnić - to inni mi dyktowali, jak mam w tej sprawie postępować. Tak samo zresztą jak w każdej innej... Rodzice zmusili mnie, żebym oddała Lizzie. Bobby Joe zmusił mnie do paru skrobanek, a potem już robiłam je sama, bo nie chciałam mieć z nim dzieci. Jack nie życzył sobie dzieci i pod jego wpływem dałam sobie podwiązać jajowody. Potem zabronił mi widywać

się z Lizzie. A teraz pojawia się to dziecko... Chciałabym mieć pewność, że robię to, czego naprawdę chcę, co jest dobre dla mnie, nie dla ciebie. Bo jeśli zrezygnuję z niego, żeby mieć ciebie, to może całe życie będę czuła, że zrobiłam coś, czego nie powinnam była robić. A z drugiej strony, nie chcę stracić ciebie z powodu dziecka, które przecież nie jest moje... Rozumiesz, co mam na myśli? - spytała, patrząc na niego, zmieszana.

Bill uśmiechnął się, usiadł na łóżku obok niej i otoczył ją ramieniem.

- Tak, rozumiem... chociaż to trochę skomplikowane. Ale nie chcę ci odbierać czegoś, co byłoby dla ciebie dobre. Znienawidziłabyś mnie, pewnego dnia poczułabyś się oszukana. Zwłaszcza że nie miałaś dzieci, oprócz Lizzie, i nie możesz już mieć, i brakuje ci tych dziewiętnastu lat jej życia... Ja to wszystko miałem. Nie mam prawa cię tego pozbawiać.

To było to, co Jack powinien był jej powiedzieć dziewięć lat temu... Ale nie powiedział. Nie byli wobec siebie szczerzy. Teraz było zupełnie inaczej... Bill nie miał absolutnie nic wspólnego z Jackiem Hunterem, a kobieta, którą ona była teraz, nie miała nic wspólnego z jej poprzednim wcieleniem u boku Jacka. To był zupełnie nowy świat.

- Z drugiej strony - ciągnął Bill, chcąc być skrupulatnie uczciwy wobec niej i nie wprowadzić jej w błąd - nie jestem pewien, czy mam ochotę cofnąć zegar o tyle lat. Jestem od ciebie dużo starszy, Maddy... Ty powinnaś mieć dzieci, a ja wnuki. Właśnie ta sytuacja mi to unaoczniała. Oboje powinniśmy o tym pomyśleć... Nie jestem nawet pewny, czy to dobre dla dziecka, żeby miało ojca w moim wieku.

Przykro było to słyszeć... Ale przecież nie chciała narzucać mu ojcostwa.

- Być ojcem w twoim wieku to nic złego - powiedziała z przekonaniem, i naprawdę tak uważała. - Na pewno byłbyś wspaniały dla niemowlaka. Czy dla dziecka. Dla każdego. - Co za zwariowana rozmowa. .. Przecież nie było jeszcze mowy o małżeństwie! - To, co robimy, to stawianie wozu przed koniem, nie uważasz? - Rzeczywiście tak było, ale musiała podjąć decyzję w sprawie tego konkretnego dziecka, zanim zaadoptuje je ktoś inny. Wiedziała, że drugiego nie będzie szukać. Andy to co innego... Pojawił się w jej życiu sam, nieoczekiwanie. To było niemal jak zrządzenie losu i nie chciała tego zignorować.



- Czego chcesz? - spytał Bill po prostu. - Co byś zrobiła, gdyby mnie nie było?

To bardzo upraszczało sprawę.

- Zaadoptowałabym go - odparła bez wahania.

- Więc zrób to. Nie możesz przeżyć swojego życia dla kogoś innego, Maddy. To twoje życie. Ja mogę umrzeć jutro czy za tydzień. Możemy uznać, że wprawdzie oboje jesteśmy wspaniałymi ludźmi, ale będziemy przyjaciółmi, a nie kochankami, choć mam nadzieję, że to się nie stanie. Idź za swoim sercem, Maddy. Jeśli to dobre dla nas obojga, to jakoś damy sobie z tym radę. Kto wie, może będzie mi przyjemnie pograć z dzieciakiem w baseball, jak z dziecinnieję?

Kochała go coraz bardziej za to, co mówił. Trudno się było z nim nie zgodzić. Czowała, że jest jakiś powód, dla którego Bóg daje jej szansę jeszcze raz. Nie tylko z Billem, ale i z Lizzie... i z tym dzieckiem.

- Jak myślisz, czy byłabym kompletną wariatką, gdybym go zaadoptowała? Nie wiem nawet, czy będę miała pracę... Jack groził, że mnie wyleje.

- To nie ma żadnego znaczenia. Za pięć minut będziesz miała następną posadę. Problem w tym, czy chcesz wychowywać cudze dziecko i wziąć na siebie odpowiedzialność na resztę życia. To trzeba przemyśleć.

- Chcę - powiedziała poważnie. Bill wiedział, że nie rzuca słów na wiatr.

- A wracając do twojego pytania: nie, nie uważam, żebyś była wariatką. Dzielna, tak. Młoda. Pełna energii. I naprawdę godna szacunku, uczciwa, kochająca i umiejąca dawać. Ale nie wariatka. - To było wszystko, co chciała wiedzieć, żeby podjąć decyzję.

Całą noc leżała bezsenne, rozmyślając, a rano zadzwoniła do pracownicy socjalnej i powiedziała, że chce zaadoptować Andy'ego. Kobieta pogratulowała jej i powiedziała, że nadaje sprawie bieg urzędowy. To był nadzwyczajny moment w życiu Maddy... Najpierw popłakała się z radości i ulgi, a potem zadzwoniła kolejno do Billa i Lizzie. Oboje cieszyli się jej radością, choć wiedziała, że Bill zachowuje pewną rezerwę. Ale wiedziała też, że jeśli ma się między nimi ułożyć, nie może poświęcać dla niego swoich marzeń. On także na pewno by tego nie chciał... Po prostu nie wiedział, czy ma ochotę być

siedemdziesięcioletnim trenerem ligi młodzików, i nie mogła mieć mu tego za złe. Mogła tylko mieć nadzieję, że jej decyzja okaże się błogosławieństwem dla wszystkich: dla niej i dla Billa, ale przede wszystkim dla Andy'ego.

Tego dnia wyszła ze szpitala, ubrana w rzeczy, które kupił jej Bill. Pojechali prosto do niego. Maddy zdumiewało, że wciąż jest osłabiona. .. Choć nie, nie miała żadnych ran, sam uraz zrobił swoje. Mimo to zadzwoniła do kierownika produkcji i obiecała, że w poniedziałek wraca do pracy. Elliot też dzwonił parę razy, przerażony tym, co się stało, ale z ulgą, że przeżyła. Wyglądało na to, że wszyscy, których знаła, przysłali jej do szpitala kwiaty.

Dobrze było posiedzieć w spokoju u Billa. Nazajutrz miała zamiar pójść po swoje rzeczy, pomimo pogroźek Jacka, że wyjdzie z jego domu naga i bosa. Wynajęła znajomego ochroniarza, żeby poszedł razem z nią. Jack, odkąd mu powiedziała, że od niego odchodzi, nie odezwał się ani słowem.

Tego wieczoru długo siedzieli z Billem przed kominkiem, rozmawiając i słuchając muzyki. Bill przygotował kolację i podał ją przy świecach. Czują się przez niego rozpieszczana i psuta. Żadne z nich nie wierzyło w swoje szczęście... Nagle była w jego domu, wolna od Jacka. Mieli przed sobą zupełnie nowe życie. Ale mimo wszystko dziwnie się z tym czuła. Nagle było tak, jakby Jack nie istniał, a całe jej życie z nim się rozplynęło.

- Myślę, że wsparcie grupy naprawdę robi swoje - uśmiechnęła się do niego. - Jestem teraz dużą dziewczynką.

A jednak od czasu do czasu powracały lęki przeszłości. Martwiła się o Jacka, było jej przykro, że powiedziała mu takie okropne rzeczy, że okazała się taka niewdzięczna, bała się, że Jack jest w depresji... Nie wiedziała, że spędził weekend z dwudziestodwuletnią dziewczyną, którą poznał i z którą przespał się w Las Vegas. Wiele było rzeczy, których Maddy o nim nie wiedziała i których nigdy nie miała się dowiedzieć.

- No, no - pokpiwał Bill. - Wystarczyło wysadzić w powietrze centrum handlowe i od samego wstrząsu wrócił ci rozum.

Oboje wiedzieli, że tak naprawdę traktuje to bardzo serio. Oglądał rozgrywaną się wokół tragedię, kiedy na nią czekał, i był to dla niego szok. Ale oboje potrzebowali chwili odprężenia.

- A wracając do tematu... Kiedy dadzą ci Andy'ego? - spytał.

- Nie wiem jeszcze. Mają do mnie zadzwonić. - Po czym zadała mu pytanie, które miała w zanadru od chwili, gdy zdecydowała się na adopcję: - Czy będziesz jego ojcem chrzestnym, jeśli nie chcesz być nikim innym?

Bill wziął ją na ręce i uniósł.

- Będę zaszczycony - nachylił się i pocałował ją. - I wcale nie powiedziałem, że nie chcę być dla niego nikim innym... Musimy to po prostu przemyśleć. Ale jeśli mamy mieć dziecko, Maddy, pozostaje do załatwienia parę drobiazgów...

Zaśmiała się. Natychmiast zrozumiała, co ma na myśli.

Włożyli talerze do zmywarki, zgasili światło i objęci poszli po cichu na górę. Maddy ostrożnie weszła za nim do jego sypialni. Swoją skromny dobytek umieściła w pokoju gościnnym, nie chcąc wywierać na niego presji. Wiedziała że od śmierci Margaret nie było w jego życiu innej kobiety, ale minął już ponad rok... Rocznica była dla niego bardzo bolesna, ale od tego czasu wydawał się nieco pogodniejszy i bardziej rozluźniony.

Usiedli na łóżku i chwilę rozmawiali o wypadku, o jego dzieciach, o Jacku, o wszystkim, co przeszła... Nie mieli przed sobą żadnych sekretów. Bill popatrzył na nią z miłością i przyciągnął ją do siebie.

- Czuję się przy tobie jak szczeniak - szepnął. To był sposób powiedzenia jej, że się boi, ale ona też była troszkę wystraszona, choć wiedziała, że nic jej nie grozi z jego strony.

Kiedy zaczęli się całować, wszystkie duchy przeszłości zarówno złe, jak i dobre uleciały. Czowała, że zaczyna nowe życie z mężczyzną który był jej przyjacielem od dawna, i nie umiała już sobie wyobrazić życia bez niego.

Wszystko stało się łatwe i naturalne. Wśliznęli się do łóżka i objęli ramionami, jakby byli razem od zawsze, jakby tak właśnie miało być... Później spojrzął na nią z uśmiechem, nadal obejmując, i powiedział, że bardzo ją kocha.

- Ja też cię kocham, Bill - szepnęła. Kiedy zasypiali, objęci, wiedzieli oboje, że zostali pobłogosławieni przez los. Długą drogę przeszli, żeby odnaleźć się nawzajem... Ale warto było. Wszystkie smutki, ból, nawet straty, były ceną jaką warto było za to zapłacić.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Nazajutrz przyszedł ochroniarz, którego wynajęła Maddy. Wyjaśniła mu, że wszystko, co chce zrobić, to pójść do domu, w którym mieszkała z Jackiem, i zabrać swoje rzeczy. Miała tam dużo walizek, i mogła się spakować, a do przewiezienia bagażu wynajęła furgonetkę. Zamierzała przewieźć rzeczy do mieszkania, które wynajęła dla Lizzie. Dzieła sztuki, meble, pamiątki i całą resztę zostawiała Jackowi. Nie potrzebowała niczego poza ubraniami i paroma osobistymi drobiazgami. Wszystko wydawało się jasne i proste, dopóki nie przyjechali na miejsce.

Prowadził ochroniarz. Bill zaproponował, że pojedzie z nią także, ale wydawało jej się to niewłaściwe. Zapewniła go, że nie ma powodu się niepokoić. Wybrała się tam, gdy Jack, jak sądziła, powinien być w pracy i miało jej to zająć najwyżej parę godzin. Kiedy jednak znalazła się przy drzwiach i spróbowała przekręcić klucz, coś było nie tak: drzwi się nie otwierały. Klucz niby pasował idealnie, ale po przekręceniu drzwi były nadal zamknięte. Spróbowała jeszcze raz, sądząc, że coś się stało z zamkiem, potem spróbował ochroniarz, na próżno. Spojrzał na nią i powiedział, że zamki są zmienione. Klucz był bezużyteczny.

Zadzwoiła z komórki do Jacka. Sekretarka połączyła ją natychmiast. Przez chwilę obawiała się, że Jack nie zechce z nią rozmawiać.

- Jestem koło domu. Chciałabym zabrać moje rzeczy - powiedziała. - Ale nie mogę otworzyć drzwi. Przypuszczam, że zmieniłeś zamki. Czy możemy przyjechać do biura i wziąć klucze? Później ci je zwrócę.

Mówiła spokojnym, miłym głosem, choć ręce jej drżały.

- Jakie rzeczy? - spytał, jak gdyby nie rozumiejąc, o co chodzi. - Nie masz w moim domu żadnych rzeczy.

- Chcę tylko zabrać moją odzież, Jack. Poza tym nic nie wezmę. Możesz zatrzymać całą resztę. - Przypomniała sobie, że musi też przywieźć swoje ubrania z farmy w Wirginii. - No i oczywiście chcę zabrać moją biżuterię. To wszystko. Reszta jest twoja.

- Ani ubrania, ani biżuteria nie są twoje - powiedział lodowatym tonem. - Są moje. Ja za wszystko zapłaciłem i wszystko należy do mnie. Ty nie masz nic, tylko to, co na sobie.

Zupełnie tak samo mówił, że ona do niego należy... Ale przecież gromadziła ubrania i biżuterię przez siedem lat i nie było powodu, żeby

ich nie zabierać. Chyba że chciał się zemścić.

- Co masz zamiar z nimi zrobić? - spytała spokojnie.

- Biżuterię odesłałem dwa dni temu do Sotheby'ego, a po odzież przyjechali z Goodwill jeszcze tego dnia, kiedy powiedziałaś, że odchodzisz. Powiedziałem, żeby ją zniszczyli.

- To niemożliwe.

- Oczywiście, że możliwe. Przecież nie chciałybyś, żeby w twoich rzeczach chodził ktoś inny, prawda, Mad? - powiedział takim tonem, jakby wyświadczył jej łaskę. Teraz w tym domu nie ma absolutnie nic twojego.

W biżuterię nie zainwestował dużo. Nigdy nie dawał jej naprawę wartościowych klejnotów, po prostu ładne drobiazgi, które jej się podobały. Na pewno sprzedanie ich nie przyniosło mu fortuny. Co za skurwiel... Stała koło domu, zdumiona jego podłością.

- Jak mogłeś?

- Powiedziałem ci, Maddy. Ze mną nie ma żartów. Skoro chcesz odejść, musisz za to zapłacić.

- Muszę zapłacić za te wszystkie lata, kiedy cię znałam, Jack - powiedziała spokojnie, choć drżała od stóp do głów. Czuła się tak, jakby ją obrabowano. Stała koło ich domu tylko w tym, co kupił jej Bill. To był cały jej majątek.

- Więcej nie zobaczysz ani źdźbła - ostrzegł ją Jack takim tonem, że się przestraszyła.

- W porządku - powiedziała i wyłączyła telefon. Pojechali z powrotem do Billa. Spojrzał na nią, zdumiony, że wróciła tak szybko.

- Co się stało? Spakował wszystko wcześniej?

- Można by tak pomyśleć... Powiedział, że wszystko wyrzucił. Zmienił zamki i nawet nie weszłam do środka. Zadzwoiłam do niego. Powiedział, że biżuterię sprzedał u Sotheby'ego, a ubrania i moje osobiste rzeczy zabrali ludzie z Goodwill. Kazał je zniszczyć.

Zupełnie jakby wszystko spłonęło w pożarze... Nie miała nic. To było okrutne i małostkowe.

- Łajdak. Pieprz go, Maddy. Kupisz sobie nowe ubrania.

- Też tak myślę - powiedziała. Ale czuła się zmaltretowana. Poza tym cała nowa garderoba będzie kosztować...

Była wstrząśnięta tym, co zrobił Jack, ale mimo to udało im się

spędzić miły weekend. Przygotowywała się na nieuniknione spotkanie z Jackiem, gdy przyjdzie w poniedziałek do pracy. Wiedziała, że trudno będzie z nim pracować, ale kochała swoją robotę i nie chciała z niej zrezygnować.

- Uważam, że powinnaś złożyć wypowiedzenie - powiedział rozsądnie Bill. - Jest mnóstwo innych sieci telewizyjnych, które przyjmą cię z pocałowaniem ręki.

- Na razie wolałabym zachować status quo - odparła.

Chyba nie miała racji, ale nie chciał się z nią spierać. Dość się nadenerwowała przez cały tydzień - od wybuchu do utraty wszystkiego, co miała.

Ale na to, co spotkało ją w poniedziałek, kiedy przyszła do pracy, była całkowicie nieprzygotowana. Bill podrzucił ją, jechał na spotkanie z wydawcą. Weszła do holu z identyfikatorem na piersi, uśmiechając się dzielnie. Już miała przejść przez wykrywacz metali, gdy nagle spostrzegła kątem oka, że czeka na nią szef ochrony. Poprosił ją na bok i powiedział, że nie wolno jej wchodzić na górę.

- Dlaczego? - spytała zdumiona. Czyżby odbywały się ćwiczenia antyżarowe? A może ktoś podłożył bombę, albo były wobec niej jakieś pogroźki?

- Ma pani zakaz wstępu - powiedział otwarcie. - To zarządzenie pana Huntera. Przykro mi, proszę pani, ale nie może pani wejść do gmachu.

A więc nie tylko została wyrzucona. Była także persona non grata. Nawet gdyby ochroniarz ją uderzył, nie byłaby bardziej zdumiona... Zatrzaśnięto jej drzwi przed nosem. Była bez pracy, bez rzeczy, bez niczego i na chwilę ogarnęła ją panika, tak jak tego chciał Jack. Nic, tylko kupować bilet na autobus Greyhound i wracać do Knoxville.

Wyszła na zewnątrz, wzięła głęboki oddech i powiedziała sobie, że choćby nie wiem jak się starał, nie zdoła jej zniszczyć. Ukarał ją za to, że go opuściła. Nie zrobiłam nic złego, przypomniała sobie samej. Po wszystkim, co on jej zrobił, miała prawo do wolności. A jednak... A jak nie znajdzie innej pracy? A jak Bill się nią zmęczy? Może Jack ma rację, że jest nic niewarta? Bezmyślnie ruszyła przed siebie i szła piechotą aż do domu Billa. Zajęło jej to całą godzinę. Dotarła na miejsce kompletnie wyczerpana.

Bill był już z powrotem. Kiedy ją zobaczył, była blada jak ściana.

Wybuchnęła płaczem i łkając, opowiedziała mu, co zaszło.

- Spokojnie - powiedział zdecydowanym głosem. - Spokojnie, Maddy. Wszystko będzie dobrze. On ci nic nie może zrobić.

- Może. Skończę w ryszotku, tak jak powiedział. Będę musiała wrócić do Knoxville...

To, co mówiła, było całkiem irracjonalne, ale za wiele na nią spadło w ciągu zaledwie tygodnia. Ogarnęła ją panika. Miała w banku pieniądze, zaoszczędzone z własnej pensji, o których nie mówiła Jackowi, miała Billa, a mimo to poczuła się jak osierocone dziecko i właśnie o to chodziło Jackowi. Chciał, żeby czuła się tak jak teraz: zdruzgotana, przerażona. To była wojna.

- Nie pojedziesz do żadnego Knoxville. W ogóle nigdzie nie pojedziesz, co najwyżej do prawnika. I to nie takiego, który figuruje u Jacka na liście płac.

Kiedy się trochę uspokoiła, sam zadzwonił do adwokata i po południu wybrali się do niego razem. Pewnych rzeczy nie można było załatwić, na przykład odzyskać ubrań, ale adwokat mógł zrobić sporo, żeby wyegzekwować od Jacka to, co gwarantowała jej umowa. Jack będzie musiał zapłacić jej za zniszczone rzeczy, wyjaśnił, a poza tym wypłacić przyzwoitą odprawę i odszkodowanie za to, że nie wpuszczono jej do miejsca pracy. Mówił nawet o odszkodowaniu za zerwanie umowy idącym w miliony. .. Maddy słuchała zdumiona. Okazało się, że wcale nie była bezradna, czego zrazu się obawiała! Jack drogo zapłaci za to, co zrobił, a rozgłos, jakiego sprawa nabierze przy okazji, też mu się nie przysłuży.

- Tak to wygląda, pani Hunter. Mąż nie może już pani zrobić nic gorszego niż to, co zrobił do tej pory. Może panią nękać prywatnie, ale w tamtych sprawach nam się nie wymknie. Jako osoba publiczna stanowi łatwy cel. Wyciągniemy od niego niezłe odszkodowanie albo wypłaci je pani sąd przysięgłych.

Maddy rozpromieniła się jak dziecko, które dostało na Gwiazdkę nową lalkę. Kiedy wyszli, spojrzała na Billa z nieśmiałym uśmiechem. Przy nim czuła się bezpieczniej niż kiedykolwiek.

- Przepraszam, że tak dziwaczyłam dziś rano. Wystraszyłam się po prostu. .. To było takie okropne, kiedy ochroniarz kazał mi wyjść z budynku.

- No pewnie, że okropne - powiedział ze współczuciem. - To było ohydne z jego strony, i właśnie dlatego to zrobił. I nie oszukuj się: to się jeszcze nie skończyło. Na pewno będzie chciał zrobić ci każde świństwo, jakie mu tylko przyjdzie do głowy, dopóki nie odpowie za to przed sądem. A zresztą i później może próbować... Musisz uzbroić się w cierpliwość, Maddy.

- Wiem - odparła smętnie. Co innego było o tym mówić, a co innego stawić temu czoło...

Wojna trwała. Nazajutrz Maddy i Bill siedzieli spokojnie przy śniadaniu, czytając gazety, gdy nagle Maddy gwałtownie zaczerpnęła tchu. Bill spojrział na nią.

- Co się stało?

Z oczyma pełnymi łez podała mu gazetę. Na dwunastej stronie był niewielki artykuł, który informował, że musiała zrezygnować ze stanowiska prezenterki ze względu na załamanie nerwowe, rezultat uwięzienia przez czternaście godzin w ruinach zburzonego centrum.

- O Boże - wyszeptała. - Przecież nikt mnie nie zatrudni, jak pomyśla, że zwariowałam...

- Skurwysyn - powiedział Bill, z uwagą czytając tekst, po czym zadzwonił do prawnika. Prawnik oddzwonił w południe i powiedział im, że mogą zaskarżyć Jacka o zniesławienie. Stało się jasne, że Jack gra o wysoką stawkę i że jedynym celem jego życia jest zemścić się na Maddy.

W następnym tygodniu poszła na spotkanie grupy dla ofiar przemocy i opowiedziała, co jej robi Jack. Nikt nie był zaskoczony. Ostrzeżono ją, że będzie jeszcze gorzej i że musi się liczyć nawet z możliwością bezpośredniego ataku. Prowadząca opisała jej, jak wygląda zachowanie socjopatyczne, i pasowało to do Jacka jak ulał. Był człowiekiem bez zasad moralnych i bez sumienia, który, jeśli to dla niego wygodne, odwraca kota ogonem i ma siebie samego za ofiarę. Wieczorem opowiedziała wszystko Billowi i w pełni się z tym zgodził.

- Bądź ostrożna, Maddy, kiedy mnie nie będzie. Zeżre mnie niepokój o ciebie. Powinnaś pojechać ze mną...

Maddy nakłaniała go, żeby zgodnie z planem spędził święta w Vermont, i za parę dni miał wyjechać. Ona chciała zostać w mieście i urządzić Lizzie w nowym mieszkaniu. Lizzie miała przyjechać w dniu, kiedy Bill wyjeżdżał. A Maddy nadal uważała, że powinna zamieszkać z



córką. Było jej u Billa bardzo dobrze, ale czekała na wiadomość o dziecku i nie chciała, żeby czuł się do czegoś zmuszony czy skrepowany. Nie chciała burzyć jego spokojnej egzystencji. Chciała, żeby ich związek dojrzewał powoli.

- Wszystko będzie dobrze - uspokajała go. Nie sądziła, że Jack może ją zaatakować fizycznie. Zanadto był zajęty uszkodzeniem jej na inne sposoby.

Adwokat załatwił, że w gazecie, która zamieściła tekst na jej temat, bardzo szybko ukazało się sprostowanie. Napisano, że została wyrzucona z pracy przez rozszalonego eksmałżonka, i w ciągu dwóch dni zadzwoniono do niej z trzech najważniejszych sieci telewizyjnych. Wszystkie oferty były bardzo atrakcyjne, lecz chciała mieć trochę czasu, żeby się nad nimi zastanowić. Wolą nie działać zbyt szybko, chciała dokonać właściwego wyboru. Ale przynajmniej była teraz spokojna, że nie grozi jej dożywotnie bezrobocie. Aluzje Jacka na temat przyczepy i rynsztoku były tylko jeszcze jedną formą dręczenia jej.

Kiedy Bill wyjechał, pojechała do mieszkania Lizzie, żeby je trochę urządzić i poustawiać sprzęty, które dla niej kupiła. Wieczorem Lizzie przyjechała, wszystko było w idealnym porządku, a mieszkanie wyglądało wesoło i przytulnie. Lizzie była w euforii. Miała mieszkać z matką. Uważała, że to, co zrobił jej Jack, jest okropne. Ale największym jego przestępstwem była próba pozbycia się Lizzie, zanim Maddy się o niej dowiedziała. Lista świństw, jakich się wobec niej dopuścił, była nieskończona, Maddy widziała to teraz jasno. I ona mu na to wszystko pozwalała! Lecz przecież w głębi duszy zawsze była przekonana, że na to zasługuje, a on o tym wiedział... Dawała mu do ręki broń, jakiej potrzebował.

Rozmawiali o tym z Lizzie długie godziny. Bill zadzwonił z Vermont natychmiast po przyjeździe. Już za nią tęsknił.

- Dlaczego właściwie nie miałabyś przyjechać na święta? - powiedział i wydawało jej się, że mówi poważnie.

- Nie chcę przeszkadzać twoim dzieciom - odpowiedziała szczerze.

- Byłyby szczęśliwe, jakbyś przyjechała, Maddy.

- To może dzień po świętach? - To był rozsądny kompromis, a Lizzie aż się trzęsła, żeby nauczyć się jeździć na nartach. Bill był zachwycony, Lizzie także, kiedy jej o tym powiedziała.

Wieczorem, zanim poszła do łóżka, zadzwonił jeszcze raz, żeby jej powiedzieć, jak ją kocha.

- Myślę, że powinniśmy renegotjować sprawę mieszkania. Nie uważam, że to w porządku mieszkać z Lizzie w jednym pokoju. A poza tym brakuje mi Ciebie.

Tak naprawdę Maddy myślała o wynajęciu mieszkania również dla siebie i między innymi dlatego nie chciała jechać na święta do Vermont. Nie chciała, żeby Bill czuł się wykorzystywany. Bardzo jej na tym zależało. On jednak był niemal obrażony na myśl, że miałyby się tułać.

- No cóż, biorąc pod uwagę obecne rozmiary mojej szafy - zaśmiała się niewesoło - jestem w stanie zmienić tę decyzję w ciągu pięciu minut.

- To dobrze. Chcę, żebyś wprowadziła się z powrotem do mnie, jak wrócę. Czas na to, Maddy - powiedział łagodnie. - Mamy oboje za sobą wystarczająco dużo trudnych, samotnych dni... Zaczniemy razem nowe życie.

Nie była pewna, co to dokładnie znaczy, a nie śmiała pytać wprost. Ale mieli przed sobą dużo czasu, żeby to sprecyzować...

W Wigilię wyszły z Lizzie do miasta i kupiły choinkę, a potem wspólnie ją ubrały. Jak różne to było od ponurych świątecznych dni spędzanych z Jackiem w Wirginii, gdzie czuła się jak w pułapce, a Jack ignorował święta i zmuszał ją, żeby je ignorowała wraz z nim... To było najszczęśliwsze Boże Narodzenie w jej życiu, choć nadal tkwiło w niej trochę żalu za Jackiem i gorzkości, że tak to wszystko wyszło. Przypominała samej sobie regularnie, że bez niego jest jej lepiej, a kiedy opadały ją wspomnienia dobrych chwil z nim, świadomie zastępowała je złymi, których było o wiele więcej. Ale najważniejsze było to, że w jej życiu byli Bill i Lizzie.

O drugiej po południu w Wigilię dostała wiadomość, na którą czekała, ale nie miała pojęcia, kiedy nadejdzie. Powiedziano jej, że formalności mogą potrwać parę tygodni. Na razie cieszyła się córką.

- Witamy, mamusiu - usłyszała w słuchawce znajomy głos. To była pracownica socjalna, która pomagała jej załatwić adopcję Andy'ego. - Jest tu jeden mały chłopczyk, który chciałby spędzić święta ze swoją mamą.

- Naprawdę? Mogę go mieć już teraz? - Maddy spojrzała na Lizzie i zamachała entuzjastycznie rękami, ale Lizzie nie wiedziała, o co chodzi, i po prostu się roześmiała.

- Andy jest pani. Sędzia podpisał papiery dziś rano. Uważał, że to będzie ważne dla pani, żeby go mieć na święta. Czy może być lepsze Boże Narodzenie, niż z nowym dzidziusiem?

- Gdzie on jest?

- Tu, w moim biurze. Zastępczy rodzice tylko co mi go podrzucili. Może go pani zabrać dziś po południu w dowolnej chwili, ale chciałabym pojechać do domu, do moich dzieci...

- Będę za dwadzieścia minut - powiedziała Maddy i odłożyła słuchawkę. Opowiedziała Lizzie, co się stało.

- Pojedziesz ze mną? - spytała, nagle zdenerwowana. Nigdy nie miała do czynienia z niemowlęciem! Wszystko było dla niej nowe, nic jeszcze dla niego nie kupiła. Nie chciała zapeszyć, a poza tym jakoś sobie wyobrażała, że ją uprzedzą.

- Kupimy mu, co trzeba, jak już go weźmiemy - powiedziała rozsądnie Lizzie. W rodzinach zastępczych często zajmowała się małymi dziećmi i wiedziała o nich dużo więcej niż matka.

- Nawet nie wiem, co kupić... chyba pieluchy, odżywkę... jakieś grzechotki, zabawki... coś w tym stylu, tak? - Maddy czuła się jak czternastolatka. Nieprzytomna z podniecenia, oplukała twarz, przyczesła włosy, wrzuciła na siebie płaszcz, złapała torebkę i rzuciły się z Lizzie biegiem po schodach.

Dotarli na miejsce taksówką. Andy czekał na nie w białym sweterku i czapeczce i niebieskiej frotowej piżamce. Zastępczy rodzice dali mu w prezencie pod choinkę małego misia.

Spał spokojnie, kiedy Maddy na niego patrzyła. Wzięła go ostrożnie na ręce i przytuliła. Ze łzami w oczach spojrzała na Lizzie. Czuła się taka winna wobec niej i tak żałowała, że jej tak nie trzymała w swoim czasie... Ale Lizzie zdawała się rozumieć, co czuje matka. Objęła ją ramieniem.

- W porządku, mamoo... Kocham cię.

- Ja też cię kocham, najdroższa - szepnęła Maddy i pocałowała ją. W tym momencie dziecko się obudziło i zaczęło płakać. Maddy uniosła je i oparła ostrożnie o ramię. Rozejrzało się, jakby w poszukiwaniu znajomych twarzy, i zapłakało jeszcze głośniej.

- Myślę, że jest głodny - orzekła Lizzie. Pracownica socjalna dała im nosidelko Andy'ego, odżywkę i listę instrukcji i wręczyła Maddy grubą kopertę z adopcyjnymi dokumentami. W przyszłości będzie musiała

pójść jeszcze raz do sądu, ale miała to być czysta formalność. Dziecko było jej. Zachowała jego pierwsze imię, a nazwisko zdecydowała zmienić na własne - Beaumont. Postanowiła wrócić do nazwiska panińskiego. Nie chciała mieć więcej nic wspólnego z Jackiem Hunterem. Nawet gdyby wróciła do pracy w telewizji, miała zamiar występować jako Madeleine Beaumont, a chłopczyk nazywał się teraz Andrew William Beaumont. Drugie imię nadała mu na cześć chrzestnego ojca.

Wyszły. Maddy z lękiem w oczach obejmowała bezcenne zawiniątko. Wstąpiły po drodze do sklepu z artykułami dla niemowląt i do drogerii i kupiły wszystko, co zdaniem Lizzie i sprzedawczyni było potrzebne. Ledwo zmieściły się z tym bagażem do taksówki... Rozpromienione wchodziły do mieszkania i w tym momencie zadzwonił telefon.

- Potrzymam ci go, mamó - zaproponowała Lizzie. Maddy niechętnie oddała dziecko. Nie chciała rozstawać się z nim nawet na minutę... Jeśli kiedykolwiek miała wątpliwości, czy jej plany są słuszne, teraz wiedziała na pewno, że były. To właśnie tego potrzebowała, tego pragnęła.

- Gdzie się podziewałaś? - spytał znajomy głos. Bill dopiero co wrócił ze ślizgawki z wnukiem i nie mógł się doczekać, żeby jej o tym powiedzieć. - Gdzie byłaś, Maddy? - powtórzył.

Uśmiechnęła się.

- Przywiozłyśmy twojego chrześniaka - powiedziała z dumą. Lizzie włączyła właśnie światelka na choince. W mieszkaniu zrobiło się ciepło, świątecznie i przytulnie. Maddy żałowała, że nie ma z nimi Billa. Zwłaszcza teraz, kiedy dołączył do nich Andy...

Przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi. Kiedy pojał, uśmiechnął się. Poznał po jej głosie, jaka jest szczęśliwa.

- Co za piękny prezent pod choinkę! Jak on się ma?

- Jest taki śliczny, Bill... - Spojrzała na Lizzie, trzymającą nowiutkiego braciszka, i uśmiechnęła się do niej. - Nie taki śliczny jak była Lizzie, ale i tak fajny. Sam zobaczysz...

- Przywieziesz go do Vermont? - I natychmiast zrozumiał, że pytanie jest głupie. Innego wyjścia nie miała, a dziecko nie było noworodkiem. Było zdrowym, dwu i półmiesięcznym niemowlęciem. W Boże Narodzenie miało skończyć dziesięć tygodni.

- Strasznie bym chciała, jeśli ci to nie przeszkadza...

- Jasne, przywieź go koniecznie. Dzieciaki będą zachwycone. A skoro mam być chrzestnym ojcem, musimy się lepiej poznać z moim chrześniakiem.

Zadzwoił jeszcze raz wieczorem i nazajutrz rano. A o północy Maddy i Lizzie były razem z maleństwem na pasterce. Andy nie przebudził się ani razu. Maddy włożyła go do eleganckiego błękitnego koszyka, dopiero co kupionego. W nowiutkim błękitnym sweterku i czapeczce, otulony razem ze swoim misiem błękitnym kocykiem, wyglądał jak mały książę.

W bożonarodzeniowy poranek rozpakowały z Lizzie swoje prezenty. Były tam torebki, rękawiczki, książki, sweterki, perfumy... Ale najpiękniejszym prezentem był Andy. Leżał w swoim koszyku i patrzył na nie, a kiedy Maddy pochyliła się i pocałowała go, buzia chłopczyka rozpromieniła się uśmiechem. Miała nigdy nie zapomnieć tej chwili. Wzięła go w ramiona i w milczeniu zaniósła dziękczynną modlitwę do jego matki za jej niewiarygodny dar.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Pierwszego dnia po świętach wyjechały z Lizzie wynajętym samochodem do Vermont. Samochód, wyładowany niemowlęcymi akcesoriami, przypominał wóz cygański. Andy prawie przez całą drogę spał, a Maddy i Lizzie rozmawiały i śmiały się. Po drodze zatrzymały się na hamburgera, a Maddy nakarmiła maleństwo z butelki. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa ani tak pewna, że postąpiła słusznie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, co zabrał jej Jack, kiedy zmusił ją do sterylizacji. Zabrał jej wiarę w siebie, szacunek dla siebie samej, możliwość decydowania o sobie, życia zgodnego z potrzebami... A w zamian dał jej pracę i ładne przedmioty. Co za żałosny interes...

- A co zamierzasz zrobić z tymi ofertami pracy, które dostałaś? - spytała z zainteresowaniem Lizzie, kiedy znowu wsiadły do samochodu. Do Sugarbush, gdzie znajdował się dom Billa, był jeszcze kawał drogi.

Maddy westchnęła.

- Jeszcze nie wiem... Chciałabym wrócić do pracy, ale chciałabym się też nacieszyć tobą i Andym. To moja pierwsza i ostatnia szansa, żeby być pełnoetatową matką. Kiedy wrócę do pracy, znowu zaczną mną orać... Nie ma co się spieszyć.

Miała też do załatwienia trochę spraw prawnych. Jej adwokat występował z pozwem przeciwko Jackowi i jego firmie. Jack był jej winien ogromne odszkodowanie za zerwanie umowy bez wypowiedzenia, a poza tym była jeszcze kwestia zniesławienia, działania w złej wierze i parę innych punktów, które adwokat miał zamiar włączyć do pozwu. Przede wszystkim jednak chciała się nacieszyć Lizzie i maleństwem. Za dwa tygodnie Lizzie zaczynała studia na Georgetown i była bardzo podniecona.

Dotarły do Sugarbush o szóstej, akurat żeby z wszystkimi dziećmi Billa zasiąść do kolacji. Wnuki oszalały na punkcie niemowlęcia. Śmiały się do niego i zagadywały, a najmłodszy, dwu i półletni, zaczął się z nim bawić w koci, koci łapci. Bardzo mu się to podobało.

Kiedy zjedli, Lizzie wzięła chłopczyka od matki i powiedziała, że położy go spać.

Maddy pomogła córce i synowej Billa posprzątać w kuchni i pochować naczynia, a potem usiedli z Billem przed kominkiem. Chwilę

pogawędzili, a kiedy wszyscy poszli na górę, Bill zaproponował spacer.

Było mroźno, na niebie lśniły gwiazdy. Śnieg skrzypiał pod nogami, kiedy szli ścieżką, świeżo odgarniętą ze śniegu przez syna Billa. Dom był duży, wygodny, i najwyraźniej wszyscy go uwielbiali. Byli sympatyczną rodziną i lubili spędzać razem czas. Nikt nie wyglądał na wstrząśniętego związką Billa i Maddy... Starali się jak mogli, żeby okazać jej gościnność, byli bardzo mili dla Lizzie i małej.

- Masz wspaniałą rodzinę - pochwaliła go. Szli, trzymając się za ręce. Dookoła pełno było śladów nart. Maddy też chciała pojeździć nazajutrz z Bille, lecz musiała znaleźć kogoś, kto zostanie z dzieckiem. To był całkiem nowy aspekt jej życia... Na razie mogło to wyglądać dziwnie, ale uwielbiała wszystko, co się z tym wiązało.

- Dziękuję - uśmiechnął się do niej Bill i otoczył ją ramieniem. - Dzikus jest słodki - powiedział z uśmiechem. Teraz widział, jak Maddy go kocha... Żle by się stało, gdyby nigdy tego nie znalazła. A poza tym mogła zapewnić mu życie, jakiego nigdy by nie miał nawet z rodzoną matką. Bóg wiedział, co robi, gdy sprawił, że wszyscy troje znaleźli się wtedy obok siebie w rumowisku... Kim był on, by jej tego odmawiać?

- Dużo ostatnio myślałem - podjął, gdy zawrócili w kierunku domu, i zobaczył, że się spłoszyła. Pomyślała, że wie, co nadchodzi... Wszystkie stare lęki wróciły.

- Nie jestem pewna, czy chcę to słyszeć - odwróciła głowę, żeby nie widział wzbierających w jej oczach łez.

- Dlaczego? - łagodnie zwrócił ją twarzą ku sobie. Stanęli na wydeptanej w śniegu ścieżce. - Przemyślałem pewne rzeczy. Przypuszczam, że mogłyby cię zainteresować.

- O nas? - spytała zdławionym głosem. A jeśli wszystko kończy się, zanim się jeszcze zaczęło? Wszystko w jej życiu było przecież, jak dotąd, nieudane... Z wyjątkiem tego, co miała teraz - Billa, Lizzie i Andy'ego. Tylko oni się teraz liczyli. Jej życie z Jackiem wydawało się złym snem.

- Nie bój się, Maddy - powiedział cicho Bill. Czuł, jak drży w jego objęciach.

- Kiedy właśnie się boję. Nie chcę cię stracić...

- Na to nie ma gwarancji - powiedział szczerze. - Ty masz przed sobą znacznie dłuższą drogę niż ja. Ale zdałem sobie sprawę, że nie chodzi o to, dokąd się dojdzie czy jak prędko... Chodzi o podróż. Dopóki

podróżujemy razem i robimy to jak należy, być może jest to wszystko, o co można prosić. Nigdy nie wiadomo, co czeka za rogiem... - Tę gorzką lekcję już przerobił, Maddy także. - To coś w rodzaju spaceru zaufania.

Wciąż nie była pewna, o czym on właściwie mówi.

- Nie mam zamiaru cię opuszczać, Maddy - ciągnął Bill. - Nie mam zamiaru nigdzie odchodzić. I nigdy nie chcę cię zranić.

Ale czasem nie da się tego uniknąć... Chodzi tylko o to, żeby nie krzywdzić rozmyślnie. Wiedzieli o tym oboje.

- Ja też nie chcę cię zranić - powiedziała, przywierając do niego ciasno, wciąż spłoszona, ale odrobinę spokojniejsza. Czuła, że ze strony Billa nic jej nie grozi. To było nowe życie, nowy dzień, nowy sen. Razem to odnaleźli i razem starannie pielęgowali.

- Usiłuję ci w ten sposób powiedzieć - Bill spojrzał na nią z uśmiechem w słabej poświacie wygwieżdzonej mroźnej nocy - że przyszło mi do głowy, że może mi dobrze zrobić, jak po siedemdziesiątce pogram sobie w baseball. W najgorszym razie mogę odbierać piłkę od Andy'ego nawet na wózku inwalidzkim.

Spojrzała na niego, rozbawiona.

- Nie sądzę, żebyś w tym wieku miał poruszać się na wózku... Bill zaśmiał się.

- Kto wie? Możesz mnie wykończyć. Już teraz usiłujesz... Jakieś wybuchy, niemowlęta, rozwścieczeni eksmężowie... Nie da się ukryć, że życie z tobą jest pełne wrażeń. Ale nie chcę być tylko ojcem chrzestnym dla Andy'ego. Zasluguje na więcej. Wszyscy zasługujemy.

- A co, chcesz być jego trenerem w lidze młodzików? - zakpiła. Czuła, że jej statek zawija do portu. Czekwała na to od tak dawna... W gruncie rzeczy przez całe życie. Wiedziała, że przy Billu jest wreszcie bezpieczna i w dobrych rękach.

- Chcę być twoim mężem. Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Co o tym myślisz, Maddy?

- A co powiedzą twoje dzieci?

To ją niepokoiło, ale jak dotąd, były dla niej niewiarygodnie miłe.

- Pewnie powiedzą, że oszalałam, i będą miały rację. Ale mimo to czuję, że dobrze robię. Dla nas obojga... dla nas wszystkich. Wiem o tym od dawna. Nie wiedziałem po prostu, co ty zamierzasz i ile czasu to potrwa.



- Trwało za długo - szepnęła. Żałowała teraz straconego czasu, ale wiedziała, że szybciej się tego zrobić nie dało.

- Powiedziałem ci, Maddy, że nie chodzi o tempo. Chodzi o samą podróż. No więc, co myślisz?

- Myślę, że mam bardzo dużo szczęścia - szepnęła.

- Ja też - Bill otoczył ją ramieniem i poszli z powrotem do domu. Z okna na piętrze patrzyła na nich Lizzie z dzieckiem na rękach. Jakby to wyczuwając, Maddy spojrzała w górę, uśmiechnęła się do niej i pomachała.

Bill wprowadził Maddy do domu. Na progu przystanął i pocałował ją. Nieważny był ani początek, ani koniec. Ważne było życie, które mieli z sobą dzielić, radosna świadomość, że odtąd będą podróżować razem.

RS

RS